

Mason Daniel Philippe

Stroiciel

Słońce i kobieca parasolka to obraz, jakim stanie się Birma w ostatnich chwilach gasnącej pamięci. Zastanawiał się, które wizje pozostaną - spieniony po burzy kawowy nurt Saluin, palisady sieci rybackich przed świtem, jaskrawa barwa zmielonej kurkumy czy ociekające wilgocią pnącza dżungli. Całe miesiące te widoki drgały mu pod powiekami, czasami rozbłyskując i przygasając jak płomienie świec, czasami - walcząc o to, by zostać dostrzeżone niczym towary rozpychających się na bazarach kupców, a czasami po prostu oddalając się jak plamy wozów cyrkowych.

Każdy obraz rodził opowieść rzucającą wyzwanie wiarygodności bynajmniej nie z powodu jakiejś wady samej fabuły, ale dlatego, że Natura nie mogłaby pozwolić na takie stężenie barw bez kradzieży i tworzenia próżni w pozostałych częściach świata.

Ponad tymi widokami wznosi się jeszcze słońce, paląc i rozlewając się jak błyszcząca biała farba. Bedinsaya, którzy tłumaczą sny w zaciemnionych, pełnych zapachów zakątkach targowisk, powiedzieli mu, że słońce, które wschodzi nad Birma, jest inne niż to, które podnosi się nad resztą świata. Wystarczyło, by spojrzeć w niebo.

By ujrzał, jak oblewa drogi, wypełniając szczeliny i cienie oraz burząc perspektywę i strukturę. Żeby zobaczył, jak migocze, drga i płonie linia horyzontu niczym prześwietlony, zwijający swe brzegi w ogniu dagerotyp. Jak rozplywa się niebo, rozmywają się kształty figowców, gęstnieje powietrze, a jego oddech, gardło i krew tężeją. Jak z odległych dróg przybywają zjawy, by wykręcić mu ręce. Jak jego skóra łuszczy się i pęka.

Teraz to słońce wisi nad wysuszoną drogą. Po niej idzie pod parasolką jakaś samotna kobieta; jej cienka bawełniana sukienka drży w delikatnym powiewie, bosa stopy zaś niosą na skraj pola widzenia. Obserwuje kobietę, gdy ta zbliża się do słońca.

Chce ją zawołać, ale nie może wydobyć głosu.

Kobieta staje się częścią mirażu, widmowego odbicia światła i wody, które

Birmańczycy zwą than hlat. Wokół niej drży powietrze, rozszczepiając i obracając jej postać. I wtedy kobieta też znika. Pozostaje tylko słońce i parasolka.

Ministerstwo Wojny 24 października 1886

Londyn

Szanowny Panie Drake, z informacji uzyskanych od mojego personelu wynika, że otrzymał Pan prośbę naszego Ministerstwa w sprawie oddania się w służbę Jej Królewskiej Mości, ale nie został Pan jeszcze powiadomiony o charakterze Pańskiej misji. Ten list ma wyjaśnić pośpiech i szczegóły sprawy nadzwyczajnej wagi. Zawiera także prośbę o zgłoszenie się w Ministerstwie Wojny, gdzie uzyska Pan dalsze informacje od pułkownika

Killiana, szefa Wydziału Operacyjnego do spraw Birmy, jak również ode mnie.

Krótkie wprowadzenie w sprawę. Jak Pan prawdopodobnie wie, od czasu zajęcia przez nas sześćdziesiąt lat temu leżących na wybrzeżu stanów Birmy po niedawną aneksję Mandalaju i Górnej Birmy, Jej Królewska Mość postrzega okupację i pacyfikację tego terytorium jako kluczową dla bezpieczeństwa naszego Imperium w całej Azji. Pomimo zwycięstw militarnych nowe wydarzenia stanowią poważne zagrożenie dla naszych birmańskich posiadłości. Ostatnie raporty wywiadu potwierdziły fakt konsolidacji sił francuskich wzdłuż Mekongu w Indochinach, podczas gdy lokalne powstania w Birmie zagrażają naszemu panowaniu w odleglejszych regionach tego kraju.

W 1869 roku, za panowania birmańskiego króla Mindon Mina, wysłaliśmy do Birmy lekarza, majora Anthony'ego Carrola, absolwenta University College Hospital w Londynie. W 1874 roku skierowano go do odległego posterunku wojskowego w stanach Szan, na wschodnich rubieżach kolonii. Dla wojska major Carroll od początku okazał się niezastąpiony, i to ze względów dalece wykraczających poza jego bezpośrednie medyczne obowiązki. Udało mu się zawiązać wiele sojuszy z miejscowymi książętami, a jego placówka, chociaż oddalona od naszego dowództwa, umożliwia dostęp do południowej części

plaskowyzu Szan i natychmiastowe rozwinięcie oddziałów ku granicy z Syjaniem. Szczegóły dotyczące sukcesu Carrolla są raczej niezwykle i zostanie Pan o nich należycie poinformowany, gdy zgłosi się Pan w Ministerstwie Wojny. Kwestią interesującą teraz Koronę jest niezwykle notatka, jaką otrzymaliśmy od majora w zeszłym miesiącu, ostatni z wielu nieco irytujących listów dotyczących jego zainteresowania fortepianem.

Powód naszego niepokoju jest następujący: chociaż jesteśmy przyzwyczajeni do niecodziennych próśb majora dotyczących jego badań medycznych, to w zakłopotanie wprawił nas list, który otrzymaliśmy w grudniu zeszłego roku, a który zawierał prośbę o natychmiastowe nabycie i dostarczenie fortepianu Érarda. Z początku nasi oficerowie w Mandalaju sceptycznie odnieśli się do petycji, dopóki dwa dni później posłaniec nie dostarczył kolejnej wiadomości, podkreślającej powagę żądania, jakby

Carroll dokładnie przewidział niedowierzanie naszego personelu. Reakcją na naszą odpowiedź, że dostarczenie fortepianu jest niemożliwe ze względów logistycznych, było przybycie kolejnego zziąjanego posłańca. Przyniósł on krótką notatkę, której treść warta jest pełnego przytoczenia:

Szanowni Panowie, z całym szacunkiem dla Waszego urzędu niniejszym ponownie przedkładam swoją prośbę o dostarczenie fortepianu. Jestem świadom znaczenia mojej placówki dla bezpieczeństwa tego regionu. Żeby moje usilne naleganie nie zostało ponownie źle zrozumiane, proszę przyjąć do wiadomości, że zrezygnuję ze stanowiska, jeżeli instrument nie zostanie mi dostarczony przed upływem trzech miesięcy. Jestem w pełni świadomy, że moja ranga i lata służby upoważniają mnie do otrzymania honorowej odprawy i pełnych korzyści, gdybym wrócił do Anglii. major lekarz

Anthony J. Carroll, Mae Lwin, stany Szan

Jak może Pan sobie wyobrazić, list ten wywołał poważną konsternację wśród naszego personelu. Jako sługa Korony major był bez skazy; jego akta są wzorowe, jednak dobrze rozumie on naszą zależność od niego i jego sojuszy z

miejscowymi księżętami oraz to, jak niezwykle ważne są takie alianse dla każdego europejskiego mocarstwa. Po debacie zaaprobowaliśmy jego prośbę i w styczniu fortepian Erarda z

1840 roku wysłano okrętem z Anglii; dotarł do Mandalaju na początku lutego, po czym pod osobistym nadzorem Carrolla instrument przetransportowano na placówkę przy pomocy słonia i pieszych tragarzy. Chociaż cała ta eskapada stała się dla części naszego personelu w Birmie źródłem sporej frustracji, to misja zakończyła się powodzeniem. W następnych miesiącach Carroll kontynuował swoją wzorową służbę, znakomicie spisując się przy wytyczaniu tras zaopatrzeniowych przez płaskowyż Szan.

Potem, w zeszłym miesiącu, otrzymaliśmy kolejną prośbę. Wilgoć, okazuje się, wypaczyła korpus érarda w takim stopniu, że instrument rozstroił się, a wszystkie próby nastrojenia go na miejscu zawiodły.

I tak dochodzimy do sedna tej korespondencji. W swoim liście Carroll szczególnie prosi o stroiciela, którego specjalnością są fortepiany Érarda. Mimo naszych sugestii, że być może istnieją jakieś prostsze sposoby naprawienia instrumentu, major pozostał nieugięty. W końcu zgodziliśmy się, a przegląd spisu londyńskich stroicieli fortepianów pozwolił stworzyć listę kilku zręcznych rzemieślników. Jak Panu zapewne wiadomo, większość praktykujących w Pańskim zawodzie to ludzie w bardzo zaawansowanym wieku, którzy nie są w stanie podolać trudom podróży. Dokładniejsze dociekania pozwoliły stwierdzić, że odpowiednim kandydatem byłby Pan lub pan Claude Hastings z Poultry Street w City. Ponieważ wymienia się Pana jako znawcę fortepianów Érarda, uznaliśmy za stosowne poprosić o Pańską pomoc. Jeśli Pan odmówi, skontaktujemy się z panem Hastingsem. Za trzymiesięczną służbę Korona gotowa jest wynagrodzić Pana jak za roczną pracę.

Panie Drake, Pańskie umiejętności i doświadczenie rekomendują Pana do tej nadzwyczaj ważnej misji. Łaskawie prosimy Pana, by możliwie jak najszybciej skontaktował się Pan z naszym Ministerstwem w celu omówienia tej sprawy.

Z wyrazami szacunku pułkownik George Fitzgerald

Zastępca Szefa Wydziału Operacyjnego do spraw Birmy i Indii Wschodnich

Było późne popołudnie. Promienie słoneczne, które wpadały przez małe okno, oświetlały pomieszczenie wypełnione ramami fortepianów. Edgar Drake, stroiciel, specjalista od instrumentów Érarda, odłożył list na biurko. Fortepian z 1840 roku to piękny instrument, pomyślał, po czym delikatnie złożył pismo i wsunął je do kieszeni płaszcza. Ale Birma jest daleko.

1

Było popołudnie. W gabinecie pułkownika Killiana, szefa Wydziału Operacyjnego do spraw Birmy armii brytyjskiej, Edgar Drake siedział obok dwóch ciemnych, grzechoczących rur grzewczych i wyglądał przez okno, obserwując strugi deszczu. Miejsce naprzeciwko zajmował pułkownik, barczysty, spalony przez słońce mężczyzna o gęstych rudych włosach. Obfite wąsy tego samego koloru, przyczesane w symetryczny wachlarz, podkreślały srogość zielonych oczu. Za jego biurkiem wisiała długa lanca plemienia Bantu i malowana tarcza, na której wciąż widniały ślady walki.

Pułkownik miał na sobie szkarłatny mundur oblamowany galonami z czarnego moheru. Edgar będzie je pamiętał, gdyż przypominały tygrysie pręgi, a szkarłat czynił zielone oczy wojskowego jeszcze zieleńszymi.

Od wejścia pułkownika minęło kilka minut. W tym czasie przysunął fotel do mocno wypolerowanego mahoniowego biurka i zaczął przebierać w stosie dokumentów. W końcu podniósł wzrok. Spoza wąsów oficera dobył się stentorowy baryton.

- Dziękuję, że zechciał pan zaczekać, panie Drake. Musiałem się zająć pewną pilną sprawą.

Stroiciel odwrócił się od okna.

- Rozumiem, panie pułkowniku - powiedział, przesuwając palcami po rondzie kapelusza, który trzymał na kolanach.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, możemy szybko przejść do rzeczy. -

Mówiąc to, wojskowy pochylił się. - Witam ponownie w Ministerstwie Wojny. Przypuszczam, że to pierwsza pańska wizyta w tym miejscu. - I nie zostawiając stroicielowi czasu na odpowiedź, ciągnął: - W imieniu swojego personelu i przełożonych wyrażam uznanie za poświęcenie przez pana uwagi temu, co uważamy za kwestię najwyższej wagi. Przygotowaliśmy wprowadzenie dotyczące tła tej sprawy.

Jeśli pan się zgodzi, to sądzę, iż najlepiej będzie, gdy najpierw je panu odczytam.

Potem będziemy mogli omówić wszelkie wątpliwości, jakie mogą się panu nasunąć po zapoznaniu się ze szczegółami. Mówiąc to, położył dłoń na stosie dokumentów.

- Dziękuję, panie pułkowniku - odparł cicho stroiciel. - Muszę przyznać, że byłem bardzo zaskoczony waszą prośbą. Jest absolutnie niezwykła.

Wąsy pułkownika zafalowały.

- Istotnie, bardzo niezwykła, panie Drake, i w związku z tym mamy wiele do omówienia. Może to jeszcze do pana nie dotarło, ale zlecenie dotyczy tyleż człowieka, co fortepianu. Zacznę więc od samego majora Carrolla.

Stroiciel skinął głową.

Wąsy zafalowały ponownie.

- Nie będę pana zanudzał szczegółami z młodości Carrolla. Prawdę mówiąc, jego przeszłość jest nieco tajemnicza i niewiele o niej wiemy. Urodził się w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku w rodzinie irlandzkiej jako syn pana Thomasa

Carrolla, nauczyciela literatury greckiej w szkole z internatem w Oxfordshire.

Chociaż

Carrollowie nie byli nigdy bogaci, edukacyjne ambicje ojca musiały przejść na syna, który skończył szkołę jako prymus, po czym opuścił dom i podjął studia medyczne w

University College Hospital w Londynie. Uzyskawszy dyplom, Anthony Carroll

zamiast otworzyć prywatny gabinet, do czego skłaniała się większość absolwentów, podjął starania o posadę w prowincjonalnym szpitalu dla ubogich. Niewiele wiemy na temat ówczesnego życia Carrolla poza tym, że przez pięć lat przebywał na prowincji.

W tym czasie poślubił miejscową dziewczynę. Małżeństwo nie trwało długo. Jego żona wraz z dzieckiem zmarła podczas porodu, a Carroll nie ożenił się ponownie.

Pułkownik odchrząknął, podniósł kolejny dokument i mówił dalej.

- Po śmierci żony Carroll wrócił do Londynu, gdzie w czasie epidemii cholery złożył podanie o posadę lekarza w przytułku na East Endzie. Pracował tam tylko dwa lata. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku uzyskał patent oficerski i został chirurgiem Wojskowej Służby Medycznej.

Od tej pory wiemy o nim więcej. Carrolla przydzielono do dwudziestego ósmego pułku piechoty w Bristolu, ale zaledwie po czterech miesiącach od zaciągnięcia się do wojska major wystąpił o przeniesienie do służby w koloniach.

Prośba została bezzwłocznie spełniona i mianowano go zastępcą szefa szpitala wojskowego w Saharanpur, w Indiach. Tam zdobył sobie wkrótce reputację nie tylko świetnego lekarza, ale i po trosze awanturnika. Często towarzyszył ekspedycjom do

Pendżabu i Kaszmiru, wyprawom, które narażały go na niebezpieczeństwo zarówno ze strony miejscowych plemion jak i rosyjskich agentów; jest to problem, z którym mamy do czynienia cały czas, gdyż car próbuje przeciwdziałać powiększaniu się naszych zdobyczy terytorialnych. W

Saharanpur Carroll zyskał także sławę erudyty, chociaż nic nie wskazywało na to, by w przyszłości miał objawić, no cóż, powiedzmy zapał, który zaowocował prośbą o dostarczenie fortepianu. Kilku przełożonych informowało, że doktor Carroll unikał uczestniczenia w obchodach lekarskich i widziano go, jak czytał poezję w szpitalnych ogrodach. Takie postępowanie było tolerowane, acz

niechętnie, po tym, gdy Carroll publicznie wyrecytował wiersz Shelleya, Ozymandiasa, jak sądzę, jednemu z miejscowych wodzów, którego leczono w szpitalu. Człowiek ten podpisał już traktat o współpracy, ale nie zgodził się oddać pod naszą komendę żadnych oddziałów. W tydzień po zakończeniu rekonwalescencji wrócił do szpitala i poprosił o widzenie z Carrollem, który nie był wszak oficerem liniowym. Wódz przyprowadził ze sobą trzystuosobowy oddział, „żeby służył poecie żołnierzowi”, to jego słowa, nie nasze, panie Drake.

Pułkownik podniósł wzrok. Wydało mu się, że na twarzy stroiciela fortepianów dostrzegł lekki uśmiech.

- Szczególna historia, wiem.

- To piękny wiersz.

- Owszem, chociaż przyznaję, że cały epizod był może troszkę niefortunny.

- Jak to?

- Wybiegamy tutaj zanedo w przyszłość, panie Drake, ale jestem zdania, że cała ta sprawa z érardem ma coś wspólnego z „żołnierzem”, który w większym stopniu usiłuje stać się „poetą”. Fortepian, przyznaję, to tylko moja opinia, przedstawia - jak to najlepiej ująć? - nielogiczne rozszerzenie tej strategii. Jeśli doktor Carroll żywi szczere przekonanie, że prezentacja muzyki w takim miejscu może przyspieszyć zaprowadzenie pokoju, pozostaje mieć nadzieję, że sprowadzi tam dosyć strzelców, by go bronić.

Stroiciel milczał, natomiast pułkownik poprawił się w fotelu.

- Przyzna pan, panie Drake, że wywarcie wrażenia na lokalnym wodzu recytacją poezji to jedna sprawa, a prośba, żeby przetransportować fortepian do najodleglejszego z naszych fortów, to zupełnie inna kwestia.

- Niewiele wiem o wojskowości - powiedział Edgar Drake.

Pułkownik zerknął na niego, po czym wrócił do papierów. To nie jest człowiek, który by sprostał klimatowi i wyzwaniom Birmy, pomyślał. Wysoki, szczupły mężczyzna o prostych, siwiejących włosach, luźno zwisających nad okularami

w drucianej oprawie, wyglądał bardziej jak nauczyciel, a nie ktoś zdolny podjąć wojskowym obowiązkom. Wyglądał starzej niż na swoje czterdzieści jeden lat; brwi miał ciemne, a policzki obramowane miękkimi bokobrodami. W kącikach jasnych oczu widać było zmarszczki, chociaż nie takie, zauważył pułkownik, jak u człowieka, który się często uśmiecha. Miał na sobie sztruksową marynarkę, muszkę i znoszone wełniane spodnie. Wszystko to sprawiałoby przygnębiające wrażenie, pomyślał oficer, gdyby nie niezwykle pełne jak na Anglika wargi, zastygłe w grymasie wyrażającym ni to oszołomienie, ni lekkie zaskoczenie, i zmiękczające rysy jego twarzy w sposób, który drażnił. Pułkownik zauważył także dłonie stroiciela, które tamten masował nieustannie; ich nadgarstki gubiły się w otchłaniach rękawów marynarki. To nie były dłonie, do jakich był przyzwyczajony; zbyt delikatne jak na mężczyznę, chociaż kiedy się przywitali, pułkownik poczuł, że są szorstkie i silne, jakby poruszały je kryjące się pod zgrubiałą skórą druty.

Przeniósł wzrok z powrotem na dokumenty.

- W każdym razie Carroll pozostał w Saharanpur pięć lat. W tym czasie odbył nie mniej niż siedemnaście ekspedycji i spędził więcej czasu w terenie niż na swoim stanowisku.

Odczytując tytuły, pułkownik zaczął przerzucać raporty dotyczące wypraw, którym towarzyszył lekarz. Wrzesień 1866 - Pomiary w celu wytyczenia trasy kolejowej wzdłuż górnego biegu rzeki Sutlej. Grudzień - Wyprawa kartograficzna korpusu hydrologów do Pendżabu. Luty 1867 - Raport na temat porodów oraz chorób położniczych we wschodnim Afganistanie. Maj - Choroby zakaźne zwierząt hodowlanych i płynące z nich zagrożenia dla ludności w górach Kaszmiru. Wrzesień - Wyprawa Towarzystwa Królewskiego w celu zbadania górskiej flory w Sikkimie.

Zdawało się, że oficer czuje się zmuszony wymienić wszystkie tytuły, co robił, wstrzymując oddech; w związku z tym żyły na karku nabrzmiały mu tak, że same bardzo przypominały góry w Kaszmirze - a przynajmniej tak pomyślał

Edgar Drake, który nigdy tam nie był ani nie studiował ich geografii, ale za to coraz bardziej niecierpliwił się ze względu na wyraźny brak w tej historii choćby wzmianki na temat fortepianu.

- Pod koniec tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku - kontynuował pułkownik - zastępca szefa naszego szpitala wojskowego w Rangunie, wtedy jedyne większego szpitala w Birmie, zmarł nagle na dyzenterię. Na jego miejsce szef medyczny z Kalkuty zarekomendował Carrolla, który przybył do Rangunu w lutym sześćdziesiątego dziewiątego roku. Służył tam trzy lata, a ponieważ jego zajęcia miały głównie medyczny charakter, posiadamy jedynie kilka raportów na temat jego działań. Wszystkie dowody świadczą, że był bardzo zajęty pracą w szpitalu.

Pułkownik przesunął teczkę po biurku.

- To jest zdjęcie Carrolla zrobione w Bengalu.

Edgar odczekał chwilę, a potem zrozumiał, że powinien wstać, żeby je obejrzeć; pochylił się i upuścił przy tym kapelusz na podłogę.

- Przepraszam - mruknął, chwycił nakrycie głowy, a potem skoroszyt, i wrócił na krzesło.

Otworzył teczkę na kolanach. Wewnątrz znajdowało się włożone do góry nogami zdjęcie. Obrócił je żywo. Przedstawiało wysokiego, pewnego siebie mężczyznę z ciemnymi wąsami i porządnie uczesanymi włosami, ubranego w mundur, stojącego nad łóżkiem pacjenta, człowieka o ciemniejszej karnacji, prawdopodobnie Hindusa.

W tle widać było inne łóżka i innych pacjentów. Szpital, pomyślał Edgar, i powrócił spojrzeniem ku twarzy lekarza. Niewiele mógł wyczytać z jej wyrazu.

Była rozmazana, jakby doktor znajdował się w nieustannym ruchu, chociaż postaci wszystkich pacjentów dziwnym zrzędzeniem losu rysowały się ostro.

Edgar patrzył, starając się dopasować człowieka do usłyszonej historii, ale zdjęcie niewiele ujawniało. Podniósł się i odłożył je na biurko pułkownika.

- W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku Carroll poprosił o

przeniesienie na odleglejszą placówkę w środkowej Birmie. Ponieważ był to okres wzmożonej działalności Birmańczyków w dolinie rzeki Irawadi, na południe od Mandalaju, prośba majora została przyjęta. Na nowym posterunku, podobnie jak w

Indu, Carroll uczestniczył w licznych wyprawach badawczych, penetrujących często południe Wzgórz Szan. Chociaż nie wiadomo dokładnie jak - biorąc pod uwagę jego liczne zajęcia - jednak w jakiś sposób znalazł czas, żeby niemal doskonale opanować język szkański. Jedni twierdzą, że nauczył się go od miejscowego mnicha, inni, że od kochanki. Mnisi czy kochanki, w siedemdziesiątym trzecim roku otrzymaliśmy fatalną wiadomość, że Birmańczycy, po dziesięcioleciach infiltracji, podpisali układ handlowy z Francją. Mógł pan o tym słyszeć, gazety rozpisywały się na ten temat. Chociaż wojska francuskie stały nadal w Indochinach i nie posuwały się za Mekong, traktat był oczywistą i nadzwyczaj niebezpieczną zapowiedzią przyszłej współpracy francuskobirmańskiej i otwartego zagrożenia dla Indu. Natychmiast zaczęliśmy gwałtowne przygotowania do zajęcia stanów Górnej Birmy. Wielu szkańskich książąt okazało zadawnioną niechęć do birmańskiego tronu i... - pułkownik zawiesił głos, gdyż monolog pozbawił go tchu. - Słucha pan, panie Drake?

Edgar odwrócił się, zakłopotany.

- Tak... tak, oczywiście.

- Więc dobrze, będę kontynuował... - pułkownik spojrział na papiery. Siedzący po drugiej stronie biurka stroiciel odezwał się z wahaniem.

- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, to jest niezwykle złożona i interesująca opowieść, ale muszę przyznać, że nie pojmuję, do czego potrzebna jest panu moja ekspertyza... Rozumiem, że to jest sposób, w jaki zwykł pan dokonywać wprowadzenia, ale czy mogę przeszkodzić panu pytaniem?

- Tak, panie Drake?

- No cóż... mówiąc całkiem szczerze, czekam, żeby usłyszeć, co się stało z fortepianem.

- Słucham?

- Fortepian. Skontaktowano się ze mną, ponieważ Ministerstwo chce mnie wynająć do nastrojenia fortepianu. Pańska relacja jest bardzo wyczerpująca w odniesieniu do człowieka, ale nie sądzę, żeby tego dotyczyło moje zlecenie. Twarz pułkownika poczerwieniała.

- Jak oświadczyłem na początku, panie Drake, żywię naprawdę szczerze przekonanie, że to tło jest ważne.

- Zgadza się, sir, ale nie wiem, co się stało z fortepianem, ani nawet, czy mogę go naprawić. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

- Tak, tak. Oczywiście, że rozumiem - szczęki pułkownika stężały.

Był gotów mówić o odwrocie rezydenta z Mandalaju w 1879 roku, o bitwie pod Mymgyan i o oblężeniu garnizonu w Maymyo, co było jedną z jego ulubionych opowieści. Milczał.

Edgar patrzył na swoje dłonie.

- Przepraszam; proszę, proszę, niech pan mówi dalej - powiedział stroiciel. - Chodzi tylko o to, że niebawem będę musiał pana pożegnać, gdyż mam spory kawałek do domu, a naprawdę bardzo interesuje mnie sprawa fortepianu.

Chociaż pułkownik onieśmiał go, Edgar delectował się w duchu tym, że zdobył się na ten krótki wtwór. Nigdy nie przepadał za wojskowymi, za to coraz bardziej i bardziej zaczynał lubić Carrolla. Prawdę mówiąc, chciał poznać szczegóły całej historii, ale było prawie ciemno, a oficer nie dawał żadnych oznak, że rychło skończy. Pułkownik wrócił do swoich papierów.

- Dobrze, panie Drake. Będę się streszczał. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku zaczęliśmy zakładać na terytoriach Szan wysunięte placówki, jedną w pobliżu Sipaw, drugą pod Taunggyi, a kolejną, tę najbardziej oddaloną, w małej wiosce zwanej Mae Lwin, na brzegu rzeki Saluin. Nie znajdzie pan Mae Lwin na żadnej mapie i póki nie przyjmie pan zlecenia, nie mogę panu

powiedzieć, gdzie ona leży. Tam posłaliśmy Carrola.

W pokoju poszarzało i pułkownik zapalił małą lampę na biurku. Światło migotało, rzucając na kości policzkowe wojskowego cień jego wąsów. Oficer przyjrzał się uważnie stroicielowi. Sprawia wrażenie zniecierpliwionego, pomyślał, po czym wziął głęboki oddech.

- Panie Drake, żeby nie zatrzymywać pana zbyt długo, zaoszczędzę panu wielu szczegółów z dwunastu lat spędzonych przez Carrola w Mae Lwin. Jeśli przyjmie pan zlecenie, możemy porozmawiać szerzej, a ja dostarczę panu raporty wojskowe. Jeśli, oczywiście, nie chce pan wysłuchać tego teraz.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym usłyszeć o fortepianie.

- Tak, oczywiście, fortepian - pułkownik westchnął. - Co chciałby pan wiedzieć? Jestem przekonany, że większość szczegółów poznał pan z listu pułkownika Fitzgeralda.

- Tak, Carroll poprosił o fortepian. Wojsko kupiło érarda z tysiąc osiemset czterdziestego roku i wysłało go statkiem. Mógłby mi pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

- Doprawdy nie potrafię. Nie przychodzi nam do głowy nic innego niż to, że chciał otrzymać fortepian, mając nadzieję na powtórzenie sukcesu, jaki odniósł, recytując Shelleya.

- Powód? - stroiciel roześmiał się; był to dziwnie głęboki dźwięk, który nieoczekiwanie wydobył się ze szczupłego ciała. - Ileż razy zadaję to samo pytanie wielu moim klientom. Co pan powie o damie z towarzystwa, która nie odróżnia

Haendla od Haydna, a nabywa broadwooda z tysiąc osiemset dwudziestego roku i prosi o strojenie go co tydzień, chociaż nikt nigdy na nim nie gra? Lub jak wyjaśnić postępowanie sędziego hrabstwa, który upiera się, by jego instrument był przestrajany co dwa miesiące, działanie całkowicie zbędne, mógłbym dodać, chociaż cudownie wpływające na stan moich interesów, jednak ten sam człowiek odmawia wydania zezwolenia na przeprowadzenie dorocznego

publicznego konkursu pianistycznego? Proszę mi wybaczyć, ale doktor Carroll nie wydaje się taki dziwaczny.

Słyszał pan kiedykolwiek Fantazje Bacha, sir?

- Tak sądzę... - pułkownik zająknął się. - Z pewnością musiałem słyszeć, ale bez obrazu, panie Drake, nie wiem, co to ma wspólnego z...

- Dla mnie myśl o spędzeniu w dżungli ośmiu lat bez muzyki Bacha jest przerażająca - Edgar przerwał, a potem dodał: - Brzmi najpiękniej na énardzie z tysiąc osiemset czterdziestego roku.

- To możliwe, ale nasi żołnierze nadal walczą.

Edgar Drake wziął głęboki oddech. Nagle poczuł, że serce bije mu szybciej.

- Przepraszam, nie chcę, żeby moje uwagi wydały się aroganckie. W istocie z każdą chwilą pańska opowieść wciągała mnie coraz bardziej, ale czuję się zakłopotany. Jeśli pan tak potępia naszego pianistę, pułkownika, to z jakiego powodu się tutaj znalazłem? Pan jest bardzo ważną osobą; to rzadkie, żeby oficer pańskiej rangi spędzał kilka godzin na rozmowie z cywilem; nawet ja to wiem. Wiem także, że pomijając już koszt nabycia fortepianu, Ministerstwo Wojny musiało zapłacić olbrzymią kwotę za transport instrumentu do Birmy. Poza tym proponujecie mi hojne wynagrodzenie, cóż, sprawiedliwie moim zdaniem, ale z obiektywnego punktu widzenia bardzo hojne. Pan jednak zdaje się być nieprzychylnie ustosunkowany do mojego zlecenia.

Pułkownik odchylił się w fotelu i skrzyżował ramiona na piersi.

- Bardzo dobrze. Ważne, że to omawiamy. Otwarcie okazuję swoją dezaprobatę, chociaż proszę nie brać tego za brak szacunku. Major jest nadzwyczaj pożytecznym żołnierzem, możliwe, że niezwykle ciałowikiem i nie można go zastąpić. W tym Ministerstwie są pewne bardzo wysoko postawione osoby, które wielce interesują się jego działaniami.

- Ale nie pan.

- Są ludzie, którzy zagubili się w retoryce dotyczącej losu naszego Imperium i twierdzą, że dokonujemy podbojów nie po to, żeby zdobywać nowe tereny i

bogactwa, ale by szerzyć kulturę i cywilizację. Nie przeczę temu, ale to nie jest obowiązek

Ministerstwa Wojny.

- A jednak wspieracie Carrolla.

Pułkownik zawahał się.

- Jeśli mówię bez ogródek, panie Drake, to dlatego, że jest ważne, by zrozumiał pan położenie Ministerstwa Wojny. W stanach Szan panuje anarchia. Z

wyjątkiem

Mae Lwin. Carroll sformował więcej niż kilka batalionów. Jest nieodzowny i dowodzi jednym z najbardziej zagrożonych i najważniejszych posterunków w naszych koloniach. Stany Szan są istotne dla bezpieczeństwa naszej wschodniej granicy; jeśli je utracimy, grozi nam inwazja - francuska lub nawet syjamska.

Jeżeli fortepian jest ustępstwem, na jakie musimy się zdobyć, żeby zatrzymać Carrolla na placówce, to jest to niska cena. Ale jego posterunek jest obozem wojskowym, a nie salonem muzycznym. Mamy nadzieję, że kiedy fortepian zostanie nastrojony, Carroll wróci do swojej pracy. To ważne, żeby pan to zrozumiał, żeby pan pojął, że my, a nie major

Carroll, wynajmujemy pana. I jego idee mogą być... kuszące.

Nie ufa mu pan, pomyślał Edgar, a powiedział:

- Zatem zwykła koncesja, jak na papierosy.

- Nie, to coś innego, myślę, że pan rozumie.

- Nie powinienem więc twierdzić, że to z powodu fortepianu Carroll jest niezastąpiony?

- Dowiemy się, kiedy instrument zostanie nastrojony. Prawda, panie Drake?

W odpowiedzi na te słowa Edgar uśmiechnął się.

- Możliwe.

Pułkownik pochylił się.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Tylko jedno.

- Tak, o co chodzi?

Edgar spojrział na swoje dłonie.

- Przepraszam, panie pułkowniku, ale co dokładnie stało się z fortepianem?

Oficer wytrzeszczył oczy.

- Sądzę, że to omawialiśmy.

Stroiciel wziął głęboki oddech.

- Z całym należnym szacunkiem, sir, rozmawialiśmy o tym, co pańskim zdaniem stało się z fortepianem, ja zaś chcę wiedzieć, co stało się z érardem z tysiąc osiemset czterdziestego roku, który tkwi gdzieś w dżungli daleko stąd, dokąd chce pan mnie wysłać. Od pańskiego ministerstwa usłyszałem niewiele o instrumencie, pomijając fakt, że jest rozstrojony, co, mogę dodać, nastąpiło na skutek spęczenia płyty rezonansowej, a nie korpusu, jak wspomnieliście w swoim liście. Oczywiście jestem zdumiony, że nie przewidzieliście tego, iż fortepian się rozstroi. Wilgoć dokonuje strasznych spustoszeń.

- Panie Drake, zrobiliśmy to dla Carrolla. Takie filozoficzne pytania będzie pan musiał zadać mu osobiście.

- Mogę zatem zapytać, co wymaga naprawy?

Pułkownik kaszlnął.

- Takie szczegóły nie zostały nam przekazane.

- Musiał do kogoś napisać o fortepianie.

- Mamy tylko jedną notatkę, dziwną i niezwykle zwięzłą jak na doktora, człowieka zazwyczaj elokwentnego, która sprawiła, że podchodziliśmy do jego prośby z pewnym niedowierzaniem, póki Carroll nie zagroził złożeniem rezygnacji.

- Mogę ją przeczytać?

Pułkownik zawahał się, a potem podał stroicielowi skrawek brązowego papieru:

- To papier z Szan - wyjaśnił. - Podobno plemię słynie z jego wyrobu. Trochę to zastanawiające, gdyż wcześniej doktor nie używał tego papieru do prowadzenia korespondencji.

Papier był miękki, ręcznie robiony, matowy i z widocznymi włóknami, zapisany ciemnym atramentem.

Szanowni Panowie, fortepian Érarda nie nadaje się już do gry i musi zostać nastrojony i naprawiony; jest to zadanie, którego się podjąłem, ale nie podołałem mu. W Mae

Lwin potrzebny jest pilnie stroiciel, którego specjalnością są érardy. Ufam, że to nie powinno być trudne. Znacznie łatwiej jest dostarczyć człowieka niż fortepian. major lekarz

Anthony J. Carroll, Mae Lwin, stany Szan

Edgar uniósł wzrok.

- To mało, by uzasadnić wysłanie człowieka na drugi koniec świata.

- Panie Drake - odezwał się pułkownik - jako stroiciel fortepianów Érarda cieszy się pan doskonałą reputacją pośród londyńczyków, którzy interesują się muzyką. Przewidujemy, że cała podróż od momentu, gdy opuści pan Anglię, do chwili pańskiego powrotu, nie potrwa dłużej niż trzy miesiące. Jak pan wie, zostanie pan hojnie wynagrodzony.

- I muszę jechać sam.

- Pańskiej żonie nie będzie niczego brakowało.

Stroiciel wyprostował się na krześle.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Nie, sądzę, że rozumiem - powiedział cicho, jakby mówił wyłącznie do siebie.

Pułkownik odłożył dokumenty i pochylił się.

- Pojedzie pan do Mae Lwin?

Edgar Drake odwrócił się do okna. Był zmierzch i wiatr bawił się spadającymi kroplami, tworząc zagmatwane crescendo i diminuenda deszczu. Zdecydowałem na długo przed tym, zanim tu przyszedłem, pomyślał.

Odwrócił się do oficera i skinął głową.

Uścisnęli sobie dłonie. Kilhan uparł się, by zaprowadzić Drake'a do gabinetu pułkownika Fitzgeralda, któremu przekazał nowiny. Padły kolejne słowa, ale

stroiciel już dłużej nie słuchał. Zdawało mu się, że śni; realność decyzji nadal unosiła się nad nim. Czuł, że powtarza skinienie głowy, jakby starał się uczynić swoją decyzję rzeczywistą, a tymczasem chciał pogodzić znikomością ruchu z doniosłością tego, co on oznaczał.

Trzeba było podpisać dokumenty, ustalić dary i uporządkować kopie, które Edgar miał „przeczytać w przyszłości”. Major Carroll, wyjaśnił Killian, prosił, by

Ministerstwo Wojny dostarczyło stroicielowi wprowadzające lektury: z zakresu historii, antropologii, geologii i historii naturalnej.

- Nie zawracałbym panu zbytnio głowy tym wszystkim, ale doktor prosił, żeby to panu przekazać - wyjaśnił. - Sądzę, że powiedziałem panu wszystko, co naprawdę musi pan wiedzieć.

Kiedy Edgar wyszedł, zdanie z listu Carrolla podążyło za nim jak wąła smuga dymu tytoniowego płynąca z salonu, w którym odbywał się koncert. Znacznie łatwiej jest dostarczyć człowieka niż fortepian. Pomyślał, że polubi tego lekarza; nieczęsto zdarzają się takie poetyczne słowa w listach wojskowych. A Edgar Drake miał wiele szacunku dla tych, którzy w obowiązku odnajdują poezję.

2

Gdy Edgar opuścił Ministerstwo Wojny, wzdłuż Pall Mall płynęła gęsta mgła. Podążał za dwójką chłopców z pochodniami przez tuman tak gęsty, iż wydawało się, że dzieci zakutane w grube łachmany uwolnione są od dłoni, które trzymają tańczące światła.

- Chce pan dorożkę, sir? - zapytał jeden z chłopców.

- Tak, na Fitzroy Square - powiedział, po czym zmienił zdanie. - Zaprowadźcie mnie do Embankment.

Przedzierali się przez tłumy ludzi, szli surowymi, marmurowymi korytarzami Whitehall, a potem znaleźli się na zewnątrz wśród galimatiasu powozów, wypełnionych przez czarne płaszcze i cylindry, spod których wydobywały się okraszone mieszcząnskimi akcentem rozmowy i dym cygar.

- Dziś wieczorem w jednym z klubów jest przyjęcie, sir - wyjaśnił jeden z chłopców, a Edgar skinął głową.

W otaczających ich budynkach przez wysokie okna można było zobaczyć na ścianach olejne obrazy, oświetlone zawieszonymi u wysokich stropów kandelabrami.

Znał kilka klubów; trzy lata temu stroił pleyela u Boodie'a, a u Brooksa érarda, piękny, intarsjowany instrument pochodzący z paryskiej pracowni.

Minęli grupę dobrze ubranych mężczyzn i kobiet z twarzami zarumienionymi od zimna i brandy; wąsaci mężczyźni śmiali się, a kobiety, ściśnięte gorsetami z fiszbinów, unosiły rąbki swych sukni nad nawierzchnią ulicy błyszczącą od deszczu i końskiego nawozu. Po drugiej stronie czekał na nich pusty powóz, a stary Hindus w turbanie stał już przy drzwiczkach. Edgar odwrócił się.

Prawdopodobnie widział to, co ja dopiero zobaczę, pomyślał, i stłumił w sobie pragnienie odezwania się do tego człowieka. Grupka mężczyzn i kobiet rozdzieliła się, omijając Drake'a, który potknął się, straciwszy z pola widzenia chłopców z pochodniami.

- Uważaj, jak chodzisz, chłopie! - ryknął jeden z mężczyzn, a któraś z kobiet dorzuciła. - Ci pijacy!

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem, a Edgar dostrzegł, że oczy starego Hindusa rozbłysły i tylko skromność powstrzymywała go od pójścia w ślady jego pasażerów.

Chłopcy czekali przed niskim murem, który biegł wzdłuż Embankment.

- Dokąd, sir?

- Wystarczy, dziękuję wam - powiedział i pstryknięciem posłał w ich stronę monetę.

Obaj podskoczyli do niej, ale upadła, odbiła się od nierówności bruku i zniknęła w kracie ścieku. Chłopcy rzucili się na kolana. Masz, trzymaj pochodnie. Nie, ty je weź, nigdy się ze mną nie dzielisz. To ty się nigdy nie dzielisz, to moje, ja z nim gadałem... Zakłopotany, wyłowił z kieszeni dwie następne monety.

- Macie, przepraszam, weźcie je.

Odszedł, a chłopcy pozostali, spierając się nad kratą. Niebawem widział już tylko światło ich pochodni. Przystanął i spojrzął na Tamizę.

Znad wody dobiegły go odgłosy ruchu. Może przewoźnicy; zastanowił się, dokąd płyną lub skąd wracają. Pomyślał o innej rzece, odległej, o dopiero co poznanej nazwie wymawianej tak, jakby trzecia sylaba, cicha i ukryta, brzmiała jak coś pośredniego między „i” i „ji”. Salum. Wypowiedział ją szeptem, a następnie, zażenowany, odwrócił się szybko, by sprawdzić, czy jest sam.

Słuchał odgłosu ludzi i plusku fal o nabrzeże. Mgła nad rzeką przerzedziła się.

Noc była bezksiężycowa i tylko dzięki światłu latarni kołyszących się na holownikach widział niewyraźną linię brzegu i ogromne, ciężkie budowle, które tłoczyły się nad rzeką. Jak zwierzęta przy wodopoju, stwierdził, i spodobało mu się to porównanie. Muszę powiedzieć

Katherine. Potem pomyślał: jestem spóźniony.

Ruszył przed siebie wzdłuż Embankment, minął grupę włóczęgów, trzech mężczyzn w łachmanach, zgromadzonych wokół małego ogniska. Obserwowali go, gdy przechodził, a on z zakłopotaniem skinął im głową. Jeden z włóczęgów podniósł wzrok i ukazał w szerokim uśmiechu połamane zęby.

- D' dzień t'bie, k'ptanie - zachrypiał londyńską gwarą głos zniszczony whisky. Pozostali milczeli, odwrócenii do ognia.

Drake przeszedł ulicę i zostawił za sobą rzekę; przecisnął się przez ciżbę, która zebrała się przed Metropolem, i podążył przed siebie Northumberland Avenue do

Trafalgar Square, gdzie tłumy kłębiły się wokół powozów i omnibusów, gdzie policjanci na próżno starali się kierować ruchem, gdzie konduktorzy krzyczeli na pasażerów, gdzie trzaskały baty i srały konie, gdzie wznosiły się tablice reklamowe, głosząc:

GORSETY SWANBILLA DLA TRZECIEGO TYPU FIGURY

CYGARA DE JOY: JEDNO CYGARO PRZYNOŚI

NATYCHMIASTOWA ULGĘ W NAJGORSZYM ATAKU
ASTMY, KASZLU, BRONCHITU I ZADYSZKI
- PIWA CHMIELOWE PIWA CHMIELOWE
W TO BOŻE NARODZENIE, GDY ZABRZMIĄ
KOŚCIELNE DZWONY, DAJ SOBIE PREZENT NA CZASIE
- ZNAKOMITE ZEGARKI ROBINSONA NA REKE

Przystanął w blasku fontann otaczających pomnik Nelsona i przyglądał się katarzyniarzowi, Włochowi ze skrzeczącą małpką w napoleońskim kapeluszu, która skakała wokół instrumentu i wymachiwała łapkami, podczas gdy jej pan obracał korbą katarzyny. Obok klaskała grupa chłopców - ci od pochodni, kominiarczycy, zbieracze szmat i dzieci straganiarzy. Podszedł policjant, wywijając pałką.

- Jazda do domu, i to już, a ty zabieraj stąd to brudne zwierzę. Graj w Lambeth, tutaj jest miejsce dla dżentelmenów.

Tłumek, szemrząc, rozszedł się wolno. Edgar odwrócił głowę. Inna gigantyczna małpa szczyrzyła się i iskała w ozdobionym klejnotami lustrze: MYDŁO BROOKE'A

MARKI MAŁPA: BRAKUJĄCE OGNIWO W CZYSTOŚCI
GOSPODARSTWA

DOMOWEGO. Tablica przesunęła się na boku omnibusu. Pomocnik konduktora nawoływał pasażerów, Fitzroy Square, szybciej na Fitzroy Square. To w kierunku domu, pomyślał Edgar Drake, śledząc wzrokiem odjeżdżający omnibus.

Edgar opuścił plac i przepchnął się przez pogrążony w mroku wir handlarzy i powozów, po czym ruszył Cockspur Street, aż ulica zwężyła się lejkowato i wpłynęła w zgiełk Haymarket; trzymał teraz ręce głęboko w kieszeniach marynarki, żałując, że nie wsiadł do omnibusu. U wylotu ulicy budynki stały bliżej siebie, i gdy wszedł w Narrows, zrobiło się ciemniej.

Szedł, nie wiedząc dokładnie, gdzie jest, świadom jedynie ogólnego kierunku, w którym zmierzał, mijając ciemne ceglane budynki i tracące barwy tarasy, spieszące do domów samotne postaci, cienie, półmrok i błyski światła w ukrytych wąskich kałużach, biegnących jak żyły między kocimi łbami; przeszedł pod ociekającymi dachami mansard i sterczącą samotnie latarnią zasnutą pajęczynami, która migotała i rzucała ich powiększone, zniekształcone cienie. Szedł dalej ciemnymi, zwążającymi się ulicami, skulił ramiona, ponieważ było zimno i ponieważ miał wrażenie, że otaczające go budynki także pochylają się do siebie.

Narrows otworzyła się w Oxford Street, trotuar pojaśniał i stał się znajomy. Edgar minął Oxford Music Hall i skręcił w Newman, następnie w Cleveland, a wreszcie w Howland Street, jedna, dwie przecznice, potem w prawo, w mniejszy zaułek tak wąski, że został pominięty, głównie ku zmartwieniu jego mieszkańców, na najnowszym planie Londynu.

Franklin Mews 14 to czwarty dom przy spadzistej ulicy, typowy ceglany budynek, taki sam jak dom pana Lillypenny, sprzedawcy kwiatów, który mieszkał pod numerem 12, i jak dom pana BennettEdwarda, tapicera spod numeru 16; każdy budynek miał z sąsiednim wspólną ścianę i każdy miał ceglana fasadę. Przestrzeń między nią, a oddzielonym przez żelazną bramę trotuarem spinała krótka dróżka.

Drzwi frontowe znajdowały się na poziomie ulicy. Metalowe schody obok wejścia prowadziły do suterenu, w której Egdar miał swój warsztat. Ogrodzenie i okna ozdabiały doniczki. W części z nich, pomimo chłodu jesieni, rosły blednące chryzantemy. Inne doniczki były puste, na wpół wypełnione ziemią i pokryte wilgotną mgiełką, która odbijała światło migoczącej przed drzwiami latarni. To Katherine musiała zostawić ją zapaloną, pomyślał.

Stojąc przy drzwiach, gmerał w kieszeni w poszukiwaniu kluczy, z wyrachowaniem teraz usiłując opóźnić wejście do domu. Spojrzał za siebie na ulicę.

Była ciemna. Rozmowa w Ministerstwie Wojny wydawała się odległa jak sen i pomyślał przelotnie, że być może także zblaknie jak sen, że nie może powiedzieć o niej

Katherine, jeszcze nie teraz, kiedy sam wątpi w realność niedawnych zdarzeń. Poczł mimowolny, nagły ruch głowy, ponowne skinięcie. To skinięcie jest wszystkim, co wyniosłem ze spotkania.

Otworzył drzwi i ujrzał Katherine, która czekała w salonie i czytała gazetę przy łagodnym świetle lampy. W pokoju było zimno i dlatego narzuciła na ramiona cienki szal z białej wełny. Zamknął cicho drzwi, podszedł do wieszaka i powiesił marynarkę oraz kapelusz; nie odezwał się. Nie było potrzeby anonsować fanfarami swojego późnego powrotu, lepiej wślizgnąć się cicho.

Może potem przekonam ją, że już jakiś czas byłem w domu, pomyślał, chociaż wiedział, że nie uda mu się to, tak jak był świadom, że żona już nie czyta.

Katherine wpatrywała się nadal w trzymaną w rękach gazetę. Był to „Illustrated London News”, i później powie, że czytała artykuł o przyjęciu w Metropolu; tekst opisywał grę na nowym fortepianie, chociaż nie wspominał o konstrukcji instrumentu ani tym bardziej o jego stroicielu. Przez chwilę Katherine przerzucała strony pisma.

Nic nie mówiła, była kobietą nieskazitelnie opanowaną, a zachowanie spokoju uważała za najlepszy sposób postępowania ze spóźniającymi się mężami. Wiele jej przyjaciółek było odmiennego zdania. Zbyt łagodnie z nim postępujesz, mówiły jej często, ale zbywała je wzruszeniem ramion. Wścieknę się w dniu, w którym wróci do domu, cuchnąc ginem i tanimi perfumami. Edgar spóźnia się, gdyż jest pochłonięty pracą albo zabłądził w powrotnej drodze po wykonaniu kolejnego zlecenia.

- Dobry wieczór, Katherine - powiedział.

- Dobry wieczór, Edgarze. Spóźniłeś się niemal dwie godziny.

Był przyzwyczajony do tego rytuału, do wymówek i usprawiedliwień: Wiem, kochanie, przykro mi, najdroższa, musiałem uporać się ze wszystkimi strunami,

żeby jutro móc je przestroić, albo: To ekspresowe zlecenie, lub: Płacą mi dodatkowo, albo:

Zabłądziłem w powrotnej drodze, tamten dom stoi w pobliżu Westminster, a ja wsiadłem do złego tramwaju, albo: Chciałem po prostu pograć na fortepianie, to rzadki model z tysiąc osiemset trzydziestego piątego roku, énard, przepiękny oczywiście, należy do rodziny pana Vincenzo, włoskiego tenora, albo: Należy do lady

Neville, rzadkość, tysiąc osiemset dwudziesty siódmy rok, chciałbym, żebyś także mogła tam przyjść i zagrać na nim. Jeśli kłamał, to tylko zamieniając jedną wymówkę na inną. Że to było ekspresowe zlecenie, gdy naprawdę przystanął, żeby przyglądać się ulicznym grajkom. Że wsiadł do złego tramwaju, podczas gdy pozostał dłużej, by pograć na fortepianie włoskiego tenora.

- Wiem, przepraszam, nadal pracuję dla Farrella.

I to wystarczyło; ujrzał, że złożyła „Illustrated London News”, a on z bijącym sercem prześlizgnął się przez pokój i usiadł obok żony. Ona wie, że coś jest nie tak.

Próbował ją pocałować, ale odepchnęła go, starając się ukryć uśmiech.

- Spóźniłeś się, Edgarze, przypaliłam mięso, przestań, nie myśl, że możesz przyjść, kiedy chcesz, i wynagrodzić mi to pieszczotami. - Odwróciła się od niego, a on otoczył ramionami jej kibić. - Sądziłam, że do tej pory uporasz się z tym zleceniem - powiedziała.

- Nie, fortepian jest w opłakanym stanie, a pani Farrell nalega, żebym nastroił go „koncertowo” - podniósł głos o oktawę, naśladując matronę.

Katherine roześmiała się, a on pocałował ją w kark.

- Mówi, że jej mały Roland będzie drugim Mozartem.

- Wiem, dzisiaj znowu mi to powiedziała, nawet zmusiła mnie do słuchania gry tego urwisa.

Katherine odwróciła się do męża.

- Mój ty biedaku. Nie potrafię długo złościć się na ciebie.

Edgar uśmiechnął się i rozluźnił nieco. Patrzył na żonę, gdy ta próbowała przywołać na twarz wyraz udawanej srogości. Katherine jest nadal taka śliczna, pomyślał. Jej zachwycające złote loki zblakły nieco od czasu, gdy ją poznał, ale nadal nosiła rozpuszczone włosy, które przybierały dawną barwę za każdym razem, kiedy wychodziła na słońce. Poznali się, gdy jako terminator naprawiał należące do jej rodziny pianino Broadwooda. Tani instrument nie zrobił na nim wrażenia, ale wywarły je grające na nim delikatne dłonie oraz miękkość kształtów siedzącej przy klawiaturze osoby; jej aparycja poruszała go nawet teraz. Pochylił się ku żonie i pocałował ją ponownie.

- Przestań - zaśmiała się. - Nie teraz. I uważaj na sofę, to jest nowy adamaszek. Edgar usiadł prosto. Katherine jest w dobrym nastroju, pomyślał. Być może teraz powinienem jej powiedzieć.

- Mam nowe zamówienie - rzekł.

- Musisz przeczytać ten artykuł, Edgarze. - Zona wygładziła suknię i sięgnęła po „News”.

- Erard z tysiąc osiemset czterdziestego roku. Wygląda na to, że jest w strasznym stanie. Za to zlecenie powinienem dostać sowitą zapłatę.

- Doprawdy? - Katherine wstała i podeszła do stołu.

Nie zapytała, kto jest właścicielem fortepianu ani gdzie znajduje się instrument; to nie były pytania, które padały często w ostatnich osiemnastu latach, a jedyne odpowiedzi brzmiały: starsza pani takaatka, ulica tacytamta w Londynie.

Edgar był rad, że żona o nic nie zapytała, reszta wyjdzie wkrótce na jaw; był człowiekiem cierpliwym, nie takim, co kusiłby los - działanie, o którym wiedział, że doprowadzało tylko do tego, że struny fortepianu były zbyt napięte, a żony zagniewane. Poza tym rzucił już okiem na egzemplarz „Illustrated London News”, a tam, poniżej sprawozdania z przyjęcia w Metropolu, znajdował się napisany przez oficera trzeciego pułku Gurkhów artykuł zatytułowany Okrucieństwa dakpitów. Był to krótki tekst, relacjonujący

potyczkę z bandytami, którzy splądrowali zaprzyjaźnioną z Brytyjczykami wieś, zwyczajna cena za wysiłki pacyfikacyjne w koloniach. Edgar nie zauważyłby go, gdyby nie nagłówek: „Szkice z Birmy”. Znał tę rubrykę - pojawiała się niemal co tydzień - ale nie zwracał na nią większej uwagi. Aż do teraz. Wyrwał artykuł i wetknął pismo pod stos czasopism na stoliku. Katherine nie powinna tego widzieć. Z jadalni dobiegał brzęk sztućców i rozchodził się zapach gotowanych ziemniaków.

Następnego ranka Edgar siedział przy stoliku nakrytym na dwie osoby, podczas gdy Katherine przygotowywała herbatę i tosty oraz wystawiała słoiki z masłem i dżemem. Milczał, a ona krzątała się po kuchni i wypełniała ciszę, mówiąc o nieustającym jesiennym deszczu, o polityce i o najświeższych wydarzeniach.

- Słyszałeś, Edgarze, o wczorajszym wypadku omnibusu? O przyjęciu na cześć niemieckiego barona? O młodej matce z East Endu, którą aresztowano pod zarzutem zamordowania własnych dzieci?

- Nie - odparł, lecz jego myśli błądziły rozproszone. - Nie, opowiedz mi.

- Straszne, okropne. Jej mąż, rozwoziciel węgla, o ile pamiętam, znalazł dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę, zwiniętych razem w łóżku, i powiedział o tym konstablowi, a policja aresztowała ich matkę. Biedactwo. Nieszczęsnemu ojcu nie przyszło do głowy, że to ona zrobiła; pomyśl tylko, stracić jednocześnie żonę i dzieci. A ta kobieta mówi, że dała im jedynie patentowane lekarstwo na sen. Uważam, że powinni aresztować patentowanego wytwórcę leku. Wierzę jej, a ty?

- Oczywiście, skarbie. - Podniósł filiżankę do ust i wdychał unoszącą się sponad niej parę.

- Nie słuchasz - powiedziała Katherine.

- Oczywiście, że słucham, to straszne. - I słuchał, i widział w duszy obraz trojga bladych dzieci podobnych do mysząt o nieotwartych oczach.

- Wiem, że nie powinnam czytać takich historii - stwierdziła. - Zbyt mnie niepokoją. Pomówmy o czymś innym. Skończysz dzisiaj tę pracę u Farrella?

- Nie. Sądzę, że pójdę tam pod koniec tygodnia. O dziesiątej muszę być w Mayfair, w domu członka parlamentu. Fortepian Broadwooda, nie wiem, co z nim jest nie w porządku. A przed wyjściem muszę popracować chwilę w warsztacie.

- Postaraj się wrócić punktualnie dziś wieczorem. Wiesz, że nie znoszę czekania.

- Wiem. - Wyciągnął rękę i ujął dłoń żony.

Przesadny gest, uznała, ale odegnała tę myśl.

Ich służąca, młoda dziewczyna z Whitechapel, odeszła, gdyż musiała opiekować się chorą na suchoty matką, więc Katherine wstała od stołu i udała się na górę, by sama posprzątać sypialnię. W ciągu dnia zajmowała się zwykle domem, przyjmowała zlecenia od klientów męża, umawiała jego prace na mieście oraz układała plany dotyczące spotkań towarzyskich, co było zadaniem, które Edgar, zawsze lepiej czujący się pośród strun i młotków, pozostawiał jej z największą radością. Nie mieli dzieci, choć nie dlatego, że nie próbowali. Ich małżeństwo było dosyć namiętne, co czasami nawet zdumiewało Katherine, gdy widziała, jak jej mąż snuje się z roztargnieniem po domu. Chociaż z początku ta Nieobecność Dziecka, jak to określała matka Katherine, smuciła małżonków, to w końcu przywykli do tego stanu i Katherine zastanawiała się często, czy to nie sprawiało, że byli sobie bliżsi. Poza tym zwierzała się czasami przyjaciółkom z pewną ulgą, że dość jej było Edgara, by mieć się kim opiekować.

Kiedy żona odeszła od stołu, Edgar dopił herbatę i zszedł po stromych schodach do warsztatu w piwnicy. Rzadko pracował w domu. Transportowanie fortepianu londyńskimi ulicami mogłoby się skończyć katastrofą, a wszak dużo łatwiej było zanieść wszystkie narzędzia tam, gdzie Edgar aktualnie pracował. Warsztat utrzymywał głównie w celu realizacji własnych planów. Podczas tych niewielu okazji, gdy Drake musiał przywieźć fortepian do pracowni, instrument trzeba było opuścić na linach w głąb przestrzeni pozostawionej między ulicą a domem. Sam warsztat był niewielki i niski, znajdowało się w nim mrowisko

zakurzonych ram fortepianów, narzędzia, które wisiały na ścianach i u sufitu, jak poście mięsa w jatce, blednące schematy mechanizmów instrumentów oraz przyszpilone do ścian portrety pianistów.

Wzdłuż półek ciągnęły się szeregi zbędnych klawiszy, co wyglądało jak składowisko sztucznych szczęk. Katherine nazwała to kiedyś „cementarzyskiem słoni”, a Edgar poczuł się zmuszony zapytać, czy powiedziała tak z powodu niezgrabnych klatek piersiowych wypatroszonych fortepianów, czy przypominających zwierzęcą skórę rolek filmu, a ona odparła: Jesteś nazbyt poetyczny, miałam tylko na myśli kość słoniową.

Schodząc ze stopni, niemal potknął się o oparty o ścianę niepotrzebny mechanizm. Pomijając trudności związane z transportem fortepianów, był to kolejny powód, dla którego Edgar nie przyprawdzał klientów do warsztatu. Widok otwartego instrumentu i uświadomienie sobie faktu, że coś tak mechanicznego może wydawać z siebie takie boskie dźwięki, zawsze niepokoiło nieco ludzi przyzwyczajonych do widoku wypolerowanych skrzyń ustawionych w salonach pełnych kwiatów.

Edgar podszedł do małego biurka i zapalił lampę. Paczkę wręczoną mu w Ministerstwie Wojny ukrył poprzedniej nocy pod zbutwiałą stertą drukowanych zamówień” na strojenie. Otworzył kopertę. Wewnątrz znajdowała się kopia listu wysłanego przez Fitzgeralda, mapa oraz umowa precyzująca szczegóły jego zlecenia, a także drukowany tekst omówienia przekazanego mu na prośbę doktora Carrolla.

Tytuł relacji napisany był dużymi grubymi literami: „Historia powszechna Birmy ze szczególnym uwzględnieniem wojen angielskobirmańskich i brytyjskich zaborów”.

Edgar usiadł i zaczął czytać.

Nie było to dla niego nic nowego. Znał historię wojen anglobirmańskich, konfliktów głośnych zarówno ze względu na ich krótkotrwały przebieg, jak i znaczne zdobycze terytorialne, wyrywane birmańskim królom po każdym

zwycięstwie: zajęcie przybrzeżnych stanów Arakan i Tenassenm w wyniku pierwszej wojny, Rangun i

Dolnej Birmy w rezultacie drugiej oraz Górnej Birmy i stanów Szan w następstwie trzeciej. I podczas gdy o pierwszych dwóch bataliach, które skończyły się odpowiednio w 1826 i 1853 roku, Edgar uczył się w szkole, to o trzeciej prasa pisała zaledwie w zeszłym roku, gdyż ostateczna aneksja Birmy została ogłoszona nie dalej jak w styczniu. Ale poza ogólnymi wiadomościami większość szczegółów była mu nieznana: na przykład to, że druga wojna zaczęła się z powodu porwania dwóch brytyjskich kapitanów okrętów, a trzecia miała częściowo swoje źródło w napięciach będących wynikiem odmowy zdjęcia butów przez brytyjskich wysłanników przy wejściu na audiencję u birmańskiego króla. Dalsze akapity opracowania poświęcono biografiom birmańskich władców - była to wywołująca zawrót głowy genealogia skomplikowana dodatkowo przez wielożeństwo i, co wyglądało na powszechną praktykę, przez mordowanie wszystkich krewnych, którzy mogliby pretendować do tronu.

Ponieważ

Edgarowi sprawiały kłopot nieznane słowa i nazwy złożone z dziwnych sylab, których nie potrafił wymówić, skupił swoją uwagę na historii ostatniego króla o imieniu

Thibaw, usuniętego z tronu i wygnanego do Indii po zajęciu Mandalaju przez oddziały brytyjskie. Był on, wedle wojskowych doniesień, słabym i nieskutecznym władcą, manipulowanym przez żonę i teściową, a jego panowaniu towarzyszyła narastająca w odległych dzielnicach kraju anarchia, o czym świadczyła plaga ataków zbrojnych band dakoitów, słowo to, które Edgar poznał dzięki artykułowi wyrwanemu z „Illustrated London News”, oznaczało bandytów.

Na górze Edgar usłyszał kroki Katherine i przerwał lekturę, gotów wsunąć papiery do koperty. Kroki żony ucichły u szczytu schodów.

- Edgarze, już prawie dziesiąta! - zawołała.

- Doprawdy? Muszę iść! - odkrzyknął.

Zdmuchnął lampę, włożył dokumenty do koperty, po czym zaskoczony własną ostrożnością wsunął ją w stos innych papierzysk. Katherine czekała na niego na górze, trzymając płaszcz i torbę z narzędziami.

- Będę na czas, obiecuję - powiedział i wsunął ramiona w rękawy. Pocałował żonę w policzek i wyszedł z domu w jesienny chłód.

Reszta przedpołudnia upłynęła mu na strojeniu broadwooda należącego do parlamentarzysty, który w sąsiednim pokoju grzmiał na temat budowy nowego szpitala dla obłąkanych z wyższych sfer. Edgar skończył wcześniej; mógł poświęcić więcej czasu na dokładne strojenie, ale miał wrażenie, że na instrumencie rzadko grywano. Poza tym akustyka salonu była kiepska, a politykierstwo członka parlamentu odrażające.

Kiedy Edgar wyszedł, było wczesne popołudnie, a ulice zatłoczone. Wiszące nisko na niebie ciężkie chmury zapowiadały deszcz. Drake utorował sobie łokciami drogę przez tłum, przeszedł ulicę i dotarł w pobliże grupy robotników, którzy kilofami rozkopywali bruk, tamując ruch. Gazeciarze i drobni sprzedawcy czynili wrzawę wokół zablokowanych powozów, a dwaj chłopcy kopali piłkę ponad tłumem, uciekając, gdy uderzała w bok któregoś z pojazdów. Zaczęło mżyć.

Edgar szedł kilka minut, mając nadzieję, że ujrzy omnibus, a tymczasem mżawka zmieniła się w deszcz. Schronił się więc w wejściu do baru, którego nazwa była wyryta na matowym szkle; plecy mężczyzn w garniturach i różowo upudrowanych kobiet przylegały do szyb i ścierały z nich parę. Edgar postawił kołnierz płaszcza i przyglądał się ulewie. Dwaj woźnice zostawili swoje furgony po drugiej stronie ulicy, po czym przebiegli truchtem przez jezdnię, osłaniając się od deszczu trzymanymi nad głowami kurtkami. Edgar odsunął się, by mogli przejść, a kiedy drzwi baru otworzyły się na oścież, wydostał się spoza nich zapach tanich perfum, potu i rozlanego ginu. Drake usłyszał pijackie śpiewy. Drzwi zamknęły się;

Edgar stał i obserwował ulicę. I myślał o przeczytanym opracowaniu.

W szkole nie interesował się nadmiernie historią czy polityką, preferując przedmioty artystyczne i, oczywiście, muzykę. Jeśli miał jakiekolwiek polityczne sympatie, to skłaniały się one w stronę Gladstone'a i liberalnego wsparcia polityki wewnętrznej, chociaż nie było to przekonanie zrodzone z poważnych przemyśleń.

Jego nieufność w stosunku do wojskowych była bardziej instynktownej natury; nie podobała mu się buta, którą przenosili do kolonii, a potem do kraju. Ponadto sprawiało mu przykrość, że mieszkańców Wschodu powszechnie przedstawiano jako leniwych i nieudolnych. Wystarczyło znać historię rozwoju fortepianów, powie

Katherine, by wiedzieć, że to nie była prawda. W tworzenie matematyki równego temperowanego stroju byli zaangażowani tacy myśliciele, jak Galileusz i ojciec Marin

Mersenne, autor klasycznej Harmonie universelle. Poza tym Edgar dowiedział się, iż poprawne figuracje zostały po raz pierwszy opublikowane przez chińskiego księcia o imieniu Tsaiyu; był to intrygujący fakt, gdyż z wiedzy Drake'a o pozbawionej harmonicznymi zawilóci muzyce chińskiej wynikało, że nie istnieje formalna potrzeba stosowania w niej temperowanego stroju.

Oczywiście, rzadko wspominał o tym publicznie. Nie lubił konfliktów i miał wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, że niewielu byłoby w stanie docenić rzeczywiste piękno podobnej innowacji.

Deszcz zelżał nieco i Edgar opuścił swoje schronienie przy wejściu do baru.

Wkrótce dotarł do szerszej ulicy, którą przejeżdżały omnibusy i dorożki. Nadal jest wcześnie, pomyślał, Katherine będzie zadowolona.

Wsiada do omnibusu i wciska się między dostojnego jegomościa w grubym płaszczu i młodą, kaszlącą bezustannie kobietę o popielatej twarzy. Pojazd szarpie i rusza. Edgar wygląda przez okno, ale wagon jest zatłoczony i Drake nie widzi mijanych ulic.

*

Ta chwila będzie trwała.

Jest w domu. Otwiera drzwi, a Katherine siedzi w rogu sofy na skraju półkola adamaszku, który częściowo zwisa z poduszek. Wszystko jest jak wczoraj, ale lampa nie pali się, knot jest czarny, choć powinien być przycięty, ale służąca jest w

Whitechapel. Jedyne światło wpada skosem przez koronkowe firanki z Nottingham i załamuje się na cząsteczkach unoszącego się kurzu. Katherine siedzi i patrzy w okno, musiała widzieć, jak Edgar przechodził ulicą. Trzyma chusteczkę, którą wcześniej otarła policzki. Edgar widzi łzy, ich ślady urywają się tuż pod oczami żony.

Na mahoniowym stoliku leżą rozrzucone papiery, a otwarte brązowe opakowanie zachowuje nadal kształt po dokumentach, które niegdyś zawierało. Wciąż jest związane szpagatem i delikatnie odwinięte z jednego końca, jakby jego zawartość była badana ukradkiem. Lub miała być, gdyż porozrzucane papiery świadczą o wszystkim innym tylko nie o ukradkowym działaniu, ani też nie wskazują na to łzy, spuchnięte oczy i smugi pudru na twarzy.

Żadne z małżonków nie rusza się ani nic nie mówi. On stoi z marynarką w rękach. Ona siedzi na skraju sofy, wplatając nerwowo palce w chusteczkę.

Natychmiast dociera do niego, dlaczego ona płacze, wie, że ona wie, że nawet jeśli nie wie, to jest tak, jakby wiedziała; nowinami trzeba się dzielić. Być może powinien powiedzieć jej o tym zeszłego wieczoru, powinien przewidzieć, że przyjdą do jego domu; teraz przypomina sobie, że zanim wyszedł z Ministerstwa Wojny, pułkownik poinformował go o tym. Edgar nie zapomniałby, gdyby nie zagubił się tak w znaczeniu swojej decyzji. Powinien był to zaplanować, wiadomość mogła wyjść na jaw delikatniej. Edgar Drake miał tak niewiele tajemnic, że te nieliczne sekrety stały się kłamstwami.

Drżącymi rękami odwiesza marynarkę. Odwraca się. Katherine, mówi. O co chodzi, chce zapytać, zwyczajowe pytanie, ale zna odpowiedź. Patrzy na żonę;

są pytania, na które nie zna jeszcze odpowiedzi: Kto przyniósł dokumenty; Kiedy przyszli; Co jest w papierach; Jesteś zła.

Płakałaś.

Jest spokojna, teraz zaczyna cicho szlochać. Luźne włosy spadają jej na ramiona.

Edgar nie rusza się, nie wie, czy podejść do żony, jest inaczej niż poprzedniego wieczoru, to nie jest pora na objęcia, Katherine, miałem ci o tym powiedzieć, próbowałem wczoraj, tylko nie sądziłem, że to byłoby wtedy właściwe...

Przechodzi przez pokój, wsuwa się między sofę a stół, siada obok żony.

Kochanie... Łagodnie dotyka jej ramienia, próbuje obrócić ją ku sobie.

Katherine, kochanie, chciałem ci o tym powiedzieć, proszę, spójrz na mnie, a ona odwraca się powoli, patrzy na niego, oczy ma czerwone, płakała bardzo długo. Edgar czeka, żeby się odezwała, nie wie, czego się dowiedziała, kto dostarczył dokumenty, ile jej powiedzieli. Co się stało? Nie odpowiada. Proszę, Katherine. Edgarze, wiesz, co się stało. Wiem i nie wiem. Kto to przyniósł? Czy to ważne? Katherine, kochanie, nie gniewaj się na mnie, chciałem z tobą o tym porozmawiać; Katherine, proszę...

Nie jestem zła, Edgarze, mówi.

On sięga do kieszeni i wyjmuję chusteczkę. Spójrz na mnie. Dotyka chusteczką jej policzka.

Byłam zła dziś rano, kiedy przyszedł. Kto? Żołnierz z Ministerstwa Wojny.

Zapytał o ciebie i podał mi to. Gestem wskazała dokumenty. I co powiedział?

Niewiele, tylko że te papiery są po to, żebyś się przygotował, że powinnam być dumna, bo robisz coś bardzo ważnego, a kiedy to powiedział, nadal nie

wiedziałam, o czym on mówi. Co masz na myśli? Oto, co powiedział: Pani

Drake, czy pani wie, że pani mąż jest bardzo odważnym człowiekiem, a ja

musiałam go zapytać: Dlaczego. Czułam się jak idiotka, Edgarze; Wyglądał na zaskoczonego, roześmiał się i powiedział jedynie, że

Birma jest daleko; Niemal zapytałam, co to znaczy, niemal powiedziałam mu, że

pomylił dom, że nie chodzi o mojego męża, ale tylko podziękowałam, a on odszedł. A ty przeczytałaś dokumenty. Niektóre, tylko niektóre; Wystarczająco dużo. Umilkła.

Kiedy przyszedł? Dziś rano, wiem, że nie powinnam czytać twojej poczty, zostawiłam paczkę na stole, nie była dla mnie; Poszłam na górę, by dokończyć szydełkowanie naszej narzuty na łóżko. Byłam roztargniona, ciągle się kłůłam, myślałam o tym, co powiedział ten żołnierz, po czym zesłam na dół i siedziałam tu niemal godzinę, zastanawiając się, czy powinnam otworzyć przesyłkę, mówiłam sobie, że to nic ważnego, ale wiedziałam, że tak nie jest, i przypomniałam sobie zesły wieczór. Zesły wieczór. Wczoraj wieczorem byłeś inny. Wiedziałaś. Nie wtedy, ale dziś rano już wiedziałam, sądzę, że za dobrze cię znam.

Ujmuje jej dłonie.

Siedzą tak długi czas, ich kolana stykają się, jej ręce w jego dłoniach. Nie jestem zła, mówi ponownie. Możesz być zła. Byłam zła, gniew pojawił się i zniknął, żałuję tylko, że mi nie powiedziałaś, nie obchodzi mnie Birma, nie to jest złe, Mnie obchodzi Birma, ja tylko... Zastanawiałam się, dlaczego mi nie powiedziałaś, może myślałaś, że będę cię od tego odwodzić, to mnie najbardziej boli, jestem z ciebie dumna, Edgarze.

Słowa trwają między nimi, zawieszzone. Uwalnia jej dłonie, a ona ponownie zaczyna płakać. Wyciera oczy; Spójrz na mnie, wyglądam okropnie. Nadal mogę zmienić zdanie, mówi Edgar.

Nie o to chodzi, nie chcę żebyś się wycofywał. Chcesz, żebym pojechał. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, ale jednocześnie wiem, że powinienes to zrobić, spodziewałam się tego. Spodziewałaś się wiadomości o rozstrojonym énardzie w Birmie? Nie Birmy, tego, czegoś innego, To wspaniały pomysł, żeby dzięki muzyce zaprowadzać pokój, zastanawiam się, co tam będziesz grał. Jadę tylko po to, żeby nastroić instrument, nie jestem pianistą, wyjeżdżam, bo takie mam zlecenie. Ale to zlecenie jest inne nie tylko dlatego, że wyjeżdżasz. Nie

rozumiem. Inne, to coś odmiennego od twoich zwykłych przedsięwzięć, inna sprawa, coś zasługującego na szacunek.

Już nie uważasz mojej pracy za godną szacunku. Nie powiedziałam tego.

Powiedziałś, w istocie. Obserwuję cię, Edgarze, i czasami mam takie wrażenie, jakbyś był moim dzieckiem, jestem z ciebie dumna, wykazujesz zdolności, których inni nie mają, słyszysz dźwięki dla innych niesłyszalne, masz smykałkę do urządzeń mechanicznych, sprawiasz, że muzyka jest piękna, to dość. Brzmi tak, jakby nie wystarczało.

Edgarze, proszę, teraz ty jesteś zły. Pytam cię tylko o twoje racje, nigdy wcześniej nie mówiłaś tego; To tylko kolejna praca, nadal jestem mechanikiem, bądźmy ostrożni, zanim zawierzymy obrazy Turnera człowiekowi, który wytwarza dla niego pędzle.

Teraz mówisz tak, jakbyś nie wiedział, czy powinienes jechać. Oczywiście, że nie wiem, tylko że teraz moja żona twierdzi, iż powinienem to zrobić, by coś udowodnić. Wiesz, że nie o tym mówię. To tylko kolejne zlecenie, Katherine. Wiem, że tak nie myślisz. Realizowałem inne dziwne zamówienia. Ale to coś innego; To jedyne zlecenie, które zataiłeś.

Na zewnątrz słońce zachodzi w końcu za szczyty dachów i w pokoju robi się nagle ciemniej.

Nie spodziewałem się tego po tobie, Katherine. A czego się spodziewałeś? Tego też nie wiem, nigdy wcześniej nie zrobiłem niczego podobnego. Spodziewałeś się, że będę płakać, tak jak płaczę, że będę cię błagać, żebyś nie jechał, bo tak zachowują się kobiety, które zostają bez mężów, że perspektywa twojego wyjazdu wzbudzi we mnie strach, gdyż nie będzie cię tutaj i nie będziesz się mną opiekował, że będę się bała, że cię stracę. To nieprawda, Katherine, to nie dlatego ci nie powiedziałem. Myślałeś, że będę przerażona, Wydarłeś stronę z „Illustrated London News”, bo był tam artykuł o Birmie.

Zapadło długie milczenie. Przykro mi, wiesz, że to dla mnie coś nowego. Wiem,

to jest nowe także i dla mnie.

Myślę, że powinieneś jechać, Edgarze, chciałabym móc pojechać, wspaniale musi być oglądać świat.

To tylko praca.

Ciągle tak mówisz, ale wiesz, że tak nie jest.

Statek nie odpłynie wcześniej jak za miesiąc; To mnóstwo czasu.

Trzeba przygotować wiele rzeczy.

To jest bardzo daleko, Katherine.

Wiem.

Następne dni mijały szybko. Skończył pracę u Farrella i nie przyjął już kolejnego zlecenia na strojenie pięknego fortepianu Streichera z 1870 roku ze starym wiedeńskim mechanizmem.

Często odwiedzany był w domu przez oficerów z Ministerstwa Wojny, którzy za każdym razem przybywali z kolejnymi dokumentami: opracowaniami, planami, listami rzeczy, jakie miał zabrać do Birmy. Wylakawszy się pierwszego dnia, Katherine zdawała się być entuzjastycznie nastawiona do wyprawy męża. Edgar czuł wdzięczność z tego powodu; uważał, że żona miałaby prawo okazywać zdenerwowanie. Ponadto sam nie był nigdy zorganizowanym człowiekiem.

Katherine często drażniła się z mężem, mówiąc, iż wydaje się, że precyzyjne napinanie strun fortepianowych wymaga, by we wszystkich innych dziedzinach jego życia panował chaos. W typowy dzień, gdy Edgara nie było w domu, na Franklin Mews przychodził żołnierz i przynosił kolejne papiery. Katherine brała je, czytała, a potem układała na biurku męża w trzech stosach: formularze, które należało wypełnić i zwrócić wojsku, opracowania historyczne i dokumenty bezpośrednio związane z wyprawą. Potem

Edgar wracał do domu i po kilku minutach papiery były w nieładzie, jakby mąż przegrzebał stosy, szukając czegoś. Katherine wiedziała, że chodziło mu o informacje na temat érarda, ale niczego takiego nie dostarczono, a po trzech czy czterech dniach witała go słowami: Dzisiaj przyniesiono kolejne dokumenty,

mnóstwo wojskowych opracowań, nic o fortepianie; to sprawiało, że Edgar wyglądał na jawnie rozczarowanego, ale co korzystnie wpływało na porządek na stole. Drake chwycił wówczas pierwszy dokument ze szczytu stosu i zasiadał z nim w fotelu.

Później Katherine znajdowała męża śpiącego, z otwartym opracowaniem na kolanach.

Była zdziwiona ilością dokumentacji dostarczanej najwyraźniej na prośbę Carrolla i czytała chciwie opracowania, a nawet wynotowywała fragmenty historii

Szan napisanej przez samego majora. Z początku spodziewała się, że relacja będzie nudna, ale opowieści poruszyły ją i natchnęły zaufaniem do człowieka, którego opiece powierzała męża. Poleciała to opracowanie Edgarowi, ale ten odparł, że wstrzyma się z lekturą, Będę potrzebował czegoś, żeby się rozerwać, gdy zostanę sam. Skądinąd

Katherine rzadko wspominała mężowi o tym, co czytała. Owe historie i opisy ludzi fascynowały ją; od dziecka uwielbiała relacje z odległych krain i chociaż przyłapywała się na marzeniach o nich, to była zadowolona, że sama nie jedzie. Przypominało to, zwierzyła się przyjaciółce, jedną, wielką, głupią zabawę dla chłopców, którzy nigdy nie dorośli; przywoływało na pamięć opowieści z Boy's Own lub ze sprowadzanych z

Ameryki groszowych zeszytów z kowbojskimi historyjkami.

- Jednak pozwoliłaś Edgarowi jechać - powiedziała przyjaciółka.

- Edgar nigdy się w to nie bawił - odparła Katherine. - Poza tym nigdy dotąd nie widziałam go tak podekscytowanego, tak przejętego. Znowu zachowuje się jak młody człowiek.

Po kilku dniach zjawiły się kolejne przesyłki - tym razem od pułkownika Fitzgeralda - które miały być dostarczone majorowi chirurgowi Carrollowi.

Wyglądało na to, że zawierały nuty, i Edgar zaczął otwierać paczki, ale Katherine skrzyczała męża. Były porządnie zapakowane w brązowy papier, a

Edgar z pewnością pomieszałby wszystko. Na szczęście nazwiska kompozytorów wypisano na zewnątrz i

Drake zadowolili się wiedzą, że gdyby został wyrzucony na brzeg, to miałby przynajmniej Liszta za towarzysza. To, powiedział, dodaje mu odwagi przed podróżą.

Data wypłynięcia została ustalona na 26 listopada, miesiąc od dnia, w którym Edgar zaakceptował zlecenie. Termin wyjazdu przybliżał się jak cyklon, z powodu poprzedzających go szaleńczych przygotowań i ze względu na spokój, o którym

Katherine wiedziała, że nastąpi później. Podczas gdy Edgar spędzał dni na wykańczaniu prac i porządkowaniu warsztatu, ona pakowała kufry, modyfikując polecenia wojska za sprawą unikalnej wiedzy żony stroiciela érandów. W związku z tym do wojskowej listy obejmującej takie pozycje, jak odporne na wilgoć i gnicie ubrania, strój wizytowy i zestaw pigułek oraz proszków służących „lepszemu znoszeniu tropikalnego klimatu”, Katherine dodała maść do smarowania palców spękanych na skutek strojenia oraz zapasowe okulary, gdyż co trzy miesiące Edgar nieodmiennie siadał na tych, których używał. Zapakowała także frak.

- Na wypadek, gdyby cię poproszono, żebyś grał - wyjaśniła; Edgar pocałował żonę w czoło i wyjął strój.

- Pochlebiasz mi, moja droga, ale nie jestem pianistą. Proszę, nie popieraj takich pomysłów.

Mimo to zapakowała frak. Była przyzwyczajona do podobnych protestów. Już jako chłopiec Edgar zauważył, że jest uzdolniony muzycznie, chociaż nie stwierdził u siebie, co skonstatował ze smutkiem, kiedy był jeszcze bardzo młody, umiejętności kompozytorskich. Jego ojciec, cieśla, był zapalonym muzykiem amatorem, który kolekcjonował i konstruował najrozmaitsze instrumenty, a także przeczesywał targowiska w poszukiwaniu dziwnych ludowych instrumentów pochodzących z

Kontynentu. Gdy Drake senior zorientował się, że jego syn jest zbyt nieśmiały, by bawić grą odwiedzających ich dom gości, skierował swoją uwagę na siostrę Edgara, delikatną, małą dziewczynkę, teraz żonę śpiewaka z D'Oyly Carte Company, który występował w operetkach Gilberta i Sullivana. Zatem kiedy jego siostra ćwiczyła całymi godzinami, Edgar spędzał dni z ojcem, którego pamiętał głównie z powodu jego wielkich dłoni. Zbyt dużych, powiedziałby, by Drake senior nadawał się na stroiciela. W ten sposób zadaniem Edgara stało się sprawowanie pieczy nad rosnącą kolekcją instrumentów, z których większość - ku zachwytowi chłopca - wymagała naprawy. Później, kiedy jako młody mężczyzna poznał Katherine i zakochał się w niej, czuł podobny zachwyt, słuchając jej gry, o czym powiedział w trakcie oświadczeń. Nie ośmieliłby się poprosić mnie o rękę, gdybyś miał kogoś, kto by poddawał próbom naprawiane przez ciebie instrumenty, rzekła i oparła delikatnie dłoń na ramieniu Edgara, a on, młody człowiek, któremu twarz pałała od wypieków wywołanych tym dotknięciem, odpowiedział: Nie martw się, wcale nie musisz grać, twój głos starczy za całą muzykę.

Edgar sam spakował swoje narzędzia. Ponieważ wojsko nadal nie przekazało mu żadnych szczegółów dotyczących fortepianu, Drake odwiedził sklep, w którym instrument został zakupiony, i długo rozmawiał z właścicielem na temat cech érarda oraz tego, w jakim stopniu był przebudowany i jakie oryginalne części w nim pozostały. Wobec ograniczeń bagażu Drake mógł sobie pozwolić tylko na zabranie narzędzi i części zamiennych służących do naprawy tego konkretnego instrumentu.

Mimo to narzędzia i tak zajęły połowę jednego z kufrów.

Na tydzień przed wyjazdem męża Katherine zorganizowała pożegnalną herbatkę. Miał kilku przyjaciół, w większości także stroicieli: pana Wiggersa, który specjalizował się w broadwoodach, pana D'Argencesa, Francuza, miłośnika wiedeńskich pianin, i pana Poffy'ego, który zasadniczo nie był stroicielem fortepianów, gdyż głównie naprawiał organy. To miłe, wyjaśnił

kiedyś Edgar żonie, gdy przyjaciele mają różne specjalności, chociaż nie można było powiedzieć, że krąg jego znajomych obejmował pełną listę Tych Związanych z Fortepianami. Sama londyńska książka adresowa wymieniała - między lekarzami a wytwórcami marynat i sosów - producentów fortepianów, wytwórców mechanizmów fortepianowych, wycinaczy progów fortepianów, pokrywających młotki, wytwórców filcu na młotki i tłumiki, wytwórców wieszaków młotków, wybielaczy kości słoniowej, skrawaczy kości słoniowej, wytwórców klawiszy, wytwórców kołków, wytwórców jedwabiu, wytwórców małych mechanizmów, producentów strun fortepianowych i stroicieli fortepianów. Szczególnie wyraźnie zaznaczała się nieobecność w tym gronie pana

Hastingsa, który także specjalizował się w éradach i który czuł się obrażony na Edgara od czasu, gdy ten umieścił na swojej furtce tabliczkę z informacją:

„Wyjechałem do Birmy stroić w służbie Jej Królewskiej Mości; proszę radzić się Pana

Claude'a Hastingsa w sprawie drobniejszych zleceń, które nie mogą czekać do mojego powrotu”.

Wszyscy obecni byli bardzo poruszeni sprawą érada i do późna w nocy spekulowali na temat tego, co okaże się w nim nie w porządku. Katherine, znudzona w końcu rozmową, opuściła towarzystwo mężczyzn, położyła się do łóżka i czytała

Birmańczyków, wspinała pracę etnograficzną pióra dziennikarza przydzielonego niedawno do Komisji Birmańskiej. Autor, pan Scott, przybrał jako nom de plume birmańskie nazwisko Shway Yoe, co znaczyło Złota Prawda. I chociaż Katherine odsuwała od siebie myśl, że taki postępek stanowi kolejny dowód na to, iż wojna jest niczym innym jak „chłopięcą zabawą”, to powyższa refleksja wprawiała ją w niepokój; przed zaśnięciem przypomniała sobie, że ma powiedzieć Edgarowi, by nie wracał z nowym, śmiesznym imieniem.

Dni mijały. Katherine spodziewała się, że w ostatniej chwili dojdzie do gorączkowych przygotowań, ale na trzy doby przed ustalonym terminem wypłynięcia ona i Edgar obudzili się rano i stwierdzili, że nic nie zostało do zrobienia. Torby

Edgara były spakowane, narzędzia wyczyszczone i uporządkowane, warsztat zamknięty.

Edgar zabrał Katherine nad Tamizę, gdzie siedli na nabrzeżu i obserwowali ruch statków. Niebo było klarownie czyste; Drake wyraźnie czuł w swojej dłoni dłoń żony. Tym, czego brak do wypełnienia tej chwili, jest muzyka, pomyślał. Od dzieciństwa miał zwyczaj nie tylko wiązać melodię z uczuciem, ale uczucie z melodią.

Katherine dowiedziała się o tym już podczas pierwszej wizyty Edgara w jej domu, gdy młody stroiciel powiedział o swoich emocjach, że są „jak allegro con brio z

Haydnowskiej Sonaty Ddur numer 50”. Katherine roześmiała się wówczas i zastanowiła, czy Edgar uważał tak naprawdę, czy też jest to tylko żart, który może bawić wyłącznie terminatora stroiciela. Ze swej strony jej przyjaciółki uznały, że to z pewnością był dowcip, chociaż dziwny, a ona sama zgadzała się z tym aż do chwili, gdy kupiła nuty owej sonaty i zagrała ją, a z fortepianu, dopiero co nastrojonego, wydobyła się pieśń trzpiotowatego oczekiwania, która kazała jej myśleć o zwiewnych motylach i drżących z niepokoju sercach zakochanych.

Gdy siedzieli obok siebie, w głowie Edgara brzmiało wiele dźwięków, jakby ich źródłem była rozgrzewająca się orkiestra, aż powoli jedna melodia zaczęła dominować, a inne dostosowały się do niej. Zaczął ją mruczeć.

- Clementi, Sonata fismoll - odezwała się Katherine, a Edgar skinął głową.

Kiedys powiedział jej, że ten utwór przypomina mu zagubionego na morzu żeglarza. Jego ukochana oczekuje go na brzegu. Brzmienie orkiestry to dźwięk fal, mew.

Siedzieli i słuchali.

- Wraca?

- W tej wersji tak.

W dole, pod nimi, mężczyźni wyładowywali skrzynie z małych łodzi, których używano do ruchu po rzece. W powietrzu krążyły rybitwy, czatując na porzucone pożywienie i nawołując się wzajemnie. Edgar i Katherine szli wzdłuż brzegu. Kiedy odeszli od rzeki i zawrócili w stronę domu, Edgar zamknął w dłoni palce żony. Zawód stroiciela czyni z mężczyzny dobrego męża, powiedziała Katherine swoim przyjaciółkom po powrocie z podróży poślubnej. Umie słuchać, a jego dotknięcie jest delikatniejsze od dotyku pianisty, gdyż tylko stroiciel zna wnętrze instrumentu.

Młode kobiety chichotały z powodu skandalicznego skojarzenia wywołanego przez te słowa. Teraz, osiemnaście lat później Katherine wiedziała, gdzie na dłoniach Edgara znajdują się zgrubienia i od czego pochodzą. Raz opowiedział jej o nich tak, jak wytatuowany człowiek objaśniłby treści zawarte w pokrywających go obrazkach; To biegnące po wewnętrznej stronie kciuka pochodzi od śrubokrętu; Zadrapania na nadgarstku od skrzyni instrumentu, gdyż często w ten sposób opieram ramię, gdy uderzam w struny; Zgrubień po wewnętrznej stronie wskazującego i serdecznego palca prawej dłoni dorobiłem się, dokręcając kołki przed użyciem kleszczy, oszczędzam środkowy palec, nie wiem dlaczego, nawyk z młodości. Połamane paznokcie to pamiątka po strunach, oznaka niecierpliwości.

Szli do domu i rozmawiali teraz o rzeczach przyziemnych - ile par długich skarpet zapakował, jak często powinien pisać, jakie upominki ma przywieźć i w jaki sposób ustrzec się choroby. Rozmowa utyka niezręcznie, gdyż nikt nie oczekuje, by pożegnania były obarczone takimi banałami. To nie jest tak, jak piszą w książkach, to nie jest tak jak w teatrze, myśli Edgar, i czuje potrzebę mówienia o misji, o obowiązku i o miłości. Docierają do domu i zamykają za sobą drzwi, a on nie puszcza ręki żony.

Gdzie zawodzi mowa, wynagradza dotyk.

Zostały trzy dni, a potem dwa, a on nie może spać. Wczesnie rano, gdy nadal jest ciemno, wychodzi z domu na przechadzkę, podniósłszy się z ciepłej, pachnącej snem pościeli. Katherine odwraca się, śpiąc, śniąc może, Edgar? A on, Śpij, kochanie, a ona śpi, zagrzebuje się ponownie w kocach, mruczając z zadowolenia. Edgar opuszcza stopy na podłogę, ku zimnemu pocałunkowi parkietu, po czym przechodzi przez pokój. Ubiera się szybko. Niesie buty, żeby nie obudzić żony, i cicho wyslizguje się za próg, a potem w dół po wyłożonych chodnikiem schodach i ku drzwiom frontowym.

Na zewnątrz panuje ziąb, a ulica jest ciemna; wiruje garść liści schwytych przez wiatr, który przez pomyłkę skręcił we Franklin Mews; wiatr, co sam zawraca, wycofuje się z wąskiego przesmyku. Nie widać gwiazd. Edgar otula szyję kołnierzem i mocniej wciska kapelusz na głowę. Podąża za uciekającym wiatrem, idzie. Wzdłuż ulic pustych i wybrukowanych, obok wznoszących się tarasowało domów i zasłon zaciągniętych jak zamknięte snem oczy. Jakiś ruch, bezdomne koty, może ludzie. Jest ciemno, a ponieważ nie zelektryfikowano jeszcze tych ulic, Edgar zauważa ukryte w głębi domów lampy i świece. Opatula się ciaśniej płaszczem i idzie dalej, a noc niepostrzeżenie przechodzi w brzask. Trzy dni stają się dwoma, a potem jednym. Spodziewając się, że wyjdzie wczesnym rankiem na przechadzkę, Katherine przyłącza się do męża i idą razem przez rozległą przestrzeń Regent's Park. Przeważnie są sami. Trzymają się za ręce, a wiatr wieje wzdłuż szerokich promenad, ślizga się po powierzchni kałuż i porywa zaścielające trawę mokre liście. Małżonkowie przystają, siadają w świątyni dumania i patrzą na tych nielicznych spacerowiczów, którzy schowani pod drżącymi w podmuchach wiatru parasolami odważyli się wyjść na deszcz: starych samotnych mężczyzn, pary i matki prowadzące przez ogród, prawdopodobnie do zoo, podskakujące dzieci, Mamusiu, co zobaczymy? - Szzz! Bądźcie cicho, tam są bengalskie tygrysy i birmańskie pytony, które zjadają niegrzeczne dzieci.

Edgar i Katherine idą przez pociemniały ogród; kwiaty ociekają deszczem. Chmury wiszą nisko, a liście są żółte. Katherine ujmując łagodnie rękę Edgara, sprowadza go z długiej alei i wiedzie przez szmaragdowe trawniki, dwie małe postacie przemierzają zieloność. Edgar nie pyta, dokąd idą, ale słucha mlaskania błota pod butami; odrażający dźwięk. Chmury wiszą nisko, są szare i nie ma słońca.

Katherine prowadzi męża do małej altany, tutaj jest sucho; Edgar odsuwa z twarzy żony wilgotne włosy. Katherine ma zimny nos. Edgar zapamięta to. Dzień niepostrzeżenie przechodzi w noc.

Ź jest 26 listopada 1886 roku.

Powóz zajeżdża do Royal Albert Dock. Pojawiają się dwaj żołnierze w wyprasowanych mundurach i otwierają drzwiczki przed mężczyzną i kobietą w średnim wieku. Małżonkowie wysiadają ostrożnie, ponieważ pierwszy raz jechali wojskowym powozem, którego stopnie są wyżej zawieszane, a próg grubszy, gdyż stanowi wzmocnienie pojazdu przeznaczonego do poruszania się w nierównym terenie. Jeden z żołnierzy wskazuje okręt; mężczyzna spogląda na parowiec, a potem odwraca się do kobiety. Stoją obok siebie, on całuje ją delikatnie, a później podąża w kierunku statku za dwoma wojskowymi. Każdy z żołnierzy niesie kufer, a cywil mniejszą torbę.

Rozlega się cicha fanfara; żadnych butelek rozbijanych o dziób - ten zwyczaj zarezerwowany jest dla chrzestnych rodziców okrętów wyruszających w dziewicze rejsy i dla pijaków, którzy śpią w dokach i czasami zmywają place targowisk w dole rzeki. Na pokładzie parowca stoją pasażerowie i machają do tłumu ludzi na nabrzeżu, którzy odpowiadają tym samym.

Maszyny ruszają z hurkotem.

Nad rzeką zapada biała kurtyna. Niczym zasłona zakrywa budynki, pirsy i tych, którzy przyszli pożegnać odpływających. Na rzece opar gęstnieje, pełnie po pokładzie i skrywa nawet jednego pasażera przed drugim.

Powoli, kolejno, pasażerowie wchodzą do środka i Edgar zostaje sam. Okulary

zachodzą mu mgiełką, więc zdejmuje je i wyciera o kamizelkę. Stara się przeniknąć wzrokiem tuman, ale nie widzi mijanego brzegu. Biały opar zamazuje obraz komina statku i Edgarowi zdaje się, że płynie w pustce. Wyciąga przed siebie rękę i obserwuje wiry białości, które wiją się wokół jego dłoni w postaci prądów, złożonych z malutkich kropelek. Białe. Jak czysta kartka papieru, jak nierzeźbiona kość słoniowa, wszystko jest białe, gdy zaczyna się opowieść.

3

30 listopada 1886 roku

Droga Katherine, mija pięć dni, odkąd opuściłem Londyn. Przepraszam, że nie napisałem do

Ciebie wcześniej, ale po Marsylii Aleksandria jest miejscem naszego pierwszego postoju pocztowego, więc postanowiłem raczej wstrzymać się z pisanem, niż wysyłać

Ci listy pełne nieaktualnych myśli.

Moja droga, ukochana Katherine, w jakich słowach mam Ci opisać tych kilka ostatnich dni? Chciałbym bardzo, żebyś towarzyszyła mi w tej podróży i widziała wszystko to, co ja widzę! Zaledwie wczoraj rano po stronie sterburty naszego statku ukazał się brzeg, a ja zapytałem jednego z marynarzy, co to za ląd. Afryka, odpowiedział, lecz sprawiał wrażenie mocno zdumionego moim pytaniem. Oczywiście poczułem się jak głupiec, ale ledwo potrafiłem opanować podniecenie. Świat wydaje się jednocześnie taki mały i taki rozległy.

Mam bardzo wiele do przekazania, ale najpierw pozwól mi opowiedzieć o dotychczasowej podróży, która zaczęła się od naszego pożegnania. Żegluga z Londynu do Calais odbyła się bez szczególnych wydarzeń. Panowała gęsta mgła, która rzadko rozpraszała się na tyle, by można było dostrzec coś więcej niż mignięcie fal.

Płynęliśmy tylko kilka godzin. Do Calais zawinęliśmy w nocy, po czym przewieziono nas powozem na stację kolejową. Tam wsiedliśmy w pociąg do

Paryża. Jak wiesz, marzyłem zawsze o odwiedzeniu rodzinnego miasta Sebastiena Érarda, ale ledwo przyjechaliśmy, znalazłem się znowu w drodze, zmierzając na południe. Francja to zaiste piękny kraj, a nasza trasa wiodła obok złocistych pastwisk, winnic i pól lawendy, z której produkuje się słynne perfumy - obiecuję, że wracając, kupię Ci je.

Jeśli chodzi o Francuzów, to mam o nich mniej pozytywne zdanie, gdyż ci spotkani przeze mnie nigdy nie słyszeli o Sebastienie Érardzie ani o mécanisme a étrier, jego największej innowacji. Tylko gapili się na mnie, jakbym był szaleńcem.

W Marsylii wsiedliśmy na kolejny parowiec, który należy do tej samej linii okrętowej co poprzedni, i wkrótce płynęliśmy po Morzu Śródziemnym. Tak bardzo bym chciał, żebyś mogła widzieć piękno tych wód! Są tak niebieskie jak żadne inne, jakie wcześniej widziałem; najbliższy kolor, jaki przychodzi mi na myśl, to barwa nocnego nieba lub może szafirów. Aparat fotograficzny to istotnie wspaniały wynalazek, ale pragnąłbym bardzo, żebyśmy mogli oddać na zdjęciach prawdziwe kolory, dzięki czemu mogłabyś zobaczyć, o co mi chodzi.

Musisz iść do National

Gallery i obejrzeć Walczącego Temeraire'a Turnera; to najbliższe temu, co mam na myśli. Jest bardzo ciepło i już zapomniałem o chłodnych angielskich zimach. Lwią część pierwszego dnia spędziłem na pokładzie i doznałem poważnego oparzenia słonecznego. Muszę pamiętać, żeby nosić kapelusz.

Po pierwszym dniu żeglugi przepłynęliśmy cieśninę Bonifacio, która oddziela Korsykę od Sardynii. Ze statku widzieliśmy włoskie wybrzeże. Wygląda tak martwo i spokojnie, że trudno sobie wyobrazić pełną zgiełku historię, która zrodziła się wśród tych wzgórz; trudno pojąć, że to ojczyzna Verdiego, Vivaldiego oraz Rossiniego, a przede wszystkim Cristoforiego.

Jak mam Ci opisać swoje dni? Oprócz tego, że po prostu siedzę na pokładzie i patrzę na morze, wiele godzin spędzam na lekturze tekstów o Anthonym Carrollu.

Doznaję dziwnego wrażenia na myśl, że ten człowiek, który od tygodni zaprzęta moją uwagę, nie wie nawet, jak się nazywam. W każdym razie ma nadzwyczajne gusta.

Otworzyłem jedną z tych przesyłek, które mam mu dostarczyć, i znalazłem w niej nuty

Pierwszego koncertu fortepianowego Liszta, Toccaty Cdur Schumanna, i inne. Są tam zapisy nutowe, których nie rozpoznaję, a gdy usiłuję podług nich mrużyć, nie potrafię odtworzyć żadnej melodii. Kiedy dotrę do obozu doktora, będę go musiał o nie zapytać.

Jutro zatrzymamy się w Aleksandrii. Brzeg jest teraz bardzo blisko i w oddali widzę minarety. Tego ranka minęliśmy na morzu małą łódź; stojący w niej rybak trzymał w rękach luźno wiszącą sieć i obserwował nasz parowiec.

Mężczyzna był tak blisko, że widziałem wyschniętą sól, która jak biały kurz pokrywała jego skórę. A mniej niż tydzień temu byłem jeszcze w Londynie! Szkoda, że zostaniemy w porcie tak krótko, iż nie będę miał czasu, by pojechać do piramid.

Chciałbym Ci jeszcze opowiedzieć o tyłu rzeczach... Nocami wychodzę często na pokład i obserwuję księżyc, który jest niemal w pełni. Słyszałem, że ludzie Orientu uważają, iż na tarczy księżyca widać zarys królika, ale ja ciągle nie mogę go dostrzec; widzę tylko karykaturę twarzy mrugającego człowieka, który ze zdumienia i zaskoczenia otwiera szeroko usta. Sądzę teraz, że wiem, dlaczego tak wygląda - skoro wszystko wydaje się takie cudowne z pokładu statku, to wyobraź sobie tylko, jak niezwykle musi to wyglądać z księżyca. Dwa dni temu nie mogłem usnąć z powodu upału i podniecenia, więc wyszedłem w nocy na pokład. Patrzyłem na morze, gdy z wolna, nie więcej jak sto metrów przed dziobem okrętu, zaczęła lśnić woda. Z początku uznałem, że to odbicie światła gwiazd, ale to coś zdawało się przybierać kształt i błyszczało jak tysiące malutkich ogników, jak londyńskie ulice nocą. Za sprawą tego rozświetlenia spodziewałem się ujrzeć dziwaczne morskie zwierzę, ale zjawisko, unosząc się

na wodzie i rozciągając blisko na milę, pozostało amorficzne, a później, kiedy zostawiliśmy je za sobą, a ja odwróciłem się, by poszukać go na morzu, zniknęło. Zeszłej nocy świetlna bestia pojawiła się ponownie, a ja dowiedziałem się od podróżującego z nami przyrodnika, który wyszedł na pokład, by popatrzeć na niebo, że to lśnienie nie było blaskiem bijącym od jakiegoś potwora, ale składało się ze światełek milionów mikroskopijnych stworzeń, nazwanych przez tego człowieka diatomitami; powiedział także, iż podobne żyjątka barwią Morze Czerwone na jego słynny kolor. Jakież to dziwny świat, Katherine, na którym niewidzialne potrafi iluminować wody i barwić morze na czerwono. Muszę kończyć, moja droga. Jest późno, strasznie tęsknię za Tobą, ale mam nadzieję, że nie czujesz się samotna.

Proszę, nie martw się o mnie. Mówiąc szczerze, wyjeżdżając, byłem nieco przerażony, i czasami, kiedy leżę w łóżku, pytam samego siebie, dlaczego płynę. Nadal nie znajduję odpowiedzi. Pamiętam, co mi powiedziałaś w Londynie, że jadę, bo to jest szlachetne posłannictwo i obowiązek wobec kraju, ale nie może tak być: w młodości nie zaciągnąłem się do wojska i mało mnie obchodzi polityka zagraniczna. Wiem, że rozżłościłaś się, gdy odparłem, że przyjęcie tego zlecenia stanowi moją powinność wobec fortepianu, a nie Korony, ale nadal bardzo mocno wierzę, że ten doktor Carroll postępuje słusznie, i że jeśli mogę pomóc w sprawie Muzyki, to być może na tym polega mój obowiązek. Na podjęcie przeze mnie tej decyzji po części wpłynęło zaufanie do doktora Carrola i poczucie współuczestniczenia w jego misji i dążeniu do sprowadzenia muzyki, którą uważam za piękną, do miejsc, o których inni myślą wyłącznie pod kątem dostarczania do nich broni. Wiem, że takie szlachetne uczucia bledną często w konfrontacji z rzeczywistością. Bardzo tęsknię za Tobą i mam nadzieję, że nie biorę udziału w jakimś głupim, donkiszoterskim przedsięwzięciu. Być może jestem bardziej od Ciebie przerażony opowieściami o wojnie i dżungli.

Po cóż marnuję słowa na przedstawianie swoich obaw i wątpliwości, gdy mam

Ci do opowiedzenia tyle pięknych rzeczy! Przypuszczam, że dzieje się tak dlatego, iż nie mam z kim podzielić się tymi myślami. Prawdę mówiąc, czuję się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Chciałbym tylko, żebyś była tutaj i towarzyszyła mi w tej podróży.

Wkrótce napiszę znowu, moja kochana.

Twój oddany mąż

Edgar

Wysłał list podczas krótkiego postoju w Aleksandrii. Na pokład statku weszli nowi pasażerowie, ludzie w zwiewnych szatach; obcy mówili językiem, który zdawał się powstawać głęboko we wnętrzach ich gardeł. Statek stał w porcie tylko kilka godzin, co wystarczyło jedynie na krótką przechadzkę po nabrzeżach, po których snuły się wonie bijące od schnących ośmiornic i worków przypraw. Wkrótce znowu płynęli, najpierw przez Kanał Sueski, a potem po następnym morzu.

4

Tej nocy, gdy okręt płynął wolno po wodach Morza Czerwonego, Edgar nie mógł spać. Z początku próbował czytać dostarczony mu przez Ministerstwo Wojny dokument, napuszony tekst o kampaniach wojskowych w trakcie trzeciej wojny anglobirmańskiej, ale poddał się nudzie. W kabinie było duszno, a bulaj wpuszczał niewiele morskiego powietrza. W końcu Edgar ubrał się i poszedł długim korytarzem ku schodom prowadzącym na pokład.

Na zewnątrz panował chłód, niebo było czyste, a księżyc w pełni. Za kilka tygodni, gdy Edgar pozna mity, zrozumie, dlaczego to było ważne. Chociaż dla Anglików chudy, anemiczny sierp światła na niebie to „księżyc po nowiu”, to jest to tylko jeden sposób rozumienia sprawy. Zapytaj jakiegokolwiek dziecko z Szan, Wa lub w

YaO, a odpowie ci, że to pełny księżyc jest nowy, gdyż jest świeży i błyszczący jak słońce, a księżyc w kształcie sierpa jest stary, kruchy i wkrótce zniknie. W związku z tym pełnia oznacza początek, okres, kiedy zaczyna się zmiana, i

trzeba bardzo uważać na zapowiedź czegoś złego.

Jednak do momentu przybycia Edgara Drake'a do Birmy pozostało wiele dni i stroiciel nie zna jeszcze przepowiedni z Szan. Nie ma pojęcia, że istnieją cztery sposoby wróżenia: ze znaków na niebie, z lotu ptaków, z zachowania się karmionego ptactwa i ruchu czworonożnych zwierząt. Nie wie, co oznacza pojawienie się komety, zorzy lub deszczu meteorów; nie wie, że wróżyć można z kierunku lotu żurawia, że należy szukać przepowiedni w kurzych jajach, w rojach pszczół i nie tylko w tym czy, ale także gdzie jaszczurka, szczur lub pająk spadnie na człowieka. Nie wie, że jeśli woda w stawie lub rzece zabarwia się na czerwono, to kraj zostanie spustoszony przez niszczącą wojnę; taka wróżba przepowiedziała zniszczenie Ayuttayi, byłej stolicy

Syjamu. Ze jeśli jakiś przedmiot, bez wyraźnej przyczyny, pęka komuś w dłoni lub turban sam z siebie spada komuś z głowy, to ten ktoś wkrótce umrze.

W przypadku Edgara Drake'a nie ma potrzeby odwoływania się do takich wróżb; jeszcze nie. Nie nosi turbanu i rzadko urywa struny podczas naprawiania i strojenia fortepianów; na razie stał na pokładzie, a morze odbijało księżycowy blask, który nadawał wodzie srebrnoniebieski połysk.

Nadal można było dostrzec zarys wybrzeża, a nawet odległe błyski latarni morskiej. Niebo było czyste i usiane gwiazdami, których odbicia błyszczały na falach.

Następnego wieczoru Edgar siedział w mesie, na końcu długiego stołu przykrytego czystym białym obrusem. Ruch statku zdradzało kołysanie się wiszącego nad stroicielem kandelabru. Elegancka rzecz, napisał Katherine, Nie oszczędzali na luksusie. Edgar siedział sam i słuchał ożywionej dysputy dwóch brytyjskich oficerów, rozmawiających o bitwie w Indiach. Od tej rozmowy myśli Drake'a powędrowały ku

Birmie, ku Carrollowi, ku strojeniu, ku fortepianom i ku domowi.

Głos, który rozległ się za Edgarem, sprowadził go na pokład parowca.

- Stroiciel?

Edgar odwrócił się i ujrzał wysokiego mężczyznę w mundurze.

- Tak - odparł, przełknął kęs jedzenia, wstał i wyciągnął rękę. - Nazywam się Drake. A pan, sir?

- Tideworth - powiedział tamten z uprzejmym uśmiechem. - Jako kapitan prowadzę statek od Marsylii do Bombaju.

- Oczywiście, panie kapitanie, przypominam sobie pańskie nazwisko. To zaszczyt pana poznać.

- Nie, panie Drake, zaszczyt jest po mojej stronie. Przepraszam, że nie spotkałem się z panem wcześniej. Od kilku tygodni chciałem zawrzeć znajomość z panem.

- Poznać się ze mną, istotnie! - powiedział Edgar. - A dlaczegóż to?

- Powinienem był panu powiedzieć, kiedy się przedstawiłem. Jestem przyjacielem Anthony'ego Carrola. Pisał do mnie, że spodziewa się pańskiego przybycia.

Niecierpliwie oczekuje spotkania z panem.

- A ja z nim. W istocie to on jest moim zleceniem.

Roześmiał się. Tideworth wskazał krzesła.

- Usiądźmy - rzekł. - Nie chciałem przeszkadzać panu w posiłku.

- Wcale mi pan nie przeszkadza, kapitanie, zjadłem już dosyć. Zbyt pan się o nas troszczy. - Usiedli przy stole. - Zatem doktor pisał o mnie? Ciekaw jestem, co takiego?

- Niewiele, szczerze mówiąc. Sądzę, że nie podali mi nawet pańskiego nazwiska. Przekazał mi, że jest pan zręcznym stroicielem fortepianów i że kwestia pańskiej bezpiecznej żeglugi nadzwyczaj leży mi na sercu. Napisał także, że może pan być niedysponowany podczas rejsu i że powinienem zaopiekować się panem.

- To bardzo miło z jego strony. Sądzę, że dam sobie radę. Nawet bez wojny indyjskiej w zanadrzu. - Edgar skinął głową w stronę siedzących obok mężczyzn. - Nie jestem tutaj partnerem do rozmów.

- Och, to zwykli nudziarze - odparł kapitan, zniżając głos, co stanowiło zbędną ostrożność, gdyż oficerowie byli zupełnie pijani i nawet nie zauważyli jego obecności.

- W każdym razie mam nadzieję, że nie odciągam pana od pańskich obowiązków, kapitanie.

- Ani trochę, panie Drake. Żeglujemy gładko, jak to się mówi. Jeśli nie będzie żadnych problemów, to za sześć dni powinniśmy zawinąć do Adenu. Zawołają mnie, gdybym był potrzebny. Proszę mi powiedzieć, jak się panu podoba podróż?

- Jestem nią oczarowany. Pierwszy raz w życiu opuściłem Anglię. Wszystko jest takie piękne, że przekracza moje wyobrażenie. Znam kontynent głównie za sprawą wywodzącej się z niego muzyki i produkowanych tam fortepianów. Kapitan wyglądał na nieco skonfundowanego, więc Edgar dodał z zakłopotaniem:

- Moją specjalnością są fortepiany Érarda. To francuskie instrumenty. Tideworth spojrzał z zaciekawionym.

- A podróż do Aleksandrii? Żadnych fortepianów, jak mi się zdaje.

- Żadnych - Edgar roześmiał się. - Niemniej jednak oszałamiający widok. Sporo czasu spędzam na pokładzie. Czuję się tak, jakbym znowu był młody. Sądzę, że doskonale pan to rozumie.

- Oczywiście. Nadal pamiętam swój pierwszy rejs tym szlakiem. Nawet pisałem o nim wiersze, niemądre ody o żegludze między rogami dwóch kontynentów, rozległych i nagich; o ciągnących się setkami mil piaskach, o legendarnych, wznoszących się do nieba miastach; o żegludze do Lewantu, do Konga. Jestem pewien, że potrafi pan to zrozumieć. Życie na morzu nie sprawiło wcale, że przestałem czuć ten dreszcz podniecenia, chociaż, dzięki Bogu, dawno temu porzuciłem poezję.

Proszę mi powiedzieć, poznał się pan z innymi pasażerami?

- Nie jestem specjalnie towarzyski. Mnóstwo czasu spędzam po prostu na

oglądaniu widoków. To wszystko jest dla mnie zupełnie nowe.

- Szkoda, że nie zawarł pan jakichś znajomości. Uważam, że moi pasażerowie to niezwykle towarzystwo. Bez nich mógłbym się znudzić nawet widokami.

- W jakim sensie niezwykle?

- Och, żebym tylko miał czas, by opowiedzieć panu o tych ludziach! Już porty, w których wsiadają na statek, są wystarczająco egzotyczne. Moi pasażerowie pochodzą nie tylko z Europy i Azji, ale także z tysięcy śródziemnomorskich portów, z północnej Afryki, z Arabii. Nazywają tę trasę „osią świata”. Jednakże historie!

Wystarczy, żebym się rozejrzył po sali... Na przykład - pochylił się bardziej - tam dalej, przy stole za nami, czy widzi pan tego starszego dżentelmena obiadującego w towarzystwie siwowłosej kobiety?

- Tak. Zauważyłem go. Prawdopodobnie to najstarszy pasażer na statku.

- Nazywa się William Penfield. Były oficer Kompanii WschodnioIndyjskiej. Nazywano go Krwawym Billem. Przypuszczalnie najczęściej odznaczany i najbezwzględniejszy żołnierz, jaki służył w koloniach.

- Ten stary człowiek?

- Ten sam. Przy następnej okazji, gdy znajdzie się pan blisko niego, proszę spojrzeć na jego lewą dłoń. Brak mu dwóch palców, które stracił w potyczce podczas pierwszej wyprawy. Jego ludzie żartowali, że za każdy z tych palców wzięli tysiąc istnień ludzkich.

- Straszne.

- To jeszcze nie najgorsze, ale oszczędzę panu szczegółów. A teraz proszę spojrzeć w lewo od niego. Tego młodzieńca o ciemnych włosach nazywają Tekowym

Harrym. Nie znam jego prawdziwego nazwiska. Ormianin z Baku. Ojciec Harry'ego był drwalem, który wynajmował parowce do transportu syberyjskiego drewna z północnego brzegu Morza Kaspijskiego na jego południowe wybrzeże. Po jakimś czasie, powiadają, kontrolował cały handel z

Persją, póki dziesięć lat temu nie został zamordowany. Cała rodzina rozpieczęła się; niektórzy uciekli do Turcji, inni do Europy. Tekowy Harry wziął kurs na wschód, do Indochin. Cieszy się reputacją zawadiaki i awanturnika. Chociaż nie ma na to dowodów, to chodzą słuchy, że sfinansował wyprawę Garniera w celu znalezienia źródeł Mekongu. Nawet jeśli to prawda, to Harry nie rozgłaszałby tego, żeby nie stracić swoich brytyjskich kontraktów żeglugowych. Prawdopodobnie Harry odbędzie z panem całą podróż do

Rangun, chociaż do Mandalaju popłynie któryś z parowców własnej kompanii.

Jego dwór, nie, pałac, jest tak wspaniały, że wzbudził zazdrość króla Awy. Powiadają, iż Thibaw dwukrotnie usiłował zabić Harry'ego, ale Ormianin uszedł z życiem. W

Mandalaju może pan przejechać obok jego rezydencji. Harry żyje pośród drewna tekowego i oddycha nim. Trudny w rozmowie, jeśli rzecz nie dotyczy interesów. - Kapitan przestał prawie oddychać. - Za nim godny jegomość, Francuz, JeanBaptiste

Valerie, profesor lingwistyki na Sorbonie. Powiadają, że mówi dwudziestoma siedmioma językami; trzema spośród nich nie posługuje się żaden biały człowiek, nawet misjonarze.

- A mężczyzna obok niego, ten z pierścieniami? Robi wrażenie.

- Ach, to sprzedawca dywanów, Nader Modarress, Pers, który handluje baktryjskimi kilimami. Podróżuje z dwiema kochankami, niezwykle, gdyż w Bombaju trzyma dosyć żon, żeby nie mieć czasu na sprzedawanie dywanów. Podróżuje w królewskiej kajucie i zawsze może sobie pozwolić na jej opłacenie. Jak pan zauważył, na wszystkich palcach ma złote pierścienie; powinien pan obejrzeć je z bliska, w każdym osadzone są najwspanialsze klejnoty.

- Wszedł na pokład z innym mężczyzną, wielkim blondynem.

- Ochroniarz. Norweg, jak mi się zdaje. Chociaż nie sądzę, żeby był dobry.

Połowę czasu spędza z palaczami okrętowymi, ćmiąc opium, wstrętny nałóg, ale sprawia, że tamci nie skarżą się zbytnio. Modarress ma jeszcze jednego osobnika na swoim wikcie, jegomościa w okularach, kijowskiego poetę, którego wynajął, by ten układał ody na cześć jego żon; Pers pozuje na romantyka, ale ma kłopoty z używaniem przymiotników. Ach, niech pan mi wybaczy, plotkuję jak pensjonarka. Chodźmy zaczerpnąć trochę powietrza, zanim będę musiał wrócić do pracy.

Wstali i wyszli na pokład. Na dziobie tkwiła samotna postać, spowita w długą, białą szatę, która trzepotała na wietrze. Edgar obserwował obcego, a po chwili powiedział:

- Wydaje mi się, że nie ruszył się z tego miejsca, odkąd wypłynęliśmy z Aleksandrii.

- Być może to najdziwniejszy ze wszystkich pasażerów. Nazywamy go Człowiekiem z Jedną Opowieścią. Pływa tą trasą od tak dawna, jak tylko sięgam pamięcią. Zawsze jest sam. Nie wiem, czym się zajmuje ani kto za niego płaci. Podróżuje w dolnych kabinach, wchodzi na pokład w Aleksandrii, a wysiada w Adenie. Nigdy dotąd nie widziałem go w powrotnej drodze.

- Dlaczego nazywacie go Człowiekiem z Jedną Opowieścią?

Kapitan zachichotał.

- To określenie sprzed lat. Podczas tych nielicznych podróży, kiedy decydował się otworzyć usta, opowiadał zawsze tę samą historię. Słyszałem ją kiedyś i nigdy jej nie zapomniałem. Nie rozmawia. Zaczyna opowieść i nie przerywa jej, póki nie skończy. To niesamowite, jakby się słuchało fonografu. Przeważnie milczy, ale ci, którzy słyszeli jego opowieść... rzadko pozostają już tymi samymi ludźmi.

- Mówi po angielsku?

- Wymyślną angielszczyznę, niemal jakby czytał.

- A o czym jest ta... opowieść?

- Ach, panie Drake. To zostawiam panu do odkrycia, jeśli tylko żywi pan taki

zamiar. Naprawdę tylko on może ją opowiedzieć.

Z kuchni okrętowej, jakby wyliczone w czasie, rozległo się wołanie. Edgar miał jeszcze inne pytania, o Anthony'ego Carrola, o Człowieka z Jedną Opowieścią, ale kapitan pożegnał go szybko, odwrócił się i zniknął w sali jadalnej.

Zostawszy sam, stroiciel wdychał woń morskiego powietrza nasyconego solą i przecuciami.

Wczesnie rano następnego dnia Edgara obudził żżar buchający z okna kajuty.

Ubrał się i ruszył długim korytarzem, potem wspiał się na pokład. Było pogodnie i poczuł na sobie promienie słońca, chociaż dopiero co wynurzyło się ono spoza wzgórz na wschodzie. Morze rozciągało się szeroko, ale oba jego brzegi majaczyły niewyraźnie w oddali. Patrząc ku rufie, Drake ujrzał stojącego przy relingu pasażera w trzepoczącej na tle słońca szacie.

Edgar każdego ranka odbywał przechadzkę po pokładzie i zwykle krążył po nim do czasu, póki nie zrobiło się zbyt gorąco. To podczas tych spacerów po raz pierwszy zauważył nieznanego, który wraz z innymi rozwijał codziennie swój modlitewny dywanik. Choć Edgar mijał obcego, tamten się nie odzywał.

W ten ciepły poranek, gdy Edgar przemierzał swoją zwykłą trasę - wzdłuż relingu na rufę i w kierunku mężczyzny w białej szacie - poczuł nagle słabość w nogach. Boję się, uznał, i starał się przekonać samego siebie, że ten spacer nie różni się niczym od wędrówek z poprzednich dni, ale wiedział, że to nieprawda. Kapitan mówił z powagą, która dziwnie nie pasowała do tego wysokiego, niefrasobliwego marynarza. Edgar pomyślał przelotnie, że być może Tideworth zostawił go w sali jadalnej, a on wydumał sobie tę rozmowę i wspiał się na pokład samotnie. Lub, zastanowił się, kapitan wiedział, że się spotkają, nowy podróżny i gawędziarz. Być może to należy rozumieć jako przyciąganie się opowieści.

Edgar przyłapał się na tym, że stoi obok obcego mężczyzny.

- Miły poranek, sir - zauważył.

Stary człowiek skinął głową. Twarz miał ciemną, a brodę w kolorze swojej

szaty. Edgar nie wiedział, co powiedzieć, ale postanowił dotrzymać towarzystwa stojącemu przy relingu mężczyźnie. Obcy milczał. Fale omywały dziób statku, a ich szum ginął w huku maszyn parowca.

- To pański pierwszy rejs po Morzu Czerwonym - odezwał się mężczyzna głębokim głosem, w którym słychać było obcy akcent.

- Tak, istotnie, pierwszy raz w życiu opuściłem Anglię...

Stary człowiek przerwał mu.

- Kiedy pan mówi, muszę widzieć pańskie usta - powiedział. - Jestem głuchy.

Edgar odwrócił się.

- Przepraszam, nie wiedziałem...

- Jak pan się nazywa? - zapytał mężczyzna.

- Drake... Proszę - Edgar sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę, którą wydrukował specjalnie na tę podróż.

EDGAR DRAKE

STROICIEL FORTEPIANÓW

SPECJALISTA OD INSTRUMENTÓW ÉRARDA

14 FRANKLIN MEWS

LONDYN

Widok pokrytego zawiłymi literami małego kartonika w ciemnych dłoniach starego człowieka wprowadził nagle Edgara w zażenowanie. Tamten wpatrywał się w wizytówkę.

- Angielski stroiciel fortepianów. Człowiek, który zna dźwięki. Chciałby pan usłyszeć opowieść, panie Edgarze Drake? Historię starego głuchego człowieka?

*

Trzydzieści lat temu, kiedy byłem dużo młodszy i nie cierpiałem z powodu dolegliwości wieku starczego, pracowałem jako majtek i pływałem na tej samej trasie z Suez do cieśniny Bab alMandab. W przeciwieństwie do dzisiejszych parowców, które prują fale środkiem morza i nie przybijają do lądu, pływaliśmy na żaglach i przecinaliśmy morze w poprzek, rzucając kotwicę w dziesiątkach

małych portów u obu wybrzeży, afrykańskiego i arabskiego. Zatrzymaliśmy się w miasteczkach o takich nazwach, jak Fareez i Gomaina, Tektozu i Weevineev, wiele z tych osad było zagubionych w piaskach, a my robiliśmy postoje, żeby handlować z nomadami, którzy sprzedawali dywany i naczynia odnalezione w opuszczonych miastach na pustyni.

Płynąłem tą samą trasą, kiedy naszą krypę dopadł sztorm. Była stara i powinna już być wycofana z żeglugi. Zrefowaliśmy żagle, ale kadłub zaczął przeciekać i nacisk wody rozłupał go. Wtedy upadłem, uderzyłem o coś głową i ogarnęła mnie ciemność.

Kiedy się ocknałem, leżałem na piaszczystym brzegu, sam pośród szczątków kadłuba, do którego dzięki wielkiemu szczęściu musiałem przyłgnąć. Z początku nie mogłem się ruszyć i zacząłem podejrzewać, że jestem sparaliżowany, ale po chwili stwierdziłem, że ciasno owinął mnie własny turban, który rozwiązał się i przywarł do mojego ciała jak dziecięca pielucha lub jak bandaże mumii wydobywanych z egipskich piasków. Długi czas nie mogłem zebrać myśli. Ciało miałem okropnie posiniaczone, a gdy oddychałem, ból przeszywał mi klatkę piersiową. Słońce stało już wysoko na niebie; skórę pokrywała mi morską sól, gardło i język miałem spieczone i spuchnięte. Bładoniebieska woda z chlupotem omywała mi stopy i fragment strzaskanego kadłuba, na którym jeszcze widniały nagryzmołone pierwsze trzy litery z tego, co niegdyś było arabską nazwą statku.

W końcu wyplątałem się z turbanu i ponownie zawiązałem go luźno. Wstałem. Teren wokół mnie był płaski, ale w oddali widziałem wyschnięte nagie góry. Jak każdy człowiek, który wychował się na pustyni, myślałem tylko o jednym: o wodzie.

Doświadczenie wyniesione z naszych podróży nauczyło mnie, że linię brzegową przecina wiele małych estuariów, przeważnie słonawych, jednak sporo z nich, według nomadów, łączyło się ze słodkowodnymi strumieniami wypływającymi z porowatych skał lub śniegów leżących na szczytach odległych gór.

Powodowany nadzieją znalezienia takiej rzeki, postanowiłem podążać brzegiem. Dzięki takiemu postępowaniu nie mogłem stracić orientacji, a poza tym na pewno zauważyłbym statek, jeśliby tylko jakiś przepływał w pobliżu. Gdy szedłem, słońce wznosiło się ponad wzgórzami, a to - jak wiedziałem - oznaczało, iż znajduję się w Afryce. Uświadomienie sobie tego faktu było proste, lecz przerażające. Wszyscy się gubimy, ale rzadko się zdarza, żebyśmy nie wiedzieli, którego kontynentu piaszczysty brzeg przemierzamy. Nie mówiłem tutejszym językiem ani nie znałem tego lądu tak dobrze, jak znałem Arabię. A jednak coś dodawało mi odwagi; być może młodość, a być może udar słoneczny.

Szedłem nie dłużej jak godzinę, gdy dotarłem do zakola linii brzegowej, gdzie pas morza wcinął się w wybrzeże. Posmakowałem wody. Nadal była słona, jednak obok mnie leżała pojedyncza gałązka, która spłynęła z prądem strumienia, a na niej drżał na wietrze suchy samotny liść. Podróże i handel obeznały mnie nieco z roślinami, gdyż podczas postojów w Fareez i Gomaina wymienialiśmy z nomadami towary na zioła. I w tym małym liściu rozpoznałem roślinę, którą nazywaliśmy belaidour, Berberowie zaś zwali ją adilououchchn; napar z niej wywołuje u pijącego wizje przyszłości, a jagody sprawiają, że oczy kobiet rozszerzają się i ciemnieją. W tej jednak chwili mniej myślałem o przygotowaniu naparu, a bardziej o botanice. A to dlatego, że belaidour jest w cenie, bo nie rośnie na wybrzeżu Morza Czerwonego, ale w lesistych, odległych o wiele kilometrów na zachód górach. Ta wiedza napełniła mi serce słabą nadzieją, że jakiś czas temu przebywał tu człowiek, a jeśli człowiek, to być może była gdzieś tutaj także woda.

Tak więc powodowany wyłącznie tą nadzieją, skręciłem w głąb lądu, kierując się wzdłuż morskiego pasa na południe. Modliłem się przy tym, żeby udało się znaleźć miejsce pochodzenia belaidour, a w związku z tym i wodę, która poila handlujących rośliną.

Wędrowałem przez resztę dnia, a potem w nocy. Nadal przypominam sobie

sierp księżycy, który przesuwiał się po niebie. Nie był jeszcze w kwadrze, ale bezchmurne niebo nie broniło dostępu światłu, które kładło się na wodzie i piasku.

Nie pamiętam, kiedy nocą położyłem się, żeby odpocząć, i zasnąłem.

Obudziłem się na skutek delikatnych szturchnięć kija pasterskiego.

Otworzyłem oczy i ujrzałem dwóch chłopców mających na sobie jedynie przepaski biodrowe i naszyjniki. Jeden z wyrostków przykucnął przede mną i dziwnie patrzył.

Drugi, wyglądający na młodszego, stał za nim i spoglądał ponad jego ramieniem.

Trwaliśmy tak przez czas wielu oddechów, nie poruszając się, ale jedynie obserwując; ten w kucki obejmował ramionami kolana i patrzył mi ciekawie i wyzywająco w oczy.

Powoli podniosłem się do pozycji siedzącej, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z chłopca, uniosłem rękę i pozdrowiłem go w swojej mowie.

Wyrostek nie ruszył się. Na krótko przeniósł spojrzenie z mojej twarzy na dłoń, a potem z powrotem. Stojący za nim powiedział coś w języku, którego nie znałem, a starszy skinął głową, nadal nie spuszczał ze mnie wzroku.

Wyciągnął za siebie wolną rękę, na co młodszy chłopiec zdjął z ramion skórzany bukłak i podał mu go.

Starszy rozsupłał cienki rzemień, którym zawiązany był otwór, i wręczył mi bukłak.

Podniosłem go do ust, zamknąłem oczy i zacząłem pić.

Byłem tak spragniony, że dziesięciokrotnie opróżniłbym bukłak, ale upał nakazywał powściągliwość; nie wiedziałem, skąd pochodzi ta woda ani jak dużo jej zostało. Kiedy skończyłem pić, opuściłem worek i oddałem starszemu chłopcu, a ten - nie patrząc na to, co robi - zawiązał go rzemieniem. Potem wstał i przemówił do mnie głośno; chociaż był to obcy język, rozkazujący ton dziecka stojącego w obliczu odpowiedzialności brzmi wszędzie tak samo. Czekałem.

Wyrostek odezwał się powtórnie, tym razem głośniej. Wskazałem na swoje usta, tak jak dzisiaj na uszy, i potrząsałem głową. Gdyż wtedy nie byłem jeszcze głuchy. To dopiero się stanie.

Jakby zniechęcony, chłopiec odezwał się jeszcze raz, głośno i piskliwie. Uderzył kijem o ziemię. Odczekałem chwilę, a potem podniosłem się wolno, by pokazać, iż zrobiłem to wyłącznie z własnej woli, a nie z powodu jego krzyków. Nie mogłem pozwolić, by rozkazywał mi niedorostek.

Kiedy wstałem, po raz pierwszy mogłem rozejrzeć się po okolicy. Zasnąłem nad wodą, a nie dalej jak trzydzieści kroków przed sobą widziałem mały strumień, który wpada do estuarium, bulgocząc na błyszczących otoczakach. Do skał u jego ujścia przywarła kępka bladej roślinności. Przystanąłem nad ruczajem, żeby się napić wody.

Chłopcy czekali w milczeniu. Po chwili ruszyliśmy w górę urwistego brzegu, gdzie para kóz skubała trawę. Chłopcy pędzili je przed sobą; poszliśmy korytem wyschniętego strumienia, który w porze deszczowej musiał rozrastać się w rzekę.

Było wcześnie rano, ale już panował upał; ściany wąwozu wznosiły się po obu stronach piaszczystej ścieżki, wzmagając gorąco i wzmacniając odgłos naszych kroków. Chłopcy pokrzykiwali na kozy, a ich głosy odbijały się echem; były to dziwne dźwięki, które żywo pamiętam. Teraz, gdy jestem stary, zastanawiam się, czy wrażenie owej niezwykłości wywoływała jakaś fizyczna właściwość kamieni, czy też była to zapowiedź, że przed upływem dwóch dni utracę słuch. Szliśmy jarem kilka kilometrów, aż na zakręcie podobnym do setek innych, jakie minęliśmy po drodze, kozy instynktownie pomknęły w górę stromym szlakiem.

Chłopcy podążyli zwinnie za zwierzętami, znajdując w ścianie piasku nieistniejące zdawałoby się punkty oparcia dla swoich sandałów. Ze wszystkich sił starałem się nadążyć, ale zanim udało mi się uchwycić czegoś i podciągnąć na ścieżkę, na którą oni weszli tak delikatnie, poślizgnąłem się i otarłem kolano.

Pamiętam, że na szczycie zatrzymałem się, żeby obejrzeć nogę. Rana była drobna i powierzchowna, natychmiast też zaschła w upale. Ale pamiętam to zdarzenie nie dla niego samego, ale ze względu na to, co stało się potem. Kiedy podniosłem wzrok, chłopcy zbiegali z szerokiego zbocza, goniąc kozy. Poniżej ujrzałem jeden z najbardziej oszałamiających obrazów, jakie widziałem w życiu. Gdyby raczej poraziła mnie ślepotą, a nie głuchota, myślę, że byłbym rad, gdyż nic, nawet walące o brzeg fale Bab alMandab, nie mogło się równać z rozpościerającym się przede mną widokiem. Stamtąd, gdzie stałem, zbocze opadało, tworząc płaską, rozległą, pustynną równinę, ciągnącą się po horyzont rozmazany przez piaskowe burze. A z gęstego pyłu, którego milczenie zadawało kłam wściekłości znanej każdemu, kto kiedykolwiek dostał się we władanie takiej przerażającej nawałnicy, wyłaniały się niezliczone karawany, ciągnące ze wszystkich kierunków róży wiatrów; długie ciemne szeregi koni i wielbłądów wychodziły z rozpościerającej się w dolinie plamy, a wszystkie zmierzały ku leżącemu u stóp wzgórza obozowisku.

Gdyby policzyć nadciągające karawany, musiały tam być już setki, a może tysiące namiotów. Patrzyłem na nie ze szczytu wzniesienia. Kształty wielu z nich znałem. Spiczaste, białe namioty ludu Borobodo, którego członkowie często przybywali do odwiedzanych przez nas portów, by handlować wielbłądzimi skórami.

Szerokie, płaskie namioty wojowniczego szczepu Yus najeżdżającego południowe granice Synaju i znanego Egipcjanom z tak okrutnych napadów na kupców, że często ich statki nie zarzucały kotwicy, jeśli owe namioty były widoczne na brzegu. Rebez, arabskie plemię, które kopie doły w piasku, po czym przykrywa je skórami tworzącymi dachy, a przy progach swoich domów ustawia długie pale służące niczym latarnia morska za znak rozpoznawczy, jeśli ruchome piaski zasypią dom i jego mieszkańców. Jednakże kształty większości namiotów, poza wymienionymi, były mi nieznane, co sugerowało, że ich mieszkańcy przybyli z głębi Afryki.

Usłyszałem przeszywający gwizd, który dobiegał od stóp wzgórza. W połowie drogi do miasta namiotów stał starszy z moich przewodników; krzyczał i machał kijem. Ruszyłem biegiem i wkrótce byłem przy chłopcach; z pozostałej części wzgórza zeszliśmy razem. Minęliśmy grupę wyrostków bawiących się kamieniami i patykami, a moi przyjaciele pozdrowili swoich znajomych. Zauważyłem, że trzymali wysoko głowy i wskazywali często na mnie. Sądzę, iż robiłem pewne wrażenie.

Przeszliśmy obok pierwszych namiotów, przed którymi stały przywiązane wielbłądy. Przez odsłonięte wejścia widziałem migotanie płomieni ognisk, ale nikt nie wyszedł nas powitać. Było coraz więcej namiotów; im głębiej wchodziliśmy, dążąc ku tajemniczemu celowi, tym bardziej ścieżki między namiotami wypełniała bieganina.

Mijałem zakapturzonych nomadów, których twarzy nie rozróżniałem, czarnych Afrykańczyków wystrojonych we wspaniałe skóry, kobiety z zasłoniętymi twarzami wpatrywały się we mnie do chwili, gdy nasze spojrzenia się spotykały, po czym szybko spuszczały wzrok. W takim zbiorowisku wywoływałem małą sensację. Dwukrotnie przeszedłem obok rozmawiających po arabsku mężczyzn, ale wstyd powodowany moim nieporządnym wyglądem oraz pośpiech chłopców nie pozwoliły mi przystanąć.

Minęliśmy kilka ognisk, widoczni na ich tle muzykanci wykonywali pieśni, których nie potrafiłem rozpoznać. Chłopcy zatrzymali się na chwilę przy jednym z ognisk, a ja usłyszałem, że starszy szepcze coś na widok pieśniarzy. Potem ponownie pochłonęły nas piaszczyste ścieżki między namiotami. W końcu dotarliśmy do wielkiego okrągłego namiotu o płaskim, lekko spiczastym dachu, z otworem pośrodku, z którego pod nocne niebo wiły się wstęgi dymu pochodzące z rozjarzonego wewnątrz ogniska. Chłopcy przywiązali kozy do słupka przed wejściem, blisko pary wielbłądów, unieśli połę namiotu i dali znak, bym wszedł.

Zanim ujrzałem siedzących przy ogniu ludzi, uderzyła mnie silna woń

dochodząca ze znajdującego się na środku rożna. O tym, jak bardzo byłem głodny, niech świadczy to, że wcześniej niż gospodarzy dostrzegłem piekący się polec mięsa.

Był to kozi udziec; krople krwi puchły na pieczonym na wolnym ogniu mięsie i spadały do żaru. Siedzący obok mnie chłopcy szybko mówili, pokazując w moją stronę. Zwracali się do zasuszonej staruchy, która spoczywała w pozycji półleżącej na cienkiej wielbłądziej skórze, położonej na podwyższonym posłaniu w pobliżu ściany namiotu. Włosy kobiety opinał cienki, przejrzysty szal, który powodował, że jej głowa przypominała skorupę ciemnego pustynnego żółwia. Stara trzymała w ustach długą fajkę, z której pykała z namysłem. Chłopcy umilkli, a kobieta nie odzywała się przez jakiś czas. W końcu kiwnęła do nich głową, a oni skłonili się i pierzchli na drugi koniec namiotu, tam usiedli na kilimie, podciągnęli kolana pod brody i utkwili we mnie wzrok. W namiocie byli jeszcze inni ludzie, może z dziesięć milczących twarzy.

- Przybywasz z daleka - odezwała się stara podobna do żółwia kobieta.

Byłem wstrząśnięty.

- Mówisz po arabsku? - spytałem.

- Na tyle, by handlować. Siadaj, proszę - dodała i skinęła na siedzącą w pobliżu wejścia młodą dziewczynę.

Ta poderwała się szybko i przyniosła mały dywanik, który rozłożyła dla mnie na piasku. Usiadłem.

- Moi wnukowie powiedzieli, że znaleźli cię blisko brzegu Morza Czerwonego.

- Tak było. Dali mi wody, a czyniąc to, uratowali mi życie.

- Skąd się tam wzięłeś? - spytała surowym głosem.

- Wypadek. Płynąłem na statku zmierzającym z Suezu do Bab alMandab, kiedy uderzył na nas sztorm. Okręt rozbił się. Nie wiem, co się stało z moimi towarzyszami, ale obawiam się, że nie żyją.

Zółwica odwróciła się do reszty obecnych i coś powiedziała. Ci potakiwali głowami i trajkotali pośpiesznie. Kiedy przestała mówić, odezwałem się

ponownie:

- Gdzie jestem?

Starucha potrząsnęła głową. Jedno oko, co zauważyłem, patrzyło w inną stronę niż drugie, przydając jej pełnej grozy czujności, gdyż jednocześnie przyglądała mi się badawczo i obserwowwała uważnie pomieszczenie.

- To niebezpieczne pytanie - powiedziała. - Są bowiem tacy, którzy uważają, że wieść o ukazaniu się dotarła za daleko i że jeśli przybędzie zbyt wielu ludzi, to Ona nie wróci. Masz szczęście, że trafiłeś na mnie. Inni mogliby cię zabić.

Te słowa sprawiły, że ulgę wywołaną odnalezieniem cywilizacji zastąpiły mdłości powodowane przez strach.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Nie zadawaj zbyt wielu pytań. Przybywasz w czasie, który dobrze wróży.

Astrologowie Bantu powiadają, że jutro Ona może się ukazać. I będzie śpiewać. A wtedy usłyszysz odpowiedzi na swoje pytania.

Mówiąc to, podniosła ponownie fajkę do ust i skierowała na ognisko najpierw jedno, a potem drugie oko. Przez resztę wieczoru nikt się do mnie nie odezwał. Jadłem pieczony udziec i piłem słodki nektar, dopóki nie zasnąłem przed ogniem.

Obudziłem się następnego ranka i stwierdziłem, że namiot jest pusty.

Pomodliłem się, a potem uchyliłem połę namiotu i wyszedłem na panujący na zewnątrz upał. Słońce wisiało na środku nieba; wyczerpany, spałem niemal do południa. Wielbłądy stały nadal przywiązane do słupka, ale obie kozy zniknęły.

Wróciłem do namiotu. Nie miałem wody, żeby się umyć, ale zrobiłem, co mogłem, by porządnie zawiązać turban. Wyszedłem na zewnątrz.

Na ścieżkach było stosunkowo pusto; większość ludzi ukrywała się przed słońcem. Widziałem kilku mężczyzn, którzy siodłali wielbłądy przed polowaniem; obok grupa młodych dziewcząt ubranych w żywe błękity mełła ziarno. Na krańcu obozowiska dostrzegłem nowo przybyłych; niektórzy z nich musieli przyjechać o świcie i nadal rozbijali namioty przywiezione na grzbietach

wielbłądów zachowujących się ze stoickim spokojem. Poszedłem na skraj obozowiska; miasto namiotów kończyło się nagle wrytą głęboko linią, rysowaną przez różne plemiona jako rytualna granica pomiędzy ich obozem a pustynią. Poza tą linią piaski ciągnęły się bez końca. Wspomniałem słowa starej kobiety. Dawno temu, gdy jako dziecko towarzyszyłem bratu w podróży do Adenu, spędziliśmy noc z plemieniem Beduinów.

Beduini mówią własnym narzeczem, ale rozumiałem co nieco, gdyż wiele czasu spędzałem na bazarach, gdzie młody człowiek uczy się mnóstwa różnych języków.

Przypomniałem sobie, że przyłączyliśmy się do siedzącej przy ognisku rodziny i słuchaliśmy ich dziadka opowiadającego o zgromadzeniu plemion. Przy blasku ognia starzec opisał w wybornych szczegółach każdy ród - jego szaty, zwyczaje, zwierzęta, a nawet kolor oczu należących do niego ludzi. Byłem oczarowany, ale w pewnym momencie w nocy zasnąłem, zanim gawęda dobiegła końca, i obudziłem się dopiero wtedy, gdy brat szturchnął mnie i obaj wpełzaliśmy do namiotu. Teraz, gdy stałem na skraju pustyni, coś z opowieści starego człowieka wróciło do mnie, ale tylko wrażenie, niczym wspomnienie snu.

W oddali, za małą diuną, dostrzegłem powiewającą na wietrze czerwoną tkaninę. Widok był przelotny, jak krótki lot ptaka, ale takie obrazy są rzadkością na pustyni i domagają się, by je sprawdzić. Przekroczyłem linię - wtedy myślałem, że to przesąd niewiernych, chociaż teraz nie jestem już tak pewien.

Wspiąłem się na wydmę i zszedłem na piaszczystą równinę. Nikogo tam nie było. Potem poczułem za sobą czyjąś obecność i odwróciłem się. Za mną stała kobieta. Była prawie o głowę niższa i spoglądała w górę spoza czerwonej zasłony. Miała ciemną skórę, sądziłem więc, że musi pochodzić z któregoś z etiopskich plemion, a kiedy nie przestawałem patrzeć na nią, pozdrowiła mnie.

- Salaam aleikum.

- Wa aleikum alsalaam - odparłem. - Skąd pochodzisz?

- Z tego samego kraju, co ty - rzekła, ale z obcym akcentem.

- Zatem jesteś daleko od domu - stwierdziłem.

- Tak samo jak ty.

Stałem oniemiały, zachwycony łagodnym brzmieniem jej głosu, pięknem jej oczu.

- Co robisz sama pośród piasków? - spytałem.

Długi czas nie odpowiadała. Powiodłem wzrokiem od zasłony na jej twarzy w dół ciała spowitego w grube, czerwone szaty, które nie ujawniały kryjących się pod nimi kształtów. Tkanina spływała ku ziemi i rozlewała się, a wiatr już przysypał ją warstwą piasku, co sprawiało takie wrażenie, jakby kobieta wyrastała z wydm. Wtedy odezwała się ponownie:

- Muszę pójść po wodę. - Spojrzała na gliniany dzbanek, który opierała na biodrze. - Obawiam się, że zgubię się w piaskach. Pójdiesz ze mną?

- Nie mam pojęcia, gdzie można znaleźć wodę - zaprotestowałem, wstrząśnięty jej bliskością oraz śmiałością propozycji.

- Ja wiem - rzekła.

Ale żadne z nas się nie ruszyło. Nigdy nie widziałem oczu o takiej barwie jak jej - nie były ciemnobrązowe, jak u kobiet z mojego kraju, ale łagodniejsze, jaśniejsze, koloru piasku. Wokół nas zatańczył powiew wiatru, zasłona zafalowała, a ja przelotnie ujrzałem jej twarz, dziwną, ale nie wiedziałem dlaczego, gdyż zmrużyłem oczy; a potem oblicze nieznajomej zostało ponownie zakryte.

- Chodź - powiedziała i ruszyliśmy.

Wiatr wokół nas zacinał, smagając piaskiem skórę, klując tysiącem szpilek.

- Być może powinniśmy zawrócić - rzekłem. - Inaczej zabłądzimy podczas burzy.

Kobieta nie zatrzymała się. Dogoniłem ją. Burza przybierała na sile.

- Wracajmy. To zbyt niebezpieczne, by dać się tutaj zaskoczyć.

- Nie możemy wrócić - powiedziała. - Nie jesteśmy stąd.

- Ale burza...

- Zostań ze mną.

- Ale...

Odwróciła się.

- Przestraszyłeś się.

- Nie. Znam pustynię. Możemy wrócić później.

- Ibrahim - powiedziała.

- To moje imię.

- Ibrahim - powtórzyła i podeszła do mnie.

Opuściłem bezradnie ręce.

- Znasz moje imię.

- Cicho - powiedziała. - Piasek się uspokoi.

I nagle wiatr ucichł. Ziarenka piasku zawisły w powietrzu jak mikroskopijne planety. Pozostały w przestrzeni, nie do ruszenia, wybielając niebo, horyzont i zamazując wszystko oprócz nieznajomej.

Kobieta podeszła do mnie jeszcze bliżej i postawiła dzbanek na ziemi.

- Ibrahim - powtórzyła i uniosła zasłonę z twarzy.

Nigdy dotąd nie widziałem obrazu tak pięknego, a jednocześnie tak ohydneho.

Patrzyła na mnie oczami kobiety, ale jej usta falowały niczym fatamorgana, wyglądały nie jak usta i nos niewiasty, lecz jelenia, którego miękką skórę porasta meszek. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu; rozległo się wycie i piasek znowu ruszył, zawirował wokół nas, rozmazał jej obraz. Podniosłem dłonie do oczu.

A wtedy piasek ponownie znieruchomiał.

Opuściłem ręce, na próbę. Byłem sam, zawieszony pośród piasku. Nie miałem na czym skupić wzroku, nie wiedziałem, gdzie jest niebo, a gdzie ziemia.

- Salaam - szepnąłem.

A wtedy skądś z ukrycia dobiegł kobiecy śpiew.

Był cichy i z początku nie rozpoznałem w nim pieśni; głos niski i słodki, pieśń jak wino, zakazana i upajająca, jakiej nigdy nie słyszałem. Nie rozumiałem

słów, melodia była krańcowo obca, lecz jednocześnie było w niej coś tak intymnego, że czułem się nagi i zawstydzony.

Zawodzenie narastało stopniowo, piasek znowu tańczył wokół mnie. Przez jego zawirowania dostrzegałem miganie obrazów. Krążące ptaki, obozy, miasta namiotów, zachodzące szybko słońce, rozszczepiające i rozżarzające pustynię w gigantyczny płomień, który rozprzestrzenił się po diunach, obejmując wszystko, a potem wycofywał się, pozostawiając tylko rozrzucone tu i ówdzie obozowe ogniska. Wtedy nagle zapadła noc i wokół ognia zgromadzili się podróżni, tancerki, muzykanci i dobosze; słyhać było tysiąc instrumentów, które zawodziły pieśń piasku, wznoszącą się - coraz głośniejszą i bardziej przeszywającą; przede mną pojawił się zaklinacz węży i grał na oud, a jego gady wypełzały z kosza i oplatały mu nogi. Dziewczeta o ciałach błyszczących, wonnych i natartych oliwą, tańczyły w blasku obozowych ognisk, ja zaś zorientowałem się, że nie mogę oderwać wzroku od olbrzyma, którego skórę pokrywały gwiazdziste blizny i tatuaże; widziałem, jak te blizny stają się dorosłymi ludźmi ubranymi w jaszczurcze skóry i dziećmi z gliny; dorosłych opanował taniec, a dzieci rozbiły się. A potem znowu nastał dzień i obrazy zniknęły. Pozostałem sam na piasku, z krzykiem, który urwał się nagle.

Podniosłem dłonie do twarzy i zawołałem:

- Kim jesteś?

Ale nie usłyszałem już własnego głosu.

Poczułem na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, otworzyłem oczy i przekonałem się, że leżę na brzegu morza, z nogami do połowy zanurzonymi w wodzie. Obok mnie klęczał człowiek. Widziałem, że jego usta się poruszają, ale nic nie słyszałem. Kilku innych ludzi stało na brzegu i obserwowało mnie. Mężczyzna zaczął znowu mówić, ale nic do mnie nie docierało, ani jego głos, ani szum fal omywających mi stopy.

Wskazałem na swoje uszy i potrząsnąłem głową.

- Nie słyszę cię - powiedziałem. - Jestem głuchy.

Podszedł inny człowiek i we dwóch pomogli mi wstać. Na brzegu leżała mała łódź, której dziób tkwił w piasku, a rufa kołysała się na falach. Podprowadzili mnie i wsiedliśmy do łodzi. Być może coś mówili, ale ich nie słyszałem.

Powiosłowali po

Morzu Czerwonym, w kierunku oczekującego statku, w którym rozpoznałem okręt handlowy z Aleksandrii.

Snując swą opowieść stary człowiek ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Edgara. Teraz odwrócił się do morza.

- Wielu opowiadałem tę historię - powiedział - gdyż pragnę znaleźć innego człowieka, który słyszał pieśń, co uczyniła mnie głuchym.

Edgar dotknął lekko ramienia starca, bo chciał, żeby się odwrócił i widział jego wargi.

- Skąd pan wie, że to nie był sen? Że nie uderzył pan o coś głową podczas wypadku? Pieśni nie mogą ogłuszać ludzi.

- Och, chciałbym, żeby to był sen. Ale nie mogło tak być. Księżyc się zmienił, a okrętowy kalendarz, który ujrzałem następnego ranka podczas śniadania, wskazywał, że od zatonięcia mojego statku minęło dwadzieścia dni. Ale byłem o tym przekonany już wcześniej, gdyż rozbierając się poprzedniej nocy przed pójściem do łóżka, zauważyłem, jak bardzo zniszczone są moje sandały. A w Reweez, w ostatnim porcie, do którego zawinęliśmy przed wypadkiem, kupiłem nową parę. Poza tym - ciągnął - nie wierzę, że to pieśń mnie ogłuszyła. Myślę, że po tym, gdy usłyszałem coś tak pięknego, moje uszy po prostu przestały odbierać dźwięki, gdyż było oczywiste, że już nigdy więcej nie usłyszą czegoś równie doskonałego. Nie wiem, czy to ma znaczenie dla stroiciela strun.

Edgar czuł na twarzy żar słońca, które stało wysoko na niebie. Stary człowiek odezwał się znowu:

- Moja Jedyna Opowieść dobiegła końca, a nie mam innych historii do przekazania, gdyż tak jak po tamtej pieśni nie może istnieć dźwięk, tak dla mnie po tej opowieści nie istnieje żadna inna. A teraz musimy wejść do środka, gdyż

słońce potrafi nawet zdrowych uczynić szaleńcami.

Parowiec płynął przez Morze Czerwone. Wody pojaśniały, a oni przecięli cieśninę Bab alMandab i przybili do brzegu obmywanego przez fale Oceanu Indyjskiego. Rzucili kotwicę w Adenie; port pełen był okrętów, które sposobiły się do drogi we wszystkie strony świata. W cieniu statków śmigały drobne arabskie dhow z łańskimi ożaglowaniem. Edgar Drake stał na pokładzie i przyglądał się portowi oraz odzianym w długie szaty mężczyznom, którzy wspinali się z nabrzeża na pokład i z powrotem. Nie widział, by Człowiek z Jedną Opowieścią opuszczał statek, ale gdy spojrzał tam, gdzie mężczyzna zwykle przebywał, już go nie zobaczył.

5

Podróż jest teraz szybsza. Po dwóch dniach wybrzeże pokazuje się, jakby na próbę, w postaci drobnych, zalesionych wysepek, które usiały brzeg niczym fragmenty roztrzaskanego łądu. Są ciemne i zielone; Edgar nic nie widzi przez gęste listowie i zastanawia się, czy są zamieszkałe. Pyta współpasażera, emerytowanego administratora państwowego, który mówi, że na jednej z nich stoi świątynia zwana Elefantą, gdzie Hindusi czczą Słonia o Wielu Ramionach.

- To niezwykle miejsce, pełne zabobonów - mówi mężczyzna, a Edgar milczy. Kiedyś w Londynie stroił érarda bogatego bankiera z Indii, syna maharadży. Gospodarz pokazał mu stojącą na półce nad fortepianem kapliczkę słonia o wielu ramionach. Przysłuchuje się pieśni, powiedział Hindus, a Edgarowi spodobała się religia, której bogowie lubią muzykę, a fortepianu można użyć, by się modlić.

Szybciej. Setki małych rybackich łodzi, promów, tratw, dzonek i dhow roilo się u wejścia do portu w Bombaju, rozdzielając się przed kadłubem parowca. Statek wpływa wolno, wciskając się między dwie mniejsze jednostki handlowe.

Pasażerowie schodzą z pokładu na nabrzeże i wsiadają do należących do kompanii okrętowej powozów, które zabierają ich na stację kolejową. Nie ma

czasu chodzić po ulicach, mówi umundurowany przedstawiciel linii okrętowej; Pociąg czeka; Wasz parowiec spóźnił się o jeden dzień, gdyż wiał silny wiatr. Przechodzą przez bramę z tyłu dworca.

Edgar czeka, aż jego kufry zostaną wyładowane i załadowane ponownie.

Obserwuje uważnie; gdyby zginęły mu narzędzia, to nie dałoby się ich niczym zastąpić. Na drugim końcu stacji, gdzie stoją wagony trzeciej klasy, widzi tłum ludzi torujących sobie drogę na peron. Jakaś ręka ujmuje jego ramię i prowadzi do pociągu na miejsce do spania i wkrótce znowu ruszają.

Teraz szybciej; wyjeżdżają spomiędzy peronów i Edgar Drake widzi tłumy, jakich nigdy dotąd nie oglądał, nawet w najbiedniejszych dzielnicach Londynu. Pociąg nabiera prędkości, mijając miasta chat zbudowanych na skraju torów, dzieci pierzchają tuż przed lokomotywą. Edgar przyciska twarz do szyby i obserwuje bezładnie stłoczone domy, łuszczące się ściany naznaczone plamami pleśni, balkony udekorowane wiszącymi roślinami i ulice pełne tysięcy prących przed siebie ludzi, którzy patrzą na przejeżdżający pociąg.

*

Pociąg pędził w głąb Indii. Nasik, Bhusawal, Jabalpur, nazwy miast coraz dziwniejsze, pomyślał Edgar, coraz bardziej melodyjne. Pokonali rozległy płaskowyż, nad którym słońce wzeszło i zaszło, ale nie widać było żywej duszy. Od czasu do czasu lokomotywa zwalniała, zgrzytając, i zatrzymywała się na odludnych, wysmaganych przez wiatr stacjach. Tam, z cienia, na wagony rzucali się sprzedawcy i napierali na okna, rozsiewając kwaśną woń wapna i betelu, wtykając w ręce pasażerów talerze ostro pachnących potraw z mięsa przyprawionego curry, biżuterię, wachlarze, pocztówki przedstawiające zamki, wielbłądy i hinduskich bogów, owoce i zakurzone słodycze, żebracze miski, popękane dzbanki pełne brudnych monet. Przez okna docierały towary i głosy: Kup, panie, proszę; Kup panie, dla pana, sir, specjalnie dla pana; a pociąg znowu ruszał, a niektórzy sprzedawcy, zwykle młodzi mężczyźni, czepiali się wagonów, śmiejąc się, dopóki nie strąci ich pałka policyjna.

Czasami jechali dalej i zeskakiwali dopiero wtedy, gdy pociąg znacznie przyspieszał.

Pewnej nocy Edgar obudził się, kiedy pociąg wjechał na ciemną stacyjkę, leżącą gdzieś na południe od Allahabadu. Między stojącymi wzdłuż torów budynkami tłoczyli się ludzie. Peron był pusty, jeśli pominąć kilku sprzedawców, którzy maszerowali wzdłuż pociągu i zaglądali do środka, sprawdzając, czy ktoś nie śpi.

Jeden po drugim przystawali przy oknie Edgara; Mango, sir, dla pana; Chce pan, żeby wyczyścić panu buty, sir, proszę po prostu podać je przez okno; Samosa, są wysmienite, sir. To dosyć odludne miejsce jak na pucybuta, pomyślał Edgar, a przed jego oknem zatrzymał się młody mężczyzna. Nic nie mówił, tylko zaglądał i czekał. W końcu Edgar zaczął się czuć nieswojo pod spojrzeniem chłopaka. Co sprzedajesz, zapytał. Jestem poeta wallah, sir. Poeta wallah. Tak, sir, proszę mi dać jedno anna, a wyrecytuję panu wiersz. Jaki wiersz. Każdy, sir, znam wszystkie, ale dla pana mam specjalny wiersz, jest stary i pochodzi z Birmy, gdzie znają go jako „Opowieść o podróży Leipbya”, ale ja nazywam go po prostu „Duch Motyla”, gdyż sam zrobiłem adaptację; to tylko jedno anna. Wiesz, że jadę do Birmy; Skąd? Wiem, gdyż znam kierunek opowieści, moje wiersze to córki przepowiedni. Masz jedno anna, a teraz szybko, pociąg rusza. I tak było, koła obracały się z jękiem. Mów szybko, powiedział

Edgar, czując nagle przypływ paniki; Jest jakiś powód, dla którego wybrałeś mój wagon. Pociąg jechał szybciej, włosy młodego człowieka zaczęły powiewać na wietrze.

To jest opowieść o snach, krzyknął; One wszystkie są opowieściami o snach. Teraz jeszcze szybciej, a Edgar usłyszał inne głosy, Hej, chłopcze, puść się pociągu; Zjeżdżaj;

Odejdź, a Edgar chciał coś odkrzyknąć, kiedy w oknie ukazała się na krótko postać policjanta w turbanie, także biegł, mignęła pałka, chłopiec odpadł od wagonu i zniknął w ciemności nocy.

Lesisty teren opadał i wkrótce trasa pociągu zbliżyła się do koryta Gangesu. Minęli święte miasto Benares, w którym, w tym samym czasie gdy pasażerowie spali, ludzie wstali o świcie, by obmyć się w wodach rzeki i by się modlić. Po trzech dniach dotarli do Kalkuty, gdzie podróżujący ponownie wsiedli do powozów, a te przebiły się przez tłumy ludzi i dotarły na nabrzeże. Tam Edgar zaokrętował się na nowy statek, tym razem mniejszy, gdyż mniej ludzi płynęło do Rangun.

Maszyny parowe ruszyły znowu z hurkotem. Popłynęli błotnistą odnogą Gangesu na Zatokę Bengalską.

W górze krążyły mewy, a powietrze było ciężkie i wilgotne. Edgar zdjął koszulę i wachlował się kapeluszem. Na południu wisiały burzowe chmury. Wkrótce Kalkuta zniknęła z horyzontu. Brązowe wody Gangesu zbladły, wplatając w morze spirale osadów.

Edgar wyczytał w swoim przewodniku, że od Rangun dzielą ich tylko trzy dni żeglugi. Ponownie zabrał się do lektury. Jego torba była wyładowana papierami, w czym równy udział miała Katherine i Ministerstwo Wojny. Czytał wojskowe opracowania i gazetowe wycinki, osobiste relacje i rozdziały słowników geograficznych. Ślęczał nad mapami i usiłował nauczyć się kilku wyrażen po birmańsku.

Miał też kopertę zaadresowaną „Do stroiciela fortepianów, otworzyć dopiero po przybyciu do Mae Lwin, A. C”. Jej zawartość chciał poznać od chwili opuszczenia

Anglii, ale z szacunku dla doktora oparł się pokusie; z pewnością Carroll miał powód, żeby prosić go o cierpliwość. W torbie znajdowały się też dwa dłuższe opracowania: historia Birmy i historia Szanu. Tę pierwszą przeczytał jeszcze w swoim warsztacie w

Londynie, i ciągle do niej wracał. To onieśmielający tekst, pomyślał, pełen obcych nazw. Teraz przypomniał sobie, że to drugie opracowanie Katherine polecała mu jako napisane przez samego Anthony’ego Carrola. Edgar był

zdumiony, że wyleciało mu to z głowy, i zabrał raport do łóżka. Po pierwszych kilku linijkach przekonał się, jak bardzo tekst różnił się od innych dokumentów.

POWSZECHNA HISTORIA LUDU SZAN,

ZE SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM SYTUACJI

POLITYCZNEJ W TRAKCIE REWOLTY W STANACH SZAN przedłożone przez majora Anthony'ego Carrolla,

Mae Lwin, południowe stany Szan

(Z Ministerstwa Wojny: Proszę mieć na uwadze, że przedmiot niniejszego

raportu podlega zmianom. Zaleca się, by wszystkie zainteresowane strony

dokładnie zapoznały się z uzupełnieniami do tych doniesień, udostępnianymi na życzenie przez

Ministerstwo Wojny).

I. Powszechna historia Szanu

Gdyby ktoś zapytał Birmańczyka o geografę jego kraju, prawdopodobnie ten posłużyłby się najpierw opisem ngahlyin, czterech olbrzymów, którzy mieszkają pod ziemią. Niestety, w oficjalnych memorandach nie ma miejsca na podobne zawiłości.

Niemożliwe jest także zrozumienie historii ludu Szan bez krótkiego opisu ukształtowania jego ojczyzny. Obszar nazywany obecnie „stanami Szan” obejmuje olbrzymi płaskowyż, spływający ku wschodowi ponad pylistą doliną środkowego biegu rzeki

Irawadi. Jest to rozległa, zielona elizejska równina, która na północy ciągnie się do granicy z Yunnanem, a na wschodzie do granicy z Syjamem. Ten płaskowyż przecinają potężne rzeki, skręcające na południe niczym ogony himalajskiego smoka. Największą z nich jest Saluin. Wpływ geografii na historię (a przez to na obecną sytuację polityczną) wynika z pokrewieństwa Szanów z innymi plemionami płaskowyżu, jak również z ich odizolowania od zamieszkujących niziny Birmańczyków. Tutaj wprowadzająca niekiedy w błąd terminologia zasługuje na wyjaśnienie: słowa

„Birmańczyk” używam na określenie grupy etnicznej, podczas gdy termin „birmański” służy do opisanego królestwa i rządu Birmy, a także języka. Chociaż w niektórych wypadkach to rozróżnienie ulega zatarciu, może być jednak ważne: nie każdy birmański król był Birmańczykiem, ale każdy birmański władca miał niebirmańskich poddanych, a wśród nich, prócz wielu innych, Kaczarów, Karenów i Szanów; wszyscy oni mieli niegdyś własne królestwa w obrębie obecnych granic „Birmy”. Dzisiaj, chociaż te plemiona są osłabione przez wewnętrzne podziały, nadal burzą się przeciwko obcemu panowaniu. Jak wyjaśni to dalsza część raportu, opór Szanów wobec brytyjskiego zwierzchnictwa znajduje swoje źródło w buncie przeciwko królowi birmańskiemu.

Szanowie, którzy mówią o sobie Tai lub Thai, mają wspólną historię ze swoimi wschodnimi sąsiadami, Syjamczykami, Laotańczykami i Yunnańczykami.

Szanowie wierzą, że ojczyznę ich przodków były południowe Chiny. I chociaż niektórzy uczeni kwestionują ten fakt, istnieją wystarczające dowody na to, że pod koniec dwunastego wieku, w czasie najazdów Mongołów, lud TaiThai założył wiele królestw.

Obejmowały one legendarne yunnańskie królestwo Xipsongbanny, którego nazwa oznacza „królestwo dziesięciu tysięcy pól ryżowych”, starożytną stolicę syjamską w

Sukhothai i - dużo ważniejsze ze względu na temat tego opracowania - dwa królestwa w obrębie obecnych granic Birmy: królestwo Tai Mao na północy i królestwo Awy w najbliższym sąsiedztwie dzisiejszego Mandalaju. Siła tych królestw była rzeczywiście znaczna; Szanowie władali większą częścią Birmy przez ponad trzy wieki, od upadku - na przełomie trzynastego wieku - wielkiej stolicy birmańskiej w

Pagan (której ogromne, zniszczone przez wiatr świątynie nadal czuwają samotnie na brzegach rzeki Irawadi) aż do roku 1555, kiedy to birmańskie państwo Pegu zdominowało szanńskie imperium Awy, rozpoczynając okres

trzechsetletniego panowania, które doprowadziło do utworzenia współczesnego królestwa Birmy.

W wyniku upadku szańskiego królestwa Awy w 1555 roku oraz spustoszenia królestwa Tai Mao przez chińskich najeźdźców w 1604 roku kraj Szanów rozpadł się na małe księstwa, przypominające skorupy, niegdyś pięknej, porcelanowej wazy. To rozdrobnienie trwa w stanach Szan po dzień dzisiejszy. Jednak pomimo powszechnego rozbicia Szanowie mobilizowali się od czasu do czasu przeciwko wspólnemu birmańskiemu wrogowi, szczególnie w trakcie ludowego buntu Szanów w

Hanthawaddy w 1564 roku czy bardziej współcześnie, podczas rebelii, której przyczyną była egzekucja ludowego przywódcy w mieście Hsenwi w północnym

Szanie. Chociaż powyższe wydarzenia mogą się wydawać odległym wspomnieniem, ich znaczenia nie można nie doceniać, gdyż w czasach zawieruchy wojennej owe legendy, powtarzane szeptem przez starszych i opowiadane dzieciom, które słuchają ich z szeroko otwartymi oczami, wznoszą się z dymem obozowych ognisk i rozprzestrzeniają po płaskowyżu jak płomień w dotkniętym suszą kraju.

Wynikiem tego rozbicia był rozwój wyjątkowych struktur politycznych, którym należy przyjrzeć się z uwagą, gdyż w obecnej sytuacji mają wielkie znaczenie.

Księstwa

Szan (do lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku było ich czterdzieści jeden) stanowiły najwyższy szczebel organizacji wysoce zhierarchizowanego systemu lokalnej władzy. W takich księstwach, nazywanych przez Szanów muang, władzę sprawował sawbwa (birmańska transliteracja, którą przyjmę w dalszej części tego raportu). Sawbwa miał bezpośredni nadzór nad pozostałymi jednostkami, zaczynając od okręgów, a kończąc na kilku wsiach i pojedynczych siółach. Ten podział władzy doprowadzał często do morderczych wojen na płaskowyżu i nie pozwalał Szanom zjednoczyć się w celu zrzucenia

birmańskiego jarzma. Tutaj analogia z rozbitą wazą nabiera użyteczności, gdyż tak jak w kawałkach porcelany nie można utrzymać wody, tak dzielnicowe rządy niewiele mogły uczynić w sprawie opanowania narastającej anarchii. W wyniku tej sytuacji większą część terenów Szanu dotyka plaga band dakoitów (hindustańskie słowo oznaczające bandytów) - jest to wielkie wyzwanie dla administracji tego regionu, chociaż różne od zorganizowanego oporu, znanego jako konfederacja Limbina, która stanowi temat pozostałej części raportu.

II. Konfederacja Limbina, Twet Nga Lu i obecna sytuacja

W 1880 roku powstał i trwa do dziś zorganizowany ruch Szanów przeciwko Birmańczykom. (Proszę zauważyć, że w tym czasie Anglia kontrolowała tylko Dolną

Birmę. Górna Birma i Mandalaj pozostawały nadal we władaniu birmańskiego króla).

Tego roku sawbwowie stanów Mongnai, Lawksawk, Mongpaw i Mongnawng odmówili stawienia się przed birmańskim królem Thibawem, by złożyć mu doroczny hołd z okazji Nowego Roku. Wysłanej przez Thibawę kolumnie wojskowej nie udało się schwytać zbuntowanych sawbwów. Później, w 1882 roku, opór przybrał na gwałtowności. Sawbwa Kengtung napadł i zabił birmańskiego rezydenta w tym księstwie. Zainspirowany tym zuchwalstwem sawbwa Mongnai i jego sprzymierzeńcy wznieśli otwarty bunt. W listopadzie 1883 roku rebelianci zaatakowali birmański garnizon w Mongnai i zabili czterystu żołnierzy, ale ich sukces był krótkotrwały.

Birmańczycy przeprowadzili kontratak, zmuszając zbuntowanych przywódców Szanów do ucieczki przez rzekę Salum do Kengtungu, którego strome wąwozy i gęste dżungle zapewniały rebeliantom ochronę przed dalszymi atakami.

Chociaż rewolta była skierowana przeciwko birmańskiemu rządowi, celem sprzeciwu nie była niepodległość Szanów; fakt historyczny, który jest często błędnie pojmowany. W istocie sawbwowie rozumieli, że bez silnej władzy centralnej stany

Szan będą zawsze pustoszone przez wojnę. Ich głównym celem było obalenie Thibawa i koronowanie władcy, który zniósłby thathameda, podatek gruntowy, uważany przez nich za niesprawiedliwy. Tak więc na swego kandydata do tronu wybrali

Birmańczyka, księcia Limbina, pozbawionego prawa sukcesji przedstawiciela panującej dynastii domu Alaungpaya. Ta rebelia stała się znana jako konfederacja

Limbina. W grudniu 1885 roku książę przybył do Kengtungu. Chociaż ruch nosi jego imię, liczne dowody wskazują na to, że był on jedynie figurantem, prawdziwą zaś władzę skupiają w swoich rękach szanścy sawbwowie.

Tymczasem kiedy książę Limbin podążał odludnymi szlakami w góry, między Górną Birmą a Brytanią wybuchła znowu wojna: trzecia i ostatnia wojna angielskobirmańska. Nasze siły zadały całkowitą klęskę Birmańczykom pod Mandalajem na dwa tygodnie przed przybyciem księcia Limbina do Kengtungu, ale z powodu rozległości i niedostępności terenów oddzielających Kengtung od Mandalaju wiadomość o wyniku zmagania dotarła do członków konfederacji nie wcześniej jak w połowie grudnia. Chociaż mieliśmy nadzieję, iż konfederacja Limbina zaniecha oporu i podporządkuje się naszej władzy, rebelianci zmienili swoje pierwotne cele i w imię niepodległości Szanu wypowiedzieli wojnę Koronie Brytyjskiej.

Powiadają, że natura nie znosi próżni, i to samo można powiedzieć o polityce. Co prawda ucieczka członków konfederacji Limbina do Kengtungu w 1883 roku pozostawiła w wielu potężnych muangach Szan nieobsadzone trony, ale zostały one natychmiast zajęte przez miejscowych wodzów. Wśród uzurpatorów wyróżniał się wojownik zwany Twet Nga Lu, który de facto stał się władcą Mongnai. Urodzony w

Kengtawng (nie mylić z Kengtungiem - czasami człowiek się zastanawia, czy Szanowie nazywają swoje miasta po to, by popłatać Anglikom języki), w rejonie Mongnai, Twet Nga Lu był pozbawionym święceń mnichem, który został

lokalnym zbójcem, a jego okrucieństwo stało się głośne jak kraj długi i szeroki, przynosząc mu przezwisko Herszt Bandytów. Zanim sawbwa Mongnai uciekł do Kengtungu, Twet

Nga Lu przeprowadził kilka ataków na Mongnai. Ponieważ w większej części zakończyły się niepowodzeniem, Twet Nga Lu zmienił taktykę, przeniósł się z pola walki do łoża i w końcu zdobył władzę dzięki małżeństwu z wdową po bracie sawbwy.

Kiedy sawbwa uciekł do Kengtungu, Twet Nga Lu, przy poparciu birmańskich urzędników, całkowicie opanował Mongnai.

Twet Nga Lu, razem z innymi de facto uzurpatorami, rządził aż do początku 1886 roku, kiedy siły konfederacji Limbina podjęły ofensywę i odzyskały sporą część kraju. Twet Nga Lu uciekł z powrotem do swego rodzinnego miasta i nadal stosuje przemoc, pozostawiając za swoimi wojskami zgliszcza spalonych wsi. Nienawiść między mm a sawbwą Mongnai to jedna z największych przeszkód na drodze do ustanowienia pokoju. Podczas gdy sawbwa wzbudza szacunek u swoich poddanych, Twet Nga Lu słynie nie tylko z okrucieństwa, ale zyskał także sławę mistrza tatuaży i czarów; powiadają, że w jego ciele tkwią setki amuletów, które czynią go niezwyciężonym i z tego powodu otacza go aura strachu i czci. (Krótka uwaga: Takie przedmioty są ważnym przejawem kultury zarówno birmańskiej jak i szańskiej. Może to być wszystko, co zostanie umieszczone pod skórą po jej płytkim nacięciu, od małych klejnotów i muszli począwszy, a na figurkach Buddy skończywszy. Szczególnie szokować mogą, spotykane głównie wśród rybaków, wszczepione pod skórę męskich genitaliów kamyki i dzwonki, których cel praktyczny i funkcja umykają nadal dociekaniom autora).

W czasie pisania tego raportu konfederacja Limbina rośnie w siłę, a Twet Nga Lu pozostaje na wolności, mimo że oczywistym dowodem stosowania przez niego terroru są stygnące popioły spalonych miasteczek i wymordowani wieśniacy.

Wszystkie próby negocjacji okazały się daremne. Ze swojego posterunku w forcie Mae

Lwin nie byłem w stanie nawiązać kontaktu z konfederacją Limbina, a próby porozumiewania się z Twet Nga Lu także spaliły na panewce. Jak dotąd mamy tylko kilka potwierdzonych przez władze brytyjskie świadectw, że widziano tego watażkę, pojawiają się nawet pytania, czy ten człowiek istnieje naprawdę, czy też jest tylko legendą, opartą na setkach ataków niepowiązanych ze sobą grup dakoitów. Niemniej jednak za Herszta Bandytów, martwego lub żywego, wyznaczono nagrodę, co jest jednym z wielu nieustających wysiłków podejmowanych w celu zaprowadzenia pokoju na płaskowyżu Szan.

Edgar przeczytał cały raport jednym tchem. Wśród dokumentów znajdowały się jeszcze inne krótkie notatki autorstwa Carrolla, a wszystkie podobne, pełne dygresji dotyczących etnografii i historii naturalnej. U góry pierwszej strony jednego z dokumentów, opisu traktów handlowych, doktor nabazgrał: „Proszę wykorzystać do zapoznania stroiciela fortepianów z geografią kraju”. Notatce towarzyszyły dwa poufne dodatki, jeden dotyczył pewnych szlaków górskich przydatnych dla przeprawy artylerii, a drugi stanowił kompendium wiedzy o roślinach jadalnych, sporządzone

„na wypadek, gdyby oddział zagubił się bez pożywienia”, i zawierające szkice przekrojowe kwiatów oraz nazwy każdej rośliny w pięciu różnych językach plemiennych.

Kontrast pomiędzy raportami doktora a innymi dokumentami wojskowymi, które Edgar przeczytał, był uderzający, i zastanawiał się, czy przypadkiem nie tutaj kryje się źródło jakiejś wrogości przedstawicieli armii. Wiedział, że większość oficerów miała ziemiańskie rodowody i pokończyła najlepsze szkoły. Potrafił zatem wyobrazić sobie ich urazę do takiego człowieka jak doktor, który pochodził z dużo skromniejszej rodziny, ale który - wydawało się - był dużo lepiej wykształcony. Być może dlatego i ja go lubię, pomyślał. Sam bowiem po ukończeniu szkoły opuścił dom rodzinny i zamieszkał w City u stroiciela

fortepianów, ekscentrycznego starszego mężczyzny, który uważał, że dobry stroiciel musi posiadać wiedzę nie tylko o wybranym przez siebie instrumencie, ale również z zakresu „fizyki, filozofii i poezji”; tym samym mimo że nie uczęszczał nigdy na uniwersytet, obchodził swoje dwudzieste urodziny jako człowiek lepiej wykształcony od wielu, którzy studiowali.

Między doktorem a mną są także inne podobieństwa, pomyślał Edgar. Nasze profesje są pokrewne na wiele sposobów, a nas łączy to, że przekraczamy granice klas społecznych - wszyscy ludzie chorują, a fortepiany koncertowe rozstrajają się tak samo jak pianina w szynkach. Edgar zastanawiał się, co to oznacza dla doktora, gdyż sam przekonał się bardzo wcześnie, iż bycie potrzebnym to nie to samo co bycie akceptowanym. Chociaż był częstym gościem w domach ludzi z wyższych sfer, a właściciele drogich fortepianów wciągali go w rozmowy o muzyce, nie czuł się tam nigdy mile widziany. A ten wyraźnie odczuwany chłód Edgar przenosił dalej, gdyż sam zachowywał się powściągliwie w obecności cieśli, kowali czy tragarzy, z którymi miał często do czynienia w swojej pracy. Pamiętał, że o tym poczuciu braku przynależności powiedział Katherine niedługo po ich ślubie, gdy pewnego poranka szli wzdłuż Tamizy. Ona tylko się roześmiała i pocałowała go; policzki miała zaczerwienione z zimna, a usta ciepłe i wilgotne. Pamiętał to niemal tak dobrze, jak jej odpowiedź; Sądź, co chcesz, na temat tego, gdzie przynależysz, ale dla mnie najważniejsze jest to, że jesteś mój. Co do innych znajomości, znalazł przyjaźń na polu wspólnych zainteresowań; było to uczucie tego rodzaju, jakie teraz, płynąc parowcem do Rangun, żywił wobec doktora.

Szkoda, że Carroll nie napisał o samym fortepianie, pomyślał, gdyż to instrument jest celem wszystkich tych zabiegów, i brak wzmianki o nim w dotychczasowej opowieści to oczywiste zaniedbanie. Ubawiła go własna myśl: doktor zmusił wojskowych do przeczytania swoich opracowań przyrodniczych, byłoby nie najgorzej, gdyby także musieli zdobyć się na poznanie historii fortepianu. W ferworze twórczego zapału oraz wzrastającego poczucia jedności

posłannictwa z doktorem wstał, wyjął kałamarz, pióro i papier, zapalił nową świecę, gdyż pierwsza prawie się wypaliła, i zaczął pisać.

Szanowni Panowie, piszę do Panów z pokładu parowca płynącego do Rangun. To czternasty dzień naszej podróży, podczas której doznaję niezwykłych wrażeń za sprawą widoków, jakich dostarcza trasa, oraz dzięki nadzwyczaj pouczającym opracowaniom przekazanym mi przez Wasze Ministerstwo. Jednakże dociera do mnie, że niewiele napisano o samym celu naszych starań, a mianowicie o fortepianie. W związku z tym, mając na uwadze tyleż Historię, co i kwestię ogólnego wykształcenia personelu w Ministerstwie Wojny, uważam za niezbędne, by własnoręcznie spisać dzieje instrumentu. Proszę się czuć upoważnionymi do podzielenia się tą wiedzą z każdym, z kim Panowie zechcą.

Gdybyście Panowie pragnęli uzyskać jakiegokolwiek dalsze informacje, będę bardziej niż szczęśliwy, mogąc je przekazać.

Historia fortepianu Érarda

Historię fortepianu Érarda można by rzecz jasna opowiedzieć na dwa sposoby, to znaczy opisać dzieje instrumentu albo losy Sebastiena Érarda. Ale te pierwsze są długie i zagmatwane - mimo że fascynujące, stanowią zbyt duże wyzwanie dla mego pióra, gdyż jestem stroicielem z zamiłowaniem do historii, a nie historykiem z zamiłowaniem do strojenia. Wystarczy powiedzieć, że fortepian wynaleziony w siedemnastym wieku przez Cristoforiego przeszedł wielkie modyfikacje, a fortepian Érarda, temat tego listu, jest dłużnikiem - jak wszystkie współczesne fortepiany - tej wielkiej tradycji.

Sébastien Érard pochodził ze Strasburga i był Niemcem, ale w 1768 roku, gdy miał szesnaście lat, przybył do Paryża i został terminatorem u wytwórcy klawikordów.

Chłopiec był - by powiedzieć wprost - geniuszem, więc niebawem porzucił terminowanie i otworzył własną pracownię. Inni paryscy rzemieślnicy czuli się

na tyle zagrożeni jego talentem, że podjęli kampanię, mającą zmusić go do zamknięcia warsztatu.

Stało się tak, gdy zaprojektował clavecin mécanique, klawikord o wielu rejestrach, z wałem i plektronem ze skóry wołowej, wszystko obsługiwane przez pomysłowy mechanizm pedałowy, który był jego wynalazkiem. Pomimo bojkotu model okazał się tak wspaniały, że księżna Villeroi udzieliła młodemu Érardowi wsparcia finansowego.

Zaczął więc budować fortepiany, a szlachetnie urodzeni przyjaciele księżnej zaczęli je kupować. Tym razem ściągnął na siebie gniew importerów, którzy dostrzegli w tym konkurencję dla sprowadzanych angielskich fortepianów.

Próbowali napaść na jego dom, ale powstrzymał ich nie kto inny jak żołnierze Ludwika XVI; Érard był tak sławny, że król nadał mu pełne prawo handlu.

Pomimo wsparcia króla Érard spoglądał za granicę, a w połowie lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku wyjechał do Londynu, gdzie przy Great Marlborough Street otworzył kolejny warsztat. Był tam czternastego lipca 1789 roku, kiedy szturmowano Bastylię, a także trzy lata później, gdy Francję wstrząsały konwulsje okresu terroru. Tę historię, jestem pewien, dobrze Panowie znacie. Wielu bogaczy uciekło z kraju lub zostało skazanych na śmierć na gilotynie. Ale o pewnym fakcie wiedzą nieliczni: zbiegowie lub straceni pozostawili tysiące dzieł sztuki, a wśród nich instrumenty muzyczne. Cokolwiek można by powiedzieć o francuskim guście, to warto odnotować, iż nawet w bólach rewolucji, kiedy swoje głowy tracili naukowcy i muzycy, ktoś uznał, że należy ocalić muzykę. Powołano Tymczasowy Komitet Sztuki, a Antonio Bartolomeo Bruni, mierny skrzypek w Comédie Italienne, został mianowany

Dyrektorem Zasobów. Przez czternaście miesięcy gromadził instrumenty skazanych.

W sumie zebrano ich ponad trzysta, a każdy z nich ma własną tragiczną historię. Antoine Lavoisier, wielki chemik, stracił w okresie terroru życie i francuski

fortepian

Zimmermana. Niezliczone inne używane po dziś dzień instrumenty mają podobne rodowody. Spośród nich sześćdziesiąt cztery to fortepiany, a z tych francuskiej roboty większość skonfiskowanych to érardy - dokładnie dwanaście. Czy to ze względu na gust Bruniego czy też samych ofiar to ponure wyróżnienie być może w najtrwalszy sposób ugruntowało Érardowi opinię najlepszego wytwórcy fortepianów. To znamienne, że ani Sébastien, ani jego brat Jean Baptiste, który pozostał w Paryżu, nie stanęli nigdy przed trybunałem, pomimo że byli wspierani przez tron. Wiadomo, gdzie znajduje się jedenaście spośród dwunastu francuskich érardów, ja zaś stroilem wszystkie, które obecnie są w Anglii.

Sébastien Érard oczywiście już nie żyje, ale jego warsztat nadal funkcjonuje w Londynie. Reszta tej historii dotyczy technicznego piękna, ale jeśli nie możecie, Panowie, pojąć mechaniki tego, co opisuję, musicie przynajmniej ją docenić, tak jak ja doceniam działanie waszych armat, bez zrozumienia chemicznej natury gazów, które każą im strzelać. Innowacje Érarda zrewolucjonizowały budowę fortepianów.

Mechanizm repetycyjny, mécanisme à étrier, mocujący młotki do dźwigni pojedynczo zamiast w grupach po sześć, jak w fortepianach Broadwooda, klamra i poprzeczka harmoniczna - wszystko to są wynalazki Érarda. Napoleon grał na érardzie; Érard posłał Haydnowi fortepian w prezencie; na jednym z érardów grał przez siedem lat

Beethoven.

Mam nadzieję, że powyższe informacje pomogą Waszemu personelowi lepiej zrozumieć i docenić wspaniały instrument, który znajduje się teraz na odległych rubieżach naszego Imperium. Takie dzieło zasługuje nie tylko na szacunek i uwagę.

Powinno się o nie dbać w taki sposób, w jaki ktoś inny chroniłby objet d'art w muzeum. Praca stroiciela godna jest wysokiej klasy instrumentu i, mam

nadzieję, da początek stałej opieki nad nim.

Wasz uniżony sługa

Edgar Drake stroiciel i intonator specjalista od fortepianów Érarda

Skończywszy pisać, Edgar, siedział, patrzył na list i obracał w palcach pióro. Po chwili namysłu przekreślił „o nie dbać”, a powyżej napisał „bronić je”.

Ostatecznie to są wojskowi. Złożył pismo w kształt koperty i wsunął do torby, by wysłać pocztą z

Rangunu. W końcu poczuł się senny.

Mam nadzieję, że przeczytają ten list, pomyślał; zasypiając, uśmiechał się do siebie. W tym momencie nie mógł żadną miarą wiedzieć, ile razy jego pismo będzie czytane, poddane rozmaitym badaniom, wysłane do kryptografów, oglądane pod światło, a nawet badane przez powiększające szkło. Bo kiedy człowiek znika, chwytny się wszystkiego, co po nim pozostało.

6

Rankiem, trzeciego dnia od opuszczenia Kalkuty, dostrzegli pierwszy skrawek lądu, na którym wznosiła się wysoka, kamienna, czerwona wieża latarni morskiej.

- Rafa Alguada - usłyszał Edgar starszego Szkota, stojącego obok, który mówił do towarzysza podróży. - Cholernie trudna do nawigacji. To cmentarzysko przepływających okrętów.

Z map Edgar dowiedział się, że są zaledwie czterdzieści kilometrów na południe od przylądka Negrais i niebawem dotrą do Rangun.

Przed upływem godziny statek minął pławy oznaczające mielizny, które rozciągają się u ujścia rzeki Rangun, jednej z setek odnóg złojących delte Irawadi.

Następnie przepłynął obok kilku zakotwiczonych jednostek; były to, jak wyjaśnił stary człowiek, statki handlowe, które próbowały uniknąć opłat portowych. Parowiec skręcił na północ, a ławice piasku wzniosły się ponad otaczający teren i stały się niskimi, zalesionymi brzegami. Tutaj koryto rzeki

było głębsze, ale nadal na ponad trzy kilometry szerokie, i gdyby nie wielkie czerwone obeliski po obu stronach ujścia, Edgar nie wiedziałby, że żeglują w głębi ładu.

Kilka godzin płynęli w górę rzeki. Po obu jej stronach ciągnął się płaski i w większości nieciekawym teren, a mimo to Edgar poczuł nagłe podniecenie, gdy minęli grupę małych pagód pobielonych wapnem, które odłaziło ze ścian. Dalej w głębi ładu na brzegu baraszkowały dzieci i stało kilka chat. Rzeka się zwężyła i oba brzegi na tyle się przybliżyły, że widać było piasek i zwisające nad nim festony gęstniejącej roślinności. Statek płynął krętym kursem; tempo żeglugi spowalniały piaszczyste ławice i ostre zakola rzeki. W końcu za jednym z zakrętów w oddali pokazały się łodzie. Pomruk rozszedł się na pokładzie i kilku pasażerów ruszyło w stronę schodów i do swoich kabin.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytał Edgar starego człowieka.

- Tak, proszę spojrzeć tam dalej. - Mężczyzna wskazał wznoszącą się na szczycie odległego wzgórza pagodę. - To pagoda Shwedagon. Musiał pan o niej słyszeć.

Edgar skinął głową. Istotnie dowiedział się o świątyni przed otrzymaniem zlecenia na naprawę érarda; przeczytał o jej wspaniałościach w artykule napisanym przez żonę sędziego z Rangun. W jej opisie roilo się od przymiotników: połączane, złote, lśniące. Edgar przejrzał tekst, szukając wzmianki o organach lub ich odpowiedniku w religii buddyjskiej, gdyż przypuszczał, że tak ważne miejsce kultu nie może się obejść bez muzyki, ale znalazł wyłącznie uwagi o „błyszczących, złotych klejnotach” oraz o „osobliwych zachowaniach Birmańczyków”, więc reportaż znużył go i dopiero teraz sobie o nim przypomniał. Z oddali świątynia wydawała się mała i wyglądała jak świecidełko.

Parowiec zwolnił. Domy, widoczne od czasu do czasu na brzegu, zaczęły częściej wyzierać spoza listowia. Edgara poruszył widok pracujących słoni, na ich grzbietach siedzieli powodujący nimi poganiacze, a zwierzęta wyciągały z

wody olbrzymie pnie i składały na brzegu. Jego niedowierzanie budziła siła zwierząt, które tak błyskawicznie wydobywały z rzeki kłody, jakby te nic nie ważyły. Gdy statek zbliżył się do lądu, słonie widać było wyraźniej. Człapały wzdłuż brzegu, a po skórze spływały im strumyczki brązowej wody.

Rzeką coraz częściej przepływały statki - dwupokładowe parowce, zniszczone łodzie rybackie, ozdobione wijącymi się birmańskimi napisami, małe łódki wiosłowe i wąskie skify, kruche i z trudem mogące pomieścić jednego człowieka. Mijali także okręty o kadłubach i żaglach niezwyklej kształtów. Nieopodal brzegu przepłynął obok nich dziwny statek o wielkim żaglu łopoczącym ponad dwoma mniejszymi.

Zbliżali się szybko do nabrzeża i można było dostrzec rządowe budynki w europejskim stylu - majestatyczne ceglane budowle ozdobione błyszczącymi kolumnami.

Parowiec dopłynął do krytego pomostu, połączonego z brzegiem długą, uchylnie zawieszoną platformą. Na nabrzeżu czekał tłum tragarzy. Śruby zawirowały w odwrotnym kierunku, by spowolnić ruch statku, jeden z majtków rzucił cumę na brzeg; złapano ją tam i przywiązano do dwóch pacholków. Tragarze, nadzy, jeśli pominąć obwiązane w pasie i przeciągnięte w pachwinach przepaski, wrzeszczeli, żeby z nabrzeża opuścić trap. Gdy piasnął głośno o pokład, mężczyźni przeszli po nim i zajęli się bagażami pasażerów. Edgar stał w cieniu markizy i obserwował tubylców.

Byli niscy, a głowy mieli obwiązane ręcznikami chroniącymi przed słońcem. Ich ciemną skórę pokrywały tatuaże, które rozlewały się po torsach, a potem spływały w dół pod przepaski biodrowe i wynurzały się na udach, owijały wokół i kończyły się nad kolanami.

Edgar spojrzał na pozostałych pasażerów; większość stała bezczynnie na pokładzie i rozmawiała, niektórzy wskazywali na rządowe budynki i wypowiadali uwagi na ich temat. Zwrócił się ponownie ku miejscowym i obserwował ich ruchy oraz zmieniające się kształty tatuaży, gdy żylaste ramiona

napinały się pod ciężarem skórzanych kufrów i waliz. Na brzegu, w cieniu drzew, tłum czekał obok rosnącego stosu pakunków. Za nimi w pobliżu niskiej bramy Edgar dojrzał mundury brytyjskich żołnierzy. A za żołnierzami, w cieniu rozrośniętych, wyznaczających brzeg rzeki figowców dostrzegł jakiś ruch, coś, co układało się w mroku w ruchomy deseń.

W końcu wytatuowani mężczyźni skończyli wyładowywanie bagaży, a pasażerowie zeszli po trapie w stronę oczekujących powozów, kobiety ukazały się pod parasolkami, a mężczyźni w cylindrach lub w tropikalnych hełmach. Edgar szedł za starszym człowiekiem, z którym rozmawiał wczesnym rankiem; przechodząc po chwiejącym się trapie, sprawdził swój zmysł równowagi i znalazł się na drewnianym nabrzeżu. Plan podróży Edgara zakładał jedynie, że w porcie mają go powitać przedstawiciele wojska. Przez krótką chwilę poczuł nagły atak paniki: Może nie wiedzą, że przyplłynąłem, pomyślał.

Cienie za wartownikami poruszyły się jak budzący się zwierz. Edgar pocił się obficie, wyjął więc chusteczkę i otarł nią czoło.

- Panie Drake! - krzyknął ktoś z tłumu.

Edgar poszukał wzrokiem wołającego. W cieniu stała grupa żołnierzy. Ujrzał podniesione ramię.

- Tutaj, panie Drake.

Edgar przepchnął się przez tłum pasażerów i ich służących, którzy kłębili się wokół bagaży. Młody wojskowy wystąpił naprzód i podniósł rękę.

- Witamy w Rangunie, panie Drake. Dobrze, że mnie pan zauważył, sir. Nie wiedziałbym, jak pana poznać. Kapitan Dalton, pułk Herefordshire.

- Miło mi. Rodzina mojej matki pochodzi z Hereford - powiedział Edgar.

Oficer rozpromienił się.

- To ci traf!

Był młody i opalony, miał szerokie ramiona i zaczesane na bok blond włosy.

- Istotnie, niezwykle przypadek - odparł stroiciel, spodziewając się, że tamten powie coś więcej, ale oficer roześmiał się tylko, jeśli nie z powodu tego

drobnego zbiegu okoliczności, to dlatego, że niedawno otrzymał awans na kapitana i z dumą podkreślał swoją rangę. A Edgar odwzajemnił uśmiech, gdyż zdawało mu się, że po przebyciu blisko dziesięciu tysięcy kilometrów znalazł się nagle z powrotem w kraju.

- Ufam, że miał pan miłą podróż?

- Rzeczywiście przyjemną.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, żeby chwilę zaczekać.

Musimy przewieźć do budynku dowództwa jeszcze inne bagaże.

Kiedy zgromadzono wszystkie pakunki, jeden z żołnierzy zawołał tragarzy, a ci załadowali kufry na swoje barki. Minęli wartowników przy bramie i wyszli na ulicę w miejscu, gdzie oczekiwały powozy.

Później Edgar napisze do Katherine, że piętnaście kroków, które zrobił od bramy do czekających pojazdów, sprawiło, iż Birma ukazała się jak zza podniesionej na scenie kurtyny. Kiedy wyszedł na ulicę, wokół niego spęczniał tłum. Odwrócił się.

Ciemne dłonie podawały kosze potraw. Miejscowe kobiety o pomalowanych na biało twarzach patrzyły na niego, trzymając w rękach girlandy kwiatów. Do nogi przylgnął mu żebrak, ponury chłopak, który miał ciało pokryte strupami i ciekącymi wrzodami; Edgar odwrócił się ponownie i wpadł na grupę mężczyzn niosących skrzynie przypraw zawieszane między długimi tyczkami. Z przodu wojskowi przepychali się przez tłum i gdyby nie gałęzie olbrzymich figowców, wyglądający z budynków zajmowanych przez urzędy zobaczyliby sznur mundurów wijących się wśród mozaiki barw i poruszającego się wolno samotnego mężczyznę, jakby zagubionego, który odwrócił się, usłyszawszy chrząknięcie. Przed nim sprzedawca betelu splunął prosto pod nogi, a gdy stroiciel przyglądał mu się, próbując zrozumieć, czy to groźba, czy może po prostu reklama, usłyszał, że jeden z wojskowych mówi: - Pan pierwszy, panie Drake - gdyż dotarli do powozu. I tak szybko, jak Edgar wszedł w ten świat, tak szybko z niego uciekł, wsiadając z pochyloną głową do pojazdu. Miał wrażenie,

że ulica zaczęła się natychmiast oddalać.

Za nim wsiedli trzej żołnierze; dwaj zajęli miejsca naprzeciwko niego, a jeden usiadł u jego boku. Z dachu dobiegło szuranie towarzyszące ładowaniu bagaży. Woźnica wspiął się na kozioł; Edgar usłyszał krzyk i trzaskanie bata. Powóz ruszył.

Siedział zwrócony twarzą w kierunku jazdy, ale usytuowanie okna utrudniało wyglądanie na zewnątrz, więc widoki przesuwały się szybko jeden po drugim jak przerzucane strony tanich książek z obrazkami, każdy niespodziewany, ujęty w ramę okna. Kapitan uśmiechał się nadal.

Przejechali wolno przez tłum, po czym przyspieszyli, gdy ciżba sprzedawców się przerzedziła. Minęli szereg budynków rządowych. Przed jednym z nich stała grupa rozmawiających wąsatych Anglików w ciemnych garniturach, a za nimi czekali dwaj sikhowie. Droga miała tłuczniową nawierzchnię i była zadziwiająco gładka; skręcili w wąską przecznicę. Szerokie fasady gmachów rządowych ustąpiły miejsca mniejszym budynkom, ciągle jeszcze wzniesionym w europejskim stylu, ale z tarasami przybranymi festonami omdlewających roślin tropikalnych; podobnie jak w Indiach ściany domów pokrywały ciemne plamy pleśni. Minęli zatłoczony lokal, w którym młodzi mężczyźni siedzieli na małych zydelkach wokół stolików zastawionych naczyniami pełnymi smażonych potraw. Do powozu wpłynął gryzący dym z gotującego się oleju i Edgar poczuł, że pieką go oczy. Zmrużył je i herbaciarnia zniknęła, a w oknie ukazała się kobieta niosąca kosze huśtające się na długim bambusowym kiju. Przysunęła się do powozu i zajrzała do wnętrza, spoglądając spod szerokiego słomianego kapelusza. Jak część sprzedawczyń na nabrzeżu, twarz miała pomalowaną w białe kółka, które na tle jej ciemnej skóry przypominały księżyce. Edgar odwrócił się do żołnierza i zapytał:

- Co ona ma na twarzy?

- Chodzi panu o farbę?

- Tak. Widziałem to u kobiet przy nabrzeżu. Ale inne wzory. Dziwne...

- Nazywają to thanaka. Farbę robi się ze zmielonego drewna sandałowego. Malują się tak niemal wszystkie kobiety i wielu mężczyzn. Malują również dzieci.

- Po co?

- Powiadają, że ochrania przed słońcem i upiększa. Nazywamy to „birmańskim makijażem”. A po co angielskie damy używają pudru?

W tym momencie powóz zatrząsł się i zatrzymał. Z zewnątrz słychać było głosy.

- Jesteśmy na miejscu?

- Nie, to jeszcze dosyć daleko. Nie mam pojęcia, dlaczego się zatrzymaliśmy. Sprawdzę, o co chodzi.

Żołnierz otworzył drzwiczki i wyrzwał. Po chwili wsunął się z powrotem do powozu.

- Co się dzieje?

- Wypadek. Niech pan sam spojrzy. Zawsze tak się dzieje, kiedy wjedzie się w boczne uliczki, ale dzisiaj kładą nowy bruk na Sule Pagoda Road, więc musieliśmy jechać tędy. To zabierze kilka minut. Jeśli pan chce, może pan wysiąść i rozejrzeć się.

Edgar wystawił głowę za okno. Na ulicy przed nimi wśród kopców zielonej soczewicy, wysypanej z dwóch przewróconych koszy, leżał rower. Jakiś mężczyzna, najwyraźniej rowerzysta, opatrywał krwawiące kolano, podczas gdy wallah, chudy, ubrany na białą Hindus usiłował w szaleńczym pośpiechu ratować te resztki soczewicy, które nie nasiąkły jeszcze błotem. Żaden nie wydawał się szczególnie zagniewany, wokół nich zaś - pod pretekstem udzielania pomocy - zebrał się tłum gapiów. Edgar wysiadł z powozu.

Ulica była wąska, wyznaczona z obu stron przez ciągnące się jedna za drugą fasady domów. Przed każdym były strome schodki, które prowadziły na wznoszące się trzy czy cztery stopnie wyżej małe patia, teraz pełne ciekawskich. Mężczyźni nosili luźno zawiązane turbany, a od pasa w dół owijały ich długie sukienne spódnice, rozcięte między nogami. Turbany różniły się od sikhijskich,

a Edgar, pamiętając relację z podróży do Birmy, domyślił się, że są to gaungbaung, spódnice zaś to paso.

Pamiętał, że w przypadku kobiet ten element stroju nosił nazwę hta main; wydawało się, że obce sylaby wydycha się, a nie wypowiada. Wszystkie kobiety miały na twarzach makijaż z farby z drewna sandałowego; niektóre pokryły swoje policzki wąskimi, równoległymi paskami, inne takimi kołami, jak kobieta widziana wcześniej z powozu, a jeszcze inne spiralami o liniach schodzących z grzbietu nosa. Tubylkom o ciemniejszej skórze nadawało to pełen grozy wygląd i czyniło je podobne duchom.

Edgar zauważył również, że niektóre z kobiet miały uszminkowane na czerwono usta, co w połączeniu z thanaka przywoływało nastrój rodem z burleski. Kryło się w tym coś niepokojącego, czego nie potrafił określić, ale później, gdy zaskoczenie minęło, przyznał się w następnym liście do Katherine, że było to pociągające. Być może nie pasowało do angielskiej cery, napisał, ale było piękne, po czym dodał, podkreśliwszy ten zwrot: tak samo jak piękne jest dzieło sztuki. Nie ma sensu doprowadzać do jakichkolwiek nieporozumień.

Edgar powiódł wzrokiem w górę fasad budynków, ku balkonom ozdobionym wiszącymi ogrodami paproci i kwiatów. Balkony także były pełne gapiów, głównie dzieci obejmujących chudymi ramionami słupki balustrad z kutego żelaza. Kilkoro zawołało do niego, spuszczać wzrok, i zachichotało, machając rękami. Edgar pomachał im w odpowiedzi.

Na ulicy cyklista naprawił swój pojazd i prostował pociąg kierownicę, podczas gdy tragarz przestał ratować soczewicę i na środku drogi zajął się reperowaniem jednego z koszy. Woźnica wykrzykiwał na niego, a tłum się śmiał. Tragarz czmychnął w bok. Edgar pomachał dzieciom jeszcze raz i z powrotem wszedł do powozu. Znowu jechali, wąska ulica wychodziła na szerszy trakt, który okrężał ogromną połączoną budowlę przystrojoną złotymi parasolami, a kapitan powiedział:

- Sule Pagoda.

Po czym minęli kościół, minarety meczetu, a w końcu, w pobliżu ratusza kolejny targ rozłożony na promenadzie przed statuą Merkurego, którą Brytyjczycy wzniesli jako symbol swego handlu, ale rzymski bóg kupców czuwał nad ulicznymi sprzedawcami.

Trakt zrobił się szerszy i powóz przyspieszył. Wkrótce obrazy za oknem zaczęły przesuwac się zbyt szybko, by można je było rozróżnić.

Jechali blisko pół godziny, po czym zatrzymali się na brukowanej ulicy przed piętrowym budynkiem. Jeden po drugim, pochylając głowy, żołnierze wysiedli z powozu, a tragarze wdrapali się na dach, by podać z góry kufry. Edgar wyprostował się i wziął głęboki oddech. Pomimo palącego słońca, które zaczęło już chylić się ku zachodowi, w porównaniu z zaduchem panującym w pojeździe na zewnątrz było chłodno.

Gestem ręki kapitan zaprosił Edgara do budynku. W wejściu minęli dwóch wartowników o kamiennych twarzach, z mieczami u boków. Kapitan zniknął w głębi korytarza, a po chwili pojawił się ze stosem papierów.

- Panie Drake - powiedział - wygląda na to, że w naszych planach zaszło kilka zmian. Chcieliśmy początkowo, żeby spotkał się pan tutaj, w Rangunie, z kapitanem

NashBurnhamem z Mandalaju; jest on dobrze obeznany ze sprawami doktora Carrolla. Jeszcze wczoraj NashBurnham był tu na spotkaniu poświęconym próbom okiełznania dakoitów w stanach Szan, ale niestety, łódź, którą miał pan popłynąć w górę rzeki, jest w remoncie, a on musiał pospiesznie wrócić do Mandalaju. Popłynął więc wcześniejszym statkiem. - Dalton umilkł na chwilę i przejrzał dokumenty. - Proszę się nie martwić. W Mandalaju będzie pan miał mnóstwo czasu, żeby zapoznać się ze wszystkim. To jednak oznacza, że wyjedzie pan później, niż to było spodziewane, gdyż najwcześniej odpływający parowiec Irrawaddy Flotilla Company, na którym udało się nam znaleźć koję dla pana, wypływa pod koniec tygodnia. Mam nadzieję, że nie jest to zbyt wielka niedogodność.

- Nie, to nie powinno stanowić problemu. Nie mam nic przeciwko kilku dniom zwiedzania.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, zamierzałem zaprosić pana, by przyłączył się pan do nas podczas jutrzejszego polowania na tygrysa. Wspomniałem o tym pomyśle kapitanowi NashBurnhamowi, który powiedział, że to może być dobry sposób zarówno na spędzenie czasu, jak i na zapoznanie się z najbliższą okolicą.

- Ale ja nigdy nie polowałem - zaprotestował Edgar.

- Więc jest doskonały sposób, by zacząć. To zawsze dobra zabawa. Zapewne musi pan być teraz zmęczony. Wpadnę do pana wieczorem.

- Czy coś jeszcze na teraz zaplanowano? - zapytał Edgar.

- Nie ma nic na dzisiejsze popołudnie. Powtórzę jedynie, że kapitan NashBurnham miał nadzieję dotrzymać panu towarzystwa. Proponowałbym, żeby pan odpoczął w swojej kwaterze. On pana zaprowadzi.

Skinieniem głowy wskazał czekającego Hindusa.

Edgar podziękował kapitanowi i wyszedł za tragarzem przed drzwi. Wzięli kufry i ruszyli alejką, która dochodziła do ulicy. Obok nich przeszła duża grupa młodych mnichów w szafranowych szatach. Hindus zdawał się niczego nie zauważać.

- Skąd oni idą? - zapytał Edgar, oszołomiony pięknem powiewających szat.

- Kto taki, sir?

- Mnisi.

Stali na rogu ulicy, więc Hindus odwrócił się i wskazał kierunek, z którego tamci nadeszli.

- Shwedagon, sir. W tej dzielnicy każdy, kto nie jest żołnierzem, idzie obejrzeć Shwedagon.

Dopiero wtedy Edgar stwierdził, że znajduje się u podnóża zbocza, na którym stoją w rzędzie dziesiątki małych pagód, wspinając się aż do złotej piramidy, dostrzeżonej przelotnie z rzeki, która teraz wznosiła się potężna i górowała ponad innymi. U podstawy schodów kłębili się pielgrzymi. Edgar gdzieś

wyczytał, że wojsko brytyjskie rozmieściło swoje siły wokół świątyni, ale nigdy nie sądził, że tak blisko.

Niechętnie pospieszył za tragarzem, który przeszedł już przez ulicę i kroczył dróżką.

Wreszcie dotarli do pomieszczenia na końcu długiego koszarowego baraku.

Hindus postawił kufry i otworzył drzwi.

Ich oczom ukazał się skromnie urządzone pokój, z którego korzystali goszczący tutaj oficerowie; Hindus powiedział, że w pozostałych budynkach także mieszczą się kwatery żołnierzy garnizonu.

- Więc gdyby pan potrzebował czegoś, sir, może pan zapukać do którychkolwiek drzwi.

Hindus skłonił się i wyszedł. Edgar odczekał, aż odgłos jego kroków ucichł, a potem otworzył drzwi i ruszył z powrotem alejką; zatrzymał się u podstawy długich schodów, prowadzących do świątyni. Napis na tablicy głosił: „Zabrania się noszenia butów i parasoli”, i Edgar przypomniał sobie, co czytał o początkach trzeciej wojny angielskobirmańskiej, kiedy brytyjscy wysłannicy nie zgodzili się zdjąć butów, by stanąć przed birmańską rodziną królewską. Ukląkł, rozwiązał sznurowadła i niosąc buty w rękę, rozpoczął długą wspinaczkę.

Płytki były wilgotne i chłodne, wzdłuż schodów stali handlarze oferujący nieprzebrane bogactwo dewocjonaliów: obrazki i posążki Buddy, jaśminowe wieńce, książki i wachlarze, kosze wypełnione ofiarnymi pokarmami, stopy wonnych kadzidlanych pałeczek, złotych liści i kwiatów lotosu, wykonanych z cienkiej srebrnej folii. Sprzedawcy omdlewali w cieniu, a pielgrzymi wspinali się po stopniach - mnisi, żebracy i wystrojone jak lalki eleganckie birmańskie kobiety. Na szczycie schodów

Edgar przeszedł pod zawile zdobionym portykiem i dostał się na rozległy taras z białego marmuru; nad tarasem wznosiły się połączone kopuły mniejszych pagód.

Tłum błagalników, przyglądając się wysokiemu Anglikowi, krążył zgodnie z

kierunkiem ruchu wskazówek zegara. Edgar wstąpił w ten strumień ciał i podążył z jego prądem obok rzędów mniejszych świątyń i klęczących wiernych, którzy przesuwali w palcach paciorki różańców. Idąc, spoglądał w górę na pagodę, na jej podobną do dzwonu strzelistą wypukłość, która kończyła się ostrym szczytem nakrytym cylindryczną osłoną. Edgara oślepił blask złota, odbicie słońca od białych płyt marmuru i widok pulsującego zbiorowiska wyznawców. W połowie drogi wokół pagody zatrzymał się, by odpocząć w cieniu, i wycierał właśnie twarz chusteczką, kiedy usłyszał cichą muzykę. Z początku nie potrafił określić, skąd dobiega, gdyż dźwięki odbijały się od korytarzy świątyń i mieszały z monotonnymi śpiewami. Ruszył więc wąską ścieżką za rozległym tarasem, po którym mnich prowadził grupę modlących się; później Edgar dowie się, że językiem hipnotycznego lamentu nie był birmański, tylko pali. Muzyka stała się głośniejsza. Pod zwisającymi gałęziami figowca ujrzał muzykantów.

Było ich czterech; podnieśli wzrok na Edgara, przyjmując do wiadomości jego obecność. Uśmiechnął się więc i uważnie przyjrzał instrumentom: bęben, przypominająca ksylofon deska, długi jak gęsia szyja róg i harfa. Ta ostatnia przykuła jego uwagę, gdyż Edgar dobrze znał klawikord, dziadka fortepianu. To była piękna harfa, ukształtowana na podobieństwo statku lub łabędzia; struny przeciągnięto blisko siebie, co, jak zauważył, było możliwe ze względu na unikalną formę instrumentu.

Pomysłowa konstrukcja, uznał. Palce mężczyzny skubały wolno struny; muzyka była niesamowicie nieharmonijna i Edgar przekonał się, że trudno doszukać się jej linii melodycznej. Dźwięki w przypadkowy sposób tańczyły po skali.

Wysłuchał się uważniej, a jednak melodia nadal mu umykała.

Wkrótce zjawiał się kolejny słuchacz, elegancko ubrany Birmańczyk, trzymający za rękę dziecko. Edgar skinął głową mężczyźnie i chłopcu, a potem wspólnie słuchali muzyki. Obecność drugiego mężczyzny przypomniała mu, że tego wieczoru odwiedzi go kapitan Dalton, a on musi się wcześniej wykąpać i

przebrać. Niechętnie opuścił muzykantów. Dokończył wędrówkę wokół pagody, po czym dołączył ponownie do tłumu, który rozlewał się przed wejściem na taras i wylewał na schody. Wraz z innymi

Edgar zszedł na ulicę, usiadł u podnóża stopni i zawiązał buty. Wokół niego mężczyźni i kobiety wsuwali i zsuwali sandały. Gmerając przy sznurowadłach, zaczął gwizdać, starając się przypomnieć sobie niedawno słyszaną melodię. Po chwili wstał. I wtedy ją zobaczył.

Stała półtora metra dalej, trzymała dziecko na biodrze i wyciągała rękę; ubranie miała w strzępach, a ciało pomalowane na intensywnie żółty kolor. Edgar mrugnął, myśląc, że to jakaś zjawą, a barwa jej skóry to widmowe odbicie złota pagody, podobne do ruchomego powidoku, jaki można dostrzec na skutek zbyt długiego wpatrywania się w słońce. Kobieta spojrzała mu w oczy i przysunęła się, ujrzał, że była złota nie od farby, ale od żółtego pyłu, który pokrywał jej twarz, ramiona i bosc stopy. A gdy przyglądał się, wyciągnęła ku niemu dziecko; jej żółte dłonie zaciskały się mocno na małej śpiącej osobce. Spojrzał na jej twarz i w ciemne, proszące, obrysowane żółcią oczy; dopiero później dowiedział się, iż złoty pył to kurkuma, zwana przez Birmańczyków sanwin, którą kobiety po urodzeniu dziecka posypują swoje ciała dla ochrony przed duchami, ale ta miała kurkumę na sobie, by zebrać; wedle tradycji kobieta używająca sanwin nie powinna po porodzie opuszczać domu, a jeśli ona tak postąpiła, mogło to jedynie oznaczać, że dziecko jest chore. Stojąc u podnóża Shwedagon, Edgar nie wiedział o tym, patrzył więc tylko na pozłacaną kobietę, aż przysunęła się o krok i ujrzał muchy na ustach dziecka oraz okazały wrzód na jego głowce. Przerażony cofnął się, przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu drobnych, po czym, nie licząc ich, upuścił monety w jej dłonie.

Odwrócił się; serce biło mu gwałtownie. Wokół pielgrzymi kontynuowali procesję, niepomni ani na pozłacaną kobietę, która ze zdumieniem liczyła pieniądze, ani na wysokiego, kościstego Anglika, który ostatni raz spojrzał na świątynię oraz dziewczynę pod wznoszącą się iglicą, a następnie wcisnął ręce do

kieszeni i pospiesznie ruszył ulicą.

Tego wieczoru Edgarowi złożył wizytę kapitan Dalton i zaprosił go na bilard do klubu Pegu, gdzie miało być kilku oficerów. Edgar odmówił uprzejmie, tłumacząc się zmęczeniem. Minęło już kilka dni od czasu, gdy ostatni raz napisał do żony, wyjaśnił.

Nie powiedział Daltonowi o obrazie, który nadal go nawiedzał; nie powiedział, że czułby się źle, pijąc sherry i słuchając wojennych opowieści, skoro cały czas myślał o dziewczynie i jej dziecku.

- No cóż, będzie mnóstwo czasu na bilard - rzekł kapitan. - Ale naprawdę nalegam, żeby towarzyszył nam pan podczas jutrzejszego polowania. Zaledwie w zeszłym tygodniu żołnierz piechoty doniósł, że w pobliżu Dabein zauważono tygrysa.

Poczyniłem plany wyprawy z kapitanami Witherspoonem i Foggiem, którzy niedawno przybyli z Bengalów. Miałby pan ochotę przyłączyć się do nas? - zapytał, stojąc w drzwiach.

- Ależ ja nigdy wcześniej nie polowałem i nie sądzę, że bym...

- Proszę! Nie chcę o tym słyszeć. To kwestia obowiązku. Ten tygrys terroryzuje miejscowych wieśniaków. Wyruszamy jutro wcześnie rano. Proszę spotkać się z nami przy stajniach kawalera. Wie pan, gdzie to jest? Nie, nie musi pan niczego zabierać.

Może tylko kapelusz, mamy mnóstwo jeździeckich butów i, oczywiście, karabinów.

Człowiek dysponujący pańską zręcznością palców na pewno okaże się dobrym strzelcem.

Zarówno z powodu tego pochlebstwa, jak i dlatego, że odrzucił już jedno zaproszenie, Edgar zgodził się.

7

Następnego ranka Edgar zastał Daltona, jak siodłał konia przy stajniach.

Wokół zgromadziło się pięciu mężczyzn, dwóch Anglików i trzech

Birmańczyków.

Widząc zbliżającego się stroiciela, Dalton, który dociągał popręg siodła, wynurzył się spod wierzchowca, wytarł dłoń o bryczesy i podał ją.

- Piękny poranek, prawda, panie Drake? Cudownie, gdy bryza dociera tak daleko w głąb łądu. Niezwykle odświeża. To oznacza, że w tym roku pora deszczowa może nadejść wcześniej.

Stał i patrzył w niebo, jakby szukał potwierdzenia dla swej meteorologicznej przepowiedni. Edgara poruszyła niezwykła uroda i atletyczna budowa wojskowego:

Dalton twarz miał czerstwą i opaloną, włosy zaczesane do tyłu, a rękawy koszuli zawinięte powyżej zabrudzonych przedramion.

- Panie Drake, proszę pozwolić, że przedstawię pana kapitanom

Witherspoonowi i Foggowi. Panowie, to jest pan Drake, najlepszy londyński stroiciel fortepianów

- mówiąc to, walnął Edgara w plecy. - Porządny gość, rodzina z Hereford.

Obaj mężczyźni uprzejmie wyciągnęli dłonie.

- Miło mi pana poznać, panie Drake - powiedział Witherspoon.

Fogg skinął głową.

- Za chwilę skończę siodłać konia - rzekł Dalton i zanurkował z powrotem pod brzuch wierzchowca. - Po pierwsze kobyła jest narowista, a po drugie nie chcę spaść, gdy tygrys będzie w polu widzenia.

Zerknął w górę i mrugnął do stroiciela. Mężczyźni zaśmiali się. Trzy metry dalej przykucnęli Birmańczycy w luźnych paso.

Wkrótce dosiedli koni. Edgar miał kłopoty z przerzuceniem nogi ponad siodłem i kapitan Dalton musiał mu w tym pomóc. Gdy opuścili teren stajni, jeden z Birmańczyków wysforował się naprzód i niebawem zniknął. Pozostałą grupkę prowadził Dalton, za którym podążali kapitanowie Witherspoon i Fogg; Edgar jechał za nimi. Dwaj Birmańczycy trzymali się z tyłu, dosiadając jednego konia. Nadal było wcześnie i słońce jeszcze nie przegnało mgły z lagun. Edgar był

zdziwiony, że miasto tak szybko zamieniło się w tereny rolnicze. Minęli kilka zaprzęgniętych w woły wozów, które zmierzały do Rangun. Wprawdzie woźnice zjeżdżali na bok, by przepuścić małą kawalkadę, ale poza tym ledwo zauważali jeźdźców. W oddali rybacy przepychali tyczkami przez bagna pojawiające się i znikające we mgle łódki. W pobliżu drogi kilka czapli żerowało na mokradłach, precyzyjnie podnosząc i opuszczając nogi. Jadący na przodzie Witherspoon zapytał, czy mogliby się zatrzymać i zapolować na ptaki.

- Nie tutaj - odparł Dalton. - Ostatnim razem, gdy strzelaliśmy do czapli, wieśniacy podnieśli wielką wrzawę. Zabijanie tych ptaków sprowadza nieszczęście, mój przyjacielu, gdyż występują one w podstawowych mitach Pegu.

- Bzdurne przesady - zirytował się Witherspoon. - Zdawało mi się, że uczyliśmy ich, by porzucili takie wierzenia.

- Owszem. Ale jeśli o mnie chodzi, to wolę zapolować na tygrysa, niż spędzić poranek na przekomarzaniu się z jakimś miejscowym kacykiem.

- Hmm - mruknął Witherspoon, a gardłowy dźwięk zabrzmiał tak, jakby był znaczącym coś słowem.

Zdawało się jednak, że odpowiedź usatysfakcjonowała kapitana. Nie zatrzymywali się. Widoczni w oddali rybacy zarzucali sieci, które wyglądały jak rozmazane spirale lin i wzbijały w powietrze krople wody układające się w podświetlone arkady.

Jechali godzinę. Bagna zaczęły ustępować miejsca rzadkim zaroślom. Słońce paliło już całkiem mocno i Edgar poczuł strużki potu na klatce piersiowej.

Doznał ulgi, kiedy szlak skręcił i wniknął w gęsty las. Suchy żar słońca zastąpiła lepka wilgoć. Po kilku minutach spotkali jadącego przodem Birmańczyka.

Kiedy ten naradzał się ze swymi pobratymcami, Edgar rozglądał się wokoło.

Jako chłopiec przeczytał sporo opowieści o odkrywcach i spędził wiele czasu na wyobrażaniu sobie licznych stad dzikich zwierząt i gąszczy ociekających wilgocią kwiatów. To musi być inny rodzaj dżungli, pomyślał, jest zbyt ciemna i

cicha. Spoglądał w głąb lasu, ale jego wzrok wnikał tylko na pięć metrów w płataninę lian.

W końcu tubylcy przestali rozmawiać między sobą, a jeden z nich podjechał do Daltona i zaczął coś mówić. Edgar był zbyt oszołomiony, by śledzić tę wymianę zdań.

Zaparowały mu okulary, więc zdjął je i wytarł o koszulę. Ponownie założył szkła, a one znowu zaszyły wilgocią. Zdjął je. Po trzeciej takiej operacji zostawił okulary na nosie i obserwował las przez cieką warstwę pary.

W przodzie Dalton skończył naradę z Birmańczykami.

- W porządku! - zawołał i obrócił konia, którego kopyta zdeptały splątane poszycie. - Rozmawiałem z naszym przewodnikiem. Twierdzi, że dotarł do najbliższej wioski i pytał jej mieszkańców o tygrysa. Zwierzę widziano zaledwie wczoraj, gdy rozrywało gardło prośnej maciory świniopasa. Wieśniacy są wściekli, a jeden z wróżbitów powiedział, że to ten sam tygrys, który dwa lata temu zagryzł niemowlę.

Więc organizują własne polowanie, starając się wypłoszyć drapieżnika z dżungli.

Powiedzieli, że możemy na niego zapolować. Ostatni raz widziano go dziś rano pięć kilometrów stąd na północ. Lub, jak powiedział, możemy skierować się na południe, ku moczarom, gdzie jest dużo dzików.

- Nie przejechałem takiego szmatu drogi, żeby polować na świnie - wtrącił Fogg.

- Ani ja - przytaknął Witherspoon.

- A pan, panie Drake? - zapytał Dalton. - Pańskie zdanie?

- Och, w ogóle nie będę strzelał. Nie trafiłbym nawet do faszzerowanej świni w galarecie, leżącej przede mną na stole, a co dopiero do dzika. Panowie decydujecie.

- No cóż, od miesięcy nie polowałem na tygrysa - rzekł Dalton.

- Zatem postanowione - powiedział Witherspoon.

- Tylko patrzcie, do czego strzelacie - pouczył Dalton. - Nie wszystko, co się rusza, jest tygrysem. A pan, panie Drake, niech uważa na węże. Proszę nie chwytać niczego, co wygląda jak kij, póki nie będzie pan pewny, że nie ma zębów jadowych.

Kapitan spiął konia, a za nim krętą drogą między drzewami ruszyli pozostali mężczyźni.

Las zgęstniał i jeźdźcy przystawali często, dając czas jadącemu przodem na ścieżce wiszących nad szlakiem lian. Więcej roślin zdawało się rosnąć na drzewach niż na ziemi; wijące się pnącza wspinały się po lianach w stronę słońca. Z olbrzymich drzew zwisały strzępiaste epifity, orchidee i owadożerne kwiaty, a ich korzenie ginęły w gmatwaninie pędów, które przecinały niebo.

Edgar lubił ogrody i był dumny ze swojej znajomości łacińskich nazw roślin, ale na próżno szukał teraz wzrokiem takiej, którą mógłby rozpoznać. Nawet drzewa były mu nieznane - potężne, o konarach zrodzonych przez słoniowate pnie rozpościerające na ziemi płetwiaste garby korzeni wystarczająco wysokich, by mógł się za nimi ukryć tygrys.

Po pół godziny minęli ruiny małej budowli otoczonej przez splątane korzenie drzew. Anglicy przejechali obok, nie zatrzymując się. Edgar chciał zawołać i zapytać, co to, ale jego towarzysze zbyt wysforowali się do przodu. Spojrzał jedynie na ukryte w mchu kamienie. Podążający za nim Birmańczycy także je zauważyli. Ten, który wioził mały wianek, zeskoczył szybko z wierzchowca i położył kwiaty u podnóża ruin. Edgar odwrócił się, pozwalając, by jego koń sam posuwał się naprzód. Przez plątaninę lian ujrzał, że mężczyzna się kłania. Potem pnącza przesłoniły widok i obraz ruin zniknął.

Na zakręcie Edgar niemal wpadł na pozostałych. Chwilę później Anglicy zebrali się pod pniem wielkiego drzewa. Dalton i Witherspoon sprzeczali się szeptem.

- Tylko jeden strzał - mówił Witherspoon. - Nie można przepuścić takiej skóry. Obiecuję, że trafię jednym strzałem.

- Powiedziałem ci, że z tego, co wiemy, wynika, iż tygrys może nas

obserwować.

Strzel teraz, a na pewno go spłoszysz.

- Nonsens - odparł Witherspoon. - Tygrys już został spłoszony. Trzy lata, a ja nie mam dobrej małpiej skóry. Zwierzęta są zawsze bardzo stare, a jedyna dobra skóra, jaką miałem, została zniszczona przez niezdarnego futrzarza.

Starając się dostrzec przedmiot ich sporu, Edgar powiódł wzrokiem w górę pnia wysokiego drzewa. Z początku nie widział nic prócz płataniny liści i lian, ale potem coś się poruszyło i sponad epifitu wychynęła głowa młodej małpy. Nagle Edgar usłyszał dźwięk towarzyszący ładowaniu karabinu i głos Daltona:

- Mówię ci, daj jej spokój. - Widoczna nad nimi małpa musiała wyczuć, że dzieje się coś niedobrego, więc podciągnęła się i skoczyła. Witherspoon podniósł karabin, a Dalton powtórzył swoje:

- Nie strzelaj, niech to szlag.

Skokowi małpy towarzyszyło drgnięcie palca Witherspoona, błysk z lufy karabinu, huk wystrzału. Przez chwilę nic się nie działo, panowała cisza, aż z góry, z miejsca, gdzie skoczyła małpa, posypała się garść paprochów, migocząc w prześwicie zieleni. A następnie dokładnie nad sobą Edgar usłyszał cichy szczebiot; zadarł głowę i na przesłoniętym drzewami niebie ujrzał spadający kształt. Lot wydawał się bardzo powolny, ciało małpy wirowało w powietrzu, piękne, ptasie w swoim opadaniu.

Zwierzę frunęło, jego ogon trzepotał w górze. Edgar patrzył, znieruchomiały, jak małpa przeleciała obok, nie dalej niż metr od jego konia, i spadła w zarośla.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem Dalton zaklął i spiął swojego wierzchowca. Jeden z

Birmańczyków zeskoczył z konia i wyciągnął małpę z gąszczy. Podniósł ją ku Witherspoonowi, który pobieżnie obejrzał jej futro, teraz zakrwawione i zmatowiałe od kurzu, i skinął na Birmańczyka, a ten wrzucił zwierzę do płóciennego worka.

Potem Witherspoon spiął własnego wierzchowca i jeźdźcy ruszyli przed siebie.

Jadąc z tyłu, Edgar przyglądał się drobnemu kształtowi w kołyszącym się u boku konia worku; na rozprzestrzeniającej się na płótnie plamie czerwieni igrały ruchliwe cienie lasu.

W pobliżu małego strumyka wjechali w rój komarów, które Edgar usiłował odpędzić machaniem ramion. Jeden usiadł mu na ręce, a on patrzył, zafascynowany, jak owad bada jego skórę, szukając miejsca do ukłucia. Komar był dużo większy od tych, które Edgar widywał w Anglii, a jego pasiaste odnóża przywodziły na myśl tygrysie pręgi. Dzisiaj ja pierwszy zabiję tygrysa, powiedział sobie w duchu, po czym zmiażdżył owada plaśnięciem dłoni. Usiadł jeszcze jeden i temu pozwolił się wkłuć; patrzył, jak jego odwłok pęcznieje, a potem zmiażdżył go, rozsmarowując na ramieniu własną krew.

Niebawem las przerzedził się i ustąpił miejsca polom ryżowym. Minęli kilka kobiet pochylonych nad błotnistą glebą, w którą wtykały nasiona. Droga zrobiła się szersza i wkrótce w oddali ujrzeli stojące niezbyt gęsto bambusowe chaty wioski. Gdy podjechali bliżej, jakiś mężczyzna wyszedł im na spotkanie.

Pozdrowił ich. Nie miał na sobie nic prócz znoszonej czerwonej paso; zaczął mówić coś z ożywieniem do przewodnika, a ten tłumaczył jego słowa.

- To jeden z wioskowej starszyny. Mówi, że widzieli tygrysa dziś rano.

Mężczyźni z jego wsi skrzyknęli się na polowanie. Błagał nas, żebyśmy do nich dołączyli. Mają bardzo mało strzelb. Da nam chłopca za przewodnika.

- Doskonale! - zawołał Dalton, nie mogąc opanować podniecenia. - A ja myślałem, że na skutek niecierpliwości Witherspoona straciliśmy szansę.

- Ja zaś będę miał małpę jako dodatek do tygrysa! - wykrzyknął Witherspoon. - Cóż za wspaniały dzień!

Edgar poczuł gwałtowne pulsowanie krwi. Tygrys znajdował się blisko i był niebezpieczny. Jedyne raz widział tygrysa w londyńskim zoo, chude, żalosne stworzenie, tracące sierść z powodu choroby, która wprawiała w zakłopotanie nawet najlepszych weterynarzy. Przykrość, jaką sprawiało mu zabicie jakiegokolwiek stworzenia - wzmocniona przez zastrzelenie małpki - zniknęła.

Istotnie, Dalton ma rację, ta wioska potrzebuje nas, pomyślał. Spojrzał tam, gdzie za plecami wieśniaka zebrała się grupa kobiet; każda trzymała dziecko na biodrze. Edgar poczuł szarpnięcie, zerknął w dół i ujrzał małego, nagiego chłopca, który złapał za strzemię.

- Witaj - powiedział, a malec spojrział w górę. Buzię miał usmarowaną kurzem i śluzem. - Jesteś przystojnym młodym facetem, ale naprawdę potrzebna ci kąpiel.

Fogg usłyszał to i odwrócił się.

- Widzę, że znalazł pan sobie przyjaciela, panie Drake?

- Na to wygląda - odparł Edgar.

Szperał w kieszeniach, aż znalazł jedno anna. Rzucił monetę. Chłopiec wyciągnął rękę, ale nie złapał pieniążka i moneta z pacnięciem zniknęła w małej kałuży przy drodze. Malec opadł na kolana i zanurzył ręce w wodzie, szukając monety; na jego twarzy widać było przerażenie. Nagle dłoń dziecka trafiła na coś; chłopiec wyjął pieniążek z wody i spojrział triumfalnie. Splunął na dłoń, wytarł monetę i pobiegł pokazać ją kolegom. Nie minęła chwila, a cała dzieciarnia zgromadziła się wokół konia Edgara.

- Nie - powiedział stroiciel, grożąc im palcem. - Nie ma więcej monet.

Patrzył przed siebie, starając się ignorować wyciągnięte dłonie dzieci.

Wieśniak opuścił ich, a po kilku minutach wrócił ze starszym chłopakiem; nowy przewodnik wsiadł na wierzchowca pierwszego jeźdźca. Wyruszyli z wioski traktem biegnącym między polami ryżowymi a spowitą we mgle dżunglą. Za nimi podążała grupa radośnie pokrzykujących dzieci; ich nagie stopy tupotały na drodze. U podnóża wzniesienia szlak odbił od pól, prowadząc na nierówną polanę, która ciągnęła się brzegiem lasu. Niebawem na skraju dżungli minęli dwóch mężczyzn. Byli nadzy do pasa; jeden z nich miał na głowie żalosną imitację brytyjskiego hełmu i trzymał zardzewiały karabin.

- Żołnierz - zażartował Witherspoon. - Mam nadzieję, że nie zdobył tego na kimś, kogo zastrzelił.

Edgar zmarszczył brwi, a Fogg zachichotał.

- Nie martwiłbym się tym. W jakiś sposób wybrakowane egzemplarze z naszych fabryk w Kalkucie trafiają do rejonów, które nawet nasi żołnierze boją się przemierzać.

Podjechał Dalton w towarzystwie przewodnika.

- Widzieli tygrysa? - zapytał Fogg.

- Dzisiaj jeszcze nie, ale wcześniej widziano go w tej okolicy. Powinniśmy załadować karabiny. Pan także, Drake.

- Och, doprawdy, nie sądzę...

- Jeśli zwierz nas pogoni, będziemy potrzebowali całej siły ognia. Gdzie się podziały te wszystkie dzieciaki?

- Nie wiem, widziałem, jak ścigały ptaka w lesie.

- Dobra. Nie bawmy się tutaj w świętego Mikołaja. Ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to towarzystwo hałaśliwej dzieciarni.

- Przepraszam, nie sądziłem...

Witherspoon podniósł nagle dłoń.

- Szsz!

Dalton i Edgar spojrzeli na mego.

- O co chodzi?

- Nie wiem. Coś jest w zaroślach na przeciwległym krańcu polany.

- Ostrożnie - Dalton spiął konia.

Grupa ruszyła wolno naprzód.

- Tam jest, teraz go widzę! - odezwał się przewodnik.

Podniósł rękę i wskazał gęste zarośla. Konie stanęły. Od skraju polany myśliwych dzieliło mniej niż dwadzieścia metrów.

Patrząc w stronę lasu Edgar czuł, jak wali mu serce. W dżungli panował bezruch, ospałość, a mimo to chwycił karabin i zgiął palec na spuście. U jego boku

Witherspoon podniósł broń.

Czekali. Krzaki poruszyły się.

- Diabli, nie widzę go. Może być wszędzie.

- Nie strzelaj, póki nie będziesz pewny, że to tygrys. Swoją okazję wykorzystalesz z tą małpą w lesie. Mamy jedną szansę i wszyscy musimy strzelić jednocześnie.

- Jest tam, kapitanie.

- Spokojnie.

- Cholera, przygotujcie broń. Znowu się rusza. - Witherspoon odbezpieczył karabin i podniósł do oka. Coś przemieszczało się w zaroślach, skradając się równomiernie; krzaki zatrzęśły się wyraźniej. - Zbliża się. Podnieście broń.

- Dobra, podnieść broń. Pan też, panie Drake. Mamy tylko jeden strzał. Fogg?

- Naładowany i odbezpieczony. Pan daje sygnał do strzału, kapitanie.

Edgar poczuł, że oblewa go zimny pot. Drżały mu ręce. Ledwie był w stanie podnieść kolbę karabinu do ramienia.

Nad nimi przeleciał sęp, spoglądając na rozgrywającą się w dole scenę - ośmiu mężczyzn dosiadało pięciu wierzchowców, które stały na polanie pośród suchej trawy.

Z dwóch stron łąkę flankowała porastająca wzgórza zwarta dżungla. Z tyłu, na polach ryżowych, zebrała się grupka kobiet, które szły coraz szybciej w stronę konnych, a wreszcie zaczęły biec.

Wierzchowiec Edgara znajdował się z tyłu całej grupy, dlatego stroiciel odwrócił się pierwszy i ujrzał kobiety. Zdawało mu się, że coś krzyczą.

Odwrócił się i zawołał:

- Kapitanie!

- Cicho, Drake, zbliża się.

- Kapitanie, niech pan zaczeka.

- Zamknij się, Drake - warknął Witherspoon, nie spuszczać oczu z celu.

Ale potem także inni usłyszeli krzyki i Dalton odwrócił się.

- Co się dzieje?

Birmańczyk powiedział coś. Edgar odwrócił się ponownie i spojrzał na zarośla. Teraz ruszały się wyraźniej. Słyszał trzask gnieczonego poszycia. Kobiety wrzeszczały.

- Co się dzieje, do diabła?

- Niech ktoś każe im się zamknąć. Spłoszą go.

- Witherspoon, opuść karabin.

- Nie psuj tego, Dalton.

- Witherspoon, powiedziałem ci, opuść karabin. Coś jest nie tak.

Kobiety były bliżej. Ich krzyki zagłuszały męskie głosy.

- Cholera! Niech je ktoś uciszy. Fogg, zrób coś!

Edgar widział, że Witherspoon mierzy nadal z karabinu. Fogg, który do tej pory milczał, obrócił się na koniu i wycelował broń w stronę kobiet.

- Stać! - wrzasnął. Ale kobiety krzyczały i biegły nadal, unosząc podwinięte hta main. - Stójcie, do cholery!

Wszystko się rozmazało, bieg, krzyki, palące słońce. Edgar obrócił się i spojrzał na las.

- Tam jest! - wrzasnął Fogg.

- Kapitanie! Niech pan opuści broń! - krzyknął Dalton; spiął wierzchowca i ruszył w kierunku Witherspoona, który tymczasem ścisnął mocniej karabin i wystrzelił.

Reszta pozostaje nieruchomym, zmytym przez słońce wspomnieniem, pochyleniem. Słysząc płacze i krzyki, ale pochylenie jest tym, co Edgara Drake'a będzie nawiedzało najczęściej, będzie widział ten niemożliwy kąt, pod jakim matka ze smutkiem nachyla się nad dzieckiem, jej rozpostarte ramiona wrywają się tym, którzy usiłują ją powstrzymać. Pochylenie, jakiego Edgar nigdy nie widział, ale mimo to poznaje. Widziałem Madonny i greckie urny ozdobione malutkimi postaciami zawodzącymi oi moi.

Stoi i patrzy długi czas, ale miną dni, zanim okropność zdarzenia dotrze do niego, wdzierając się do jego duszy, jakby został nagle opętany. Stanie się to

podczas przyjęcia dla oficerów w rezydencji zarządcy, kiedy ujrzy służącą z dzieckiem na biodrze. Wtedy to przyjdzie; poczuje, że tonie, dławi się, mamrocze półprawdy pod adresem zakłopotanych oficerów, którzy zapytają go, czy dobrze się czuje, a on: Tak, proszę się nie martwić, jest mi tylko trochę słabo, to wszystko; a teraz, potykając się, wybiega na zewnątrz i w dół po schodach, do ogrodu, gdzie przewróci się w krzakach róż i zwymiotuje; łzy trysną mu z oczu, więc zacznie płakać, szlochać, drzeć; będzie czuł smutek tak wielki, że później przemyśli to sobie jeszcze raz i zastanowi się, czego żałował. Ale w tym momencie, w nieruchomości dnia, gdy stoi i obserwuje rozgrywającą się scenę, nie rusza się. Chłopiec, matka, cichy szum gałęzi, kołysanych przez łagodny powiew, który zmiótł bezruch i krzyki. Stoją, on i bladzi mężczyźni. Obserwują to, co dzieje się poniżej; matkę potrząsającą małym ciałem, całującą je, przesuwającą zakrwawione dłonie po twarzyczce dziecka, po swojej twarzy, zawodzącą nieziemskim głosem, który jest tyleż obcy, co i znajomy. Aż u jego boku zaczyna się krzątania, przemykają inne kobiety, spieszą ku rozpaczającej, padają obok niej, odciągają ją od chłopca. Jej ciało wypręża się w przód, na przekór grawitacji; znoszenie się sił. Stojący obok niego mężczyzna, o twarzy wypłukanej z blasku słońca, cofa się o krok, zatacza i odzyskuje równowagę, podparłszy się karabinem.

Tej nocy Edgar budzi się wiele razy, zdezorientowany. To zdarzy się na dwa dni przed tym, jak przewróci się w różanym ogrodzie, ale czuje już, że rozdarcie się zaczęło, nienaprawialne, gdyż brakuje drobin farby, które jak kurz uniosły się na wietrze podczas rozrywania płótna. To wszystko zmienia, myśli; To nie jest część mojego planu, mojego kontraktu, mojego zlecenia. Przypomina sobie, jak zaraz po przyplłynięciu do Birmy napisał do Katherine, iż nie może uwierzyć, że dotarł na miejsce, że naprawdę wyjechał. Prawdopodobnie ten list znajduje się w pociągu pocztowym, który pędzi do kraju. A ja jestem sam w Rangunie.

8

Dwa dni później Edgar otrzymał z Ministerstwa Wojny wiadomość, że w

Irrawaddy Flotilla Company zarezerwowano mu koję na statku z drewnem tekowym.

Parowiec ma odpłynąć za dwa dni z Prome, dokąd pojedzie pociągiem; żegluga do

Mandalaju potrwa tydzień.

W ciągu czterech dni pobytu w Rangume Edgar właściwie nie rozpakował się. Od czasu polowania przebywał w swoim pokoju, skąd wychodził tylko wtedy, gdy proszono go o spotkanie z różnymi urzędnikami lub gdy chciał od czasu do czasu pospacerować po ulicach. Kolonialna biurokracja zdumiewała go.

Wypadek spowodował, że w celu podpisania zeznań otrzymał wezwanie do wydziałów

Cywilnego i Karnego sądu, na policję, do Zarządu Okręgów Wiejskich, do Wydziału

Medycznego, a nawet do Wydziału Leśnictwa (ponieważ, jak stało na druczku, „do postrzelenia doszło w trakcie polowania na dzikich terenach leśnych”). Z początku

Edgar był zaskoczony tym, że wydarzenie w ogóle zgłoszono. Wiedział, że gdyby wszyscy uczestnicy nieszczęśliwego zajścia zmówili się, łatwo można było je zatuszować; wieśniacy nie znaleźliby nigdy sposobu, żeby się poskarżyć, a nawet jeśli by to zrobili, było mało prawdopodobne, że ktoś by im uwierzył. A gdyby znaleźli posłuch, to nie należało się spodziewać, że oficerów spotkałyby kary dyscyplinarne.

Jednak wszyscy, łącznie z Witherspoonem, nalegali, by zgłosić incydent.

Kapitan przystał na uiszczenie niewielkiej grzywny, która wraz z wojskowymi funduszami przeznaczonymi na takie odszkodowania miała być przekazana rodzinie ofiary. To wszystko wydaje się bardzo uprzejme, napisał Edgar do Katherine, być może, pomimo wypadków naruszania zasad przez porywczych żołnierzy angielskich, jest to dowód pozytywnego oddziaływania brytyjskich instytucji. Lub, dodał dzień później, po podpisaniu siódmego oświadczenia,

możliwe, że wszystko to było po prostu balsamem na sumienie, wypróbowanym i skutecznym sposobem radzenia sobie z podobnym strachem w celu rozgrzeszenia czegoś poważniejszego; Tamto popołudnie jest już tylko niewyraźną plamą za zasłoną biurokracji.

Gdy całą papierkową robotę wykonano, Witherspoon i Fogg wyjechali do Pegu, by złuzować dwóch oficerów, którzy wracali ze swoimi pułkami do Kalkuty. Edgar nie pożegnał się z oboma kapitanami. Chociaż winą za ten incydent chciał obarczyć

Witherspoona, to nie mógł tego zrobić, bo jeśli kapitan okazał się porywczy, to tylko o dwie sekundy wyprzedził resztę, wszystkich, których łączyła myśliwska żądza krwi.

Jednak za każdym razem, gdy po wypadku Edgar widział Witherspoona, czy to podczas posiłków, czy w budynkach rządowych, nie potrafił zepchnąć w niepamięć widoku kapitana z kolbą karabinu podniesioną do pełnego policzka i kroplami potu na opalonym karku.

Tak jak stronił od Witherspoona, Edgar równie skwapliwie unikał Daltona. W noc poprzedzającą wyjazd umyślny przyniósł mu zaproszenie od kapitana, który nalegał ponownie, by przyłączył się do towarzystwa w klubie Pegu. Edgar odprawił posłańca z uprzejmą odmową, tłumacząc się zbytnim zmęczeniem.

Prawdę mówiąc, chciał się zobaczyć z Daltonem, żeby podziękować za okazaną gościnność i powiedzieć, że nie żywi do niego urazy. Jednak myśl o rozpamiętywaniu incydentu napawała go strachem i zrozumiał, że z kapitanem łączyła go tylko przeżyta wspólnie chwila przerażenia i że ujrzenie oficera będzie jej przypomnieniem. Więc nie przyjął zaproszenia, a kapitan nie napisał ponownie; i chociaż Edgar powiedział sobie, że zawsze będzie mógł odwiedzić Daltona w drodze powrotnej przez Rangun, był świadom, iż tego nie uczyni.

Rano, w dzień wyjazdu, na Edgara czekał przed drzwiami powóz, którym pojechał na dworzec, aby wsiąść do pociągu do Prome. Podczas gdy do wagonów ładowano towary, Edgar przyglądał się stacyjnej krzątaninie. Kilku

małych chłopców kopało łupinę orzecha kokosowego. Jego palce poszukały odruchowo monety, którą od czasu polowania nosił w kieszeni jako symbol odpowiedzialności, źle ulokowanej wspaniałomyślności, przypomnienie błędów, a także jako talizman.

Kiedy wszyscy odeszli, niosąc chłopca i lamentując, Edgar zauważył pieniądze, leżący w pyle na brzegu odcisku dziecięcego ciała. Uznał, że monety nie zauważono i wziął ją po prostu dlatego, że należała do malca, i nie wydawało się właściwe, żeby miała pozostać na skraju lasu. Nie wiedział, że to był błąd, że ani nie zapomniano o niej, ani też jej nie pominięto; błyszczała w słońcu jak złoto, każde dziecko zaś patrzyło na nią i pragnęło jej. Ale tego, co dzieci wiedziały, a on nie rozumiał, mógł się dowiedzieć od byle tragarza, który ładował teraz skrzynie do pociągu. Najpotężniejszymi talizmanami, powiedziano by mu, są te, które zostały odziedziczone, a z takimi amuletami dziedziczy się również los.

*

W Prome na Edgara czekał oficer ze sztabu okręgu wojskowego, który zabrał go na przystań. Tam stroiciel zaokrętował się na małym parowcu Irrawaddy Flotilla Company; którego maszyny ruszyły, kiedy tylko wszedł na pokład. Wskazano mu kajutę z widokiem na lewy brzeg rzeki. Kabina była mała, ale czysta, co uspiło jego obawy przed podróżą w głąb kraju. Gdy rozpakowywał bagaże, poczuł, że parowiec odpływa, więc podszedł do okna, by spojrzeć na znikający brzeg. Ponieważ rozpamiętywał nadal polowanie na tygrysa, niewiele uwagi poświęcił samemu Prome, w którym zauważył tylko jakieś zwietrzałe ruiny i zatłoczony rynek obok portu. Gdy statek zmierzał ku środkowi rzeki, Edgar czuł ulgę, że rozstaje się z rozpalonymi, zatłoczonymi ulicami Rangun, z deltą, ze śmiercią chłopca. Wspiął się na pokład.

Przebywało tam paru żołnierzy oraz kilkoro pasażerów, a wśród nich starsze włoskie małżeństwo, od którego usłyszał, że podróżują jako turyści. Otaczały go same nowe twarze, nie było nikogo, kto słyszałby o wypadku, dlatego przyrzekł

sobie, że zostawi tamto doświadczenie za sobą, że porzuci je na błotnistym brzegu.

Ze środka rzeki niewiele było widać, więc Edgar przyłączył się do grających w karty żołnierzy. Z początku wahał się, czy nawiązać z nimi znajomość, gdyż miał w pamięci wyniosłość okazywaną przez oficerów spotkanych na statku z Marsylii, ale ci tutaj byli z poboru, i kiedy zobaczyli, że Edgar jest sam, zaprosili go do gry, a on zrewanżował się za tę uprzejmość, podając wyniki z lig piłkarskich; w Birnie wiadomości nawet sprzed miesiąca były nowinami. Prawdę mówiąc, Edgar nie znał się zbytnio na sporcie, ale stroił fortepian właściciela londyńskiego klubu i dostawał darmowe bilety na niektóre mecze. Przed wyjazdem, za namową Kathenne, zapamiętał część wyników, by, to były jej słowa, „nawiązać rozmowę i poznać ludzi”.

Entuzjazm żołnierzy oraz uwaga, jaką poświęcili tym wiadomościom, sprawiły mu przyjemność. Pili wspólnie gin, śmiali się, i tamci uznali go za „fajnego chłopca”. On zaś pomyślał, że ci młodzi ludzie są szczęśliwi; chociaż musieli widzieć straszne rzeczy, teraz cieszyły ich relacje z meczów futbolowych sprzed dwóch miesięcy. Więc wypił kolejny gin z tonikiem, na którego temat żołnierze żartowali, „że jest przepisany przez lekarza”, gdyż zawarta w nim chinina zwalcza malarię.

Tej nocy pierwszy raz od wielu dni Edgar spał dobrze, mocno i bez snów, po czym - z ciężkim bólem głowy po ginie - obudził się po wschodzie słońca. Za oknem lesiste brzegi rzeki były nadal odległe, a drobne urozmaicenie stanowiły pagody stojące tu i ówdzie między drzewami. Wziął więc udział w kolejnej partyjce kart i postawił żołnierzom kilka kolejek ginu.

Pili i grali przez trzy dni, a kiedy Edgar wyrecytował już wyniki piłkarskie tyle razy, że mógł je powtórzyć nawet najbardziej pijany z żołnierzy, wyprostował się na krześle i zaczął słuchać ich opowieści z Birmy. Jeden z wojskowych brał udział w walce o fort Minhla w trakcie trzeciej wojny i zrelacjonował marsz przez mgłę oraz wściekły opór Birmańczyków. Inny uczestniczył w ekspedycji

w głąb stanów Szan, na terytorium kontrolowane przez Twet Nga Lu, i opowiedział historię, której Edgar słuchał uważnie, gdyż wielokrotnie słyszał imię tego bandyty. Po czym zapytał żołnierza: Widział pan kiedykolwiek Twet Nga Lu? Tamten zaprzeczył, całymi dniami maszerowali przez dżungłę i wszędzie znajdowali oznaki tego, że są śledzeni, wygasłe ogniska, cienie poruszające się wśród drzew. Ale nie zostali zaatakowani i wrócili, nie ponosząc porażki i nie odnosząc zwycięstwa, gdyż kraj zdobyty bez świadków nie jest nigdy krajem zdobytym naprawdę.

Edgar zadał żołnierzowi więcej pytań: Czy ktokolwiek widział Twet Nga Lu? Nad jakim terytorium panuje? Czy pogłoski o jego okrucieństwie są prawdziwe? Na co żołnierz odpowiedział, że bandyta pozostaje nieuchwytny i wysyła jedynie posłańców, dlatego widzieli go nieliczni, nie widział go nawet pan Scott, zarządca polityczny stanów Szan, którego sukcesy w zawieraniu przyjaźni z plemionami, takimi jak

Kaczinowie, obrosły legendą. A pogłoski o okrucieństwie Twet Nga Lu są prawdziwe, żołnierz widział na własne oczy ludzi przybitych, jeden obok drugiego, do drewnianych krzyży stojących w rzędach na szczytach wzgórz. Co do włości bandyty, to nikt nie zna ich obszaru. Istnieją doniesienia, że watażka został zapędzony głęboko między wzgórzami przez sawbwę Mongnai, którego tron sobie przywłaszczył. Ale wielu uważa, że strata terytorium była nieznaczna; bardzo obawiano się nadprzyrodzonych mocy, tatuaży, czarów i amuletów, które bandyta nosił pod skórą.

W końcu gdy butelka ginu była niemal pusta, żołnierz przestał opowiadać i zapytał, dlaczego Twet Nga Lu tak bardzo interesuje dżentelmena. Gwałtownie zadziergnięte koleżeństwo i przekonanie o tym, że jest akceptowany, sprawiło, że

Edgar zlekceważył obietnicę dochowania tajemnicy i wyjaśnił, iż przybył nastroić fortepian dla niejakiego majora Carrolla, lekarza.

Na dźwięk nazwiska doktora pozostali mężczyźni, którzy grali w karty,

przerwali partię i utkwili wzrok w stroicielu fortepianów.

- Carroll?! - wykrzyknął jeden z nich ze szkockim szorstkim akcentem. - Jasna cholera, czy ja usłyszałem nazwisko Carroll?

- Tak, a o co chodzi? - spytał Edgar, zaskoczony porywczym zachowaniem żołnierza.

- O co chodzi?! - Szkot roześmiał się i odwrócił do swoich towarzyszy. - Słyszycie?! Płyniemy tą łajbą od trzech cholernych dni, błagamy tego faceta o piłkarskie wyniki, a dzisiaj on nam mówi, że przyjaźni się z samym doktorem. Wszyscy żołnierze wybuchli śmiechem i stuknęli się szklaneczkami.

- Nie jestem jego przyjacielem, jeszcze nie... - sprostował Edgar. - Ale nie rozumiem, skąd to całe podniecenie? Znacie doktora?

- Czy go znamy? - żołnierz parsknął rubasznym śmiechem. - Ten facet jest owiany taką samą legendą jak Twet Nga Lu. Do diabła, jest sławny jak królowa. Rozległ się brzęk szklaneczek, polało się więcej ginu.

- Doprawdy? - zapytał Edgar, pochylając się. - Nie sądziłem, że jest tak... znany. Może przez niektórych oficerów, ale dostrzegam, że wielu z nich nie przepada za nim.

- Ponieważ w porównaniu z nimi jest cholernie kompetentny. Prawdziwy Człowiek Czynu. To oczywiste, że go nie lubią. - Słowa te wywołały śmiech.

- Ale wy go lubicie?

- Lubimy? Każdy żołnierz, który musiał służyć w stanach Szan, uwielbia tego drania. Gdyby nie Carroll, tkwiłbym w jakimś smrodzie w dżungli i utyłany błotem walczyłbym z bandą żądnych krwi Szanów. Bóg jeden wie, jak on to robi, ale ocalił moją bladą dupę, jestem tego pewien. Gdybyśmy mieli regularną wojnę w stanach

Szan, każdy z nas wisiałby przed upływem kilku dni.

Inny żołnierz uniósł szklanę.

- Za Carrolla. Niech szlag trafi jego poezję, niech szlag trafi jego stetoskop, ale niech Bóg błogosławi cholernego drania, bo ocalił mnie dla mojej kochanej

mamy!

Mężczyźni ryknęli śmiechem.

Edgar z trudem wierzył w to, co słyszał.

- Niech Bóg błogosławi drania! - zawołał i podniósł szklaneczkę, a kiedy wypili, to wypili ponownie, i zaczęły się opowieści.

Chce pan coś wiedzieć o Carrollu? Nie poznałem go; Ja też nie; Ani ja; tylko relacje; No cóż, nikt z nas nie spotkał tego faceta, do diabła, wypijmy za to, ten człowiek to czysta ułuda. Powiadają, że ma ponad dwa metry wzrostu i zionie ogniem;

Naprawdę, nie słyszałem o tym; A ja słyszałem, że twoja matka ma tyle samo wzrostu i tez zionie ogniem; Daj spokój, Jackson, bądź poważny, draniu, ten miły dżentelmen pragnie usłyszeć Prawdziwe opowieści o Carrollu; Prawda, wnieśmy zatem szklanki za Prawdę, do diabła, mniej bym się bał, gdyby miał ponad dwa metry wzrostu i zionął ogniem; Słyszałeś opowieść o budowie fortu? Jest zwariowana; Ty ją opowiedz, Jackson, ty ją opowiedz; Dobra, opowiem ją; Cicho, dranie, panie Drake, proszę mi wybaczyć mój język, jestem trochę pijany, rozumie pan; Nawijaj, Jackson; Dobra, opowieść; Zaraz się za nią zabiorę, jak ona się zaczyna? Nie, wiesz co? Co? Opowiem historię wyprawy, jest lepsza; No to mów; W porządku, opowiem; Dobra, Opowieść, Carroll przybywa do Birmy, jest tutaj parę lat, medyczne sprawy, kilka wypraw do dżungli, ale gość jest nadal całkiem zielony, to znaczy, nie sądzę, żeby kiedykolwiek powąchał prochu, ale zgłasza się na ochotnika i chce założyć obóz w Mae Lwin, ściśle tajna sprawa w tamtym czasie, Bóg jeden wie, dlaczego chce tam iść, ale w każdym razie idzie; Nie tylko kraj jest opanowany przez uzbrojone bandy, ale ma to miejsce na długo przed tym, zanim zajęliśmy Górną Birmę, więc gdyby potrzebował posiłków, to nawet nie bylibyśmy w stanie przyjść mu z pomocą, jednak idzie, dlaczego, nikt nie wie, każdy ma swoją teorię, ja myślę, że może facet uciekał przed czymś, chciał odejść gdzieś daleko, wiecie, bardzo daleko, ale to jest tylko moja opinia, nie wiem; A co wy sądzicie,

chłopaki? Może sława; Dziewczyny!, gość lubi szkańskie dziewczyny, Dzięki, Stephens, mogłem się tego spodziewać po tobie, to jest facet, który ucieknie z kościoła, żeby na bazarze w Mandalaju gonić za wymalowanymi mingale; A co ty myślisz, Murphy? Ja, do diabła, może facet wierzy w sprawę, wiesz, cywilizowanie dzikich, zaprowadzanie pokoju, prawa i porządku w nieujarzmionym kraju, nie tak jak my, pijane dranie; Poetyczne, Murphy, prawdziwie poetyczne; Posłuchajcie, chcecie mojej opinii; Dobra, ile czasu zajmie ta opowieść; Gdzie skończyłem? Carroll zmierza do cholery dzungli; Taaa, Carroll zmierza do dzungli, pod eskortą może dziesięciu żołnierzy, to wszystko, to wszystko, na co pozwoli, mówi, że to nie jest wojskowa ekspedycja; No cóż, wojskowa ekspedycja czy nie, zanim jeszcze dotarli na miejsce, zostali zaatakowani, przekraczają polanę i nagle obok byczy strzała i wbija się w drzewo nad jego głową; Żołnierze kryją się w lesie i przygotowują karabiny, a

Carroll po prostu stoi na polanie, nie rusza się, zupełny głupiec, mówię wam, całkiem sam, ale spokojny, naprawdę spokojny, tak spokojny, że wprawiłby w zazdrość krupiera, a obok przelatuje kolejna strzała, tym razem szybciej, muskając jego hełm;

Szalony drań! Szalony, zgadza się, i co robi Carroll? Powiedz nam, Jackson; Taaa, powiedz nam, draniu; Dobra, dobra; Powiem wam wszystko, co on robi? Ten kompletny szaleniec zdejmuje hełm z przywiązany do niego małym fletem, na którym grywał podczas marszu, przykładając to diabelstwo do ust i zaczyna grać; Jest zwariowany, mówię wam! Cholerny szaleniec, gdybyście mnie zapytali! Pozwolicie mi skończyć tę opowieść? Taaa, nawijaj, nawijaj, dokończ tę cholerną historię! Więc

Carroll zaczyna grać, i co on gra? Boże, chroń Królową? Mylisz się, Murphy, Córkę drzeworytnika? Niech cię szlag, Stephens; Przepraszam za mojego przyjaciela, panie

Drake, i przepraszam, chłopcy, ale Carroll zaczyna grać jakąś szaloną melodię,

której żaden z żołnierzy nigdy nie słyszał, dziwaczną piosneczkę, a ja spotkałem kiedyś żołnierza, który należał do tej eskorty, i on opowiedział mi o tym, mówi, że nigdy w życiu nie słyszał tej melodyjki, nic nadzwyczajnego, może dwadzieścia dźwięków, a potem Carroll urywa i rozgląda się, a oddział nadal siedzi w lesie, karabiny przy policzkach, gotowe do strzału jak tylko ptak zakwili, ale nic się nie dzieje, wszystko jest nieruchome, a Carroll ponownie gra ten krótki utworek, a kiedy kończy, to czeka, a potem znowu gra i patrzy na otaczający polanę las; Nic, nawet pisku, żadnych strzał, a Carroll ponownie gra i z zarośli dobiega gwizd, ta sama cholerna melodia, i tym razem, gdy się kończy, Carroll nie przestaje grać, ale powtarza ją, i teraz słychać, że gwizdzą więcej ludzi, a on gra to trzy razy, a potem, cholera, współbrzmia, Carroll i napastnicy, i żołnierze słyszą śmiech i dobiegające spomiędzy drzew okrzyki radości, ale las jest gęsty, ciemny i nikogo w nim nie widać; I w końcu Carroll przestaje grać i pokazuje swoim ludziom, żeby się podnieśli, i wstają wolno, możecie sobie wyobrazić, że są przerażeni, dosiadają swoich wierzchowców i jadą dalej, nie widząc napastników, ale żołnierz, który opowiedział mi tę historię, twierdził, że słyszeli ich cały czas, byli tam, strzegąc oddziału, strzegąc Carrolla, i w ten sposób Carroll, nie wystrzeliwszy ani razu, przechodzi przez najniebezpieczniejszy obszar w całym

Imperium, po czym docierają do Mae Lwin, a miejscowy wódz czeka, spodziewając się ich, zajmuje się ich końmi i częstuje posiłkiem złożonym z ciepłego ryżu z curry, i oddaje im szalas, a po trzech dniach narad Carroll oświadcza całej grupie, że w zamian za ochronę przed dakoitami oraz za obietnicę zbudowania szpitala wódz udzielił zgody na wzniesienie fortu w Mae Lwin. A także za obietnicę dalszego muzykowania.

Żołnierz skończył. Zapadło milczenie. Nawet najbardziej awanturniczy słuchacze ucichli porażeni tą historią.

- Co to była za piosenka? - zapytał w końcu Edgar.

- Słucham?

- Piosenka. Co to była za piosenka, którą grał na flecie?

- Piosenka... miłosna śpiewka Szanów. Kiedy szański chłopak zaleca się do ukochanej, gra zawsze tę piosenkę. Nic wielkiego, raczej proste, ale działa jak czar.

Później Carroll wyjaśnił żołnierzowi, który opowiedział mi tę historię, że nikt nie może zabić człowieka, który gra melodię przypominającą o pierwszej miłości.

- Cholernie zdumiewające.

Rozległ się cichy chichot i mężczyźni pogrążyli się w myślach.

- Są jakieś inne historie? - zapytał Edgar.

- O Carrollu? Och, panie Drake, mnóstwo. Całe mnóstwo - mówiący to żołnierz zajrzał do swojej szklaneczki, która była prawie pusta. - Ale może jutro, teraz jestem zmęczony. Podróż jest długa, a od celu dzieli nas wiele dni. Aż do cholernego

Mandalaju nie mamy nic prócz opowieści.

Parowiec płynął w górę rzeki, mijając miasteczka, których nazwy wymieniane razem przypominały zaklęcia. Sitsayan. Kama. Pato. Thayet. Allanmyo.

Yahaing.

Nyaungwagyi. W miarę jak posuwali się dalej na północ, kraj stawał się suchszy, a roślinność rzadsza. Zielone wzgórza Pegu zbiegły wkrótce ku płaskiej równinie, a gęste listowie ustąpiło miejsca ciernistym drzewom i palmom arakowym. Zatrzymywali się w wielu portach pokrytych kurzem miasteczek, w których rzadko było więcej niż kilka chat i wyblakły monaster.

Tam zabierali lub wyladowywali towar i czasami przyjmowali na pokład pasażerów, zazwyczaj żołnierzy, rumianych chłopców, którzy przyłączyli się do nocnych rozmów, snując swoje własne opowieści.

I wszyscy słyszeli o Carrollu. Kawalerzysta z Kyaukchet powiedział im, że zna żołnierza, który był kiedyś w Mae Lwin i który twierdzi, że obóz przypominał mu opowieści o wiszących ogrodach Semiramidy, a fort, jak żaden inny,

ozdabiały festony najrzadszych orchidei. Przez cały czas słyszało się tam muzykę i nie trzeba było brać broni do ręki, gdyż na przestrzeni wielu kilometrów nie spotykało się dakoitów.

Ludzie siedzieli w cieniu na brzegu Saluin i jedli słodkie owoce. Dziewczęta śmiały się, ich włosy falowały, a oczy miały takie, jakie widuje się tylko w snach. Strzelec z Pegu słyszał, iż szajscy gawędziarze śpiewają ballady o Anthonym Carrollu, a piechociarz z

Danubyu utrzymywał, że w Mae Lwin nie ma chorób, gdyż chłodne, świeże wiatry wieją wzdłuż koryta Saluin i można spać na zewnątrz pod niebem opromienionym księżycowym blaskiem, i obudzić się bez jednego ukąszenia komara; i nie ma tam gorączki ani dyzenterii, które zabiły tak wielu jego przyjaciół, kiedy przedzierali się przez opary w dżungli i ściągali pijawki z kostek. Natomiast szeregowiec płynący ze swoim batalionem do Hlaingdet słyszał, że Anthony Carroll rozbroił działa i zrobił z nich donice do kwiatów, a karabiny żołnierzy, których spotkało to szczęście, że odbywali służbę w Mae Lwin, pokrywa rdza, gdyż mężczyźni spędzają czas na pisaniu listów i słuchaniu śmiechu dzieci, obrastając sadłem.

Coraz więcej mężczyzn dzieliło się swoimi opowieściami, a w miarę, jak parowiec z jękiem zmierzał na północ, Edgar zaczynał rozumieć, że historie w mniejszym stopniu były tym, co każdy opowiadający uważał za prawdę, a w większym tym, w co chciał wierzyć. I chociaż komisarz ogłosił pokój, to dla żołnierzy, którym kazano stać na jego straży, było to tylko utrzymywanie pokoju, a to zupełnie coś innego, i stąd brał się strach i rodziła się tęsknota za czymś, co by ten strach oddaliło.

A z owym zrozumieniem przyszło inne: Edgar poczuł się zaskoczony tym, jak nieważna zaczęła się stawać dla niego prawda. Możliwe, że bardziej niż któremukolwiek samotnemu żołnierzowi potrzebna mu była wiara w majora lekarza, którego nigdy nie spotkał.

Smbaungwe. Migyaungye. Minhla. Pewnej nocy Edgara obudziła dziwna pieśń

dobiegająca z brzegu rzeki. Usiadł na koi. Dźwięk był słaby, zaledwie mruczenie zagłuszane przez jego własny oddech. Słuchał, prawie się nie ruszając. Statek płynął dalej.

Magwe. Yenangyaung. A potem, w Kyaukye, wolne tempo żeglugi w górę rzeki przerwało przybycie trzech nowych pasażerów skutych łańcuchami.

Dakoici. To słowo Edgar słyszał wiele razy, odkąd przeczytał, jeszcze w Londynie, pierwszy artykuł na ich temat. Złodzieje. Wojownicy. Rozbójnicy.

Kiedy

Thibaw, ostatni władca Górnej Birmy, wstąpił na tron niemal dziesięć lat temu, kraj pogrążał się w chaosie. Nowy król był słaby i władza Birmańczyków nad krajem zaczęła wymykać im się z rąk nie z powodu jakiegoś zbrojnego oporu, ale ze względu na panoszące się bezprawie. Jak Górna Birma długa i szeroka, bandy maruderów napadały karawany i samotnych podróżnych, najeżdżały wsie, żądały pieniędzy za ochronę od pojedynczych wieśniaków. A skłonność bandytów do stosowania przemocy była powszechnie znana; świadectwo stanowiły setki zrównanych z ziemią wsi i ciała tych, którzy próbowali stawiać opór, a których ukrzyżowano przy drogach.

Gdy w wyniku aneksji Brytyjczycy odziedziczyli ryżowe pola Górnej Birmy, dostali w spadku także dakoitów.

Pojmanych wprowadzono na pokład, gdzie przysiedli w kucki; trzech brudni mężczyźni połączeni trzema równoległymi łańcuchami, biegnącymi od szyi do szyi, od nadgarstka do nadgarstka, od kostki do kostki. Zanim parowiec odbił od rozchwierutanego pomostu, tłum pasażerów zgromadził się półkolem wokół więźniów, którzy zwiesili ręce między kolanami i odpowiadali pozbawionymi emocji, ale wyzywającymi spojrzeniami. Strzegli ich trzech hinduscy żołnierze, a Edgara opanowało przerażenie na myśl, co takiego dakoici musieli uczynić, że zasłużyli na taką eskortę. Nie czekał długo na odpowiedź, bo gdy tłum pasażerów stał i spoglądał na więźniów, podróżująca statkiem Włoszka zapytała o to jednego z żołnierzy, a wojskowy z kolei zagadnął strażnika.

Ci trzej mężczyźni, wyjaśnił konwojent, byli przywódcami jednej z najokrutniejszych band dakoitów, którzy terroryzowali pogórze na wschód od Hlaingdet, w pobliżu brytyjskiego fortu, założonego podczas pierwszych ekspedycji wojskowych do stanów Szan. Edgar znał nazwę Hlaingdet; właśnie tam miał otrzymać eskortę na drogę do Mae Lwin. Bandydzi mieli na tyle śmiałości, że napadali mieszkających w sąsiedztwie fortu wieśniaków, którzy uważali, iż przenosząc się bliżej dowództwa wojskowego, uchronią się przed maruderami. Dakoici palili pola ryżowe i rabowali karawany, a w końcu napadli i spalili wieś, w której zgwałcili kobiety i dziewczęta, trzymając noże na gardłach ich dzieci. To była duża banda, może ze dwudziestu ludzi. Poddani torturom, wskazali tych trzech mężczyzn jako swoich przywódców. Teraz wieziono ich do Mandalaju na przesłuchanie.

- A pozostali? - dowiadywała się Włoszka.

- Zabito ich w potyczce - ze spokojem odparł żołnierz.

- Wszystkich siedemnastu? - pytała kobieta. - Zdawało mi się, że mówił pan, iż zostali schwytani i przesłuchani... - Ale nie dokończyła zdania, a jej twarz pokryła się rumieńcem. - Och - powiedziała słabym głosem.

Edgar stał, patrzył na więźniów i starał się dostrzec w wyrazie ich twarzy dowody straszliwych czynów, ale oblicza bandytów niczego nie ujawniały.

Zakuci w ciężkie żelastwo siedzieli z twarzami pokrytymi grubą warstwą błota, barwiącego ich ciemne włosy na jasny brąz. Jeden z dakoitów wyglądał bardzo młodo, miał drobny wąsik i długie włosy upięte w kok. Brud rozmazywał tatuaże, ale Edgarowi wydawało się, że dostrzega na jego piersi ciemną plamę w kształcie tygrysa. Podobnie jak pozostali chłopak patrzył stężonym wzrokiem.

Odpowiadał spojrzeniem tym, którzy stali wokół i potępiali go. Spojrzenia jego i Edgara spotkały się na chwilę, ale stroiciel fortepianów odwrócił głowę.

Pasażerowie tracili powoli zainteresowanie pojmanymi i rozchodzili się do swoich kabin. Edgar, nadal wstrząśnięty usłyszaną historią, podążył za innymi. Nie napisze o tym Katherine, postanowił; nie chciał jej przerażać. Przed snem

wyobraził sobie atak dakoitów i myślał o wieśniaczkach, o tym, że z pewnością nosiły dzieci na biodrach; był ciekaw, czy trudniły się handlem, czy też pracowały na polach, a także czy używały thanaka. Leżał, próbując usnąć. Nawiedziły go obrazy dziewcząt, których pociemniałą od słońca skórę pokrywały spirale białej farby.

Skuci kajdanami dakoici kucali na pokładzie.

Parowiec płynął. Przeszła noc, potem dzień; minęli kolejne miasta.

Sinbyugyun. Sale. Seikpyu. Singu. Jak monotonny śpiew. Milaungbya.

Pagan.

Słońce już niemal zachodziło, gdy na rozległej równinie ukazała się pierwsza ze świątyń. Samotna budowla, obrócona w ruinę i pokryta pnączami. Pod kruszejącymi ścianami widać było starego człowieka, który siedział z tyłu wozu ciągniętego przez dwie garbate bramińskie krowy. Parowiec płynął bardzo blisko brzegu, żeby ominąć wielkie łachy piasku na środku rzeki, a starzec odwrócił się i obserwował ich żeglugę.

Kurz, który podnosił się za wozem, odbijał promienie słoneczne, spowijające świątynię złotą mgiełką.

Samotna kobieta pod parasolką zmierzała w jakimś nieodgadnionym kierunku.

Żołnierze powiedzieli Edgarowi, że statek zatrzyma się i pasażerowie będą mogli „zwiedzić” ruiny Pagan, dawnej stolicy królestwa, które przez wieki władało

Birmą. Po prawie godzinnym manewrowaniu obok rzędów przewróconych pomników, w miejscu, gdzie rzeka zaczynała łagodnie skręcać na zachód, parowiec wreszcie zacumował przy bezbarwnym nabrzeżu i wielu pasażerów zeszło na ląd. Edgar podążył po trapie za parą Włochów.

Żołnierz prowadził ich pylistą drogą. Wkrótce ujrzeli kolejne pagody, budowle zasłonięte przez rzadkie listowie lub wznoszący się brzeg. Słońce zachodziło szybko i ostatnie jego promienie przecięła para nietoperzy, trzepocząc skrzydłami. Wkrótce pasażerowie dotarli do podnóża wielkiej piramidy.

- Wejdźmy na górę - powiedział żołnierz. - To najlepszy widok w całym Pagan. Schody były strome. Na ich szczycie szeroki taras otaczał centralną iglicę. Gdyby weszli dziesięć minut później, nie ujrzeliby już słońca rzucającego ostatnie promienie na zajmowaną przez pagody rozległą równinę, która ciągnęła się od rzeki ku odległym góróm, zdającym unosić się w kurzu i dymie płonących pól ryżowych.

- Co to za góry? - zapytał Edgar żołnierza.

- Wzgórza Szan, panie Drake. Wreszcie je widzimy.

- Wzgórza Szan - powtórzył stroiciel.

Jego wzrok powędrował obok stojących jak wojsko w szyku świątyń ku góróm, które wyrastały gwałtownie z równiny i zdawały się wisieć w powietrzu.

Pomyślał o płynącej przez te wzgórza rzece i o tym, że gdzieś tam czeka ukryty w ciemności człowiek, który być może wpatruje się w to samo niebo. Człowiek, który dopiero pozna jego nazwisko.

Słońce zaszło. Płaszcz nocy zaczął okrywać równinę i jedną pagodę po drugiej, aż w końcu żołnierz odwrócił się i poprowadził podróżnych z powrotem na statek.

NyaungU, Pakokku, i znowu dzień. Kanma i ujście rzeki Chindwin; Myingyan i Yandabo, a potem noc, a gdy na zachodzie wyrosły wzgórza Sagaing, pasażerowie poszli spać, świadomi tego, że parowiec, prując fale pod prąd, minie w nocy dawną stolicę, Amarapurę, której nazwę tłumaczy się jako Miasto Nieśmiertelnych. Przed wschodem słońca dotrą do Mandalaju.

9

Następnego ranka Edgara obudziła nagła cisza. Po siedmiu dniach nieubłaganego zawodzenia maszyny zostały wyłączone i parowiec dryfował. Do kabiny wpłynęły nowe dźwięki: cichy chlupot, szepczący zgrzyt metalu o metal powodowany przez kołyszącą się na łańcuchu lampę naftową, nawoływania ludzi i daleki, a jednak niemożliwy do pomylenia harmider bazaru. Stroiciel wstał i rezygnując z mycia, ubrał się, opuścił kabinę i ruszył korytarzem w

kierunku spiralnych schodów, którymi, świadom trzeszczenia desek pod bosymi stopami, wspiał się na pokład. U szczytu schodów niemal zderzył się z młodym majtkiem, śmigającym jak langur w dół po balustradzie. Mandalaj, powiedział chłopak, i szczerząc się, machnął ręką w stronę brzegu.

Płynęli obok targowiska. A może jego środkiem; zdawało się, że statek zapadał się, brzeg wznosił, a jego mieszkańcy kłębili się i przelewali z nabrzeża na pokład.

Bazar napierał z obu stron; krzątania postaci, krzyki, unoszące się kontury thanaka ocienione przez szerokie bambusowe kapelusze, sylwetki siedzących na słoniach kupców. Kilkoro śmiejących się dzieci przeskoczyło przez reling na pokład; gonili się, przemykając między stosami zwiniętych lin, mnóstwem łańcuchów i workami przypraw, spychane przez sprzedawców, którzy przewalali się przez statek. Edgar usłyszał za sobą śpiew i odwrócił się. Na pokładzie stał rotiwallah, szczerząc się w bezzębny uśmiech, na jego pięści wirowało ciasto. Słońce, zaśpiewał i wyduł wargi, by wskazać niebo; Słońce. Ciasto wirowało szybciej, aż podrzucił je w górę.

Edgar rozejrzał się po pokładzie parowca, ale już go nie widział, gdyż cały statek był jednym wielkim bazarem. Przyprawy sypały się z worków na pokład. Obok, rzędem, przeszli mnisi, monotonicznie prosząc o jałmużnę i okrążając Edgara, a on patrzył na ich białe stopy, które pozostawiały ślady w rozsypanym pyłe barwy ich szat.

Jakaś kobieta zawołała do Edgara po birmańsku; żuła betel i miała język koloru śliwki, a jej śmiech zagłuszył tupot nóg. Ponownie przebiegła dzieciarnia. I znowu wrócił śmiech. Stroiciel odwrócił się i spojrzał na rotiwallaha, a potem na wirujące ciasto. Mężczyzna zaśpiewał ponownie, sięgnął wysoko i zdjął słońce z nieba. Było ciemno, a Edgar patrzył w mrok swojej kajuty.

Maszyny rzeczywiście stanęły. Przez krótką chwilę stroiciel zastanawiał się, czy czasem nie śni nadal, ale za otwartym oknem było ciemno. Na zewnątrz słyszał głosy.

Z początku uznał, że nie należały do członków załogi. Dźwięki zdawały się jednak dobiegać z dalszej odległości. Wspiął się więc na pokład. Księżyc był niemal w pełni i rzucał niebieskie cienie na mężczyzn, którzy pospiesznie toczyli beczki w kierunku trapu. Linie brzegu wyznaczały chaty. Drugi raz tej nocy Edgar Drake przybył do Mandalaju.

Na brzegu czekał kapitan Trevor NashBurnham, który pierwotnie zamierzał spotkać się z Edgarem w Rangunie, a którego stroiciel znał jako autora kilku raportów dotyczących majora Carrolla. Relacje kapitana były pełne opisów Mandalaju, rzeki i krętych szlaków prowadzących do obozu doktora. Edgar skrycie pragnął poznać kapitana NashBurnhama, gdyż większość biurokratów, z jakimi miał do czynienia po polowaniu, nie wywarła na nim wrażenia; ich tępota w zestawieniu z widocznym wokół kolorytem zdumiewała go. Stojąc na brzegu, stroiciel przypomniał sobie, jak w

Rangunie, w okresie administracyjnego szaleństwa po polowaniu i postrzeleniu chłopca wracał z odprawy do domu w towarzystwie urzędnika Zarządu Okręgów

Wiejskich. Minęli wówczas tłum ludzi, starających się uwolnić oszołomionego opium człowieka, który usnął pod wozem i został zmiażdżony, gdy zaprzęgnięte konie, skubiąc żywopłot, pociągnęły wóz. Człowiek krzychał niskim, otępiłym od narkotyku głosem, a grupa kupców usiłowała skłonić zwierzęta do pociągnięcia pojazdu naprzód lub w tył. Edgar poczuł mdłości, ale urzędnik nie przestawał mówić o partiach drewna tekowego, zebranego w różnych okręgach kolonii. Gdy stroiciel zapytał, gdzie mogliby znaleźć pomoc, mężczyzna nie dociekając racji, zaszokował go pytaniem: „Dla kogo?”.

Odpowiedź tę Edgar ledwo dosłyszał z powodu krzyków ofiary.

Stojąc na brzegu, Edgar wykonywał mimowolne ruchy. Podczas gdy kapitan czytał pismo z Ministerstwa Wojny, szczegółową notę dotyczącą zapasów i rozkładu zajęć, stroiciel przyglądał się badawczo twarzy człowieka, który

napisał o Irawadi, że jest „łśniącym wężem, porywającym nasze sny tylko po to, by przynieść nowe z przybranych klejnotami wzgórz”. Wojskowy był krępy męczyzną, o szerokim czole; sapał, kiedy mówił zbyt szybko - uderzające przeciwieństwo młodości i sportowej sylwetki kapitana Daltona. Jak na oficjalną odprawę był to dziwny moment. Edgar spojrział na zegarek kieszonkowy, który podarowała mu przed odjazdem Katherine.

Była czwarta i dopiero wtedy stroiciel przypomniał sobie, że czasomierz zardzewiał i stanął już trzeciego dnia pobytu w Rangunie, a teraz, jak napisał żartobliwie do żony, pokazywał dokładny czas tylko dwa razy na dobę, mimo to nosił go „dla zachowania pozorów”. Z pewnym rozbawieniem przypomniał sobie londyńską reklamę: W to Boże

Narodzenie, gdy zabrzmia kościelne dzwony, daj sobie prezent na czasie - znakomite zegarki Robinsona na rękę...

Okolice rzeki zaczynały budzić się do życia i można było zobaczyć wąski strumyczek kupców zmierzających drogą ku nabrzeżu. Mężczyźni zaś wsiedli do powozu i pojechali do miasta. Centrum Mandalaju, jak Edgar napisze w swoim następnym liście do domu, leżało ponad trzy kilometry od brzegu Irawadi; gdy stolicę przenoszono z Amarapury nad rzekę, królowie chcieli, by ich nowa siedziba była daleko od hałaśliwych obcych parowców.

Jechali ciemną drogą z koleinami. Póki szyba nie zaparowała, Edgar obserwował przesuwane się za nią kształty. Potem NashBurnham wyciągnął rękę i wytarł okno swoją chusteczką. Zanim powóz wjechał do miasta, wstało słońce. Ulice wypełniły się. Zbliżali się do targowiska. Ręce napierały na okna, twarze zaglądały do wnętrza. Sprzed powozu uskoczył kulis, niosący na drągu dwa worki przypraw, które zakołysały się tak, że jeden z nich musnął szybę, obsypując ją pyłem curry. Przyprawa rozbłysła w świetle wschodzącego słońca i zabarwiła szybę na złoto.

Podczas jazdy Edgar próbował odtworzyć w pamięci jeden z planów Mandalaju, nad którymi ślęczał na parowcu, ale stracił orientację i przyznał

przed samym sobą, że porwał go nastrój towarzyszący przybyciu dokądś, wrażeniu cudowności i domysłem związanym ze znalezieniem się w nowym miejscu.

Mijali wystawione na środek drogi stoliki szwaczek, sprzedawców betelu z tacami pełnymi rozłupanych orzechów i kubków z wapnem, szlifierzy, sprzedawców sztucznych zębów i świętych obrazów, sandałów, luster, suszonych ryb i krabów, ryżu, paso i parasolek. Od czasu do czasu kapitan NashBurnham pokaże coś na trasie, słynną świątynię, budynek rządowy, a Edgar odpowie: Tak, czytałem o tym, albo: To nawet piękniejsze niż na ilustracji, lub: Być może niebawem to zwiedzę.

W końcu powóz zatrzymał się przed małym, me rzucającym się w oczy domem. - Pańskie tymczasowe lokum, panie Drake - powiedział kapitan. - Zwykle umieszczamy gości w koszarach, w obrębie miejscowego pałacu, ale lepiej będzie, jeśli zatrzyma się pan tutaj. Proszę się rozgościć. Lunch zjemy dzisiaj w rezydencji zarządcy Rejonu Północnego, to specjalne przyjęcie z okazji aneksji Mandalaju.

Przyjadę po pana w południe.

Edgar podziękował NashBurnhamowi i wysiadł z powozu. Woźnica zaniósł bagaże pod drzwi. Zapukał; otworzyła kobieta. Woźnica wprowadził Edgara do środka, a on z przedpokoju podążył za kobietą i wszedł na niewysoki drewniany podest, a potem do skromnie umeblowanego pokoju wyposażonego w stół i dwa krzesła. Kobieta wskazała gestem na jego stopy; widząc, że Birmanka zostawiła swoje sandały przy drzwiach, usiadł na stopniu i niezdarnie zdjął buty.

Następnie wprowadziła go drzwiami z prawej strony do pokoju, w którym było wielkie osłonięte moskitierą łóżko, i postawiła bagaże na podłodze.

Za sypialnią znajdowała się łazienka wyposażona w miednicę i wyprasowane ręczniki. Drugie drzwi prowadziły do niewielkiego ogródka, gdzie w cieniu dwóch drzew papai stał stolik. Wszystko to, jeśli pominąć drzewa papai i stojącą obok kobietę, jest bardzo osobliwe i bardzo angielskie, pomyślał Edgar.

Odwrócił się do niej:

- Edgar naa mehi. Naa meh be lo... lo... kaw dha le? - Znak zapytania na końcu odnosił się tyleż do poprawności jego birmańskiego, co i do wymogu samego pytania:

Jak się nazywasz?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Kyamma naa meh Khin Myo - powiedziała miękko, a „m” i „y” zlały się w jedną głoskę.

Edgar wyciągnął rękę, a kobieta uśmiechnęła się ponownie i ujęła ją w swoje dłonie.

Jego zegarek pokazywał nadal czwartą. Teraz, oceniając po słońcu, spóźniał się trzy godziny; w chwili wyjścia na lunch spóźnienie będzie wynosiło aż osiem godzin.

Khin Myo zaczęła podgrzewać wodę na kąpiel, ale Edgar powstrzymał ją.

- Wychodzę... przejść się. Na przechadzkę.

Wykonał palcami odpowiedni ruch, a kobieta skinęła głową. Zdaje się, że rozumie, pomyślał. Wyjął z torby kapelusz i wyszedł do przedpokoju, gdzie musiał ponownie usiąść i zasznurować buty.

Khin Myo z parasolką czekała przy drzwiach. Przystanął obok niej, nie bardzo wiedząc, co powinien powiedzieć. Polubił ją natychmiast. Nosiła się z gracją, uśmiechała i patrzyła mu prosto w oczy, nie tak jak inne służące, które zdawały się przemykać nieśmiało, gdy tylko wykonały polecenie. Oczy miała ciemnobrązowe, osłonięte gęstymi rzęsami, a na obu policzkach równe linie thanaka. We włosy wpięła kwiat hibiskusa, a gdy przeszedł przed nią, poczuł słodki zapach, przypominający mieszankę olejku cynamonowego i kokosowego. Ubrana była w wyblakłą koronkową bluzkę, która sięgała jej do pasa, i w jedwabną, fioletową, drobno plisowaną hta main.

Ku jego zaskoczeniu Khin Myo wyszła wraz z nim. Na ulicy próbował znowu sklecić kilka birmańskich słów.

- Nie martw się o mnie, ma...thwa...um, nie musisz um...ma iść. To tylko uprzejmość, nie powinienem obarczać jej opieką nad sobą. Khin Myo roześmiała się.

- Nieźle pan mówi po birmańsku. A powiedzieli, że jest pan tutaj zaledwie od dwóch tygodni.

- Mówisz po angielsku?

- Och, niezbyt dobrze, mam szorstki akcent.

- Twój akcent jest bardzo przyjemny dla ucha.

Uderzyła go natychmiast łagodność jej głosu; coś jak szept, ale głębszy, przypominający odgłos wiatru grającego w szyjce butelki. Khin Myo uśmiechnęła się i tym razem spuściła wzrok.

- Dziękuję. Proszę iść dalej. Nie chcę przerywać panu przechadzki. Ale jeśli pan chce, mogę panu towarzyszyć.

- Naprawdę nie chcę ci sprawiać kłopotu...

- To żaden kłopot. Uwielbiam swoje miasto wczesnym rankiem. A poza tym nie mogłabym pana puścić samego. Kapitan NashBurnham powiedział, że mógłby się pan zgubić.

- Dziękuję, dziękuję ci. Jestem doprawdy zaskoczony.

- Moim angielskim czy tym, że birmańska kobieta nie wstydzi się z panem rozmawiać?

Kiedy Edgar nie mógł znaleźć właściwych słów, by odpowiedzieć, dodała:

- Proszę się nie martwić, często widuje się mnie z przyjezdnymi.

Szli ulicą i mijali domy, przed którymi dokładnie zamieciono gruntowe ścieżki.

Przed jednym z nich kobieta wieszała ubrania na sznurze. Khin Myo przystanęła, żeby z nią porozmawiać.

- Dzień dobry, panie Drake - odezwała się nieznajoma.

- Dzień dobry - odparł. - Czy wszystkie... - urwał, zażenowany.

- Czy wszystkie służące mówią po angielsku?

- Tak... tak.

- Nie wszystkie. Uczę panią Zin Nwe, gdy jej pana nie ma w domu - zreflektowała się Khin Myo. - Proszę nikomu o tym nie mówić; być może jestem w stosunku do pana zbyt szczerą.

- Nie powiem nikomu. Uczysz angielskiego?

- Uczylaam. To długa historia. Nie chcę nią pana zanudzać.

- Wątpię, by to ci się udało. Ale czy mogę zapytać, w jaki sposób sama się nauczyłaś?

- Zadaje pan mnóstwo pytań, panie Drake. Czy tak bardzo jest pan zaskoczony?

- Nie, nie. Wcale nie, przepraszam. Nie miałem zamiaru cię urazić...

Milczała. Szli dalej, a ona cały czas trzymała się nieco z tyłu. Po chwili odezwała się cicho:

- Przepraszam. Jest pan uprzejmy, a ja nie.

- Nic podobnego - odparł Edgar. - Naprawdę zadaję zbyt wiele pytań. Nie poznałem zbyt wielu Birmańczyków. A sama wiesz, jaka jest większość oficerów.

Khin Myo uśmiechnęła się.

- Wiem.

Skręcili na końcu ulicy. Edgarowi zdawało się, że w przybliżeniu podążają trasą, którą przyjechał.

- Dokąd chciałby pan pójść, panie Drake?

- Zaprowadź mnie w swoje ulubione miejsce - odparł i przestraszył się nagłej zażyłości, którą można było wyczuć w tej odpowiedzi. Jeśli i ją ta poufałość zaskoczyła, zdołała to ukryć.

Szli na zachód szeroką ulicą. Za nimi wznosiło się słońce, a Edgar obserwował dwa cienie, które niczym węże głowami naprzód posuwały się po ziemi. Mówili niewiele, choć wędrowali prawie godzinę. Zatrzymali się nad małym kanałem, by przyjrzeć się bazarowi na wodzie.

- Moim zdaniem to najpiękniejsze miejsce w Mandalaju - powiedziała Khin Myo.

A Edgar, który był w mieście niecałe cztery godziny, zgodził się z nią. Pod nimi, u brzegów, kołysały się łodzie.

- Wyglądają jak pływające kwiaty lotosu - zauważył.

- A kupcy jak rechoczące na nich żaby.

Stali na mostku i obserwowali łodzie przepływające kanałem.

- Podobno zjawiał się pan tutaj, żeby naprawić fortepian? - odezwała się Khin Myo.

Edgar zawahał się, zaskoczony pytaniem.

- Tak, istotnie. Skąd wiesz?

- Można wiele usłyszeć, jeśli inni uważają, że nie zna się ich języka.

Edgar spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Wyobrażam sobie... Uważasz, że to dziwne? To kawał drogi do przebycia, żeby naprawić fortepian.

Ponownie odwrócił się w stronę kanału; dwie łodzie zatrzymały się, aby kobieta mogła odmierzyć do woreczka trochę żółtej przyprawy. Nieco proszku opadło na czarną wodę jak pyłek kwiatowy.

- Nie aż tak dziwne. Jestem pewna, że Anthony Carroll wie, co robi.

- Wiesz o Anthonym Carrollu?

Khin Myo ponownie zamilkła, a on odwrócił się i ujrzał, że wpatruje się w drugi brzeg kanału. Po atramentowej wodzie między wyspami hiacyntów kupcy popychali drągami łódki, wykrzykując ceny przypraw.

Wracali do domu. Słońce stało teraz wyżej i Edgar niepokoił się, że zanim NashBumham przyjdzie, żeby zabrać go na przyjęcie, może mieć za mało czasu na kąpiel. W domu Khin Myo napełniła wodą miednicę w łazience, po czym przyniosła mydło i ręcznik. Edgar wykapał się, ogolił i włożył nowe spodnie oraz czystą koszulę, którą Birmanka w tym czasie wyprasowała.

Kiedy wyszedł z łazienki, kobieta klęczała przy miednicy i prała jego ubrania.

- Och, panno Khin Myo, nie musi pani tego robić.

- Czego?

- Prać moich rzeczy.
- Kto je wypierze, jeśli nie ja?
- Nie wiem, tylko to jest tak...

Przerwała mu.

- Proszę spojrzeć. Przyszedł kapitan NashBurnham.

Edgar ujrzał oficera, gdy ten wychodził zza rogu.

- Witam! - zawołał.

Kapitan miał na sobie strój obowiązujący w kasynie: szkarłatną codzienną marynarkę, kamizelkę, niebieskie spodnie i szablę u pasa.

- Witaj, Edgarze! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko przechadzce. Powóz był potrzebny dla któregoś z mniej krzepkich gości! - Mówiąc to NashBurnham wszedł do ogródka i spojrzał na Khin Myo. - Ma Khin Myo - powiedział i skłonił się zamaszyście. - Aaach, cudownie pachniesz.

- Mydłem do prania.

- Gdybyż tylko róże mogły kąpać się w takim mydle.

Jakkolwiek by było, pomyślał Edgar, to jest człowiek, który nazwał Irawadi lśniącym wężem.

Rezydencja zarządcy znajdowała się o dwadzieścia minut pieszej wędrówki od domu. Podczas marszu kapitan stukał palcami w pochwę szabli.

- Jak pan spędził poranek, panie Drake?

- Miło, kapitanie, bardzo miło. Odbyłem czarującą przechadzkę w towarzystwie panny Khin Myo. Jest niezwykła jak na Birmankę, prawda? Wszystkie są takie nieśmiałe. Poza tym wspaniale mówi po angielsku.

- Robi ogromne wrażenie. Powiedziała panu, jak nauczyła się angielskiego?

- Nie, nie pytałem; nie chciałem wydać się wścibski.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Drake, chociaż nie sądzę, aby miała coś przeciwko temu, żeby panu powiedzieć. Doceniam jednak pańską dyskrecję. Nie uwierzyłby pan, jakie problemy mam z innymi gośćmi. Khin Myo jest bardzo piękna.

- Istotnie. Jak wiele kobiet. Gdybym tylko był młody.

- Niech pan uważa. Nie byłby pan pierwszym Anglikiem, który zakochał się i nie wrócił do domu. Czasami wydaje mi się, że jedynym powodem, dla którego szukamy nowych krain, są dziewczęta. Niech pan pozwoli, że będę tym, który ostrzeże pana, by trzymał się pan z dala od miłosnych przygód.

- Och, nie martwiłbym się tym - zaprotestował Edgar. - W Londynie zostawiłem ukochaną żonę.

Kapitan spojrzał na niego zezem. Edgar roześmiał się i pomyślał: Przecież mówię prawdę, tęsknię za Katherine nawet teraz.

Szli wzdłuż ogrodzenia, które opasywało szeroki trawnik, otaczający okazały pałac. Wstępu na podjazd strzegł Hindus w policyjnym mundurze. Kapitan NashBurnham skinął na niego głową, a tamten otworzył bramę. Poszli długą ścieżką, przy której stało kilka powozów.

- Proszę, panie Drake - powiedział NashBurnham. - To powinno być znośne popołudnie, jeśli tylko przeżyjemy lunch i nieodzowne czytanie poezji. Kiedy opuszczą nas damy, będziemy mogli pograć w karty. Wszyscy jesteśmy nieco zawistni wobec siebie, ale jakoś ze sobą wytrzymujemy. Niech pan po prostu udaje, że znalazł się pan z powrotem w Anglii.. - Przerwał na chwilę. - Ale najpierw mała rada: proszę nie rozmawiać z panią Hemmington o czymkolwiek, co ma związek z Birmą. Dama ma nieprzyjemne poglądy na to, co nazywa „naturą brązowych ras”; poglądy te dla wielu z nas są żenujące. Zdaje się, że zwykła wzmianka na temat świątyni lub birmańskich potraw wywołuje u niej słowotok. Może pan opowiadać jej londyńskie plotki lub mówić o szydełkowaniu, ale proszę, nic o Birmie.

- Ale ja nie znam się na szydełkowaniu.

- Bez obaw. Ona się zna.

Byli prawie u szczytu schodów.

- Proszę także uważać na pułkownika Simmonsa, pije za dużo. I niech pan nie zadaje pytań związanych z wojskowością, proszę pamiętać, że jest pan cywilem.

I ostatnia rzecz... być może powinienem był to powiedzieć na początku: większość tych ludzi wie, dlaczego pan się tutaj znalazł, i przyjmą pana z gościnnością, jaka należy się facetowi z ojczystego kraju. Ale nie jest pan wśród przyjaciół. Niech pan nie wspomina ani słowem o Anthonym Carrollu.

Przy drzwiach powitał ich wysoki sikh w stroju majordomusa. NashBurnham uścisnął Hindusowi dłoń.

- Pavninder Singh, jak się masz, mój dobry człowieku?

- Dobrze, sahibie, dobrze - uśmiechnął się zagadnięty.

NashBumham podał mu swoją szablę.

- Pavninder, to jest pan Drake. - Kapitan wskazał Edgara.

- Stroiciel fortepianów? - szepnął sikh.

NashBumham roześmiał się, trzymając dłoń na brzuchu.

- Pavninder jest sam znakomitym muzykiem. Cudownie gra na tabla.

- Och, sahibie, pan jest nazbyt łaskawy!

- Milcz i przestań nazywać mnie sahibem; wiesz, że tego nie znoszę. Znam się na muzyce. W siłach Jej Królewskiej Mości w Górnej Birmie są tysiące Hindusów, a ty grasz na tabla najlepiej. Panie Drake, powinien pan zobaczyć, jak miejscowe dziewczyny mdleją z jego powodu. Gdyby pan Drake pozostał w mieście wystarczająco długo, być może zagrałibyście w duecie.

Teraz przyszła kolej na Edgara, by zaprotestować.

- Prawdę mówiąc, kapitanie, jestem mocno niewprawy, jeśli chodzi o fortepian, to znaczy o grę na nim. Tylko stroję i naprawiam.

- Nonsens, obaj jesteście zbyt skromni. W każdym razie wydaje się, że fortepiany to obecnie raczej bolesny temat, więc zostanie panu oszczędzony.

Pavninder, czy zaczął się już lunch?

- Zacznie się niebawem, sir. Przyszliście, panowie, w samą porę.

Sikh wprowadził ich do sali pełnej dam i oficerów, którzy kontentowali się ginem i plotkami. Kapitan miał rację; Jestem z powrotem w Londynie, pomyślał Edgar, Sprowadzili nawet Atmosferę.

NashBurnham utorował sobie drogę między dwiema kobietami raczej słusznej postury i w dodatku pod dobrą datą; miały na sobie powiewające muśliny ozdobione kaskadami szarf, które przysiadły na zboczach tkaniny jak motyle. Kapitan położył dłoń na wielkim łokciu z dołeczkami; Pam Winterbottom, jak się pani ma?

Prezentacje, panie Drake?

Przechodzili wolno między gośćmi. Z nieustępliwością przewoźnika NashBurnham prowadził Edgara przez wiry szczebiotów, zmieniając gwałtownie wyraz twarzy, na której można było dostrzec zarówno dociekliwość, z którą badał salę, jak i szeroki i ujmujący uśmiech, gdy odciągał jedną czy drugą upudrowaną matronę od kółka jej znajomych, by - w monologu - przedstawić stroiciela; Lady Aston, moja droga, nie widziałem pani od marca, od przyjęcia u zarządcy, cudownie pani dzisiaj wygląda; To ten miesiąc w Maymyo; Tak? Wiedziałem! No cóż, muszę przekonać siebie samego i wkrótce pojechać tam znowu; Chociaż, myślę, że to niezbyt zabawne miejsce dla kawalera; Zbyt spokojne! Ale niebawem, niebawem, muszę pojechać; Jedną chwilę, proszę pozwolić, że przedstawię panią gościowi, pan Drake z Londynu.

Miło mi panią poznać, lady Aston. Mnie także, panie Drake, straszliwie tęsknię za

Londynem. Ja także, madame, chociaż jestem w podróży zaledwie od miesiąca. Doprawdy? Zatem dopiero co pan przybył, serdecznie witam, muszę pana przedstawić mężowi, Alistair? Alistair, poznaj pana Dricka z Londynu. Wysoki mężczyzna z bokobrodami Dundreary wyciągnął dłoń; Miło mi, panie Drick... W istocie, Drake, lordzie Aston; Miło mi. Nawet ja wiem, że w Londynie bokobrody Dundreary już dawno wyszły z mody, pomyślał.

Zmiana miejsca. Chciałbym, żeby pani poznała Edgara Drake'a, który dopiero co przybył z Londynu. Panie Drake, to jest panna Hoffnung, prawdopodobnie jedna z najlepszych partnerek do wista w Górnej Birmie. Och, majorze, pan mi

pochlebia;

Proszę nie wierzyć we wszystko, co on panu mówi, panie Drake. Pam Sandilands, pan

Drake. Pani Partridge, to jest Edgar Drake z Londynu. Panie Drake, przedstawiam panią Partridge, to jest pani Pepper.

- Z której części Londynu pan pochodzi, panie Drake?

- Gra pan w tenisa?

- Czym pan się zajmuje w Londynie, panie Drake?

- Franklin Mews, w pobliżu Fitzroy Square. A nie, nie gram w tenisa, pani Partridge.

- Pepper.

- Najmocniej przepraszam, ale nadal nie umiem grać w tenisa, pani Pepper. Śmiech.

- Fitzroy Square to niedaleko Oxford Music Hall, prawda, panie Drake?

- Istotnie.

- Mówi pan tak, jakby znał to miejsce. Czy jest pan muzykiem, panie Drake?

- Nie, niezupełnie, luźno związany, można powiedzieć...

- Moje panie, dosyć pytań do pana Drake'a. Sądzę, że jest zmęczony.

Edgar i NashBurnham stanęli w rogu sali, osłaniani przed gośćmi przez szerokie plecy wysokiego oficera w ubraniu w szkocką kratę. Kapitan zwilżył usta łykiem ginu.

- Mam nadzieję, że nie zmęczyła pana ta rozmowa.

- Nie, dam sobie radę. Jestem jednak zdumiony tym, w jaki sposób wszystko zostało... odtworzone.

- Cóż, mam nadzieję, że spodoba się panu tutaj. To powinno być miłe popołudnie. Kucharzem jest gość z Kalkuty; powiadają, że jeden z najlepszych w

Indiach. Nie uczestniczę w takich imprezach regularnie, ale to jest szczególny dzień.

Spodziewam się, że będzie pan się czuł jak w kraju.

- W kraju... - i Edgar niemal dodał: Podobnie jak w domu, czuję się jak w domu.

W holu zabrzmiał gong i tłum ruszył do sali jadalnej.

Lunch zaczął się od modlitwy. Edgar siedział naprzeciwko majora Dougherty, korpulentnego mężczyzny, który śmiał się, sapał, wypytywał go o podróż i dowcipkował na temat technicznego stanu parowców. Siedząca po lewej ręce męża upudrowana, wrzecionowata pani Dougherty zapytała Edgara, czy śledzi brytyjską politykę, a on odpowiedział wymijająco, przekazując nieco wiadomości na temat toczących się przygotowań do obchodów jubileuszu królowej. Gdy rozmówczyni forsowała temat, major zachichotał i przerwał żonie:

- Och, moja droga, jestem pewny, że jednym z powodów przyjazdu pana Drake'a była chęć ucieczki od brytyjskiej polityki! Mam rację, panie Drake? Wszyscy się roześmiali, nawet pani Dougherty, która zajęła się swoją zupą, zadowolona z tych niewielu wiadomości, jakie wyciągnęła z gościa, Edgar zaś stęzał na chwilę, gdyż rozmowa, jak balansujący na linie artysta cyrkowy, zbliżyła się niebezpiecznie do prawdziwego powodu jego przyjazdu do Birmy. Na szczęście pani

Remington, siedząca po lewej ręce stroiciela, naskoczyła na majora za to, że śmieje się z podobnych rzeczy.

- To nie jest czcza pogawędka, nie; jako brytyjscy poddani musimy wiedzieć takie rzeczy, gdyż poczta przychodzi bardzo spóźniona, a jak ma się teraz królowa, słyszałam, że lady Hutchings zapadła na suchoty. Czy to było przed, czy po londyńskim balu przebierańców?

- Po.

- No cóż, to dobrze, nie dla lady Hutchings, ale dla balu, jakkolwiek by było, jest taki cudowny, bardzo bym chciała na nim być.

Damy zaszczębiotały i zaczęły rozmawiać o ostatnich balach towarzyskich, w których uczestniczyły, a Edgar usiadł wygodnie i zaczął jeść.

Są uprzejmi, uznał; Pomyśleć tylko, że w Anglii nie zostałbym nigdy zaproszony na takie przyjęcie. Był jednak zadowolony z kierunku, jaki obrała rozmowa - cóż bowiem mogło być odleglejszego niż bal przebierańców od potencjalnie zapalnych tematów, takich jak fortepiany i niezwykli lekarze? - gdy pani

Remington zapytała dosyć niewinnie:

- Był pan na tym balu, panie Drake?

A on odparł:

- Nie, nie byłem.

A ona:

- Tyle pan o nim wie, że musiał pan być.

A on:

- Nie. - I dodał uprzejmie: - Stroilem tylko fortepian Érarda, na którym wtedy grano.

I od razu zrozumiał, że nie powinien był tego powiedzieć.

- Przepraszam, fortepian jakiego „arda”?

A on nie potrafił się powstrzymać i odparł:

- Érarda, to marka fortepianu, mają instrument z 1854 roku, jeden z najlepszych w Londynie, bardzo piękny, sam intonowałem go rok wcześniej; tuż przed balem chcieli go nastroić.

Pani Remington wydawała się całkiem usatysfakcjonowana odpowiedzią.

Nastąpiła cisza, jedna z tych przerw w rozmowie, które stanowią preludium do zmiany tematu, ale nie dla pani Remington, która powiedziała niewinnie:

- Érard... na takim fortepianie gra doktor Carroll.

Nawet wtedy wszystko można było jeszcze uratować, gdyby na przykład pani Dougherty odezwała się wystarczająco szybko i zapytała Edgara, co sądzi o pogodzie w Birmie, i pragnęła usłyszeć, że klimat jest okropny, lub gdyby major Dougherty poinformował o ostatnim ataku dakoitów na obrzeżach Taunggyi, lub gdyby pani

Remington drażyła daleki od wyczerpania temat balu, gdyż nadal chciała wiedzieć, czy jej przyjaciółka, pani Bissy, uczestniczyła w nim. Ale głos zabrał siedzący na lewo od majora Dougherty pułkownik West, który milczał do tej pory, a teraz mruknął całkiem głośno:

- Powinniśmy byli wrzucić ten śmieć do wody.

Edgar odwrócił się od pani Remington.

- Przepraszam, pułkowniku. Co pan powiedział?

- Jedynie to, że wolałbym, aby dla dobra służby Jej Królewskiej Mości ten piekielny instrument został wrzucony do Irawadi lub użyty na opał.

Przy stole zapadło milczenie, a kapitan NashBurnham, pochłonięty wcześniej inną rozmową, powiedział:

- Proszę, panie pułkowniku, już to przerabialiśmy.

- Niech mnie pan nie poucza, o czym mam mówić, kapitanie, z powodu tego fortepianu straciłem w potyczce z dakoitami pięciu ludzi.

Kapitan odłożył sztucce.

- Z całym należnym szacunkiem, panie pułkowniku, wszystkim nam jest bardzo przykro z powodu tego ataku. Znałem jednego z zabitych, ale uważam, że sprawa fortepianu to odrębna kwestia, a pan Drake jest naszym gościem.

- Pan mnie mówi, co się stało, kapitanie?

- Oczywiście, że nie, sir. Miałem jedynie nadzieję, że moglibyśmy to omówić w innym czasie.

Pułkownik odwrócił się do Edgara.

- Posiłki dla mojego posterunku spóźniły się o dwa dni, gdyż żołnierze musieli eskortować fortepian. Czy poinformowano pana o tym w Ministerstwie Wojny, panie

Drake?

- Nie. - Puls Edgara przyspieszył, poczuł nagle mocny zawrót głowy, a w jego umyśle przemknęły obrazy z polowania w Rangunie. O tym także mi nie powiedzieli.

- Pułkownik, proszę, by pana Drake'a odpowiednio poinstruowano.

- Nawet nie powinien znaleźć się w Birmie. To wszystko jest jedną wielką bzdurą.

Przy stole zapadła cisza. Twarze obecnych zwróciły się ku rozmawiającym mężczyznom. Kapitan NashBurnham zacisnął szczęki i poczerwieniał na twarzy.

Podniósł serwetkę z kolan i delikatnie odłożył na stół.

- Dziękuję za lunch, panie pułkowniku - powiedział, wstając. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Drake, sądzę, że najlepiej będzie, jak wyjdziemy. Mamy... sprawę do załatwienia.

Edgar spojrzał na zwrócone ku niemu twarze.

- Tak, tak, oczywiście, kapitanie.

Odsunął się od stołu. Słyszał pomruki rozczarowania. Mamy pytania na temat balu, mówiły pod nosem kobiety, to naprawdę miły facet; Tak to jest, jeśli się pozwoli mężczyznom wprowadzać na takie przyjęcie temat wojny i polityki. NashBurnham przeszedł wzdłuż stołu i położył dłoń na ramieniu stroiciela.

- Panie Drake - powiedział.

- Dziękuję... dziękuję wszystkim za lunch. - Edgar wstał i uniósł rękę w niezdarnym geście pożegnania.

W drzwiach największy w Górnej Birmie wirtuoz gry na tabla wręczył szablę kapitanowi NashBurnhamowi, który się nachmurzył.

Na zewnątrz minęła ich kobieta z dwoma wielkimi koszami, kołyszącymi się na końcach długiej tyczki. Kapitan NashBurnham ze złością kopał w ziemię czubkiem buta.

- Przepraszam pana za to, panie Drake. Wiedziałem, że on tam będzie. Nie powinienem był pana przyprowadzać. To moja wina.

- Nic podobnego, panie kapitanie - powiedział Edgar, gdy ruszali.

- Nie wiedziałem o tych żołnierzach.

- Wiem, że pan nie wiedział. To nie ma z tym nic wspólnego.

- Ale on powiedział...

- Wiem, co powiedział, ale posiłki nie były gotowe, by wymaszerować w kierunku kopalni rubinów i dołączyć do jego patrolu; przynajmniej jeszcze przez tydzień. To nie miało nic wspólnego z fortepianem. Doktor Carroll osobiście sprowadził instrument do Mae Lwin, ale nie mogłem sprzeczać się z pułkownikiem.

Jest moim przełożonym. Już wcześniejsze wyjście stanowi wystarczającą niesubordynację.

Stroiciel milczał.

- Przepraszam, że jestem zły, panie Drake - powiedział kapitan.

- Często zbyt osobiście odbieram uwagi na temat doktora Carrolla.

Powinienem być się już przyzwyczaić do podobnych komentarzy ze strony niektórych oficerów. Są zazdrośni albo prą do wojny. Chwiejny pokój nie sprzyja awansom.

Doktor... - NashBurnham odwrócił się i spojrzał poważnie na Edgara. - Można powiedzieć, że doktor i jego muzyka powstrzymują ich przed wkroczeniem...

Niemniej jednak, nie powinienem był pana w to wciągać.

Wydaje się, że już w tym tkwię, pomyślał stroiciel, ale nie odezwał się. Ruszyli, lecz nie rozmawiali ze sobą, póki nie dotarli do jego kwatery.

10

Kapitan NashBurnham wrócił wieczorem i gdy Khin Myo prowadziła go przez dom, pogwizdywał coś pod nosem. Zastał Edgara w małym ogródku nad cierpką sałatką z rozgniecionych liści herbaty i suszonego grochu, którą przygotowała Birmanka.

- Aha, panie Drake! Odkrywamy miejscową kuchnię, jak widzę.

- Rzeczywiście, kapitanie. Miło mi widzieć pana ponownie. Muszę pana przeprosić. Całe popołudnie ubolewam nad tym, co zaszło dzisiaj na przyjęciu. Myślę, że powinienem...

- Nic z tych rzeczy, panie Drake - przerwał kapitan. Pozbył się szabli, a zamiast

niej miał łaskę, którą stukał o ziemię. Na jego twarzy co chwila rozkwitał uśmiech. - Powiedziałem to panu już dziś po południu. To moja wina. Pozostali wkrótce zapomną o zajściu. Proszę, niech pan także zapomni.

Uśmiech kapitana był uspokajający.

- Jest pan pewien? Być może powinienem wysłać list z przeprosinami.

- Za co? Jeśli ktoś ma kłopoty, to tylko ja, a ja się nie martwię. Często się spieramy. Nie pozwólmy zepsuć sobie tego wieczoru. Ma Khin Myo, pomyślałem, że moglibyśmy zabrać pana Drake'a i pokazać mu w nocy pwè.

- Byłoby cudownie - powiedziała kobieta. - I, panie Drake - odwróciła się i spojrzała na niego - bardzo szczęśliwie się składa, gdyż to doskonała pora na pwè.

Sądzę, że dziś w nocy musi ich być w Mandalaju co najmniej ze dwadzieścia.

- Znakomicie - rzekł kapitan, klepnął się w nogę i wstał. - Chodźmy zatem! Jest pan gotowy, panie Drake?

- Oczywiście, kapitanie - odparł Edgar, uspokojony, że widzi NashBurnhama w dobrym nastroju. - Ośmielę się jednak zapytać, co to jest pwè?

- Och, pwè! - zaśmiał się oficer. - Co to jest pwè? Czekają pana wielką przyjemność. Birmański teatr uliczny, ale to niczego nie wyjaśnia. Musi pan to zobaczyć. Możemy iść?

- Oczywiście. Ale jest wieczór. Czy te przedstawienia nie kończą się już?

- Przeciwnie, większość z nich jeszcze się nie zaczęła.

- Pwè - zaczął kapitan, zanim znaleźli się za drzwiami - jest wyjątkowo birmańskie, a mógłbym nawet powiedzieć, że właściwe tylko dla Mandalaju, gdyż tutaj ta sztuka rozkwita najświetniej. Pwè organizuje się z wielu powodów, narodzin lub śmierci, nadania imienia, pierwszego przekłucia uszu birmańskim dziewczętom, gdy młodzi mężczyźni zostają mnichami, kiedy przestają być mnichami, z okazji poświęcenia pagód. Albo nawet z przyczyn pozareligijnych, gdy komuś poszczęści się w grze, zbuduje dom, a nawet wykopie studnię, gdy są dobre zbiory, gdy odbywa się walka bokserska lub wypuszcza się balon z

ogniem. Wszystko, co tylko przyjdzie do głowy. Pomyślne wydarzenie, a już człowiek organizuje pwè.

Szli drogą w stronę kanału, nad którym Edgar i Khin Myo byli przed południem.

- W istocie zdumiewa mnie fakt - rzekł kapitan - że nie widzieliśmy pwè, kiedy jechaliśmy rano przez miasto. Woźnica prawdopodobnie wiedział, gdzie odbywają się przedstawienia i omijał te miejsca. Czasami ludzie wystawiają pwè na środku drogi i całkowicie blokują ruch. To jeden z problemów administracyjnych, jakie odziedziczyliśmy po Birmańczykach. W porze suchej w mieście mogą się odbywać dziesiątki przedstawień. A w takie noce jak dzisiejsza, gdy niebo jest pogodne, pwè są szczególnie popularne.

Skręcili za róg. W głębi ulicy zobaczyli światła i ruch.

- Jest! - wykrzyknęła Khin Myo

- Tak, mamy szczęście, prawdziwe szczęście - rzekł NashBurnham. - Jest takie powiedzenie, że w Birmie są tylko dwa rodzaje Anglików: tacy, którzy uwielbiają pwè, i tacy, którzy go nie znoszą. Ja zakochałem się w tej sztuce pierwszego wieczoru po przybyciu, gdy nie mogąc usnąć z podniecenia, wyszedłem do miasta i znalazłem się na skraju yòkthe pwè, teatru kukielkowego.

Zbliżali się do świateł i Edgar ujrzał tłum ludzi, siedzących na matach na środku drogi. Otaczali wolny spłacheć ziemi przed krytą strzechą konstrukcją. W centrum pustej przestrzeni stał słup. Wokół niego ustawiono gliniane naczynia, w których migotały płomienie, oświetlając twarze widzów w pierwszym rzędzie.

Stanęli na skraju zgromadzenia, a jego uczestnicy podnieśli oczy na nowo przybyłych. Rozległ się szmer rozmów, a jakiś mężczyzna zawołał coś w stronę dużego domu za wiatą. Khin Myo odkrzyknęła.

- Chcą, żebyśmy zostali - przetłumaczyła.

- Zapytaj go, co to za przedstawienie - poprosił NashBurnham. Khin Myo odezwała się ponownie, a mężczyzna coś długo wyjaśniał.

- To jest opowieść o Nemi Zat - powiedziała.

- Cudownie! - Kapitan z radości wbił łaskę w ziemię. - Powiedz mu, że spędzimy tu jakiś czas, ale chcemy zabrać naszego gościa na yôkthe pwè i dlatego nie zostaniemy do końca.

Khin Myo przetłumaczyła.

- Rozumie - rzekła.

Służąca przyniosła z domu dwa krzesła i postawiła je na skraju widowni, a wtedy NashBurnham zwrócił się bezpośrednio do kobiety. Kiedy wróciła z kolejnym krzesłem, kapitan podsunął je Khin Myo. Usiedli.

- Wygląda na to, że jeszcze nie zaczęli. Widać, że tancerki nadal nakładają makijaż - stwierdził i wskazał grupę kobiet, które stały pod mangowcem i pokrywały twarze thanaka.

Mały chłopiec wybiegł na środek kręgu i od płomienia w glinianym naczyniu zapalił krótkie cygaro.

- Kolistą przestrzeń to scena - powiedział NashBurnham. - Birmańczycy nazywają ją pwèwang...

- Pwèwaing - poprawiła Khin Myo.

- Przepraszam, pwèwaing, a gałąź w środku to panbin, dobrze mówię, Khin Myo?

Uśmiechnęła się, a kapitan kontynuował.

- Birmańczycy mówią niekiedy, że panbin symbolizuje las, ja zaś mam wrażenie, że czasami służy wyłącznie temu, by trzymać publiczność z dala od sceny. W każdym razie większość tańców odbędzie się na pwèwaing.

- A gliniane naczynia? - spytał Edgar. - Mają jakieś znaczenie?

- O ile wiem, nie. Oświetlają scenę, jeśli księżyc nie świeci dość jasno, i stanowią stałe źródło ognia do zapalania cygar - roześmiał się kapitan.

- Co jest tematem przedstawień? - zapytał Drake.

- Och, są rozmaite. Jest wiele rodzajów pwè. Ahlu pwè to pwè, które wystawia bogaty człowiek, żeby uczcić święto religijne lub wstąpienie syna do klasztoru.

Te są zwykle najlepsze, gdyż gospodarz może sobie pozwolić na wynajęcie najlepszych aktorów. Dalej idą składkowe pwè, gdy ktoś w okolicy zbierze pieniądze od sąsiadów i wynajmie trupę pwè, potem mamy ayein pwè, przedstawienie taneczne, dalej kyigyin pwè, darmowy występ aktora lub trupy, usiłujących zdobyć rozgłos. A wreszcie jest yôkthe pwè, kukielki, które, co panu obiecuję, obejrzymy dziś wieczorem. Jeśli jeszcze nie dość tego, żeby pana skonfundować, proszę, popraw mnie, jeśli się mylę, Ma Khin Myo...

- Bardzo dobrze panu idzie, kapitanie.

-...istnieje zat pwè, czyli prawdziwa historia, przedstawienie religijne, które opowiada o jednym z wcieleń Buddy. Sztuk jest tyle, ile było inkarnacji Buddy: pięćset dziesięć, chociaż wystawia się zazwyczaj tylko dziesięć, tak zwane Zatgyi Sèbwè, dramaty o tym, jak Budda przezwyciężył każdy z grzechów śmiertelnych. Właśnie to grają dziś w nocy: Nemi Zat to piąty...

- Czwarty.

- Dziękuję, Khin Myo, czwarty Zatgyi Sèbwè. Khin Myo, może chciałabyś wyjaśnić treść?

- Nie, kapitanie, bardzo dobrze się bawię, słuchając pana.

- No cóż, muszę uważać na to, co mówię... Mam nadzieję, że pan się nie nudzi, panie Drake?

- Nie, ani trochę.

- A zatem, nie zostaniemy tutaj dłużej jak godzinę, pwè zaś potrwa aż do świtu. Mogą minąć cztery dni, zanim się skończy... W każdym razie musi pan poznać treść sztuki, wszyscy obecni już ją znają, gdyż w istocie jest to kolejne przedstawienie tej samej historii - kapitan umilkł, żeby się namyślić. - Ta opowiada o jednym z wcieleń

Buddy, księciu Nemi, który zrodził się z długiej linii birmańskich królów. Jako młody człowiek książę Nemi jest tak pobożny, iż duchy postanawiają zaprosić go do siebie i pokazać mu niebo. Pewnej księżycowej nocy, możliwe, że bardzo podobnej do dzisiejszej, zsyłają na ziemię rydwan. Mogę sobie tylko wyobrazić

przerażenie księcia

Nemi i jego dworu na widok zniżającego się pojazdu; padają przed nim, drżąc ze strachu. Książę wsiada do rydwanu, a ten znika, pozostawiając tylko księżyc. Pojazd zabiera księcia najpierw do nieba, gdzie przebywają nat - duchy z birmańskich opowieści ludowych; nawet pobożni buddyści wierzą, że nat są wszechobecne - a potem do Ngayè, świata zmarłych, gdzie przebywają węże zwane naga. W końcu książę niechętnie wraca do swojego świata, żeby opowiedzieć o cudach, jakie widział.

Finał jest smutny: zgodnie z tradycją królowie, kiedy się starzeli i czuli nadchodzącą śmierć, opuszczali swoje domy i udawali się na odludzie, by umrzeć jako pustelnicy. I tak pewnego dnia Nemi, podobnie jak jego przodkowie udaje się w góry, by umrzeć.

Zapadło długie milczenie. Edgar widział tancerki, które pakowały thanaka i poprawiły swoje hta main.

- To chyba moja ulubiona opowieść - powiedział NashBurnham. - Czasami zastanawiam się, czy podoba mi się dlatego, że przypomina mi o mnie samym i o tym, co widziałem... Jest tylko jedna różnica.

- Jaka? - spytał Edgar.

- Kiedy wrócę z równin nieba i Ngayè, nikt me uwierzy moim słowom.

Noc była gorąca, ale przez ciało Edgara przebiegł dreszcz. Siedzący obok nich ludzie ucichli, jakby zasłuchali się w opowieść kapitana. Na scenie pojawiła się tancerka.

Edgara ujęła natychmiast uroda dziewczyny, czerń jej oczu podkreślała gruba warstwa thanaka na twarzy. Tancerka była szczupła i wyglądała może na czternaście lat. Stała na środku pwèwaing i czekała. Chociaż Edgar tego nie zauważył, po przeciwnej stronie pwè zasiadła grupa muzyków, mały zespół wyposażony w bębny, czynele, róg i nieznany Edgarowi bambusowy instrument, którego nie mógł rozpoznać, oraz instrument, który widział w Rangunie; jak wyjaśniła Khin Myo, nazywał się saung i miał dwanaście strun

napiętych na przypominającej łódź ramie.

Muzycy zaczęli grać, z początku cicho, co przypominało nieśmiałe wślizgnięcie się do wody, dopóki nie zagrał mężczyzna na bambusowym instrumencie i ponad pwèwaing wzniosła się melodia.

- Mój Boże - szepnął Edgar. - Co to za dźwięk?

- Ach - powiedział kapitan NashBurnham - powinienem był wiedzieć, że spodoba się panu ta muzyka.

- Nie, nie to... przepraszam; To znaczy tak, podoba mi się, ale nigdy nie słyszałem podobnego dźwięku, takiego zawodzenia.

I chociaż grały wszystkie instrumenty, kapitan doskonale wiedział, o którym z nich mówił stroiciel fortepianów.

- Nazywa się hneh, to rodzaj birmańskiego oboju.

- Ta melodia brzmi jak pieśń pogrzebowa.

Dziewczyna na scenie zaczęła tańczyć, najpierw wolno ugiwała kolana, kołysała ciałem na boki i przy każdym pas wznosiła wyżej ramiona, aż zaczęła naśladować nimi fale lub - lepiej - one zaczęły falować, gdyż w blasku świec zdawały się odpływać od jej barków, zaprzeczając słowom lekarzy, którzy każą nam wierzyć, iż ramię łączy się z ciałem poprzez zawiły splot kości i ścięgien, mięśni i żył. Tacy ludzie nie widzieli nigdy ayein pwè.

Z ciemności na skraju pwèwaing wolno sączyła się melodia, docierając do widzów i do tancerki.

Dziewczyna tańczyła prawie pół godziny i dopiero, kiedy skończyła, Edgar otrząsnął się z transu. Odwrócił się do kapitana, ale zabrakło mu słów.

- Piękne, panie Drake, prawda?

- Brak... Brak mi słów. To hipnotyczne.

- Owszem. Nieczęsto tancerki są tak dobre. Ruchy łokci pozwalają się zorientować, że przygotowano ją do tańca od dzieciństwa.

- Dlaczego?

- Staw jest bardzo luźny. Kiedy rodzice dziewczyny postanawiają, że będzie ona

meimma yein, tancerką, umieszczając jej ramię w specjalnej klamrze, żeby napiąć i ponad miarę rozciągnąć łokieć.

- To okropne.

- Niezupełnie - odezwała się Khin Myo u lewego boku Edgara. Wyciągnęła przed siebie ramię; w łokciu wygięło się wdzięcznie do tyłu i zakrzywiło jak korpus saung.

- Tańczysz? - spytał Edgar.

- Tańczyłam, gdy byłam młoda. - Roześmiała się. - Teraz podtrzymuję elastyczność stawów, piorąc Anglikom ubrania.

Na scenie tancerkę zastąpiła postać podobna do arlekina.

- Lubyet, kpiarz - szepnął NashBumham.

Publiczność obserwowała wymalowanego człowieka w kostiumie przybranym dzwonekami i kwiatami. Mówił z podnieceniem, gestykulował, buczał, jakby naśladował zespół muzyków, tańczył i robił salta.

Khin Myo śmiała się, zasłaniając usta.

- Co on mówi? - zapytał ją Edgar.

- Żartuje z gospodarza pwè. Nie jestem pewna, czy pan to pojmie. Może pan wyjaśnić, kapitanie?

- Nie, ledwo go rozumiem, posługuje się gwarą, prawda, Khin Myo? Poza tym poczucie humoru Birmańczyków... Spędziłem tutaj dwanaście lat, a nadal mi umyka.

Khin Myo nie chce tego wytłumaczyć, bo to nieprzyzwoite.

Kobieta odwróciła się i Edgar zobaczył, że zasłania usta ręką.

Przez jakiś czas przyglądali się poczynaniom lubyeta, ale Edgar zaczął się niecierpliwie. Część publiczności także przestała zwracać uwagę na wesołka.

Niektórzy wyjęli z koszyków jedzenie i zaczęli się pożywiać. Inni zwinęli się na matach i zasnęli. Od czasu do czasu lubyet wchodził między widzów, wrywał im cygara z ust i kradł jedzenie. Raz podszedł nawet do Edgara, pobawił się jego włosami i krzyknął coś do tłumu. Khin Myo zaśmiała się.

- A teraz co on mówi? - spytał stroiciel.

Khin Myo zachichotała.

- Och, czuję się zbyt zawstydzona, żeby powiedzieć, panie Drake. Jej oczy błyszczały w świetle płomieni tańczących w glinianych latarniach. Lubyet wrócił na środek sceny, skąd dalej perorował. W końcu kapitan NashBurnham zwrócił się do

Khin Myo.

- Ma Khin Myo, spróbujemy znaleźć yôkthe pwè?

Skinęła głową i powiedziała coś do pijanego już gospodarza, który nie bez trudności zerwał się na nogi i zataczając się, podszedł, by uścisnąć dłonie dwóm Anglikom.

- Mówi, żebyśmy wrócili jutro wieczorem - powiedziała Khin Myo.

Opuścili pwè i weszli w mrok. Na ulicach nie było latarni. Gdyby nie księżyc, znaleźliby się w całkowitej ciemności.

- Czy wyjaśnił ci, gdzie możemy znaleźć yôkthe pwè? - zapytał kapitan NashBurnham.

- Twierdził, że jedno odbywa się w pobliżu targowiska, trwa już trzecią noc.

Grają Wethandaya Zat.

- Hmm - mruknął kapitan z aprobatą.

W milczeniu szli przez noc. W porównaniu z rozkrzyczaną sceną pwè ulice były ciche i puste, jeśli pominąć zbłąkane kundły, które kapitan odganiał laską. W mroku spowijającym progi domów podskakiwały - jak świetliki - zapalone cygara. W pewnej chwili Edgar spojrział na Khin Myo, gdyż wydało mu się, że słyszy jej śpiew. Biała bluzka kobiety powiewała lekko na wietrze. Birmanka, czując na sobie jego spojrzenie, odwróciła się.

- Co śpiewasz? - zapytał.

- Słucham? - na jej ustach zamajaczył delikatny uśmiech.

- Nie, nic - powiedział. - To musiał być wiatr.

Kiedy dotarli na miejsce, gdzie grano yôkthe pwè, księżyc wisiał wysoko na

niebie i cienie uciekały im pod stopy. Przedstawienie trwało w najlepsze: nad długą na niemal dziesięć metrów, podwyższoną bambusową sceną tańczyła para marionetek.

Zza nich dobiegała pieśń niewidocznego śpiewaka. Zainteresowanie publiczności było różne, wiele dzieci zwinęło się w kłębek i usnęło, a część dorosłych rozmawiała ze sobą. Przybyłych powitał gruby mężczyzna, który dał znak, żeby - jak wcześniej - wyniesiono dwa krzesła. I jak poprzednio, kapitan poprosił o trzecie.

Gospodarz i Khin Myo wdali się w długą rozmowę, a Edgar skupił uwagę na przedstawieniu. Na jednym końcu sceny wznosiła się dekoracja przedstawiająca miasto, wspaniały pałac i pagodę. To tam tańczyły dwie starannie ubrane kukielki. Na drugim końcu, gdzie nie było świateł, Edgar dostrzegł gałązki i konary tworzące miniaturowy las. Siedzący obok kapitan z uznaniem kiwał głową. Wreszcie Khin Myo skończyła rozmowę z gospodarzem i wszyscy usiedli.

- Ma pan dziś wielkie szczęście, panie Drake - powiedziała. - Księżniczkę gra Maung Tha Zan. To przypuszczalnie najsłynniejszy w całym Mandalaju odtwórca postaci księżniczek, grał u boku wielkiego Maung Tha Byaw, dotąd największego lalkarza, czasami nawet ludzie z Mergui mówią Tha Byaw Hé, ilekroć zdarzy się coś wspaniałego... Och, Maung Tha Zan nie jest tak dobry jak Maung Tha Byaw, ale cudownie śpiewa. Proszę posłuchać, niebawem zacznie śpiewać ngogyin.

Edgar nie miał czasu zapytać, co to, gdyż w tej samej chwili za sceną rozległo się żalosne zawodzenie. Wstrzymał oddech. To była ta sama melodia, którą usłyszał nocą, gdy parowiec zatrzymał się na rzece.

Dopiero teraz ją sobie przypomniał.

- Ngogyin, pieśń żałoby - odezwał się NashBumham. - Księżę porzuci wkrótce ukochaną, a ona śpiewa o swoim smutnym losie. Wprost nie mogę uwierzyć, że mężczyzna potrafi wydawać takie dźwięki.

Ale nie był to także kobiecy głos. Owszem, sopran, ale nie żeński, ani nawet, pomyślał Edgar, nie ludzki. Nie rozumiał słów, ale wiedział, o czym śpiewa ten człowiek. Pieśni o stracie są bowiem uniwersalne, a wraz z tym, jak głos mężczyzny wzbijał się w nocne niebo, w powietrzu unosiło się coś jeszcze, wirowało, tańczyło z dymem ogniska i dryfowało. Cekiny na kukielce księżniczki lśniły jak gwiazdy, Edgar pomyślał, że to śpiewa marionetka, a nie aktor. U podnóża sceny mały chłopiec, który trzymał świece do oświetlania kukielek, odchodził wolno od księżniczki i miasta ku przeciwnemu krańcowi podwyższenia, a z ciemności wylaniał się las.

Pieśń się skończyła, ale minęło sporo czasu, zanim którekolwiek z nich się odezwało. Zaczęła się kolejna scena, lecz Edgar już dłużej nie oglądał przedstawienia.

Patrzył w górę.

- W ostatnim wcieleniu przed Siddharthą - wyjaśnił kapitan NashBurnham - Gautama oddaje wszystko, co posiada, nawet żonę i dzieci, i odchodzi do lasu.

- Czy w tej historii także pan się odnalazł, panie kapitanie? - zapytał Drake, odwracając się do oficera.

NashBurnham potrząsnął głową.

- Nie, jeszcze nie porzuciłem wszystkiego - odparł i przerwał na chwilę. - Ale są tacy, którzy to zrobili.

- Anthony Carroll - powiedział cicho stroiciel.

- A może inni - rzekła Khin Myo.

11

W porze suchej najszybszym sposobem dostania się do Mae Lwin byłaby podróż na słoniu szlakiem, który szańskie oddziały wycięły w dżungli podczas drugiej wojny angielskobirmańskiej, a który teraz sporadycznie wykorzystywali przemytnicy opium. Ostatnio jednak na tej drodze mnożyły się napady i kapitan NashBurnham zaproponował, żeby podróż do małego dopływu Saluin na wschód od Loilem odbyć na słoniu, a stamtąd popłynąć do obozu Carrolla

dłubanką. Sam NashBurnham nie mógł im towarzyszyć, gdyż obowiązki zatrzymywały go w Mandalaju.

- Proszę pozdrowić ode mnie doktora - powiedział. - Proszę mu powiedzieć, że brak go nam tutaj.

Chwila wydawała się dziwna na takie niewyszukane żarty i Edgar spodziewał się, że oficer powie coś więcej, ale on dotknął tylko swego hełmu w geście pożegnania.

Rankiem w dniu wyjazdu Khin Myo obudziła Edgara i powiedziała mu przez drzwi, że chce się z nim widzieć jakiś człowiek. Stanąwszy na progu, stroiciel poczuł się rozczarowany, że nie widzi słoni, jak planowano, a jedynie młodego Birmańczyka, w którym rozpoznał służącego z rezydencji zarządcy. Mężczyźnie brakowało tchu.

- W imieniu zarządcy przepraszająco informuję, że pański odjazd będzie poddany pewnemu opóźnieniu.

Słyszając ten bombastyczny angielski, Edgar starał się ukryć uśmiech z obawy, że mógłby zostać zrozumiany jako aprobatą dla dostarczonych wieści.

- Kiedy, zdaniem zarządcy, będę mógł wyjechać? - spytał stroiciel.

- Och, sir! Nie mam wiedzy na ten temat! Może pan sam zapytać Jego Wielmożności.

- Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy wyjedziemy dzisiaj?

- Och nie! Nie dziś, sir!

Emfaza, jaką okraszono tę odpowiedź, zmusiła Edgara do milczenia; chciał coś powiedzieć, ale skinął tylko głową i zamknął drzwi. Wzruszył ramionami, kiedy Khin

Myo powiedziała:

- Brytyjska sprawność? - i wróciła, żeby się jeszcze położyć. Później, po południu, opisem teatru kukielkowego zakończył długi list do Katherine, rozpoczęty kilka dni wcześniej. Zaczynał się już przyzwyczajać do biurokratycznych opóźnień.

Następnego dnia napisał kolejne listy, jeden o szeroko diskutowanym fakcie splądrowania przez brytyjskich żołnierzy pałacu królewskiego w Mandalaju, a drugi o powszechnym szaleństwie na punkcie „Włochatej Damy z Mandalaju”, dalekiej krewnej rodziny królewskiej; całe ciało tej kobiety porastały długie, gładkie włosy.

Dzień później zaś o tym, że odbył długi spacer po bazarze. I czekał.

Jednak czwartego dnia, licząc od przybycia birmańskiego posłańca, niepokój pokonał wrodzone poczucie szacunku i cierpliwość człowieka, któremu życie upływa na strojeniu strun i naprawianiu młotków. Edgar powędrował więc do rezydencji zarządcy, by zapytać o termin wyjazdu. W drzwiach powitał go ten sam Birmańczyk, który odwiedził go na kwaterze.

- Och, pan Drake! - wykrzyknął. - Ale zarządca jest w Rangunie!

W kwaterze dowództwa stroiciel zapytał o kapitana NashBurnhama. Młody porucznik przy wejściu spojrzał z zakłopotaniem.

- Myślałem, że poinformowano pana, iż kapitan NashBurnham także przebywa w Rangunie.

- Mogę zapytać, w jakiej sprawie? Cztery dni temu miałem wyjechać do Mae Lwin. Włożono wiele wysiłku, żeby mnie tutaj sprowadzić, ja zaś przebyłem długą drogę. To byłby skandal, gdybym zmarnował więcej czasu.

Twarz młodego oficera poczerwieniała.

- Myślałem, że powiedziano panu. To... przepraszam, proszę chwilę poczekać. Wstał szybko i wszedł do znajdującego się w głębi gabinetu. Do uszu Edgara dobiegł cichy szept. Mężczyzna wrócił.

- Proszę za mną, panie Drake.

Porucznik wprowadził go do małego pokoju, pustego z wyjątkiem biurka, na którym leżał wysoki stos dokumentów, przyciśniętych prymitywnie rzeźbionymi statuetkami używanymi przez handlarzy do odważania opium. Przyciski były zbyt ciężkie, w pokoju bowiem nie było żadnego ruchu powietrza. Porucznik zamknął drzwi za sobą i skinął ręką.

- Proszę, niech pan siada. Zaatakowano Mae Lwin - powiedział.

Szczegóły zajścia były niejasne, a tożsamość napastników nieznana. W noc poprzedzającą wyjazd Edgara do rezydencji zarządcy przybył konno posłaniec. Doniósł, że dwa dni wcześniej na Mae Lwin napadła grupa zamaskowanych jeźdźców, którzy podłożyli ogień pod jeden z magazynów i zabili strażnika. W zamieszaniu, które potem nastąpiło, rozgorzała krótka bitwa i zastrzelono kolejnego szkańskiego wartownika. Carroll wyszedł bez szwanku, ale jest zaniepokojony. Podejrzewano, że za napadem krył się Twet Nga Lu, przywódca bandytów, który toczył swoją własną wojnę o stan Mongnai. Większość zapasów ze składu ocalała, ale rozbiciu uległo kilka słoików z eliksirami majora.

- Najwyraźniej zbląkana kula uderzyła także... - porucznik urwał i ostrożnie dobrał słowa -... w inne przedmioty, ważne ze względu na obecne zajęcia doktora.

- Nie w érarda?

Oficer wyprostował się na krześle.

- Panie Drake, doceniam wagę pańskiej misji i rozumiem dotkliwość niewygód, jakie pan zniósł, żeby tutaj przybyć, okazując najwyższy szacunek oraz oddanie Koronie. - Pozwolił, by ostatnie słowo zawisło w powietrzu. - Ten napad następuje w bardzo niepewnym okresie. Jak pan może wie, od listopada ubiegłego roku jesteśmy bezpośrednio zaangażowani w działania wojenne w stanach Szan. Na początku tego miesiąca Mandalaj opuścił oddział pod dowództwem pułkownika Stedmana. Potem, zaledwie sześć dni temu, otrzymaliśmy raporty, że kolumnę zaatakowano. W związku z koncentracją sił konfederacji Limbina w tamtym rejonie napaść na me stanowiła zaskoczenia. Natomiast atak na Mae Lwin jest niespodzianką, nie wiadomo także, kim byli zamaskowani jeźdźcy ani skąd mieli karabiny. Spekuluje się nawet, że mogą być zaopatrywani przez wojska francuskie, których miejsce stacjonowania jest nieznane. Niestety, ze względów bezpieczeństwa nie mogę panu powiedzieć nic więcej.

Edgar patrzył na porucznika.

- Nie chcę pana rozczarować, panie Drake. Co prawda, mówię to bez upoważnienia, gdyż ostatecznie te decyzje zapadną w Rangunie, ale chcę, żeby pan zrozumiał sytuację. Kiedy wróci kapitan NashBurnham, będzie mógł powiedzieć, czy pozostanie pan w Mandalaju, czy wróci parowcem do Rangunu. Proponuję, żeby do tego momentu korzystał pan z tutejszych przyjemności i nie martwił się zbytnio. - Oficer pochylił się nad biurkiem. - Panie Drake?

Edgar nie odezwał się.

- Pomimo wszystkiego, co panu powiedziano, żeby pana tutaj ściągnąć, panie Drake, Mae Lwin to śmierdząca dziura. Bagnista i malaryczna, trudno to uznać za klimat odpowiedni dla Anglika. A jeśli dodać do tego zagrożenie, jakim są ostatnie napady... to może się okazać, że najlepiej będzie, jeśli zrezygnujemy z tej placówki.

Nie czułbym się rozczarowany. Uważam, że miał pan szczęście ujrzeć już najpiękniejsze miasta Birmy.

Edgar czekał. W pokoju nie było czym oddychać. W końcu wstał.

- No cóż, dziękuję panu. Chyba muszę już iść.

Porucznik wyciągnął rękę.

- I, panie Drake, proszę nie dzielić się treścią tej rozmowy z naszymi zwierzchnikami. Chociaż pańska misja jest mniejszej wagi, zazwyczaj kapitan NashBurnham zajmuje się sprawami cywilnymi.

- Jest mniejszej wagi, tak? Nie, proszę się nie obawiać, nikomu nie powiem.

Dziękuję panu.

Młody oficer uśmiechnął się.

- Proszę o tym nie myśleć.

Droga Katherine, nie wiem, co pierwsze do Ciebie dotrze, ten list czy ja sam. Od ustalonej daty mojego wyjazdu minął tydzień, a ja nadal przebywam w Mandalaju. Wysłałem Ci już wiele opisów miasta, ale muszę przeprosić, że nie starcza mi zapału na więcej.

Naprawdę wszystko bardzo się pogmatwało, a nowe wydarzenia stawiają pod znakiem zapytania, czy kiedykolwiek dane mi będzie dotrzeć do doktora Carrolla i jego fortepianu.

Mae Lwin zostało zaatakowane. Dowiedziałem się o tym od porucznika w kwaterze dowództwa. Ale nie wyjaśnił mi wiele więcej. Ilekroć pytam wojskowych, co się dzieje, patrzą na mnie nieobecny wzrokiem i uchylają się od odpowiedzi.

„Główna strategia ustalana jest na spotkaniu w Rangunie”, mówią. Lub: „Tego incydentu nie można lekceważyć”. Niepokoi mnie jednak, że na odprawę nie wezwano doktora Carrolla; wedle wszelkich doniesień przebywa on nadal w Mae Lwin.

Powiadają, że ze względu na konieczność utrzymania fortu, który ma duże znaczenie militarne; wydaje się to wystarczająco dobrym wyjaśnieniem, jeśli pominąć sposób, w jaki mi to mówią. Z początku poruszała mnie myśl, że w grę wchodzi intryga lub skandal - w końcu cóż innego mogłoby być bardziej na miejscu w kraju, gdzie wszystko inne jest tak zwodnicze? Ale nawet to zaczęło mnie wyczerpywać.

Najbardziej skandaliczna możliwość, jaka przychodzi mi do głowy, że doktora Carrolla nie dopuszcza się do podjęcia ostatecznej decyzji, nie wydaje się już tak bardzo gorsząca. Mówią, że człowiek mający obsesję na punkcie fortepianu nie może być wolny od innych ekscentrycznych skłonności, i że komuś takiemu nie powinno się powierzać równie ważnej placówki. Poniekąd najbardziej boli mnie przekonanie, że zgadzam się z tą opinią. Fortepian nic nie znaczy, jeżeli naprawdę Francuzi planują inwazję przez Mekong. To trudne do zaakceptowania, bo jeśli wątpię w doktora, to wątpię w samego siebie.

Moja droga Katherine, kiedy opuszczałem Anglię, częściowo wątpiłem, że kiedykolwiek dotrę do Mae Lwin. Wydawało się zbyt odległe, a droga do niego najeżona zbyt wieloma nieprzewidzianymi wypadkami. Jednak teraz, w chwili gdy odwołanie mojej misji wydaje się bardzo prawdopodobne, trudno mi się z tą

ewentualnością pogodzić. Przez minionych sześć tygodni myślałem niemal wyłącznie o Mae Lwm. Na podstawie map i relacji różnych osób naszkicowałem fort w swoim umyśle. Sporządziłem spis tego, co zrobię po przybyciu na miejsce, listę opisanych w raportach doktora Carrolla gór i strumieni, które chcę zobaczyć. To dziwne, Katherine, ale już zacząłem myśleć o tym, co Ci opowiem po powrocie do domu. O odczuciach towarzyszących poznaniu słynnego lekarza. O tym, jak naprawiłem i nastroiłem érarda, ocalając w ten sposób cenny instrument. O wypełnieniu „obowiązku” wobec Angin. I chyba to owa „powinność” stała się najbardziej nieuchwytnym celem. Wiem, że rozmawialiśmy o tym często w domu, i nadal nie podaję w wątpliwość znaczenia fortepianu, ale dochodzę do przekonania, że „sprowadzenie tutaj muzyki i kultury” to kwestia bardziej delikatna - Birmańczycy mają już własną sztukę i własną muzykę. I nie chodzi o to, że nie powinniśmy przynosić ze sobą do Birmy tych wartości; rzecz tylko w tym, byśmy czynili to z większą pokorą. Skoro przekształcamy tych ludzi w naszych poddanych, to czy nie musimy podarować im tego, co najlepsze w cywilizacji europejskiej? Bach nigdy nikogo nie zranił; melodie to nie wojska.

Wdałem się w dygresje, moja droga. Albo może nie, gdyż piszę Ci o swoich nadziejach, które teraz zaczynają wolno znikać, zaćmiewane przez Wojnę, Pragmatyzm i moje podejrzenia. Cała ta podróż pokryła się glazurą pozoru, upodobniła się do snu. Tak wiele z tego, co robię, wiąże się z tym, co jeszcze uczynię, że czasami istnieje niebezpieczeństwo, iż prawdę, której już doświadczyłem, przesłoni to, co jeszcze muszę zobaczyć. Jak to wyrazić?

Podczas gdy do tej pory moja podróż była sprawą możliwości i wyobraźni, to przerwanie jej w tej chwili zdaje się kwestionować wszystko, co widziałem. Pozwoliłem snom stopić się z jawą, a teraz grozi mi niebezpieczeństwo, że jawa przerodzi się w sny i zniknie. Nie wiem, czy cokolwiek z tego, co piszę, ma sens, ale w obliczu otaczającego mnie piękna widzę tylko siebie, stojącego z kuferkim w ręce przed naszymi drzwiami na Franklin Mews, niezmienionego

od dnia wyjazdu.

Co więcej mogę Ci napisać? Całymi godzinami patrzę na Wzgórza Szan, starając się wymyślić sposób, w jaki Ci je opisać, gdyż mam wrażenie, że tylko tak mogę zabrać ze sobą do domu trochę tego widoku. Chodzę po targowiskach w strumieniach parasolek oraz zaprzęgniętych w woły wozów, wędruję pełnymi kolein drogami albo siedzę nad rzeką, obserwując rybaków i oczekując na parowiec z

Rangunu, który przywiezie mi wiadomość o wyjeździe lub zabierze mnie do domu.

Oczekiwanie, tak jak uciążliwy upał i kurz, które duszą miasto, zaczyna być nie do zniesienia.

Moja droga, rozumiem teraz, że wśród wszystkich tych przerażających możliwości, które omawialiśmy przed moim wyjazdem, nie rozważaliśmy nigdy tego, co teraz wydaje się najbardziej prawdopodobne: że wrócę do domu z niczym. Być może te słowa są tylko dywagacjami zrodzonymi przez nudę i samotność, ale gdy piszę „z niczym”, to mam na myśli nie tylko to, że érand nie zostanie nastrojony, lecz także to, że wrócę z poczuciem, iż widziałem zupełnie inny świat, którego nie zacząłem nawet rozumieć. Przyjazd tutaj stworzył w mojej duszy dziwną pustkę, o której nie wiedziałem, że ją w sobie noszę, i nie wiem, czy wyprawa do dżungli wypełni ją, czy pogłębi. Coraz usilniej zastanawiam się, dlaczego przyjechałem tutaj; przypominam sobie, jak powiedziałaś, iż tego potrzebuję, myślę o tym, że mam teraz wrócić do domu, i o tym, jak stawić czoło temu niepowodzeniu.

Katherine, słowa nigdy nie były moją silną stroną, a w tej chwili nie potrafię wyobrazić sobie melodii, która opisywałaby to, co czuję. Ale robi się ciemno, a ja jestem nad rzeką, więc muszę iść. Moim jedynym pocieszeniem jest to, że niebawem

Cię ujrzę i że znowu będziemy razem. Pozostaję jak zawsze kochający, Twój mąż Edgar

Złożył list i wstał z ławki na brzegu Irawadi. Wolnym krokiem ruszył ulicami miasta do domu, gdzie zastał czekającą na niego Khin Myo.

Bez słowa wręczyła mu kopertę. Nie było na niej adresu, tylko nagryzmolone śmiały literami jego nazwisko. Przez chwilę trzymał list razem z tym do Katherine.

Gdy tylko otworzył kopertę, poznał elegancki charakter pisma.

Drogi Panie Drake, mocno żałuję, że nasz pierwszy kontakt korespondencyjny musi cechować taki pośpiech, ale sądzę, iż jest Pan doskonale świadom okoliczności, które postawiły pod znakiem zapytania Pański przyjazd do Mae Lwin. Moja niecierpliwość może być porównywana tylko z Pańską. Podczas ataku na nasz obóz kula z muszkietu rozerwała struny „a” małej oktawy. Jak Pan doskonale wie, bez tego dźwięku niemożliwe jest zagranie jakiegokolwiek znaczącego utworu; nieszczęście, którego ci z Ministerstwa

Wojny nie potrafią pojąć. Proszę natychmiast wyjechać do Mae Lwin.

Wysłałem umyślnego do Mandalaju, by przywiózł Pana i Ma Khin Myo do naszego fortu. Proszę spotkać się z mm jutro na drodze do pagody Mahamuni. Biorę całkowitą odpowiedzialność za Pańską decyzję i bezpieczeństwo. Jeśli zostanie Pan w

Mandalaju, to przed końcem tygodnia znajdzie się Pan na statku do Anglii.

AJ. C.

Edgar opuścił ręce. Zna moje nazwisko, pomyślał.

Spojrzał na Khin Myo.

- Ty też jedziesz? - zapytał.

- Niebawem powiem panu więcej.

Następnego dnia wstali przed świtem i wsiedli do zaprzęzonego w woły wozu, pełnego pielgrzymów zmierzających do pagody Mahamuni, leżącej na południowych obrzeżach Mandalaju. Pielgrzymi patrzyli na stroiciela i rozmawiali wesoło. Khin Myo pochyliła się ku niemu.

- Cieszę się, że istnieją brytyjscy buddyści.

Nad Wzgórzami Szan powoli sunęły po niebie ciemne chmury. Wóz turkotał na drodze, a Edgar kurczowo przyciskał do piersi torbę. Pod wpływem sugestii Khin Myo większość swoich rzeczy zostawił w Mandalaju, zabierając tylko bieliznę na zmianę, istotne dokumenty i narzędzia do naprawy fortepianu. Teraz słyszał cichutkie szczekanie metalu, gdy wóz podskakiwał na wybojach.

Wysiedli przy pagodzie

Mahamuni i Khin Myo poprowadziła go wąską ścieżką do miejsca, gdzie czekał chłopiec. Miał na sobie luźne niebieskie spodnie i niebieską koszulę, przewiazaną w pasie kraciatą materią. Edgar czytał, że - podobnie jak Birmańczycy - wielu Szanów nosiło długie włosy i zauważył, że swoje chłopak zawinął w kolorowy turban, który wyglądał jak coś pośredniego między birmańskimi gaungbaung a turbanami sikhijskich żołnierzy. Trzymał wodze dwóch małych koni.

- Mingala ba - powitał ich, kłaniając się lekko. - Witam, panie Drake.

Khin Myo uśmiechnęła się do chłopca.

- Panie Drake, to jest Nok Lek, który zabierze nas do Mae Lwin. Jego imię znaczy „mały ptak” - przerwała, po czym dodała: - Niech pana to nie zwiedzie. Jest jednym z najlepszych wojowników Anthony’ego Carrolla.

Edgar popatrzył na chłopca. Nie wyglądał nawet na piętnaście lat.

- Mówisz po angielsku? - zapytał.

- Trochę... - powiedział chłopiec, dumnie się uśmiechając, i sięgnął po ich bagaże.

- Jesteś skromny - stwierdziła Khin Myo. - Uczysz się bardzo szybko.

Nok Lek zaczął przytraczać torby do siodła.

- Mam nadzieję, że umie pan jeździć konno, panie Drake - powiedział, kiedy skończył mocować bagaże. - To są pony z Szan. Mniejsze od koni angielskich, ale bardzo dobre w górach.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby utrzymać się w siodle - odparł Edgar.

- Ma Khin Myo pojedzie ze mną - powiedział Nok Lek.

Oparł obie dłonie na grzbiecie konika i lekko wskoczył na siodło. Był boso; stopy wsunął w konopne strzemiona, trzymając sznur między pierwszym a drugim palcem. Edgar zauważył, że mięśnie na łydkach chłopca przypominają liny. Nerwowo spojrzął na swojego pony: miał angielskie metalowe strzemiona. Khin Myo usiadła bokiem za chłopcem; stopy trzymała razem. Edgar zdziwił się, że małe zwierzę może podołać takiemu obciążeniu. Dosiadł swego wierzchowca i bez słowa ruszyli na zachód.

Na niebie nad Wzgórzami Szan rozprzestrzeniła się plama światła. Edgar spodziewał się, że zobaczy wschód słońca, że zapamięta ten dzień jako początek ostatniego etapu podróży, o którym zaczął sądzić, że nigdy nie nastąpi. Ale słońce było zasłonięte przez chmury i otoczenie rozjaśniało się stopniowo.

Widoczna przed nim

Khin Myo rozłożyła małą parasolkę.

W wolnym tempie jechali kilka godzin drogą biegnącą na wschód obok wyschniętych pól ryżowych i pustych spichlerzy. Mijali procesje wieśniaków zmierzających do miasta, mężczyźni prowadzących woły na targ, kobiety z ciężkimi ładunkami chwiejącymi się na głowach. Wkrótce tłumy przeredziły się i zostali sami. Przejechali w bród mały strumień i skręcili na południe w węższą i bardziej pylistą drogę między dwoma rozległymi, leżącymi odłogiem polami ryżowymi.

Nok Lek odwrócił się.

- Panie Drake, jedziemy teraz szybciej. Do Mae Lwin jest kilka dni; drogi tutaj dobre, nie jak w stanach Szan.

Edgar skinął głową i chwycił mocniej wodze. Nok Lek gwizdnął na swego pony, który puścił się klusem. Drake wbił obcasy w boki konika, ale nic się nie stało. Kopnął mocniej. Wierzchowiec ani drgnął. Nok Lek i Khin Myo zaczęli maleć w oddali. Edgar zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Gwizdnął.

Galopowali na południe wąską drogą biegnącą równoległe do leżących na wschodzie Wzgórz Szan i do płynącej na zachodzie Irawadi. Edgar siedział

wyprostowany w siodle, jedną ręką trzymał wodze, a drugą kapelusz. W trakcie jazdy przyłapał się na tym, że się śmieje, podekscytowany pędem. Podczas polowania wierzchowce szły za ledwie stępa, więc teraz usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jechał konno tak szybko. Musiało to być niemal dwadzieścia lat temu, kiedy on i

Katherine spędzali wakacje na małej farmie jej kuzyna. Dlatego niemal już zapomniał, jak mocno bije serce z podniecenia wywołanego galopem.

Późnym popołudniem zatrzymali się w zajezdzie dla pielgrzymów i podróżnych i Nok Lek kupił w pobliskim domu jedzenie - curry, wonny ryż i sałatki z utartych liści herbaty zawinięte w liście bananowca. W trakcie posiłku chłopak i Khin Myo rozmawiali szybko po birmańsku. W pewnym momencie kobieta przeprosiła Edgara, że nie mówią po angielsku.

- Musimy omówić wiele spraw i sądzę, że znudziłaby pana nasza rozmowa.

- Nie krępujcie się mną - powiedział stroiciel, całkiem zadowolony ze swego miejsca w cieniu.

Widział stamtąd poczerńiałe pola ryżowe. Wiedział, że spalili je rolnicy oczekujący na deszcz, ale trudno mu było przekonać samego siebie, że tych spustoszeń nie dokonało słońce. Pola ciągnęły się kilometrami, od rzeki ku stromo wznoszącym się Wzgórzom Szan. Jak mury fortecy, pomyślał i popatrzył na góry; lub jak zwisająca z krawędzi stołu tkanina, która rozlewa się po podłodze i tworzy wzgórki i dolinki. Szukał wzrokiem drogi, która stanowiła szczelinę w tej kurtynie, ale jej nie znalazł.

Po posiłku odpoczęli krótko, a potem dosiedli pony. Jechali całe popołudnie, a także wieczorem, aż zatrzymali się w wiosce, w której Nok Lek zapukał do drzwi małego domu. Wyszedł z niego nagi do pasa mężczyzna i obydwaj rozmawiali przez kilka minut, po czym wieśniak zaprowadził ich na tył domostwa, gdzie na palach stała inna, mniejsza chata. Tutaj przywiązali konie, rozłożyli maty na bambusowej podłodze i zawiesili u sufitu moskitiery. Chata miała wejście od południa; Edgar tak ułożył swój materac, żeby stopy oprzeć o

drzwi; była to ostrożność podyktowana obawą przed nocnymi odwiedzinami zwierząt. Nok Lek natychmiast chwycił matę i odwrócił ją.

- Nie kładź głowy na północ - powiedział surowo. - Bardzo źle. To kierunek, w jakim grzebiemy zmarłych.

Edgar położył się obok chłopca. Khin Myo poszła się wykąpać, a później wślizgnęła się cicho do chaty. Podniosła moskitierę i wsunęła się pod nią. Maty Edgara i Khin Myo dzieliły centymetry, a on udawał, że śpi, i obserwował ją, jak mości sobie posłanie obok niego. Niebawem położyła się i rytm jej oddechu zmienił się, a we śnie przesunęła się tak, że jej twarz spoczywała blisko jego twarzy. Przez cienką bawełnę dwóch moskitier czuł delikatny i ciepły oddech Khin Myo; byłby niesłyszalny, gdyby nie cisza i gorąco.

Nok Lek obudził ich wcześniej. Bez słowa zwinęli cienkie materace i moskitiery. Khin Myo wyszła z chaty i niedługo wróciła z twarzą świeżo pomalowaną thanaka.

Objuczyli pony i wyszli na drogę. Było jeszcze ciemno. Podczas jazdy Edgar czuł straszną sztywność nóg, ramion i mięśni brzucha. Krzywił się, ale nic nie mówił;

Khin Myo i chłopak jechali z wdziękiem i swobodą. Uśmiechnął się sam do siebie. Nie jestem już młody.

Zamiast podążać dalej na południe, skręcili w kolejną dróżkę, która prowadziła na wschód, w stronę jaśniejszego nieba. Ścieżka była wąska i konie musiały czasami zwalniać do kłusa. Edgara zdumiewało, do jakiego stopnia Khin Myo opanowała trzymanie się na wierzchowcu, nie mówiąc już o osłanianiu się parasolką. Zaskoczyło go również, że gdy stanęli, a on pokryty kurzem i potem padł z wyczerpania, kobieta nadal miała we włosach ten sam kwiat, który tego ranka zerwała z krzewu. Powiedział jej to, a ona tylko się zaśmiała.

- Czy pan także chce jechać z kwiatem we włosach, panie Drake?

Drugiego dnia późnym popołudniem dotarli do niewysokich, wyschniętych wzgórz porośniętych suchymi krzewami i usłanych rozrzuconymi głazami. Pony

zwolniły na wąskim szlaku. Przejechali obok kruszejącej pagody, pokrytej łuszczącą się białą farbą, i zatrzymali się. Khin Myo i Nok Lek zsiadli w milczeniu z kucyków, a

Edgar poszedł za ich przykładem. Zostawili buty przy drzwiach i weszli do ciemnego, zatechłego pomieszczenia. Na podwyższeniu, w otoczeniu świec i kwiatów, znajdował się pozłacany posąg Buddy, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi złożonymi na podolku. Figura miała ciemne, żałobne oczy.

Wokoło nie było żywego ducha. Nok

Lek przyniósł mały wianek z kwiatów, który wiozł ze sobą, a teraz położył na ołtarzu.

Chłopak i Khin Myo uklękli, po czym oboje skłonili się tak nisko, że ich czoła dotknęły chłodnych płytek podłogi. Edgar przyglądał się kobiecie; uczesane w kok włosy przesunęły się i odsłoniły kark. Przyłapawszy się na tym, że się gapi, stroiciel skłonił się szybko.

- Kto zajmuje się tym miejscem? - zapytał po wyjściu z pagody.

- To część większej świątyni - odparła Khin Myo. - Mnisi przychodzą tutaj, by opiekować się Buddą.

- Nikogo nie widzę - rzekł Edgar.

- Bez obaw, panie Drake - powiedziała kobieta. - Są tutaj.

W odosobnieniu tego miejsca było coś, co go niepokoiło, i chciał się dowiedzieć czegoś więcej; co Khin Myo miała na myśli, o co się modliła i dlaczego zatrzymała się właśnie tutaj, a nie przy którejś z niezliczonych pagód, jakie minęli po drodze. Ale kobieta i chłopak zaczęli znowu rozmawiać ze sobą. Dosiedli koni i ruszyli w drogę. Na szczycie wzgórza zatrzymali się, żeby spojrzeć za siebie na równinę. Pomimo niewielkiej wysokości spłaszczenie doliny pozwalało dostrzec trasę ich dotychczasowej wędrówki przez opustoszałą krainę uprzątniętych pól i wijących się strumieni. Małe sioła spinały rzeki i drogi, wszystko miało ten sam brązowy kolor ziemi. Daleko za sobą rozpoznawali siatkę ulic

Mandalaju, a jeszcze dalej wijące się koryto Irawadi.

Droga opadała po drugiej stronie wzgórza, oni zaś podążyli niewielką wyniosłością ku grupie domów, które stały u podnóża większego wzniesienia. Tam się zatrzymali, a Nok Lek zsiadł z konia.

- Kupię jedzenie. Być może przez długi czas nie spotkamy nikogo.

Edgar siedział w siodle i czekał, a tymczasem chłopak zniknął w jednej z chat.

Kilka kurczaków łąziło po drodze, dziobiąc coś w pyle. Mężczyzna, który odpoczywał na platformie w cieniu drzewa, zawołał coś do Khin Myo, a ona mu odpowiedziała.

- Czego chciał? - spytał Edgar.

- Dowiedzieć się, dokąd jedziemy.

- I co powiedziałaś?

- Że na południe, do Meiktila, ale wybraliśmy tę drogę ze względu na widoki, jakie zapewnia.

- Po co kłamać?

- Im mniej ludzi wie, że zmierzamy ku górcom, tym lepiej. To odludne miejsce. Zwykle podróżujemy z eskortą, ale ze względu na okoliczności ta wyprawa jest nieco... nieoficjalna. Gdyby ktoś chciał nas napaść, nie otrzymalibyśmy żadnej pomocy.

- Niepokoisz się?

- Niepokoję? Nie. A pan?

- Ja? Trochę. Na statku z Prome było kilku więźniów, dakoitów. Wyglądali bardzo groźnie.

Khin Myo przyglądała mu się przez chwilę, jakby ważyła, co powiedzieć.

- Nic nam nie grozi. Nok Lek to bardzo dobry wojownik.

- Nie wiem, w jakim stopniu to uspokaja. To dziecko. A ja słyszałem, że tamci poruszają się w bandach po dwudziestu.

- Nie powinien pan myśleć o takich rzeczach. Wiele razy przemierzałam tę drogę - powiedziała bez przekonania.

Wrócił Nok Lek z koszem, który przytroczył z tyłu siodła Edgara. Chłopak pożegnał się z leżącym w cieniu mężczyzną i gwizdnął na swojego konia.

Ruszając za

Nok Lekiem, Edgar podniósł rękę i pozdrowił wieśniaka. Tamten nie odezwał się, ale odprowadził wzrokiem przejeżdżającego Anglika.

Z koszyka unosiła się ostra woń sfermentowanej herbaty i przypraw.

Szlak piął się stromo, a wraz z tym zmieniała się roślinność, niskie, krzaczaste zarośla ustępowały miejsca gatunkom wyższym, które wodę czerpią z mgły, i dlatego stawały się grubsze, w miarę jak się wspinali. Jechali górską, wznoszącą się ostrogą porośniętą niskopiennym lasem, wilgotnym niczym równiny w pobliżu Rangun.

Między drzewami śmigają ptaki, świergocząc głośno, a wokoło dało się słyszeć, że po opadłych liściach przemykają większe zwierzęta.

Nagle rozległ się trzask, i Edgar odwrócił się błyskawicznie. Kolejny trzask, tym razem głośniejszy, a potem wyraźny odgłos łamanych gałęzi, coś poruszało się szybko przez zarośla.

- Nok Lek, Khin Myo! Uważajcie, coś się zbha! - zawołał Edgar i ściągnął wodze, by zatrzymać wierzchowca.

Nok Lek także usłyszał hałas i zwolnił chód swego konia. Głośniej. Stroiciel spojrzał po sobie, szukając czegoś - noża, broni - ale wiedział, że nic takiego nie ma.

Głośniej.

- Co to? - wyszeptał i nagle ścieżką przed nimi przebiegł dzik i skrył się w krzakach po drugiej stronie. - Cholerna świnia! - zaklął Edgar.

Nok Lek i Khin Myo roześmiali się i ruszyli w drogę. Stroiciel zmusił się do chichotu, ale serce waliło mu jak oszalałe. Gwizdnął na konia.

Gdy nachylenie zbocza wzrosło, ścieżka oderwała się od ostrogi i wyłoniła spomiędzy drzew, pozwalając po raz pierwszy od paru godzin ujrzeć okolicę.

Edgar był zdumiony tym, jak bardzo zmieniło się otoczenie. Przeciwny stok

wzgórza wznosił się tak stromo, że zdawało mu się, iż - podskoczywszy z rozbiegu - mógłby dotknąć omszałych gałęzi drzew, rosnących na zwróconej ku niemu pochyłości, ale wędrówka tamtędy wiązałaby się ze schodzeniem po urwistym spadku i wspinaniem się przez nieprzeniknioną dżunglę. Poniżej, w dolinie, gęsta roślinność skrywała rzekę i wszelkie ślady ludzkiej obecności, lecz gdy szlak wznosił się, pomiędzy górami otworzyła się kolejna kotlina, której dno wypłaszczało się i tworzyło szereg wąskich tarasowatych pól. Daleko w dole widać było dwie postaci zanurzone po kolana w odbijającej niebo wodzie. Rolnicy sadzili w chmurach wiotkie opalizujące sadzonki.

Khin Myo zauważyła, że Edgar obserwuje wieśniaków.

- Kiedy pierwszy raz dotarłam na Wzgórza Szan - powiedziała - byłam zaskoczona, że rośnie tutaj ryż, podczas gdy pola wokół Mandalaju leżały odłogiem.

Wzniesienia zatrzymują deszczowe chmury, które przesuwiają się w górę dorzecza

Irawadi, i nawet w porze suchej zapewniają dosyć opadów, by umożliwić ponowne obsadzenie pól.

- Myślałem, że tam jest susza.

- Na płaskowyżu tak. Straszliwa susza, już od kilku lat. Głodują całe wsie; ich mieszkańcy przenoszą się na niziny. Wzgórza wstrzymują bieg chmur, ale także nie przepuszczają ich dalej. Jeśli deszcz monsunowy tam nie dotrze, płaskowyż pozostaje wyschnięty.

- A ci rolnicy na dole to Szanowie?

- Nie, inne plemię. - Khin Myo przerwała na chwilę i powiedziała coś po birmańsku do Nok Leka. - Mówi, że Palaungowie mieszkają w tych dolinach. Mają własny język, stroje, muzykę. Nawet mnie trudno się w tym połapać. Wzgórza są jak wyspy, każde ma własny szczep. Im dłużej plemiona pozostają rozdzielone, tym bardziej się różnicują. Palaungowie, Paduangowie, Danowie, Szanowie, Pao, Wa, Kaczmowie, Karenowie, Karenni. A to tylko największe

grupy.

- Nigdy nie... - odezwał się Edgar. - To ci dopiero, wyspowe wzgórze.

- Tak je nazywa Anthony Carroll, mówi, że są jak wyspy Darwina, tylko że tutaj zmienia się kultura, a nie ptasie dzioby. Napisał o tym traktat i wysłał do waszego

Towarzystwa Królewskiego.

- Nie wiedziałem...

- Nie powiedzieli panu wszystkiego - ciągnęła. - A to nie najmniej ważna z tych spraw.

Opowiedziała mu o badaniach doktora, o jego zbiorach i korespondencji, którą każdego miesiąca odbierał z Mandalaju, o listach od mieszkających daleko biologów, lekarzy, a nawet chemików - chemia od dawna stanowiła jego pasję.

- Połowa poczty, która dociera do Górnej Birmy, to naukowa korespondencja Anthony'ego Carrolla. A druga połowa to nuty dla niego.

- Pomagasz mu w jego pracach?

- Może trochę. On bardzo dużo wie. Ja tylko słucham.

Edgar czekał, żeby Khin Myo powiedziała coś więcej, ale kobieta wróciła na ścieżkę.

Jechali w coraz większych ciemnościach. W mroku słychać było nowe obce odgłosy: brzęczenie chrząszczy, wycie dzikich psów, ochryple ryki jelenia.

W końcu zatrzymali się na polance, zsiadli z koni i wypakowali brytyjski namiot wojskowy, który wiozł Nok Lek. Rozbili go na polanie, a chłopak zniknął w środku, żeby ułożyć bagaże. Edgar stał na zewnątrz, blisko Khin Myo.

Obydwoje nic nie mówili. Byli zmęczeni, a śpiew lasu ogłuszał. Wreszcie Nok Lek wyłonił się z namiotu i zaprosił ich do środka. Edgar wślizgnął się pod moskitierę i rozłożył swój materac. Dopiero kiedy to zrobił, zauważył dwie dubeltówki, oparte wewnątrz namiotu. Odciągnięte kurki strzelb odbijały tę odrobinę księżycowego blasku, która wpadła przez otwór w brezencie.

Wędrowka przez rosnącą na stromych zboczach dżunglę i przez górską przełęcz

zajęła im jeszcze dwa dni. Wąski fragment widocznego przed jeźdźcami terenu opadał gwałtownie, po czym przechodził łagodnie w płaskowyż, rozległy patchwork pól i lasów. W oddali, na krańcu równiny, wznosiło się kolejne pasmo wzgórz, szarych i niewyraźnych.

Zjeżdżali wąską kamienistą ścieżką, na której pony ostrożnie stawiały kopyta. Edgar kołysał się swobodnie w siodle, rozkoszując się napięciem mięśni wzmocnionych dzięki wielu dniom konnej jazdy i spania na ziemi. Było późno, słońce rzucało w głąb doliny długie cienie. Edgar obejrzał się na góry, na grzebień mgły, która okrywała szczyty i rozlewała się po zboczach. W gasnącym świetle zmierzchu na polach pracowali szkańscy rolnicy w szerokich kapeluszach; nogawki spodni wieśniaków marszczyły się wokół ich stóp. Edgara otaczał fantastyczny świat turni i świątyń, i pomyślał: Może śnię; To wszystko jest jak dziecięca baśń. Wkrótce zrobiło się ciemno, gnali przez noc, a on czuł, że nagle osuwa się na kark swojego wierzchowca.

Edgar śnił. Śnił, że jedzie na szkańskim pony, że galopują, że w grzywę konika wpleciono kwiaty, które wirują w powietrzu jak fajerwerki w kształcie słońca, a oni jadą przez pola ryżowe, obok szmacianych strachów, roztańczonych błysków barw na tle bezkresnej zieleni. I obudził się. Obudził się i ujrzał jałową ziemię, nadpalone źdźbła ryżowe kołysał delikatny powiew, a wyrastające z ziemi porowate wapienne góry skrywały złote posągi Buddy, wznoszące się z dna jaskiń jak stalagmity, tak stare, że nawet ziemia zaczęła pokrywać je osadami węglanu. I znowu śnił; a przejeżdżając zaglądał do jaskiń, gdyż oświetlały je ogniska pielgrzymów, którzy odwracali się, żeby przyjrzeć się dziwnemu cudzoziemcowi, a za nimi posągi Buddy drżały, strząsały z siebie wapienne opończe, unosiły się i także patrzyły, gdyż szlak był odludny i niewielu Anglików kiedykolwiek przejeżdżało tą drogą. I obudził się, a przed nim jechał konno młody chłopak i kobieta, oboje obcy; ona także spała, jej włosy rozwiązały się i spływały do tyłu w jego kierunku, kwiaty uleciały, a on śnił, że złapał jeden z nich, i obudził się, przejeżdżali przez most, świtało, a pod

nimi mężczyzna i chłopiec wiosłowali w dłubance, płynąc po brązowych, wzburzonych falach, taki sam kolor łodzi i nurtu, więc widać ich było tylko dzięki poruszaniu się cieni na wodzie, a tamci nie byli już sami, gdyż ledwo przepłynęli pod mostem, a już, dryfując, nadpłynęła kolejna łódź, mężczyzna i chłopiec, a Edgar podniósł wzrok, i wiosłowało tysiąc ciał, gdyż były strumieniem, a on śnił, i nadal była noc, a z turni i dolin nie przyszli mężczyźni ani nie widać było kwitnienia kwiatów, coś innego, jakby światło, monotony śpiew, a ci, którzy śpiewali, powiedzieli mu, że światło jest utkane z mitów i przebywa w jaskiniach z ubranymi na biało pustelnikami, i Drake obudził się, a tamci opowiedzieli mu mity, że wszechświat został stworzony jako gigantyczna rzeka, a na tej rzece unosiły się cztery wyspy, na jednej z nich mieszkali ludzie, a pozostałe były zasiedlone przez stworzenia, które istniały wyłącznie w baśniach, i Edgar śnił, że zatrzymali się nad rzeką, by odpocząć, a kobieta obudziła się i rozpuściła włosy, które wiatr spletał wokół jej ciała, chłopiec, ona, i on uklękli i pili wodę z rzeki, a w niej zębacz tworzył kipieli, i obudził się, a oni jechali, i był poranek.

Wspinali się na wzgórza leżące po przeciwległej stronie doliny. Teren stał się górzysty i niebawem ponownie zapadła noc. Wtedy Nok Lek powiedział:

- Dziś w nocy odpoczywamy. W ciemności jesteśmy bezpieczni.

Z boku rozległ się głośny trzask. Edgar Drake pomyślał: Kolejna dzika świnia; odwrócił się i dostał w twarz kolbą pistoletu.

Teraz tylko zakreślanie trajektorii, spadanie. Trzask, z jakim drewno zderzyło się z kością, rozpylona ślina, a potem pochylenie, zsuwanie się, spowolnione przez strzemię obejmujące jeździeckie buty, palce, nadal zaplątane w wodze, puszczają je, teraz w dół, teraz trzask zarośli i rąbnięcie ciała o ziemię. Później Edgar będzie się zastanawiał, jak długo był nieprzytomny, będzie starał się przywołać wspomnienia, ale nie uda mu się, gdyż jedynie ruch zdaje się mieć znaczenie, me tylko jego, ale i innych, z drzew zsuwają się mężczyźni, lśniące ostrza kordów zakreślają łuki, lufy strzelb opisują półkola, pony wierzgają.

Kiedy więc Edgar staje pośród połamanych gałęzi, widzi scenę, która mogła trwać sekundy albo, jeśli czas mierzyć oddechami lub uderzeniami serca, dużo dłużej.

Tamci dwoje nadal siedzą na pony. Ona trzyma strzelbę, a chłopak wzniesiony wysoko nad głowę miecz. Zwróceni są ku czteroosobowej bandzie, trzech ludzi z nożami stoją po bokach wysokiego mężczyzny, który wyciąga ramię, widać pięść, pistolet. Broń lśni, gdy napastnicy przykucają i podskakują, jest tak ciemno, że błyski to jedyna wskazówka, iż tamci się poruszają. A w tej chwili wszyscy napastnicy tylko kołyszą się lekko, być może źródłem tego ruchu są głębokie oddechy spowodowane przez wysiłek.

Ostrza unoszą się niedostrzegalnie, jak światło mrugających gwiazd, a potem rozlega się trzask, a wraz z błyskiem światła obcy ozywają; jest ciemno, ale w jakiś sposób Edgar widzi, że palec wysokiego mężczyzny zgina się, i Khin Myo także musiała to spostrzec, gdyż ogień dubeltówki jest pierwszy, wysoki człowiek krzyczy i chwytą się za dłoń, pistolet przelatuje nad leśnym poszyciem, pozostali rzucają się w kierunku pony, chwytają lufę strzelby i ściągają Khin Myo z konia, zanim kobieta opróżni drugą komorę, ciągną Birmankę, ale ona nie krzyczy, wszystko, co Edgar słyszy, to cichy jęk zaskoczenia, gdy Khin Myo uderza o ziemię, jeden z mężczyzn wyrywa dubeltówkę z jej rąk i kieruje w stronę chłopca, dwaj pozostali siedzą na pojmanej, jeden chwytą jej nadgarstki, drugi rozrywa hła main, teraz Khin Myo krzyczy, w słabym świetle Edgar widzi błysk jej bladego uda, zauważa, że kwiat wypadł z jej włosów, dostrzega jego płatki, listki kielicha i nadal pokryte pyłkiem pręciki, jest tak ciemno, że później będzie się zastanawiał, czy nie wyobraził sobie tego. Ale teraz nie namyśla się, wychodzi z krzaków jeżyn i idzie w kierunku kwiatu i leżącego obok niego pistoletu.

Dopiero gdy podnosi drżącą rękę i mówi puśćcie ją puśćcie ją puśćcie ją, to myśli, że nigdy dotąd nie strzelał.

Bezruch, i teraz to palec Edgara się zgina.

*

Edgar ocknął się pod wpływem dotyku chłodnej, wilgotnej szmatki. Otworzył oczy. Nadal leżał na ziemi, ale jego głowa spoczywała na podolku Khin Myo, która łagodnymi ruchami obmywała mu twarz. Kątem oka dostrzegł stojącego na polanie

Nok Leka z karabinem u boku.

- Co się stało? - zapytał.

- Ocalił nas pan - odparła szeptem Khin Myo.

- Nie pamiętam, zemdlałem, nie... nie zastrzeliłem... ich... - Słowa były niezborne, naznaczone niedowierzaniem.

- Chybił pan.

- Ja...

- Niemal trafił pan w pony, a on zaczął wierzgać. To wystarczyło.

Edgar spojrzał na kobietę. Mimo całego zamieszania pomyślała, by ponownie wpiąć kwiat we włosy.

- Wystarczyło?

Khin Myo przeniosła wzrok na Nok Leka, który niespokojnie wpatrywał się w las.

- Mówiłam panu, że to jeden z najlepszych ludzi Anthony'ego Carrola.

- Gdzie się podziali napastnicy?

- Uciekli. Dakoici są okrutni, ale w bezpośrednim starciu bywają tchórzami.

Musimy jednak jechać. Mogą wrócić w większej sile, zwłaszcza teraz gdy widzieli

Anglika. To dużo bardziej opłacalne niż okradanie biednych rolników.

Dakoici. Edgar pomyślał o więźniach, którzy płynęli na parowcu z Rangun.

Poczuł, że Khin Myo przesunęła szmatkę po jego czole.

- Jestem ranny?

- Nie, możliwe, że przewrócił się pan po oddaniu strzału, gdyż nadal dokuczał panu ból po upadku z konia. Jak pan mówi, zemdlał pan? - mówiąc to, kobieta

starala się sprawiać wrażenie zaniepokojonej, ale nie potrafiła ukryć uśmiechu. Jej palce spoczywały nadal na czole Edgara.

Nok Lek powiedział coś po birmańsku. Khin Myo złożyła szmatkę.

- Powinniśmy jechać, panie Drake. Tamci mogą zjawić się z posiłkami. Pański pony wrócił. Może pan jechać?

- Tak sędzę.

Edgar podniósł się z wysiłkiem, na karku czuł nadal ciepło od Birmanki.

Przeszedł kilka kroków. Drżał, ale nie wiedział, czy ze strachu, czy z powodu upadku.

Dosiadł pony. Przed sobą dojrzał, że Khin Myo siedzi na wierzchowcu z dubeltówką na kolanach. Błyszcząca lufa spoczywała na jedwabnej hta main i wyglądało na to, że

Khin Myo czuje się swobodnie z bronią. Nok Lek odczepił od siodła drugą strzelbę i wręczył ją Edgarowi, a pistolet wetknął sobie za pas.

Gwizdnięcie. Koniki ruszyły w mrok.

Noc zdawała się nie mieć końca, zjechali wolno ze stromego zbocza, a potem przemierzyli puste pola ryżowe. Wreszcie, gdy Edgar był pewien, że słońce nigdy się nie pokaże, nad wzgórzem przed nimi rozlało się światło. Zatrzymali się na odpoczynek w domu rolnika. A kiedy stroiciel się obudził, było popołudnie. Obok niego spała spokojnie Khin Myo. Włosy rozsypały się jej na policzku. Patrzył, jak poruszają się w rytm jej oddechu.

Dotknął skaleczenia na swoim czole. W świetle dnia zasadzka wydawała się zaledwie złym snem, wstał więc po cichu, żeby nie obudzić Khin Myo. Na zewnątrz dołączył do Nok Leka, który w towarzystwie wieśniaka pił zieloną herbatę. Była cierpka i gorąca i Edgar poczuł na twarzy krople potu, dające w lekkim powiewie wrażenie chłodu. Niebawem we wnętrzu chaty dał się słyszeć ruch; Khin Myo wyszła, by się za nią umyć. Kiedy wróciła, włosy miała wilgotne i uczesane, a twarz świeżo pomalowaną.

Podziękowali gospodarzowi i powrócili do swoich pony.

Po opuszczeniu stojącego samotnie domu wieśniaka wspięli się na strome zbocze. Teraz Edgar lepiej orientował się w geografii. Koryta wypływających z Himalajów rzek wycinały w płaskowyżu równoległe, biegnące z północy na południe wąwozy, dlatego wszystkie szlaki, którymi podążali, pokonywały liczne wzniesienia i spadki terenu. Ponad zbocze wzgórze wystrzelało kolejne pasmo gór, i na nie także się wspięli, doliny u ich podnóża były niezamieszkane, a za następnym pasmem wzniesień minęli małe targowisko pełne wieśniaków, którzy kłębili się wokół stert owoców. Jeźdźcy znów się wspinali i osiągnęli grań dokładnie w chwili, gdy za ich plecami zaczęło zachodzić słońce.

Przed nimi zbocze góry opadało stromo jeszcze raz, ale nie po to, by wypiętrzyć się w kolejną fałdę wzniesień; było długie i strome, a w rzucanym przez wzgórze cieniu rzeka z rykiem toczyła swoje wody.

- Saluin - powiedział Nok Lek triumfalnie i zagwizdał.

Zjeżdżali w dół stromą ścieżką, pony wzdrygały się przy każdym niepewnym stąpieniu. Na brzegu rzeki ujrzeli łódź, latarnię i śpiącego człowieka. Nok Lek zagwizdał. Mężczyzna podskoczył przestraszony. Miał na sobie jedynie luźne spodnie, lewa ręka bezwładnie zwisała przy boku wykręcona tak, jakby tubylec oczekiwał na datek. Wyskoczył na brzeg.

Zsiedli z koni i oddali cugle człowiekowi ze sparaliżowanym ramieniem. Nok Lek odwiązał bagaże i zaniósł je do łodzi.

- Przewoźnik poprowadzi konie do Mae Lwin łądem. A my popłyniemy łódką, będzie szybciej. Proszę, Ma Khin Myo.

Nok Lek wyciągnął rękę, a kobieta ujęła ją i wskoczyła do łodzi.

- Teraz pan, panie Drake.

Edgar zrobił krok w stronę łódki, ale poślizgnął się i jeden but zapadł mu się w muł. Szarpnął nogą, drugą mając już na nadburciu, jednak błocko wydało tylko głośny, mlaszczący dźwięk. Edgar chrząknął i zaklął. Łódź przechyliła się w drugą stronę, na wodę, i stroiciel upadł. Dwaj mężczyźni za jego plecami roześmiali się, a on podniósł wzrok i zobaczył, że Khin Myo zasłania sobie

dłonią usta. Zaklął ponownie.

Najpierw pod adresem świadków jego niepowodzenia, a potem szlamu. Starał się podciągnąć, ale ramię pogrzyżyło się głębiej. Ponowił próbę i znowu bez powodzenia.

Mężczyźni śmiali się głośniejsze, a Khin Myo nie potrafiła zdusić cichego chichotu. I wtedy Edgar także zaczął się śmiać, zgięty w pół w tej niewygodnej pozycji, z jedną nogą po udo w mule, a drugą wzniesioną ponad wodę; oba ramiona miał mokre i ociekające mazią. Nie śmiałem się tak od miesiący, pomyślał i łzy pociekły mu strumieniem z oczu. Przestał zmagać się z błotem, położył na wznak i spojrzał w ciemne niebo widoczne pomiędzy oświetlonymi przez latarnię gałęziami. W końcu z wysiłkiem wyrwał się i ociekając wodą, wciągnął do łodzi. Nawet nie próbował oczyścić się z mułu; było zbyt ciemno, by cokolwiek widzieć, a Nok Lek wszedł już do łódki i usiłował drągiem odepchnąć ją od brzegu.

Gdy znaleźli się na rzece, szybko popłynęli z jej prądem. Latarnię pozostawili przewoźnikowi, ale księżyc świecił jasno poprzez konary drzew. Mimo to Nok Lek sterował tak, by łódź trzymała się blisko brzegu.

- Za mało światła, by dojrzeli nas przyjaciele, ale dosyć, by dostrzegli wrogowie - szepnął.

Rzeka wiała się między zwieszającymi się nad nią gałęziami i niosła ich obok zwalonych pni. Nok Lek zręcznie radził sobie z prądem. Owady nie hałasowały tak ogłuszająco jak w dżungli. Być może ich głosy tłumili szmer rzeki, który wydawała woda rozdzielana na strumienie przez drżące gałęzie drzew.

Brzegi były gęsto porośnięte i od czasu do czasu stroicielowi wydawało się, że coś widzi, ale za każdym razem przekonywał się, że były to tylko poruszające się cienie. Po godzinie minęli polanę i dom na palach.

- Bez obaw - powiedział chłopak. - To tylko chata rybaka. Teraz nikogo tam nie ma.

Księżyc lśnił nad drzewami.

Płynęli wiele godzin, a rzeka rwała bystro przez strome wąwozy, mijając sterczące skały i urwiste brzegi. W końcu, za szerokim zakrętem, Edgar ujrzał skupisko migających świateł. Prąd niósł ich szybko w tamtym kierunku. Stroiciel dostrzegł budynki; na brzegu wszczął się ruch. Podpłynęli do małego pomostu, z którego obserwowali ich trzej mężczyźni w pasie i bez koszul. Jeden był wyższy od dwóch pozostałych, miał jasną skórę, a z kącika ust zwisało mu cienkie cygaro. Kiedy łódź zwolniła, mężczyzna wyjął je i pstryknięciem posłał do wody. Wyciągnął rękę i podał dłoń Khin Myo, która zebrała swoją hta main i wspięła się na pomost. Tam skłoniła się lekko, ruszyła przed siebie i wślizgnęła się w zarośla ze zwinnością kogoś, kto bywał tu już wcześniej.

Edgar wspiął się na kładkę.

Mężczyzna patrzył na niego w milczeniu. Edgar miał zmatowiałe włosy, a ubranie nasiąknięte mułem. Kiedy się uśmiechnął, poczuł, że na twarzy pęka mu wyschnięte błoto. Długo trwało milczenie, po czym podniósł wolno rękę.

Myślał o tej chwili od tygodni, o tym, co powie. Chwila wymagała słów godnych historii, które zostaną zapamiętane i będą przytaczane, kiedy stany Szan zostaną w końcu podbite, a Imperium będzie bezpieczne.

- Nazywam się Edgar Drake - powiedział. - Przybyłem tutaj, by naprawić fortepian.

12

Tragarz wiódł Edgara Drake'a krótką ścieżką obok wartowni i przez gęste zarośla. Z przodu tańczyły światła, ujęte w ramy gałęzi rzadko rosnących drzew. Szlak był wąski i krzaki drapały Edgara po ramionach. Trudno przeprowadzić tędy kolumnę zbrojnych, pomyślał. Jakby odpowiadając mu, za plecami odezwał się doktor Carroll; głos miał mocny i zdradzający pewność siebie, ale Edgar nie potrafił zidentyfikować jego akcentu.

- Proszę wybaczyć niedogodności szlaku. To nasza pierwsza linia obrony od strony rzeki, dzięki zaroślom nie trzeba budować obwałowań. Prawdopodobnie doceni pan, jak cholernie trudno było przenieść tędy érarda.

- Dość jest z tym kłopotów na ulicach Londynu.

- Wyobrażam sobie. Zarośla są także piękne. W zeszłym tygodniu spadło trochę deszczu, rzadkość jak na czas suszy, i krzewy obsypały się kwiatami. Jutro zobaczy pan ich barwy.

Edgar przystanął, by przyjrzeć się dokładniej, ale stwierdził, że tragarz wysforował się przed nich, więc ruszył ponownie, przyspieszając kroku.

Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy zarośla skończyły się nagle, a oni wyszli na polanę.

Później będzie usiłował przywołać wspomnienie tego, jak wyobrażał sobie Mae Lwin, ale pierwsze wrażenie zatarło wszelkie poprzednie obrazy. Padające ponad jego ramieniem światło księżyca wyławiało z mroku bambusowe konstrukcje, które przyłgnęły do zbocza góry. Fort wzniesiono u stóp stromego wzgórza, a zabudowania wspinały się po urwistej ścianie na wysokość około stu metrów. Wiele budynków łączyły schody lub wiszące mosty. Latarnie kołysały się na belkach pod dachami, chociaż przy świetle księżyca wydawały się niemal zbędne. Znajdowało się tam chyba ze dwadzieścia chat. Fort był mniejszy, niż Edgar się spodziewał, a z obu stron osłaniał go gęsty las. Z przeczytanego raportu stroiciel dowiedział się, że za górą położona jest szańska wioska zamieszkała przez kilkuset ludzi.

U jego boku stał doktor Carroll; za plecami miał księżyc, więc rysy jego twarzy skrywał mrok.

- Imponujące, nieprawdaż, panie Drake?

- Mówiono mi o tym, ale nie sądziłem, że aż tak... Kiedyś kapitan Dalton usiłował opisać to miejsce, ale...

- Kapitan Dalton jest wojskowym. Armia powinna jeszcze przysłać do Mae Lwin poetę.

Wystarczy stroiciel fortepianów, pomyślał Edgar i odwrócił się w stronę obozu.

Dwa ptaki przemknęły nad polaną, gruchając. Jakby w odpowiedzi na ich nawoływanie tragarz, który niósł od rzeki bagaże Edgara, krzyknął coś z

balkonu drugiej kondygnacji domów. Doktor odpowiedział mu w języku, który brzmiał mniej nosowo niż birmański i miał inny ton. Tragarz zniknął z balkonu.

- Powinien pan iść spać - odezwał się Carroll. - Mamy do omówienia wiele spraw, ale możemy poczekać do jutra.

Stroiciel chciał coś powiedzieć, lecz zdawało się, że doktorowi spieszno było do odejścia. Wobec tego skinął mu lekko głową i życzył dobrej nocy. Następnie przeszedł przez polanę i wspiął się po schodach tam, gdzie wcześniej stał tragarz. Na balkonie zatrzymał się, żeby złapać oddech. To z powodu wysokości, pomyślał, wszak znajdujemy się wysoko na płaskowyżu. Spojrzał ponad balustradą i ponownie zaparło mu dech w piersiach.

Teren przed nim opadał ku rzece jako łagodna pochyłość rzadko porośnięta drzewami i kępami krzewów. Na piaszczystym brzegu burta w burtę leżały dłubanki.

Księżyc wręcz oślepił, a Edgar, tak jak to robił wiele razy, odkąd przepłynął Morze

Śródziemne, poszukał na srebrnej tarczy zarysu królika. Teraz, po raz pierwszy, udało mu się zobaczyć sylwetkę biegnącego zwierzęcia: królik ni to tańczył, ni to uciekał w popłochu. Tu, na ziemi, rósł gęsty i ciemny las, cicho toczyła swe wody Saluin, a jej nurtem, prawie niezauważalnie, przepływało niebo. W obozie panowała cisza. Od przybycia Edgar nie widział Khin Myo. Prawdopodobnie wszyscy poszli spać, pomyślał.

Powietrze było chłodne, niemal zimne, a on stał przez kilka minut w ciszy, zanim odzyskał oddech, a potem odwrócił się, pochylił głowę i wszedł do pokoju.

Zamknął drzwi. Przed nim na podłodze leżał wąski materac osłonięty moskitierą.

Tragarza nie było. Zrzucił z nóg buty i wgramolił się pod siatkę.

Zapomniał zablokować drzwi. Słaby powiew wiatru otworzył je na oścież.

Światło księżyca tańczyło na skrzydłach malutkich ciem.

*

Kiedy stroiciel obudził się rano, było mu duszno, czuł na policzku gorący oddech i słyszał szelest moskitiery oraz zduszone chichoty. Otworzył oczy i jego wzrok napotkał pół tuzina innych białek, tęczówek i źrenic, zanim ich mali właściciele nie wrzasnęli i piszcząc, uciekli z pokoju.

Było już jasno i dużo chłodniej niż na nizinach. W nocy Edgar naciągnął na siebie cienkie prześcieradło, mimo że nadal miał na sobie brudne ubranie, w którym wpadł w muł. Ze zmęczenia zapomniał się umyć, więc pościel była ubłocona. Zaklął, a potem uśmiechnął się i potrząsnął głową, myśląc: Gniew nie gości długo w sercach ludzi obudzonych przez dziecięcy śmiech. Promienie słońca wpadały między krzyżującymi się bambusami, z których zrobione były ściany, i pstrzyły świetlnymi plamkami pokój. Przenieśli gwiazdy do wnętrza, pomyślał i wysunął się spod moskitiery. Kiedy szedł do wyjścia, bębnieniu jego stóp o drewnianą podłogę towarzyszyły odgłosy ucieczki i dziecięce piski.

Drzwi były nadal otwarte na oścież, więc wystawił głowę.

Za rogiem na końcu podestu ukazała się mała brązowa główka. Znowu rozległy się chichoty. Stroiciel uśmiechając się, zamknął drzwi i w przetyczkę w futrynie wsunął drewniany, grubo ciosany skobel. Zdjął koszulę. Wyschnięte, matowe kawałki błota złuszczyły się i posypały na podłogę. Rozejrzał się w poszukiwaniu miednicy, ale jej nie było. Nie wiedząc, co począć z ubraniem, zrzucił je byle jak i zostawił przy drzwiach. Włożył świeże spodnie koloru khaki, jasną bawełnianą koszulę i ciemną kamizelkę. Pospiesznie uczesał włosy i wziął przesyłkę, którą dano mu dla doktora w Ministerstwie Wojny.

Kiedy otworzył drzwi, natknął się na grupkę dzieciaków. Na jego widok zaczęły uciekać. W pośpiechu jeden z chłopców potknął się, a inni runęli na niego. Edgar wyciągnął rękę, podniósł pierwszego z brzegu malca i łaskocząc go, przerzucił sobie przez ramię. Poczuł się zaskoczony okazaną nagle własną figlarnością. Pozostałe dzieci trzymały się u jego boku, przekonane, że ten

wysoki obcokrajowiec ma tylko tyle rąk, ile wystarczy do niesienia jednej przesyłki i jednego wiercącego się malca.

Na schodach stroiciel niemal zderzył się ze starszym szańskim chłopakiem.

- Panie Drake, doktor Carroll chce pana. On jeść śniadanie. Posłaniec podniósł wzrok na brzdąca, który odwrócony do góry nogami, spoglądał na niego z barku Edgara. Wyrostek zląkał chłopca po szańsku, co wywołało śmiech dzieci.

- Nie złość się - powiedział Edgar. - To wyłącznie moja wina. Uprawialiśmy zapasy...

- Zapasy?

- Nieważne - dodał, teraz lekko zakłopotany.

Postawił malca na ziemi i dzieci rozpierzchły się jak wypuszczone z klatki ptaki. Obciągnął sobie koszulę, zaczesał palcami włosy na bok i ruszył za chłopakiem po schodach.

Kiedy dotarli na polanę, Edgar przystanął. Granatowe cienie, będące wspomnieniem poprzedniej nocy, zamieniły się w kwiaty hibiskusa, róży i wiszących orchidei. Wszędzie latały motyle - fruujące malusieńkie skrawki barw, które unosiły się w powietrzu jak konfetti podczas parady. Na otwartej przestrzeni dzieciarnia grała uplecioną z trzciny piłką, krzycząc, gdy w niemożliwy do przewidzenia sposób odbijała się od nierównego podłoża.

Wyszli z zarośli na piaszczysty brzeg, gdzie doktor Carroll siedział przy stoliku nakrytym dla dwóch osób. Gospodarz ubrany był w białą koszulę z surowego lnu, u której podwinął mankiety. Miał porządnie uczesane włosy. Uśmiechnął się, gdy stroiciel podszedł bliżej. W blasku słońca Edgar przypomniał sobie natychmiast fotografię doktora, którą widział jeszcze w Londynie. Musiano ją wykonać dwadzieścia lat temu, ale stroiciel rozpoznał szerokie ramiona, mocny zarys nosa i szczęki, gładko zaczesane włosy i ciemne wąsy, teraz poprzetykane siwizną. Było jeszcze coś znajomego, co także zapamiętał ze zdjęcia, ruch, pewna nieuchwytność, nastrój ożywienia widoczny w niebieskich oczach.

Doktor wyciągnął rękę.

- Dzień dobry, panie Drake. - Uścisk miał silny, a dłonie szorstkie. - Ufam, że spał pan dobrze.

- Jak zabity, doktorze. Póki dzieciaki nie odkryły mojego pokoju.

Carroll roześmiał się.

- Och, przywyknie pan do tego.

- Mam nadzieję. Już bardzo dawno nie budziły mnie głosy dzieci.

- Ma pan własne?

- Niestety nie. Tylko siostrzenice i siostrzeńców.

Jeden z chłopców odsunął krzesło dla Edgara. Obok płynęła bystro rzeka, brązowa, upstrzona pianą. Stroiciel spodziewał się, że zobaczy Khin Myo, ale doktor był sam. Nieobecność kobiety Edgar początkowo uznał za coś dziwnego, gdyż ją także wezwano z Mandalaju. Chciał o to zapytać Carrolla, ale z jakiegoś powodu czuł się niezręcznie. Podczas podróży Birmanka nie powiedziała, dlaczego jedzie, a po przybyciu natychmiast zniknęła.

Doktor wskazał na pakunek w rękach Edgara.

- Przywiózł pan coś?

- Tak, przepraszam. To nuty. Ma pan godny podziwu gust.

- Otworzył pan paczkę? - lekarz pytająco uniósł brwi.

Edgar poczerwieniał.

- Tak, przepraszam, sądzę, że nie powinienem tego robić. Ale... cóż, muszę się przyznać, że byłem ciekaw, o jakie nuty pan prosił. - Carroll milczał, więc Edgar dodał: - Imponujący wybór, a poza tym jakieś inne, nieoznaczone zapisy utworów, których nie rozpoznałem; na marginesie, nie wydaje mi się, żeby miały jakiś muzyczny sens...

Doktor roześmiał się.

- To muzyka Szanu. Staram się zaaranżować ją na fortepian. Robię transkrypcje i posyłam do kraju, gdzie mój przyjaciel, kompozytor, dokonuje pewnych adaptacji i odsyła je z powrotem. Zawsze byłem ciekaw, co pomyśli ktoś, kto się zapozna z nutami... Cygaro?

Odwinął z chustki puszkę po sardynkach i odsłonił cygara, jakie palił poprzedniego wieczoru.

- Nie, dziękuję. Nie palę.

- Szkoda. Nie ma nic lepszego. Zwija je dla mnie kobieta z wioski. Gotuje liście tytoniu w cukrze palmowym, dodając wanilię, cynamon i Bóg jeden wie co jeszcze.

Potem schną na słońcu. Jest taka birmańska opowieść o dziewczynie, która suszyła cygara dla swojego ukochanego, ogrzewając je ciepłem swojego ciała...

Ja, niestety, nie mam takiego szczęścia. - Uśmiechnął się. - Może herbaty?

Edgar podziękował, przystając na propozycję, a Carroll skinął na jednego z chłopców, który przyniósł srebrny imbryk i napełnił filiżanki herbatą. Inny postawił na stole jedzenie: małe ciastka ryżowe, miseczkę mielonego pieprzu i zamknięty słoik dżemu pomarańczowego; Edgar podejrzewał, że dżem podano tylko dla niego.

Doktor wyjął z puszkcy cygaro i zapalił je. Wypuścił kilka obłoków dymu. Nawet na otwartej przestrzeni zapach był mocny i gryzący.

Edgara kusilo, by drażnić temat muzyki, ale powstrzymał się przez wzgląd na dobre obyczaje, gdyż uznał, że dyskusja na ten temat mogłaby się wydać niewłaściwa przed bliższym poznaniem się.

- Pański fort jest imponujący - powiedział.

- Dziękuję. Staraliśmy się wznieść go w szkańskim stylu - jest piękniejszy, no i mogłem zatrudnić miejscowych rzemieślników. Niektóre pomysły - piętrowa zabudowa, mosty - to moje własne innowacje, podyktowane wymogami terenu. Placówka musiała być blisko rzeki, chroniona grzbietem góry.

Edgar spojrział na rzekę.

- Jest dużo szersza, niż myślałem.

- Kiedy tu przybyłem, zaskoczyło mnie to tak samo jak pana. To jedna z największych rzek Azji, zasilana przez Himalaje - na pewno pan o tym wie.

- Czytałem pański list. Byłem ciekaw, co oznacza jej nazwa.

- Saluin? Birmańczycy wymawiają to słowo „Thanlwin”, jego znaczenie muszę jeszcze poznać. Thanlwin to małe birmańskie czynele. Chociaż moi tubylczy przyjaciele twierdzą, że nazwa rzeki nie pochodzi od nazwy instrumentu... być może intonacja słów jest inna, uważam, że bardzo poetyczna. Czynele wydają równie delikatny dźwięk, jak płynąca po otoczakach woda. „Rzeka delikatnych dźwięków”, to trafna nazwa, nawet jeśli nieprawidłowa.

- A wioska... Mae Lwin?

- Mae to szańskie słowo oznaczające rzekę. Tak samo jest po syjamsku.

- Zeszłej nocy mówił pan po szańsku? - zapytał Edgar.

- Poznał pan?

- Nie... Oczywiście, że nie. Po prostu brzmiało to inaczej niż birmański.

- Jestem pod wrażeniem, panie Drake. Oczywiście, powinienem się spodziewać czegoś takiego po człowieku, którego domeną są dźwięki... Chwileczkę...

cicho... - Doktor utkwiał wzrok w przeciwnym brzegu.

- Co to? - spytał Edgar.

- Szzz! - Carroll podniósł rękę i w skupieniu zmarszczył czoło.

Z krzaków dochodził cichy szelest. Stroiciel wyprostował się na krześle.

- Ktoś tam jest? - spytał szeptem.

- Szzz! Żadnych nagłych ruchów.

Doktor odezwał się cicho do chłopca, który przyniósł mu małą lunetę.

- Coś się dzieje, doktorze?

Carroll patrzył przez szkła; podniósł dłoń, prosząc o ciszę.

- Nie... nic... proszę się nie denerwować, chwileczkę, tam... Aha! Dokładnie tak, jak myślałem!

Odwrócił się i spojrzał na Edgara, trzymając nadal lunetę w górze.

- O co chodzi? - wyszeptał stroiciel. - Jesteśmy atakowani...

- Atakowani? - to mówiąc, doktor wręczył mu lunetę. - Raczej nie... to coś dużo zabawniejszego, panie Drake. Zaledwie dzień tutaj, a już pan zobaczy Upupa epops, czyli dudka. To naprawdę szczęśliwy dzień. Muszę to zanotować,

pierwszy raz widzę go w pobliżu rzeki. Występuje w Europie, ale tam zwykle woli otwarte, suchsze tereny.

Musiał przylecieć tutaj z powodu suszy. Cudowny! Niech pan spojrzy na piękny grzebień na łepku, ten ptak lata jak motyl.

- Istotnie. - Edgar starał się dostosować do entuzjazmu doktora. Spojrzał przez lunetę na ptaka po drugiej stronie rzeki. Był mały i szary, poza tym z tej odległości nie do zauważenia. Po chwili odleciał.

- Lu! - zawołał Carroll. - Przynieś mi mój dziennik!

Chłopak przyniósł brązową książkę, obwiązaną sznurkiem. Doktor Carroll rozwiązał go, włożył pincenez i pospiesznie coś zapisał. Następnie oddał notatnik chłopcu i spojrział na Edgara sponad okularów.

- Naprawdę szczęśliwy dzień - powtórzył. - Szanowie powiedzieliby, że przybywa pan w pomyślnym czasie.

Słońce wzniosło się wreszcie ponad rosnące wzdłuż brzegu drzewa. Doktor spojrział w niebo.

- Już późno - stwierdził. - Niebawem musimy ruszać. Mamy dzisiaj do pokonania dość długą drogę.

- Nie wiedziałem, że dokądś jedziemy.

- Och, muszę pana przeprosić, panie Drake. Powinienem był panu o tym powiedzieć zeszłej nocy. Dzisiaj jest środa, a w każdą środę poluję. Pańskie towarzystwo będę sobie poczytywał za zaszczyt. Poza tym sądzę, że spodoba się panu.

- Polowanie... Ale érad...

- Oczywiście - doktor plasnął dłonią w stół - érad. Nie zapomniałem o nim. Wiem, od tygodni podróżuje pan, by naprawić fortepian. Bez obaw, jeszcze pana zmęczy ten instrument.

- Nie, nie o to chodzi. Pomyślałem tylko, że powinienem go przynajmniej obejrzeć. Marny ze mnie myśliwy. Od czasu polowania w Rangunie nie trzymałem broni w ręku. To długa i straszna historia... A potem, po drodze

tutaj...

- Po drodze tutaj wpadliście w zasadzkę. Khin Myo opowiedziała mi o tym. Zachował się pan jak prawdziwy bohater.

- Żaden bohater. Zemdlałem, niemal zastrzeliłem pony i...

- Bez obaw, panie Drake. To rzadkość, żebym choć raz wystrzelił podczas polowania. Być może ustrzelę jednego lub dwa dziki, pod warunkiem wszakże, że będziemy mieli dosyć jeźdźców, żeby przywieźć tutaj zdobycz. Ale to nie jest raczej celem wyprawy.

Edgar poczuł znużenie.

- Sądzę zatem, że powinienem zapytać, jaki jest ten cel.

- Zbiory. Głównie botaniczne, chociaż często oznacza to również medyczne...

Wysyłam próbki do Królewskich Ogrodów Botanicznych w Kew.

Zdumiewające, ile rzeczy trzeba tutaj poznać. Przebywam tu od dwunastu lat, a nawet nie zbliżyłem się do wyczerpania szańskie farmakopei. W każdym razie powinien pan pojechać choćby dlatego, że to jest piękne, że dopiero co pan tu przybył, że jest pan moim gościem i że byłoby nieuprzejmością z mojej strony, gdybym nie pokazał panu cudów pańskiej nowej ojczyzny.

Moja nowa ojczyzna, pomyślał Edgar, a w gałęziach po drugiej stronie rzeki znowu rozległ się szelest, gdy jakiś ptak zerwał się do lotu. Carroll sięgnął po lunetę i zerknął przez nią. W końcu opuścił przyrząd.

- Zimorodek grzebieniasty. Niezbyt rzadki, ale i tak piękny. Wyruszymy za godzinę. Énard może wytrzymać bez strojenia jeden dzień dłużej.

Edgar uśmiechnął się słabo.

- Mogę się przynajmniej ogolić? Nie robiłem tego od wielu dni.

Doktor zerwał się na równe nogi.

- Oczywiście. Ale niech pan nie myje się zbyt dokładnie. Przed upływem godziny będziemy brudni.

Położył serwetkę na stole i powiedział coś do jednego z chłopców, który ruszył biegiem przez polanę. Gestem ręki Carroll wskazał stroicielowi drogę.

- Pan pierwszy - powiedział, rzucił na piasek niedopałek cygara i przydeptał go. Kiedy Edgar wrócił do swojego pokoju, zobaczył na stole małą miednicę z wodą, a obok brzytwę, mydło do golenia, pędzel i ręcznik. Ochlapał twarz wodą.

Przyniosło mu to krótkotrwałą ulgę. Nie wiedział, co myśleć o Carrollu oraz o pomyśle odłożenia strojenia fortepianu z powodu wyprawy na poszukiwanie kwiatów, i stwierdził, że dręczą go niejasne wątpliwości. W zachowaniu doktora było coś niepokojącego, a poza tym Edgar nie miał pojęcia, jak pogodzić legendy o lekarzu żołnierzu z uprzejmym, nawet dobrodusznym człowiekiem, który podał herbatę, tosty i marmoladę i którego tak bardzo ekscytowały ptaki. Być może dlatego, że to wszystko jest nadal tak bardzo angielskie, pomyślał. W każdym razie spacer, jeśli o to właśnie chodzi, jest odpowiednim sposobem powitania gościa. Nadal jednak coś dręczyło stroiciela, więc golił się, ostrożnie przeciągając ostrze po skórze, a potem potarł dłonią policzki, by sprawdzić ich gładkość.

Dosiedli dwóch szańskich pony, które stały osiodłane na polanie. Ktoś wplótł w ich grzywy drobne kwiaty.

Niebawem przytruchtał kolejny konik, niosąc na swym grzbiecie Nok Leka. Edgar ucieszył się, ale zauważył, że chłopak zachowuje się nieco inaczej niż w trakcie ich podróży. Wydawało się, że z powodu obecności Carrolla młodzieńcza pewność siebie Nok Leka jest stonowana i nacechowana większym szacunkiem. Skinął głową obu mężczyznom, a Carroll gestem ręki wskazał, by on poprowadził. Chłopak sprawnie zawrócił pony i ruszyli.

Wyjechali z polany szlakiem biegnącym równolegle do rzeki. Orientując się po słońcu, Edgar stwierdził, że zmierzają na południowy wschód. Minęli zagajnik wierzbowy, ciągnący się w górę od koryta rzeki. Drzewa rosły gęsto i były tak niskie, że

Edgar musiał jechać schylony, żeby się utrzymać w siodle. Ścieżka skręciła pod górę i powoli wspięła się po zboczu ponad wierzby, które ustąpiły miejsca

suchszym zaroślom. Zatrzymali się na grzbiecie osłaniającego obóz wzniesienia. Poniżej, ku północnemu wschodowi, rozciągała się szeroka dolina; widniały tam małe osady bambusowych zabudowań. Na południu z pochyłości terenu wystawało pasmo niskich wzgórz, przypominających kręgosłup odkopanego szkieletu. A jeszcze dalej wznosiły się wyższe góry, ledwo widoczne z powodu oślepiającego blasku słońca.

- Syjam - powiedział doktor, wskazując ręką góry.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy tak blisko.

- Dzieli nas niewiele ponad sto kilometrów. To dlatego Ministerstwo Wojny tak bardzo niepokoi się kwestią utrzymania stanów Szan.

- A te osady?

- To wioski Szanów i Birmańczyków.

- Co oni uprawiają?

- Głównie opium... chociaż produkcji nie da się porównać z tą na północy, w Kokang, lub głębiej w kraju Wa. Powiadają, że w Kokang rośnie tyle maków, iż wszystkie pszczoły zapadły w opiumowy sen i nigdy się nie obudzą. Ale i tutejsze zbiory są całkiem pokaźne... Teraz zna pan kolejny powód, dla którego nie chcemy stracić stanów Szan. - Carroll sięgnął do kieszeni i wyjął puszkę po sardynkach.

Włożył cygaro do ust, a potem podsunął tę domowej roboty papierośnicę Edgarowi. - Nie zmienił pan zdania?

Drake potrząsnął głową.

- Czytałem o makach. Myślałem, że ich uprawy zakazuje Indyjski Akt Opiumowy. Doniesienia mówią...

- Wiem, co głoszą raporty - mówiąc to, doktor zapalił cygaro. - Gdyby wczytał się pan dokładniej, to wiedziałby pan, że Indyjski Akt Opiumowy z 1878 roku zabrania uprawy opium w Birmie właściwej; wtedy nie kontrolowaliśmy stanów Szan. To nie oznacza, że nie ma nacisków, by zaprzestać tego procederu. Ta sprawa wywołuje w

Anglii dużo więcej hałasu niż tutaj, co prawdopodobnie powoduje, że tak wielu z nas, piszących te raporty, jest tak selektywnych w tym, co przekazuje.

- Sprawia pan, że zaczynam się niepokoić z powodu tego, co do tej pory przeczytałem.

- Niepotrzebnie. Większość pisemnych relacji jest prawdziwa, chociaż będzie pan musiał przywyknąć do pewnych subtelności, do różnic między tym, co czytał pan w Anglii, a tym, co widzi pan tutaj, szczególnie we wszystkim, co dotyczy polityki.

- Nie znam się na tym; moja żona śledzi te kwestie uważniej niż ja - Edgar zawahał się. - Ale interesowałoby mnie to, co pan ma do powiedzenia.

- O polityce, panie Drake?

- Zdaje się, że każdy człowiek w Londynie ma własną opinię na temat przyszłości Imperium. Pan musi wiedzieć więcej od nich.

Doktor machnął cygarem.

- W istocie polityka zajmuje mnie w niewielkim stopniu, uważam ją raczej za, jakby to powiedzieć, niepraktyczną.

- Niepraktyczną?

- Weźmy na przykład opium. Przed buntem Sepoy, gdy naszymi posiadłościami w Birmie zarządzała Kompania Wschodnioindyjska, nawet zachęcano do używania opium; handel był bardzo zyskowny. Jednak ci, którzy byli opium przeciwni z powodu jego „demoralizującego wpływu”, zawsze nawoływali do zabronienia obrotu narkotykiem lub do opodatkowania handlu. W zeszłym roku Stowarzyszenie na rzecz

Zniesienia Handlu Opium zwróciło się do wicekróla z prośbą o objęcie całego procederu prohibicją. Ich petycja została po cichu odrzucona. Nie było żadnej niespodzianki; opium to jedna z naszych najbardziej dochodowych upraw w Indiach.

A zakazy nic nie dają. Handlarze zaczynają po prostu szmuglować narkotyki morzem.

Przemytnicy są bardzo pomysłowi. Wsypują opium do worków, które przywiązują do bloków soli. Jeśli dochodzi do przeszukiwania statku, po prostu wrzucają ładunek do wody. Po jakimś czasie sól rozpuszcza się, a pakunek wypływa na powierzchnię.

- Mówi pan tak, jakby to pochwalał.

- Pochwalał co? Opium? To jedno z najlepszych lekarstw, jakie mam, antidotum na ból, biegunkę i kaszel - najpowszechniejsze objawy występujących tutaj chorób. Każdy, kto chce traktować takie sprawy jako pretekst do uprawiania polityki, powinien najpierw tu przyjechać.

- Nie miałem o tym pojęcia - powiedział Edgar. - Co pan zatem sądzi o autonomii, która wydaje się być najpilniejszą sprawą?

- Panie Drake, proszę. Mamy taki piękny poranek. Nie psujmy go rozmową o polityce. Wiem, że po takiej podróży każdy byłby zainteresowany podobnymi sprawami, ale uważam je za straszliwie nudne. Przekona się pan - im dłużej pan tutaj zostanie, tym mniej będą pana interesowały podobne kwestie.

- Lecz tyle pan pisał...

- Pisałem o historii, panie Drake, a nie o polityce. - Doktor wycelował w stroiciela żarzący się koniec cygara. - Nie jest to dla mnie miły temat. Jeżeli pan słyszał opinie pewnych ludzi o tym, co tutaj robię, to sądzę, że rozumie pan, dlaczego nie lubię o tym rozmawiać.

Edgar zaczął mamrotać słowa przeprosin, ale Carroll nie odpowiedział. Z przodu, tam gdzie ścieżka się zwężała, czekał na nich Nok Lek. Jeźdźcy wjechali rzędem do lasu po drugiej stronie grzbietu góry.

Przejażdżka trwała blisko trzy godziny. Zjechali ze szczytu i znaleźli się w rozległej, lekko wznoszącej się dolinie, która leżała na południe od przypominających kręgosłup wzgórz. Wkrótce szlak stał się wystarczająco szeroki, by dwa pony mogły iść obok siebie, i podczas gdy Nok Lek podążał przodem, Carroll jechał strzemię w strzemię ze stroicielem fortepianów. Bardzo szybko stało się jasne, że doktor nie był w ogóle zainteresowany polowaniem.

Opowiadał o górach, w których cieniu jechali, o tym, jak zaraz po swoim przybyciu sporządzał mapę tego obszaru, wyznaczając wysokość terenu na podstawie temperatury wrzenia wody. Mówił o geologu i historii, opowiadał miejscowe legendy o każdym głazie, górskiej dolinie oraz rzece, którą przekroczyli. Tutaj mnisi hodują zębacze; Tutaj pierwszy raz ujrzałem na płaskowyżu tygrysa, to rzadkość; Tutaj wylęgają się komary, a ja przeprowadzam doświadczenia nad rozprzestrzenianiem się choroby; Tutaj jest wejście do ngahlyin, świata birmańskich olbrzymów; Tutaj zalecają się szańscy narzeczeni i czasami słyhać dźwięki fletów. Jego opowieści wydawały się nieprzebrane, a podanie o jednym wzgórzu kończyło się dopiero wtedy, gdy mijali następne. Edgar był zdumiony, wydawało się, że doktor zna nie tylko każdy kwiat, ale także jego medyczne zastosowania, naukową klasyfikację, miejscowe nazwy po birmańsku i szańsku oraz ich pochodzenie. Kilka razy, wskazując na kwitnące krzewy, zawoła, że taka roślina była nieznaną zachodniej nauce: - To ja posłałem okazy do Towarzystwa Linneusza i do Królewskich Ogrodów Botanicznych w Kew, a są nawet gatunki, które noszą moje nazwisko, orchidea, *Dendrobium carrollii*, oraz lilia, *Lilium carrollianum*, a inną, *Lilium scottium*, nazwałem na cześć J. George'a Scotta, politycznego zarządcy stanów

Szan, a zarazem mojego przyjaciela, którego bardzo podziwiam. I są inne kwiaty... - a mówiąc to, zatrzymał nawet pony i spojrzał prosto na Edgara jasnymi oczami - mój własny rodzaj, *Carrollium trigeminum*, gatunkowa nazwa znaczy „trzy korzenie” i odwołuje się do szańskiego mitu o trzech księżętach, który obiecuję opowiedzieć panu niebawem, a może powinien pan usłyszeć, jak opowiada go Szan... Niemniej jednak ten kwiat z profilu wygląda jak twarz księcia i to jest roślina jednoliścienna o trzech parach płatków i listków kielicha niczym trzej księżęta i ich narzeczone.

Od czasu do czasu doktor przystawał, by zerwać kwiaty lub liście i wcisnąć do znoszonej, oprawionej w skórę książki, którą miał w torbie przy siodle.

Zatrzymali się przy krzaku obsypanym drobnymi, żółtymi kwiatkami.

- Tej roślinie - zwierzył się - nie nadano jeszcze oficjalnej nazwy, gdyż chcę dopiero posłać okaz do Towarzystwa Linneusza. Doprowadzenie do publikacji każdej mojej pracy botanicznej wymaga ode mnie sporego wysiłku. Zdaje się, że wojskowych niepokoi, że w jakiś sposób moja pisanina o kwiatach ujawni tajemnice państwowe...

Jakby Francuzi nie wiedzieli o Mae Lwin - westchnął. - Przypuszczam, że zanim opublikuję farmakopeę, będę musiał odejść na emeryturę. Czasami wolałbym być cywilem, który nie podlega regulaminowi i dyscyplinie. Ale wówczas, jak sądzę, nie znalazłbym się tutaj.

Z upływem czasu zdenerwowanie i dezorientacja Edgara zaczęły rozpraszać się pod naporem entuzjazmu doktora. Wszystkie pytania stroiciela, dotyczące głównie muzyki, fortepianu, opinii Szanów i Birmańczyków o twórczości Bacha i Haendla, przyczyn, dla których Carroll pozostał w Birmie, i wreszcie powodu, dla którego on sam tutaj przybył, zostały chwilowo zapomniane. Dziwne, ale nic nie wydawało się bardziej naturalne niż konna jazda w poszukiwaniu nienazwanych jeszcze roślin, niż próby zrozumienia potocznych opowieści doktora, historii Szanów, łacińskiego nazewnictwa i literackich odniesień. W górze krążył drapieżny ptak, unoszony przez wstępujący prąd powietrza, a Edgar wyobraził sobie, co ptak musi widzieć: trzy drobne figurki podążające krętym, wyschniętym szlakiem, biegnącym obok łańcucha wapiennych wzgórz, wioski, wijącą się ospale Saluin, góry na wschodzie, opadający ku Mandalajowi płaskowyż Szan, a potem całą Birmę, Syjam, Indie, zgromadzone tam armie, szachownicę francuskich i angielskich żołnierzy niewidzących się nawzajem, ale widocznych dla ptaka; zgromadzone wojska czekały, podczas gdy między nimi jechali trzej konni i zbierali kwiatki.

Mijali domy na palach, pokryte kurzem drogi prowadzące do małych wiosek, do których wejścia wyznaczały drewniane bramy. Na ścieżce przed jedną z nich leżały rozrzucone gałęzie, a do bramy przyszpilony był kawałek wystrzępionego

papieru pokrytego zawiłym pismem. Doktor Carroll wyjaśnił, że wieś nawiedziła ospa, a napis był magiczną formułą mającą zwalczyć chorobę.

- To straszne - powiedział. - W Anglii szczepimy teraz ludzi krowianką, co od kilku lat jest obowiązkowe, ale nie dają mi tyle preparatu, żebym mógł szczepić ludzi tutaj. To straszliwa choroba, niezwykle zaraźliwa i szpecąca. Jeśli chory przeżyje.

Edgar ściągnął niespokojnie cugle. Kiedy był małym chłopcem, epidemia ospy wybuchła w slumsach wschodniego Londynu. Rysunki ofiar - wychudzonych, bladych trupów, małych dzieci pokrytych krostami - pojawiały się codziennie na afiszach.

Wkrótce zobaczyli skały; wystawały z ziemi jak zniszczone zęby trzonowe.

Edgar starannie dobrał porównanie, gdyż szeroka otwarta przestrzeń zwężyła się szybko i konni, posuwając się między wysokimi sterczynami, zjeżdżali parowem w dół, co sprawiało takie wrażenie, jakby opuszczali się do brzucha ziemi.

- Podczas deszczu ten szlak byłby całkowicie zatopiony - odezwał się Carroll u jego boku - ale obecnie przeżywamy jedną z najgorszych susz w dziejach.

- Pamiętam, że pisał pan o tym w liście, także każdy, z kim rozmawiałem, wspominał o suszy.

- Z powodu skąpych zbiorów całe wioski wymierają z głodu. Gdyby tylko wojsko zrozumiało, ile moglibyśmy osiągnąć, dostarczając żywność, to nie musielibyśmy martwić się wojną.

- Twierdzą, że nie mogą tego zrobić ze względu na dakoitów, z powodu Twet Nga Lu, herszta szańskich bandytów...

- Widzę, że przeczytał pan relację - głos doktora odbijał się echem od urwisk. - Tkwi w tym trochę prawdy, chociaż postać Twet Nga Lu jest wyolbrzymiana podczas hałaśliwych rozmów w kasynach oficerskich. Po prostu potrzebny jest ktoś, komu można przypisać zagrożenie. To nie znaczy, że Twet Nga Lu nie jest niebezpieczny, bo jest. Ale sytuacja bardzo się skomplikowała, a jeśli chcemy

mieć nadzieję na pokój, potrzeba czegoś więcej niż klęski jednego człowieka... Ale filozofuję, a obiecałem panu, że nie będę tego robił. Co pan wie na ten temat?

- Niewiele. Szczerze mówiąc, wszystkie te nazwy wprawiają mnie nadal w zakłopotanie.

- Wszystkich nas to konfunduje. Nie wiem, który raport pan czytał ani kiedy został napisany, mam nadzieję, że dali panu coś, co wyszło spod mojego pióra. Chociaż formalnie zajęliśmy Górną Birmę w zeszłym roku, to stany Szan okazały się nie do opanowania, a w związku z tym stacjonowanie tutaj wojska jest prawie niemożliwe. Na skutek naszych dążeń do spacyfikowania regionu - w języku

Ministerstwa Wojny nazywa się to „pokojową penetracją”, a ja uważam ten termin za nikczemny - zostaliśmy wciągnięci w wojnę ze związkiem książąt, który sam się nazywa konfederacją Limbina. To sojusz szańskich sawbwów - sawbwa to po szańsku książę - którzy pragną zrzucić jarzmo brytyjskiego panowania. Twet Nga Lu nie należy do konfederacji, ale jest samozwańczym wodzem sprawującym władzę w dorzeczu

Saluin. Nazwijmy go dakoitą, ale ma bardzo wielu zwolenników. Być może jego imię jest tak głośnie dlatego, że działa sam. Konfederację Limbina trudniej oczernić, gdyż jest zorganizowana, a nawet wysyła poselstwa. Innymi słowy, sprawia pozory prawdziwego rządu, Twet Nga Lu zaś odmawia współpracy z kimkolwiek.

Edgar chciał zapytać o zasłyszane na rzeczonym parowcu plotki na temat Herszta Bandytów, ale w górze rozległ się trzepot. Mężczyźni podnieśli wzrok i ujrzeli wielkiego ptaka, który zerwał się do lotu z urwistych skał.

- Co to było? - spytał Drake.

- Drapieżnik. Na tak piękny okaz jak ten jeszcze nie trafiłem. Przede wszystkim musimy strzec się tutaj węży. Często wypełzają o tej porze dnia, by wygrzewać się w słońcu. W zeszłym roku miałem pony, którego ukąsiła żmija,

pozostawiając straszną ranę. Człowiek zaś może doznać wstrząsu.

- Zna się pan na ukąszeniach żmij?

- Zgromadziłem próbki jądów i badałem je. Pomagał mi w tym szaman, pustelnik, mieszkający pośród wzgórz, który, jak powiadają wieśniacy, sprzedaje trucizny zamachowcom.

- To straszne. Ja...

- Możliwe, chociaż śmierć od jadu może się okazać całkiem łagodna w porównaniu z innymi metodami, jakie się widuje... Proszę się nie obawiać, panie Drake, nie interesują go angielscy stroiciele fortepianów.

Nadal jechali w dół, gdy Carroll wskazał w głąb parowu.

- Niech pan słucha - powiedział. - Za chwilę usłyszysz pan rzekę.

Stukotowi kopyt zaczęło niebawem odpowiadać odleglejsze głębsze dudnienie.

Szlak w dalszym ciągu opadał i pony wyęczały siły, by znaleźć oparcie na kamieniach.

W końcu Carroll zatrzymał swojego wierzchowca.

- Powinniśmy zsiąść - rzekł. - To zbyt niebezpieczne dla koni.

Jednym płynnym ruchem zsunął się z siodła. Nok Lek poszedł w jego ślady, a potem to samo zrobił Edgar, ciągle myśląc o węzłach. Odgłos rzeki potężniał.

Wąwóz zwęził się gwałtownie i teraz było w nim ledwie tyle miejsca, by mogły przejść pony.

Ponad sobą Edgar ujrzał zaklinowane w wąskiej rozpadlinie gałęzie i kłody drewna, pozostałość po ostatniej powodzi. Wkrótce jar zakręcił ostro i zdawało się, że podłoże umknęło im nagle spod stóp. Carroll podał wodze swojego konia Nok Lekowi i zbliżył się ostrożnie do krawędzi.

- Niech pan podejdzie i spojrzysz, panie Drake - zawołał, przekrzykując hałas.

Edgar podszedł do doktora, z rozwagą stawiając nogi. Szlak opadał stromo ku rzece, która płynęła dobrych parę metrów pod nimi. Prąd wody wypolerował kamienie, które przybrały srebrny kolor. Stroiciel spojrzał w górę. W skalnej rozpadlinie widać było skrawek nieba, zamigotało tam słońce. Poczuł na twarzy

wodny pył, grzmot bystrzyn wprawiał w drżenie podłoże.

- W porze deszczowej to jest wodospad! - zawołał Carroll. - Woda jest dwukrotnie wyższa. Płynie z Yunnanu w Chinach i pochodzi z topniejącego śniegu.

Tam jest ich więcej. Niech pan podejdzie.

- Słucham?

- Proszę tu podejść i popatrzeć.

Edgar przeszedł niepewnie po kamieniach mokrych od wody rozpylanej przez rzekę. Lekarz stał na skraju przepaści i wpatrywał się w skałę.

- Co tam jest? - spytał.

- Proszę się dokładnie przyjrzeć - powiedział Carroll. - Na skałe. Widzi je pan? Kwiaty.

Cała ściana parowu była porośnięta ciemnym mchem, upstrzonym tysiącami drobnych kwiatów, tak małych, że Edgar wziął je za krople wody.

- A teraz niech pan przyłoży tam ucho - rzekł Carroll i ruchem ręki wskazał gładką powierzchnię skały.

- Słucham?

- Śmiało, niech pan przyłoży ucho do ściany.

Edgar spojrzał sceptycznie na doktora. Kucnął i zbliżył głowę do kamienia.

Z wnętrza skały dobiegał dziwny i niepokojący śpiew. Edgar odsunął się.

Dźwięk ucichł. Pochylił się więc ponownie. Znowu go słyszał. Brzmiał znajomo, jak tysiące rozgrzewających się sopranów.

- Skąd to się bierze? - zawołał.

- W skałe są puste przestrzenie, a wibracje pochodzą od rzeki, rezonans wysokiej częstotliwości. To jedno wyjaśnienie. Inne jest szkańskie - że to wyrocznia. Ci, którzy szukają rady, przychodzą tutaj i słuchają. Proszę tam spojrzeć.

Wskazał stos kamieni, na których ktoś położył mały wianek kwiatów.

- Kapliczka dla śpiewających duchów. Pomyślałem, że spodoba się panu tutaj.

Odpowiednia sceneria dla człowieka muzyki.

Edgar podniósł się, uśmiechnął i wytarł ponownie okulary. Kiedy rozmawiał z doktorem, Nok Lek rozpakował koszyki z faszerowanymi liśćmi bananowca, które wyłożył na suchych kamieniach z dala od przepaści. Siedzieli, jedli i słuchali szumu rzeki. Posiłek różnił się od tłustych curry, jakie Edgar jadał na nizinach. Każdy liść bananowca nadziewany był czymś innym - plasterkami suszonego mięsa kurczaka, smażoną dynią lub ostrą pastą, która mocno pachniała rybą, lecz smakowała słodko z ryżem, który także był inny - lepkie kuleczki złożone z niemal półprzezroczystych ziaren.

Kiedy skończyli posiłek, wstali i poprowadzili pony wąską ścieżką pod górę, aż szlak stał się na tyle płaski, by można było jechać. Droga wspinała się lekko; jeźdźcy wynurzyli się z chłodu parowu i wjechali w upał panujący na płaskowyżu.

W powrotnej drodze do obozu Carroll wybrał inną trasę, która wiodła przez spalony las. W przeciwieństwie do poprzedniego szlaku kraina wokół była gorąca i płaska, a roślinność sucha, ale doktor zatrzymywał się kilkakrotnie, by pokazać

Edgarowi kolejne okazy - ukryte w cieniu małe orchidee, niewinnie wyglądające dzbaneczniki, których mięsożerność Carroll objaśniał z makabrycznymi szczegółami, oraz drzewa zawierające w sobie wodę, kauczuk i substancje lecznicze.

Jadąc odludną drogą, minęli zespół starych świątyń: dziesiątki pagód ustawiono w rzędach. Budowle różniły się wielkością, wiekiem i kształtami, niektóre były świeżo odmalowane i ozdobione ornamentami, inne bezbarwne i zrujnowane.

Korpus jednej z pagód miał kształt zwiniętego węża. Wokół panowała przerażająca cisza. W górze przelatywały ptaki. Jedyńm człowiekiem, jakiego dostrzegli, był mnich, który wyglądał równie staro, jak same świątynie - skórę miał ciemną, pomarszczoną i całą pokrytą kurzem. Kiedy się zbliżali, mnich zamiatał ścieżkę, a

Edgar zauważył, że Carroll złożył dłonie i skłonił się lekko. Starzec nie odezwał się, nadal zamiatał, a trzciniowa miotła kołysała się w takt hipnotycznego rytmu jego śpiewu.

Szlak był długi i w końcu Edgar poczuł się znużony. Zastanawiał się, ile czasu doktor musiał poświęcić na wędrówki po płaskowyżu, żeby poznać każdy strumień i każde wzgórze, i pomyślał, że gdyby się rozdzielili, to sam nie trafiłby z powrotem do obozu. Przez krótką chwilę ta myśl go przeraziła. Ale zawierzyłem mu wtedy, gdy postanowiłem tutaj przyjechać, stwierdził w duchu stroiciel, nie ma więc powodu, żebym mu teraz nie ufał. Ścieżka zwęziła się i major wysforował się do przodu, a

Drake obserwował go - Carroll jechał wyprostowany, trzymając jedną rękę na wysokości pasa; rozglądał się i był czujny.

Z lasu wydostali się na szeroki grzbiet górski, a potem zjechali w dolinę, z której wyruszyli. Gdy z wyniosłości jednego ze wzgórz Edgar ujrzał Saluin, słońce właśnie zachodziło, a kiedy dotarli do Mae Lwin, było już ciemno.

13

Następnego ranka Edgar obudził się przed nadejściem dzieciarni i powędrował nad rzekę. Spodziewał się, że zastanie doktora przy śniadaniu, a może nawet zobaczy

Khin Myo, ale na brzegu było pusto. Fale Saluin chlupotały na piasku. Patrzył więc jedynie na drugą stronę rzeki w poszukiwaniu ptaków. Rozległ się trzepot skrzydeł.

Kolejny zimorodek grzebieniasty, pomyślał i uśmiechnął się do siebie;

Zaczynam się uczyć. Po czym wrócił na polanę. Nok Lek schodził ze ścieżki prowadzącej w stronę domów.

- Dzień dobry, panie Drake - powitał go chłopak.

- Dzień dobry, szukałem majora Carrolla. Mógłbyś mi z łaski swojej powiedzieć, gdzie on jest?

- Raz na tydzień doktor jest w swoim... jak to się mówi?

- Jest w pokoju przyjęć?

- Tak, pokój przyjęć. Kazał mi pana przyprowadzić.

Nok Lek powiódł stroiciela wąską ścieżką pod górę, do budynku dowództwa obozu. Przy wejściu minęła ich starsza kobieta niosąca w ramionach płaczące dziecko, zawinięte ciasno w kraciatą tkaninę. Nok Lek i Edgar podążyli za nią. Pomieszczenie było pełne ludzi, dziesiątki kobiet i mężczyzn w barwnych okryciach i turbanach kucalo lub stało, trzymając dzieci i ponad barkami innych obserwując lekarza, który siedział na przeciwległym jego końcu. Nok Lek przemawiając łagodnym głosem, torował drogę przez tłum.

Zastali doktora przy szerokim biurku, osłuchującego stetoskopem dziecko.

Carroll uniósł brwi na znak powitania, ale nie przerwał badania. Dziecko leżało bezwładnie na kolanach młodej kobiety, przypuszczalnie matki. Była bardzo młodą, piętnasto - może szesnastoletnią dziewczyną o zmęczonych, spuchniętych oczach. Jak większość kobiet, włosy zawinęła w obszerny turban, który zdawał się niepewnie trzymać na jej głowie. Była ubrana w przewiązaną powyżej piersi suknię z ręcznie tkanego materiału, ozdobionego przenikającymi się, geometrycznymi wzorami.

Chociaż w sposobie noszenia stroju kryła się pewna elegancja, to przyjrząwszy się dokładniej, Edgar zauważył, że materiał był wystrzępiony na brzegach.

Wtedy przypomniał sobie opowieści lekarza o suszy.

W końcu Carroll odłożył stetoskop. Powiedział coś krótko po szkańsku do kobiety, a potem odwrócił się i zaczął szukać czegoś w stojącej za nim szafce.

Edgar zerknął przez ramię na rzędy aptecznych fiolek.

Lekarz zauważył jego spojrzenie.

- W większości to samo, co w każdej angielskiej aptece - powiedział i wręczył kobiecie małą butelkę z ciemnym eliksirem. - Nalewka Warburga i arsen przeciwko gorączce, pigułki Cockle'a i chlorodyna, zasypka Goa na liszaj obrączkowy, wazelina, maść Hollowaya, zasypka Dovera i laudanum przeciw dyzenterii. A potem to - wskazał rząd flaszek bez nalepek, wypełnionych liśćmi,

mętnymi płynami, zmiażdżonymi robakami i pływającymi w roztworach jaszczurkami. - Medycyna ludowa.

Carroll sięgnął ponownie do szafki i wyjął większą butlę, zawierającą zioła unoszące się w dymnym płynie. Wyciągnął szklany korek i pomieszczenie wypełniła intensywna słodka woń. Zanurzył palce we flaszy i wyjął mokrą masę liści, które położył na klatce piersiowej dziecka. Płyn utworzył wokół ziół małe kałuże, po czym spłynął po bokach niemowlęcia. Carroll zaczął przesuwać palce po jego ciele, rozcierając eliksir na szyi i tułowiu. Oczy miał zamknięte, a po chwili zaczął coś cicho szeptać. W końcu podniósł powieki. Wraz z liśćmi zawinął dziecko w pieluchy i powiedział coś do dziewczyny, a ta wstała, ukloniła się w podzięcie, po czym odeszła, przeciskając się przez tłum oczekujących.

- Co to było? - spytał Edgar.

- Sądzę, że dziecko ma gruźlicę. Ta mała butelka zawiera lek Stevena na suchoty - powiedział Carroll. - Prosto z Anglii. Jakoś wątpię w jego skuteczność, ale nie mamy nic lepszego. Wie pan coś o odkryciach Kocha?

- Tylko tyle, ile wyczytałem na afiszach. Nie mógłbym panu nic więcej powiedzieć. Znam lek Stevena jedynie dlatego, że kupowaliśmy go dla naszej służącej

- jej matka ma gruźlicę.

- Cóż, Niemiec uważa, że suchoty wywołuje bakteria, którą nazywa tubercle bacillus. Ale to było pięć lat temu. Chociaż staram się dokładnie śledzić postępy, to trudno mi powiedzieć, jak zmienia się nauka, gdyż jestem zbyt odizolowany...

- A roślina?

- Nazywają ją mahaw tsi. To słynny lek Kaczinów, ich szamani strzegą go przed cudzoziemcami. Dużo czasu zabrało przekonanie ich, żeby mi ją pokazali.

Jestem niemal przekonany, że to gatunek *Euonymus*, chociaż nie mogę mieć pewności.

Używają jej przeciwko wielu dolegliwościom, a niektórzy twierdzą nawet, że samo wypowiedzenie słów mahau tsi może uzdrowić człowieka. Powiadają, że roślina jest szczególnie skuteczna przy chorobach przenoszonych przez powietrze, a to dziecko kaszle. W każdym razie mieszam ją wraz z maścią Hollowaya. Przez długi czas wątpiłem w zioła, ale mam wrażenie, że zauważam pewną poprawę u pacjentów, którzy je stosują. To oraz modlitwa.

Edgar spojrzął na lekarza.

- Do kogo? - zapytał w końcu. Ale wszedł kolejny pacjent i doktor nie odpowiedział.

Był to młody chłopak, który trzymał lewą rękę blisko ciała. Carroll wskazał Edgarowi krzesło za sobą, prosząc, by usiadł. Następnie sięgnął po rękę chłopca, ale ten zasłonił ją. Stojąca za nim matka odezwała się ostro. W końcu Carroll delikatnie rozprostował ramiona pacjenta.

Trzy palce jego lewej dłoni były niemal całkowicie oderwane, trzymały się na poszarpanych ścięgnach i pokrywała je zakrzepła krew. Carroll dotknął ostrożnie rany, a chłopak skrzywił się z bólu.

- Jest źle - po szańsku powiedział do kobiety.

Jej syn rozplakał się. Carroll odwrócił się i szepnął coś do Nok Leka, który wyjął z szafki pakunek i rozwinął go na biurku. Znajdowało się tam płótno, bandaż i kilka ostrych narzędzi chirurgicznych. Chłopak zaczął krzyczeć.

Edgar rozejrzał się niespokojnie po pokoju przyjęć. Pozostali pacjenci z obojętnością na twarzach obserwowali w milczeniu całą scenę.

Carroll wyjął kolejną butelkę z szafki. Ujął dłoń chłopca i rozpostarł ją na leżącym na blacie płótnie. Polał ranę płynem. Chłopak podskoczył i wrzasnął. Carroll wylał jeszcze trochę płynu i energicznie wytarł płótnem poharataną dłoń. Wyjął z szafki mniejszą fiolkę i gęstą cieczą nasączył bandaż, którym potarł okolice rany.

Niemal natychmiast chłopiec zaczął się uspokajać.

Doktor odwrócił się do stroiciela:

- Panie Drake, będę potrzebował pańskiej pomocy. Środek powinien nieco uśmierzyć ból, ale mały zacznie znowu krzyczeć, kiedy zobaczy piłę. Zwykle pomaga mi pielęgniarka, ale teraz zajmuje się innymi pacjentami. Oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby mi pomóc. Sądzę, że przyjrzenie się pracy w mojej przychodni może pana zainteresować, zwłaszcza gdy zobaczy pan, jak ważne to jest dla naszych kontaktów z tubylcami.

- Kontaktów z tubylcami? - zapytał nieśmiało Edgar. - Zamierza pan amputować?

- Nie mam wyboru. Widziałem już, jak takie rany wywoływały gangrenę całej ręki. Zamierzam odjąć tylko poharatane palce. Skaleczenie na dłoni nie wygląda na głębokie. Chciałbym mieć tu eter, ale skończył się w zeszłym tygodniu, a nie przysłali mi więcej. Moglibyśmy dać mu opium do palenia, ale zabieg i tak sprawiłby mu ból.

Wolę raczej załatwić to najszybciej, jak się tylko da.

- Co mogę zrobić?

- Po prostu niech pan trzyma go za ramię. Jest mały, ale zdziwi się pan, jak gwałtownie będzie próbował się wyrwać.

Carroll wstał, a za jego plecami podniósł się także Edgar. Doktor ujął delikatnie dłoń chłopca i położył na blacie stołu. Zawiązał krępulec powyżej łokcia pacjenta, a potem skinął na Edgara, by ten przytrzymał ramię. Stroiciel uczynił to, ale swoje działania odczuł jako brutalne i okrutne. Wtedy Carroll odwrócił się do Nok Leka i kiwnął głową, a Nok Lek wykręcił chłopcu ucho. Mały pisnął, wolną rękę wyrzucił w górę, w stronę ucha, i zanim Edgar zdążył się odwrócić i spojrzeć na blat, doktor odciął pacjentowi - jeden po drugim - trzy palce.

Zdumiony chłopak spojrzał na mężczyznę, po czym krzyknął ponownie, ale Carroll zawijał już jego krwawiącą dłoń w płótno.

Poranek włókł się, a pacjenci, jeden za drugim, paradowali w stronę krzesła pod oknem: utykający mężczyzna w średnim wieku, kobieta w ciąży oraz taka, która nie mogła począć, dziecko, u którego Carroll rozpoznał głuchotę. Troje ludzi

miało wole, dwoje biegunkę, a pięcioro gorączkę przypisywaną przez Carrola malarii.

Każdemu z gorączkujących pacjentów lekarz pobrał kroplę krwi, umieścił ją na szkiełku i obejrzał przez mały mikroskop.

- Czego pan szuka? - spytał Edgar, nadal poruszony z powodu amputacji, której był świadkiem.

Carroll pozwolił mu spojrzeć przez mikroskop.

- Widzi pan te kółka? - zapytał.

- Tak, są wszędzie.

- To czerwone ciała krwi. Każdy je ma. Ale jeśli przyjrzy się pan dokładnie, to zobaczy pan, że w każdej krwince znajduje się ciemniejsza plamka, jakby skaza.

- Nic nie widzę - stwierdził Edgar i zniechęcony wyprostował się na krześle.

- Proszę się nie martwić, z początku trudno je dostrzec. Jeszcze mniej więcej siedem lat temu nikt nie wiedział, czym są, póki pewien Francuz nie odkrył, że to pasożyty wywołujące malarię. Bardzo mnie to zainteresowało, gdyż większość

Europejczyków uważa, iż chorobę powoduje oddychanie złym powietrzem z bagien, i dlatego Włosi nazwali przypadłość mala aria, „złe powietrze”. Ale kiedy byłem w

Indiach, miałem przyjaciela, hinduskiego lekarza, który przetłumaczył dla mnie część

Wed, a te nazywają malarię „królową chorób” i przypisują ją gniewowi boga Siwy. Co się tyczy przenoszenia, Wedy wskazują pospolitego komara, ale nikt dotąd nie znalazł tego pasożyta u owadów, więc nie możemy być pewni. A ponieważ komary żyją na mokradłach, trudno rozdzielić te dwie kwestie.

Rzeczywiście trudno wyodrębnić w dżungli któreś ze źródeł choroby.

Birmańczycy, na przykład, nazywają malarię hngget pyhar, co znaczy „ptasia gorączka”.

- A co pan o tym sądzi?

- Od dawna łapię komary, kroję je, rozgniatam i oglądam pod mikroskopem, ale jeszcze niczego nie znalazłem.

Każdemu z malaryków Carroll dał chininę i wyciąg z rośliny, o której powiedział, że pochodzi z Chin, a także miejscowy korzeń dla złagodzenia wysokiej gorączki. Na biegunkę zalecał laudanum lub mielone ziarna papai, a tym z wolami wręczył tabletki soli. Utykającego mężczyznę pouczył, jak zrobić kule. Kobiecie w ciąży wtarł maść w spuchnięty brzuch. Dla głuchego dziecka nie mógł nic zrobić, i powiedział Edgarowi, że taka przypadłość zasmuca go bardziej niż inne choroby, gdyż

Szanowie nie mają języka migowego, a nawet gdyby mieli, to chłopiec nie usłyszy nigdy pieśni nocnych uroczystości. Wówczas Edgar przypomniał sobie innego małego chłopca, głuchego syna jednego z klientów. Malec - gdy jego matka grała - przyciskał twarz do skrzyni fortepianu, by poczuć drgania. Edgar pomyślał także o parowcu płynącym do Adenu i o Człowieku z Jedną Opowieścią; Prawdopodobnie pewnych przyczyn głuchoty nawet medycyna nie potrafi wyjaśnić.

Co się tyczy kobiety, która nie mogła zająć w ciążę, to Carroll odwrócił się do Nok Leka i długo z nim rozmawiał. Gdy Edgar zapytał, co jej zalecił, Carroll odparł:

- To kłopotliwa sprawa. Kobieta jest bezpłodna; chodzi po wsi i mruczy do wymyślnego dziecka. Nie umiem jej wyleczyć. Powiedziałem Nok Lekowi, żeby zabrał ją do mieszkającego na północy mnicha, który specjalizuje się w takich kuracjach. Może on temu zaradzi.

Tuż przed południem Carroll przyjął ostatniego pacjenta, chudego mężczyznę, którego podprowadziła o połowę młodsza od niego kobieta. Po krótkiej rozmowie z opiekunką Carroll odwrócił się do oczekujących i ogłosił coś po szańsku. Powoli podnieśli się i pojedynczo opuścili pokój przyjęć.

- To musi trochę potrwać - wyjaśnił. - Wstyd, że nie mogę zbadać ich wszystkich. Ale jest tak wielu chorych.

Edgar przyjrzał się pacjentowi uważniej. Miał on na sobie wygryzioną przez mole koszulę i podarte spodnie. Był bosy, a palce jego stóp pokrywały zgrubienia i narośla. Nie nosił turbanu. Głowę miał ogoloną, twarz i oczy zapadnięte. Gdy patrzył na Edgara, wykonywał powolne, jednostajne ruchy szczęką, jakby żuł język lub wewnętrzną stronę policzków. Ręce mu drżały, wolno i miarowo.

Carroll długo rozmawiał z kobietą, a potem zwrócił się do Edgara.

- Ona mówi, że jest opętany - rzekł. - Pochodzą z gór, prawie tydzień drogi stąd, z wioski w pobliżu Kengtungu.

- Dlaczego przyszli tutaj? - spytał stroiciel.

- Szanowie uważają, że istnieje dziewięćdziesiąt sześć chorób. To nie jest żadna z nich. Ta kobieta odwiedziła wszystkich szamanów wokół Kengtungu, ale oni nie mogą nic poradzić. Teraz wieść o chorobie mężczyzny rozprzestrzenia się i uzdrowiciele boją się go leczyć, gdyż uważają, że duch jest zbyt silny. Więc przyszła do mnie.

- Z pewnością nie wierzy pan w to, że on jest opętany...

- Nie wiem, widziałem tutaj rzeczy, w które nigdy wcześniej bym nie uwierzył - Carroll przerwał na chwilę. - Na niektórych terenach stanów Szan podobnym do niego ludziom oddaje się cześć jako duchowym medium. Uczestniczyłem w uroczystościach, na które przybywały setki wieśniaków, żeby obejrzyć podrygi nawiedzonych. W Anglii nazwalibyśmy te spazmatyczne ruchy tańcem świętego Wita, gdyż jest patronem chorób histerycznych i nerwowych. Ale nie wiem, jak nazwać ten taniec, gdyż święty

Wit nie może słyszeć modlitw z Mae Lwin. I nie wiem, jakie duchy powodują to opętanie.

Carroll odwrócił się do pacjenta i tym razem przemówił bezpośrednio do niego, ale tamten odpowiadał pustym spojrzeniem. Obaj trwali tak dłuższy czas, aż w końcu lekarz podniósł się, wziął mężczyznę pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Nie dał mu żadnego lekarstwa.

Święty Wit, pomyślał Edgar, dziadek Bacha miał na imię Wit; To dziwne, jak wszystko się łączy, choćby tylko za sprawą imienia.

Kiedy starzec, powłócząc nogami, odszedł powoli ze swoją żoną, Carroll zaprowadził Edgara do kolejnego budynku, oddzielonego od pomieszczeń dowództwa.

Wewnątrz kilku chorych leżało na polowych łóżkach.

- To nasz mały szpital - wyjaśnił. - Nie lubię trzymać tutaj pacjentów, gdyż sądzę, że szybciej zdrowieją w domu, uważam jednak, że powinienem obserwować niektóre cięższe przypadki, zwykle biegunki lub malarii.

Wyszkoliłem pannę Ma na pielęgniarkę. - Mówiąc to, wskazał młodą kobietę, która obmywała wilgotną szmatką jednego z pacjentów. - Opiekuje się chorymi, gdy mnie nie ma.

Edgar skinął jej głową, a Khin Myo skłoniła się lekko. Mijali leżących, a Carroll wyjaśniał:

- Ten młody człowiek na ostrą biegunkę, i obawiam się, że to cholera. Parę lat temu mieliśmy straszną epidemię, zmarło dziesięciu wieśniaków. Na szczęście nikt więcej nie zachorował, a ja trzymam go tutaj, żeby nie zaraził innych...

Następny przypadek jest okropnie smutny i, niestety, niezwykle pospolity.

Malaria mózgowa.

Niewiele mogę zrobić dla tego chłopaka. Niebawem umrze. Zostawiłem go w szpitalu, bo chcę dać nadzieję jego rodzinie... Ta dziewczynka ma wścieklicznę. Została pogryziona przez psa, co obecnie wielu uznaje za sposób przenoszenia choroby, chociaż, znowu to powiem, jestem zbyt daleko od europejskich ośrodków naukowych, by znać aktualne poglądy.

Przystanęli przy łóżku dziewczynki; leżała skręcona, w stanie porażenia mięśni, w otwartych oczach zastygł wyraz lęku. Edgarem wstrząsnął widok związanych na plecach rąk pacjentki.

- Dlaczego ją skrępowano? - zapytał.

- Choroba czyni z człowieka szaleńca. To właśnie oznacza jej nazwa, rabere to

po łacinie wściekłość. Dwa dni temu dziewczynka próbowała zaatakować pannę Ma, więc musieliśmy małą związać.

Na końcu podeszli do starej kobiety.

- A jej co dolega? - zapytał Edgar słabym głosem, odczuwając coraz większe przygnębienie tą litanią chorób.

- Tej? - spytał doktor i powiedział coś po szańsku do staruszki, a ona usiadła prosto. - Nic jej nie jest. To babcia jednego z pacjentów, który w tej chwili siedzi tam, w rogu. W czasie odwiedzin wnuk pozwala jej odpoczywać na łóżku, gdyż kobieta mówi, że posłanie jest bardzo wygodne.

- On go nie potrzebuje?

- Owszem, chociaż w przeciwieństwie do innych pacjentów nie grozi mu bezpośrednio niebezpieczeństwo.

- Co mu jest?

- Prawdopodobnie cukrzyca. Mam wielu pacjentów, którzy przychodzą do mnie, gdy z przerażeniem zauważają, iż owady spożywają ich urynę, a to z powodu zawartego w niej cukru. Niektórym Szanom zdaje się to szczególnie psuć nastrój, mówią, że to tak, jakby robactwo żerowało na ich ciałach. Kolejna stara diagnoza, znana już starożytnym braminom. Ten chłopak nie musi przebywać w szpitalu, ale pobyt tutaj sprawia, że czuje się lepiej, a poza tym jego babcia ma gdzie odpocząć.

Carroll rozmawiał przez chwilę z młodym mężczyzną, a potem z panną Ma. W końcu ruchem ręki wskazał Edgarowi, by wyszedł z nim na zewnątrz. Stanęli w słońcu. Było wczesne popołudnie.

- Sądzę, że wystarczy na dzisiaj. Mam nadzieję, że to było pouczające doświadczenie, panie Drake.

- Owszem, chociaż muszę przyznać, iż z początku czułem się nieco zaskoczony. To nie przypomina angielskiego gabinetu przyjęć. Nie zapewnia szczególnej prywatności.

- Nie mam wielkiego wyboru. Chociaż to dobrze, że wszyscy widzą, iż Anglik

może zrobić coś więcej, niż tylko patrzeć spoza wycelowanego karabinu. -

Carroll zawahał się. - Pytał mnie pan wczoraj o moje poglądy polityczne, prawda? Oto opinia

- roześmiał się.

- Rzeczywiście - wolno powiedział Edgar. - Pomimo tych opowieści jestem w dalszym ciągu zdumiony...

- Czym, jeśli wolno spytać?

Stroiciel patrzył, jak pacjenci powoli opuszczają szpital.

- Tym, czego pan dokonał. Że sprowadził pan tutaj muzykę, medycynę. Trudno uwierzyć, że nie brał pan nigdy udziału w walce.

Anthony Carroll patrzył na stroiciela.

- Wierzy pan w to? Jest pan bardzo naiwnym człowiekiem, mój drogi.

- Możliwe, ale żołnierze na parowcu mówili, że nie oddał pan ani jednego strzału.

- Zatem powinien pan się cieszyć, że widział mnie pan w pokoju przyjęć, a nie podczas przesłuchiwania więźniów.

Po plecach Edgara przebiegł dreszcz.

- Więźniów? - spytał. Doktor zniżył głos:

- Dakoici znani są z tego, że wrywają ofiarom języki. Nie jestem wiele lepszy... Ale to nie powinno pana dręczyć. Jak pan mówi, znalazł się pan tutaj z powodu muzyki.

Edgarowi zrobiło się słabo.

- Ja... Ja nie sądziłem...

Patrzyli na siebie.

Nagle twarz Carrolla rozjaśnił uśmiech, a oczy rozbłyły.

- Żartowałem, panie Drake, żartowałem. Ostrzegałem pana przed rozmowami o polityce. Nie może pan być taki poważny. Bez obaw, każdy odchodzi z nietkniętym językiem. - Poklepał stroiciela po ramieniu. - Szukał mnie pan dziś rano - przypomniał. - Jak sądzę, w sprawie érarda.

- Istotnie - odparł Edgar słabym głosem. - Ale jeśli to nie jest odpowiedni moment, zrozumieć. To był niezły poranek...

- Nonsens, to doskonała pora. Czym bowiem jest strojenie, jak nie inną formą leczenia? Nie traćmy ani chwili. Wiem, że pan czeka.

14

Słońce wzniosło się wysoko ponad górę i pomimo chłodnych powiewów wiatru, które płynęły od rzeki, było gorąco. Nadal nieco niespokojny, Edgar wrócił do swojego pokoju po narzędzia, po czym doktor poprowadził go dróżką ku ścieżce biegnącej między budynkami a zboczem. Edgar był zaskoczony tym, że dowcip Carrolla wziął tak poważnie, ale myśl, że ujrzy w końcu érarda, podnosiła go na duchu. Od przybycia zastanawiał się, gdzie stoi fortepian, i podczas przechadzek po obozie zaglądał do wnętrza budynków. Stanęli przed drzwiami wyposażonymi w ciężki, metalowy rygiel.

Carroll wyjął z kieszeni mały klucz i wsunął go do zamka.

Pomieszczenie było ciemne, więc doktor ruszył w głąb pokoju i otworzył okna. Rozciągający się za nimi widok obejmował obóz i Saluin, która toczyła ciemne, brązowe wody. Fortepian okrywał tego samego rodzaju materiał, z jakiego szycy suknie wielu kobiet; tkaninę ozdabiał wzór w postaci cienkich kolorowych linii. Zamaszystym ruchem Carroll ściągnął okrycie.

- Oto on, panie Drake.

Słoneczny blask zza okna oświetlał połowę instrumentu; na tle surowego wystroju pomieszczenia gładka powierzchnia skrzyni érarda jakby płynęła. Edgar podszedł do fortepianu i położył na nim dłoń. Przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, a potem potrząsnął głową.

- Niewiarygodne - powiedział. - Doprawdy... to jest tak... - Wziął głęboki oddech. - Sądzę, że po części nadal w to nie wierzę. Wiem o tym od ponad dwóch miesięcy, ale jestem chyba tak zaskoczony, jakbym dopiero co wszedł tutaj prosto z dżungli i ujrzał instrument... Przepraszam, nie sądziłem, że to tak bardzo mnie wzruszy. Jest... piękny...

Edgar stał przy klawiaturze. Czasami tak pochłaniała go techniczna strona konstrukcji fortepianów, że zapominał, jak piękne mogą być te instrumenty. Wiele érardów zbudowanych w tym samym okresie było bogato zdobionych intarsjami, często miały rzeźbione nogi, a nawet pokrywę klawiatury. Ten był skromniejszy.

Ciemnobrązowy, mahoniowy fornir sięgał do zaokrąglonych nóg, podobnych do kobiecych i tak wymodelowanych, że wydawały się niemal zmysłowe; teraz Edgar rozumiał, skąd brali się w Anglii tacy, którzy upierali się, by zasłaniać nogi instrumentu. Pokrywę klawiatury ozdabiał wąski, elegancki pas macicy perłowej, rozwijający się z każdego końca na kształt bukietu kwiatów. Skrzynia była gładka, jednobarwna, a tekstura ujawniała się jedynie w łączeniach fragmentów forniru.

- Podziwiam pański gust, doktorze - odezwał się w końcu stroiciel. - W jaki sposób wybrał pan ten egzemplarz? Czy w ogóle érarda, jeśli już o to chodzi.

- Lub w ogóle fortepian, powinien pan zapytać.

Edgar zachichotał.

- Rzeczywiście. Czasami wydaje mi się, że jestem nazbyt prostoliniorny.

Fortepian zdaje się tak pasować...

- No cóż, to kwestia sentymentu. Pan i ja myślimy w podobny sposób...

Fortepian wybrałem z wielu powodów: jest piękny, imponujący i zasługuje na podziw.

Gdy zapraszam miejscowych wodzów, żeby posłuchali gry na nim, staje się to przedmiotem powszechnej dyskusji. Fortepian przydaje szacunku. I jest najbardziej uniwersalny ze wszystkich instrumentów, co, jak sędzę, każdego ucieszy.

- A jeśli chodzi o érarda?

- Moja prośba nie była tak precyzyjnie sformułowana. Poprosiłem o starszy model. Może nawet wspomniałem o roku tysiąc osiemset czterdziestym, gdyż usłyszałem kiedyś, że na takim fortepianie grał swego czasu Liszt. Ale to

Ministerstwo

Wojny wybrało instrument lub, być może, miałem po prostu szczęście, i tylko ten egzemplarz był na sprzedaż. Zgadzam się, że jest piękny. Miałem nadzieję, że pan powie mi coś więcej na temat szczegółów technicznych.

- Oczywiście... tylko od czego by tu zacząć? Nie chcę pana zanudzić.

- Doceniam pańską skromność, panie Drake, ale mam pewność, że tak się nie stanie.

- Zatem niech będzie... ale proszę przerwać, gdyby tak było. - Mówiąc to, Edgar przeciągnął dłonią po skrzyni. - Fortepian z tysiąc osiemset czterdziestego roku, doktorze, zbudowany przez Sébastiena Érarda w paryskiej pracowni, co czyni instrument wyjątkowym, gdyż większość érardów, jakie można spotkać w Londynie, pochodzi z londyńskiego warsztatu. Fornir mahoniowy. Repetycyjny mechanizm wymyku, to znaczy, grupa dźwigni, które podnoszą młotek ku strunom. Układ zaprojektowano w ten sposób, że po tym, gdy młotek uderzy w strunę, może odpaść od niej, „wymykając się”. To innowacja wprowadzona przez samego Érarda, teraz standardowe rozwiązanie w fortepianach. W érardach ten mechanizm jest bardzo wiotki, skutkiem czego młotki często rozregulowują się. Ich główki pokrywa na przemian skóra i filc, przez co młotki érardów intonuje się trudniej niż te z innych fortepianów, w których są obłożone tylko filcem. Bez sprawdzania brzmienia instrumentu założę się, że barwa jego dźwięku pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Nawet nie chcę sobie wyobrazać, co wilgoć uczyniła z filcowym pokryciem młotków.

Hmmm... Cóż jeszcze mogę panu powiedzieć, doktorze? Dwa pedały, przedłużania dźwięku i una corda. Tłumiki przesuną się do drugiego klawisza „b” poza środkową oktawę, to dosyć typowe. Tłumiki érarda umieszczone są pod strunami i podtrzymywane przez sprężyny, co jest niezwykle, gdyż w większości fortepianów tłumiki leżą na strunach. Będę wiedział na pewno, kiedy zajrzę do wnętrza, ale instrument powinien mieć żeliwne napinacze między

blokiem kołeczków a krawędzią, do tysiąc osiemset czterdziestego roku standardowe rozwiązanie, służące utrzymaniu stałego napięcia silniejszych strun stalowych, używanych ze względu na ich mocniejszy dźwięk. - Dotknął dłonią wzoru nad klawiaturą. - Proszę spojrzeć na pokrywę klawiatury, to macica perłowa. - Edgar podniósł wzrok i ujrzał na twarzy Carrola wyraz oszołomienia, więc roześmiał się. - Proszę mi wybaczyć, poniosło mnie...

- Cieszę się, że jest pan taki zadowolony. Muszę przyznać, iż naprawdę niepokoiłem się, że może pan być zły.

- Zły? Dobry Boże, dlaczego miałbym być zły?

- Nie wiem. Po części uważałem, że stan fortepianu to moja wina, sądziłem, że sprowadzając go tutaj, naraziłem na szwank, a to może wywołać gniew miłośnika instrumentów muzycznych. Nie wiem, czy pan pamięta, ale prosiłem, by w

Ministerstwie Wojny wręczono panu kopertę i poinstruowano, żeby pan nie otwierał listu - doktor zawahał się. - Teraz może pan go przeczytać. To nic ważnego, tylko opis tego, jak przetransportowałem fortepian do Mae Lwin, ale nie chciałem, żeby zapoznał się pan z tą relacją, dopóki pan nie przekona się, że égard jest bezpieczny.

- To o tym traktuje ten list? Byłem bardzo ciekaw jego treści. Myślałem, że to raczej coś na temat niebezpieczeństw, z jakimi można się tutaj spotkać, coś o zagrożeniach, o których nie chciał pan, żeby przeczytała moja żona... ale opis transportu égarda? Możliwe, że ma pan rację, może powinienem być zły. Ale jestem stroicielem i jedyne, co kocham bardziej niż fortepiany, to ich naprawianie. A poza tym instrument jest tutaj, i ja też tu jestem... - Edgar urwał i spojrzął za okno. - No cóż, nie przychodzi mi na myśl żadne bardziej ekscytujące i warte jego muzyki miejsce. Poza tym struny mogą wytrzymać nieprawdopodobnie złe traktowanie, chociaż być może nie to, co ten instrument przeszedł, a z pewnością nie da się już tego samego powiedzieć o dekoracji z

macicy perłowej. To, czym bym się martwił, to działanie słońca i wilgoci, które mogą rozstroić instrument w kilka dni - stroiciel zawiesił głos. - Teraz mam tylko jedno pytanie, doktorze. Nigdy nie rozmawiałem o tym z panem ani nie znalazłem na ten temat żadnej wzmianki w pańskich listach, więc nawet nie wiem, czy pan w ogóle grał na fortepianie ani co pan dzięki niemu... osiągnął? Doktor położył rękę na érardzie.

- Ach, panie Drake. Nie rozmawialiśmy o tym, gdyż nie mam panu wiele do powiedzenia. Wkrótce po sprowadzeniu instrumentu odbyła się tutaj uroczystość.

Powód znakomity zarówno ze względu na smutek jak i radość, przeczyta pan o tym w moim liście, wieśniacy nalegali, a ja czułem się zobowiązany. Zmusili mnie, bym grał wiele godzin. Oczywiście dopiero wtedy przekonałem się, jak bardzo fortepian jest rozstrojony. Jeśli Szanowie także mieli takie wrażenie, to milczeli uprzejmie, chociaż sądzę, że sam instrument jest już dla nich wystarczająco dziwny; strojenie to najmniejsza z ich trosk. Ale z fortepianem wiąże wielkie nadzieje. Powinien pan widzieć twarze dzieci, które przyszły go zobaczyć.

- Nie grał pan potem.

- Raz czy dwa, ale dźwięk był tak niski...

- Prawdopodobnie wysoki, jeżeli to był pierwszy koncert w wilgotnym środowisku. Teraz, ze względu na porę suchą, brzmienie jest niskie.

- Zatem straszliwie wysoki. To było prawie nie do zniesienia. Przestałem grać.

- Jednak uważał pan, że potrafiłby pan go nastroić... - powiedział Edgar na wpół do siebie.

- Słucham, panie Drake?

- No cóż, ktoś, kto zna się na fortepianach na tyle, żeby wybrać érarda z tysiąc osiemset czterdziestego roku, powinien wiedzieć, że instrument się rozstroi, szczególnie w dżungli, i że będzie wymagał interwencji zawodowego stroiciela. Jednak mimo to sądził pan, że jest w stanie sam dokonać regulacji.

Doktor milczał chwilę, a potem powiedział:

- Tak powiedziałem wojsku, ale powody są inne. Nie posiadałem się z radości, że spełnili moją prośbę, i obawiałem się domagać czegoś więcej. Czasami moje umiejętności nie dorównują zapałowi. Widziałem, jak stroi się fortepian, i pomyślałem, że najpierw spróbuję sam. Sądziłem, że dla chirurga okaże się to łatwe.

- Wybaczę panu te słowa - powiedział Edgar beztrąsko. - Ale jeśli pan chce, to mogę pana nauczyć pewnych rzeczy związanych ze strojeniem.

Carroll skinął głową.

- Oczywiście, ale nie mam zbyt wiele czasu. Powinienem pana zostawić samego. Czeka na mnie praca. Poza tym długo trwało, zanim przyzwyczaiłem się do obecności obserwatorów w pokoju przyjęć. Wyobrażam sobie, że kiedy przychodzi do zajmowania się dźwiękiem, jeszcze trudniej to znieść.

- To, doktorze, są moje narzędzia - Edgar otworzył torbę i rozłożył przybory na ławce. - Przywiozłem podstawowy zestaw. To jest klucz strojeniowy, te śrubokręty o wąskich końcówkach są do ogólnego użytku, ten specjalny cienki śrubokręt i regulator śrub wymyku służy do regulacji mechanizmu. Zobaczmy... Co jeszcze? Kleszcze do luzowania klawiszy i klucz klawiaturowy, cęgi do krępowania drutu, sprężyna regulująca kąt uchYLENIA młotków, szczypce płaskie, specjalny śrubokręt kątowy stosowany przy strojeniu éRARDÓW; bez niego niemożliwe jest ustalenie poziomego położenia młotków. Nie zabrałem kamertonu, ale mam słuch absolutny, więc go nie potrzebuję. A dalej: oblekane skórą kliny do strojenia i zwoje metalowych strun rozmaitych grubości. Są także i inne narzędzia, te tutaj służą wyłącznie do intonowania: metalowa packa, klej i zapasowe igły intonierek do rozpulchniania filcu, gdyż często się gną.

- Intonowanie? Ciągłe używa pan tego słowa.

- Przepraszam, intonowanie oznacza takie obrobienie filcu młotków, żeby uderzone przez nie struny wydawały przyjemny dźwięk. Prawdopodobnie wysunąłem się przed szereg. Powiedział pan, że przyglądał się pan strojeniu

fortepianu?

- Przyglądałem się? Raz czy dwa, ale krótko. I nikt mi tego nigdy nie objaśniał.

- No cóż, założę się, że szybko pan to pojmie. Strojenie obejmuje trzy podstawowe czynności. Zazwyczaj stroiciele zaczynają od regulacji, która oznacza takie ustawienie mechanizmu, aby młotki znalazły się na jednej wysokości, uderzały w struny energicznie i cofały się lekko, dzięki czemu dźwięk może zostać powtórzony.

Zwykle jest to pierwszy krok. Jednakże ja lubię zaczynać od zgrubnego strojenia.

Fortepian trzeba zwykle stroić kilka razy, gdyż naciągnięcie jednej struny zmienia parametry płyty rezonansowej, a to wpływa na napięcie pozostałych strun. Są sposoby na uniknięcie tego, na przykład przez mocne naciągnięcie strun, ale, moim zdaniem, i tak nie da się przewidzieć zmian. Poza tym struny mają skłonność do wydłużania się, więc przed podjęciem drugiej próby fortepian lepiej zostawić w spokoju przez noc.

Zatem stroję z grubsza, reguluję, a potem stroję ponownie, to moja technika, inni postępują różnie. Następnie przychodzi pora na intonowanie, czyli obróbkę filcu młotków. Specjaliści od énardów są zwykle w tym dobrzy, jeśli mogą być nieskromny; połączenie skóry i filcu sprawia, że młotki trudniej jest intonować. Są także inne drobniejsze zajęcia. Muszę się na przykład zastanowić, czy można w jakiś sposób zaimpregnować płytę rezonansową. Oczywiście wszystko zależy od tego, co jest uszkodzone.

- A czy ma pan jakieś wyobrażenie, co trzeba będzie naprawić? Czy też pan nie wie, dopóki pan nie zagra?

- Prawdopodobnie mogę to ocenić już teraz. Sądzę, że nie różni się to wiele od zapytania pacjenta o przebyte choroby przed zbadaniem go. Powiem to panu, a potem pozwolę odejść.

Edgar odwrócił się do fortepianu i przyjrzał mu się dokładnie.

- Przede wszystkim będzie problem z płytą rezonansową, z wnętrzem. To

pewne. Nie wiem jeszcze, czy popękła. Dobrze, że instrument jest w Birmie dopiero od roku, gdyż zniósł tylko jeden cykl zmian wilgotności. Na szczęście tak długo, jak pęknięcia są drobne, można je łatwo naprawić lub nawet zignorować; często to tylko sprawa kosmetyki. Większe szczeliny będą poważniejszym problemem.

Postukał palcami w skrzynię.

- Oczywiście fortepian będzie rozstrojony. To rozumie się samo przez się. Pora sucha zaznaczy się zsychnaniem płyty rezonansowej, poluzowaniem strun i obniżeniem wysokości dźwięku. Jeśli to ostatnie okaże się poważne, mogę być zmuszony podnieść wysokość dźwięku o całe pół tonu i pozostawić fortepian na co najmniej kolejne dwadzieścia cztery godziny przed dalszym precyzyjniejszym strojeniem. Oczywiście pozostaje problem, co zrobić na wypadek, kiedy przyjdzie deszcz, płyta napęcznieje, a zwiększone napięcie strun może doprowadzić do okropnych uszkodzeń. Należało to przewidzieć, ale nie wydaje się, by wojskowi wzięli to pod uwagę. Będę musiał o tym pomyśleć; być może trzeba będzie nauczyć strojenia kogoś z miejscowych. - Edgar umilkł nagle. - Mój Boże, zapomniałem. W notatce, którą przysłał mi pan do Mandalaju, napisał pan, że fortepian przestrelono. Nie mogę uwierzyć, że nie pomyślałem o tym wcześniej. To wszystko zmienia. Mógłbym zobaczyć uszkodzenie?

Doktor podszedł z boku do instrumentu i podniósł wieko. Rozszedł się ostry nieznanym zapach. Był intensywny i przypominał aromat curry.

- Proszę wybaczyć tę woń, panie Drake. Kurkuma. Jeden z Szanów podsunął myśl, żebym włożył ją do fortepianu jako środek przeciw termitom.

Prawdopodobnie nie robicie tego w Londynie - roześmiał się. - Ale zdaje się, że to działa.

Wieko otwierało się ku oknu, więc wewnątrz instrumentu było ciemno i Edgar dostrzegł natychmiast otwór po pocisku - owalną szczelinę w płycie rezonansowej, przez którą widać było podłogę. List Carrolla mówił prawdę;

kula rozerwała wszystkie trzy struny klawisza „a” małej oktawy - zwinięte przy zaczepach i kołkach strojenia druty zwisały luźno jak pasma nieuczesanych włosów. Strzał w brzuch, pomyślał stroiciel i zastanowił się przez chwilę, czy opowiedzieć doktorowi historię wielkiego terroru. Zrezygnował jednak z tego i zajrzał do instrumentu. Na wewnętrznej stronie wieka fortepianu, na trajektorii pocisku, widniała szczerba, ale nie było otworu wylotowego; prawdopodobnie kula nie miała dosyć energii, by przebić pokrywę.

- Wyjął pan pocisk? - zapytał Carrolla i, by odpowiedzieć samemu sobie, uderzył w klawisz.

Płyta rezonansowa odpowiedziała brzęczeniem. Wielu klientów w Londynie wzywało go z powodu „straszliwego hałasu”, którego źródłem okazywała się upuszczona przypadkowo do wnętrza fortepianu moneta lub śruba; taki przedmiot brzęczał na płycie rezonansowej, gdy ta wibrowała. Stroiciel zajrzał do instrumentu, znalazł kulę i wyjął ją.

- Pamiątka - powiedział. - Mogę ją zatrzymać?

- Oczywiście - odparł doktor. - Czy uszkodzenie jest poważne?

Edgar wrzucił pocisk do kieszeni i zajrzał ponownie do wnętrza fortepianu.

- W rzeczywistości nie jest tak źle. Będę musiał wymienić struny i trzeba jeszcze raz przyjrzeć się płycie rezonansowej, ale myślę, że okaże się w porządku.

- To może by pan zaczął. Nie chcę pana wstrzymywać ani chwili dłużej.

- Pewnie powinienem. Mam nadzieję, że nie zanudziłem pana.

- Nie, ani trochę, panie Drake. To było przyjemne i wielce pouczające. Widzę, że dobrze wybrałem pomocnika. - Carroll wyciągnął rękę. - Życzę powodzenia przy pacjencie. Proszę wołać, jeśli będzie panu czegoś potrzebna.

Doktor odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Siła, z jaką to zrobił, wprawiała w drżenie podłogę. Młotki zadzwoniły cicho o struny.

Edgar obszedł instrument i wrócił do ławki. Nie usiadł; zawsze mówił swoim terminatorom, że fortepiany są najlepiej nastrojone, gdy stroiciel stoi.

Do dzieła, pomyślał. Uderzył w klawisz „c” środkowej oktawy. Dźwięk był za niski. Spróbował o jedną oktawę niżej, a potem „c” pozostałych oktaw. Ten sam problem: strój obu oktaw był niemal o całe pół tonu za niski. Sopranowe dźwięki brzmiały jeszcze gorzej. Zagrał pierwsze takty Suity angielskiej. Bez klawisza z zerwanymi strunami. Zawsze wątpił w swoje umiejętności pianistyczne, ale kochał chłód kości słoniowej klawiatury, wznoszenie się i opadanie melodii. Uświadomił sobie, że minęły miesiące od czasu, kiedy ostatni raz grał na fortepianie. Urwał po kilku dźwiękach; érad był tak żałośnie rozstrojony, że słuchanie go sprawiało przykrość. Stroiciel zrozumiał, dlaczego doktor nie chciał grać na instrumencie.

Pierwsze zadania Edgara sprowadzą się do tego, co lubił określać mianem „reperacji konstrukcyjnych”. W tym przypadku polegało to na wymianie zerwanych strun i naprawie płyty rezonansowej. Stroiciel okrążył fortepian i pochylił się nad zawiasami wieka, wyjął ich trzpienie i włożył do kieszeni. Zsunął wieko po skrzyni fortepianu, ugiął kolana, dźwignął je i ostrożnie oparł o ścianę. Teraz wewnątrz instrumentu było dosyć światła, by dało się pracować. Od góry trudno było dostrzec wszystkie uszkodzenia płyty rezonansowej, więc Edgar wszedł pod fortepian i obejrzał go od spodu. Otwór wlotowy pocisku był lepiej widoczny. Pęknięcie biegło wzdłuż słoja drewna i miało tylko kilkanaście centymetrów. To dobrze, pomyślał Edgar. Chociaż otwór po kuli pozostanie, to z łatwością mógł załatać szczelinę „klinowaniem”, co oznaczało wypełnienie pęknięć drewnem. Miał jedynie nadzieję, że nie wpłynie to na brzmienie fortepianu.

Wprawdzie niektórzy stroiciele twierdzili, że klinowanie jest niezbędne ze względu na przywrócenie naprężenia płyty rezonansowej, ale Edgar żywił przekonanie, iż taka naprawa jest kosmetyką wykonywaną głównie w celu uspokojenia klientów, którzy obawiają się długich pęknięć wewnątrz fortepianów. Zatem nie przewidywał klinowania - jeśli wziąć pod uwagę położenie szczeliny, wypełnienie jej wydawało się zbędne - a poza tym nie

przywiózł struga do wygładzenia płyty. Jednak piękno érarda kazało mu ponownie rozważyć tę kwestię.

Był jeszcze inny problem. Klinowanie wykonywało się zwykle drewnem świerkowym, a Edgar nie miał go ani nie wiedział, czy w okolicy rosną świerki. Rozejrzał się po pomieszczeniu, a jego wzrok spoczął na ścianach z bambusa. Będę pierwszy, który użyje bambusa do naprawy fortepianu, pomyślał z odrobiną dumy.

Bambus tak rezonuje, że być może sprawi, iż dźwięk będzie wspanialszy niż po użyciu świerku. Poza tym widział, jak Birmańczycy odłupują pasy bambusa, co oznaczało, że drewno dałoby się prawdopodobnie kształtować scyzorykiem, a w związku z tym nie potrzebowałby struga. Pomysł niósł ze sobą ryzyko; połączenie dwóch rodzajów drewna mogło sprawić, że każde z nich może inaczej zareagować na zmiany wilgotności, a wtedy szczelina ponownie się rozewrze. Jednak Edgarowi spodobała się możliwość wprowadzenia innowacji i postanowił spróbować.

Najpierw musiał opiłować otwór, co zajęło mu niemal godzinę. Pracował wolno; pęknięcia mogły się wydłużyć i zniszczyć całą płytę rezonansową. Kiedy się z tym uporał, wstał i wyciął ze ściany kawałek bambusa. Ponacinał go odpowiednio, pokrył klejem i wbił do otworu. Zerwane struny pozwalały mu sięgnąć w to miejsce od góry, dzięki czemu wygładził wstawkę. Zabrało mu to sporo czasu - ostrze scyzoryka było małe - doszedł więc do wniosku, że mógłby pójść i poprosić Carrolla o pomoc, o strug lub inny, większy nóż; być może także o inne drewno. Ale coś go zniechęcało do tego. Przed wszystkim jednak podobał mu się pomysł, w jaki wykorzystał ściany fortu, wytworu wojny, i przekształcił je w mechanikę dźwięku.

Kiedy skończył klinowanie, zabrał się do zerwanych strun. Usunął je, zwinął i włożył do kieszeni. Kolejna pamiątka. W torbie znalazł strunę odpowiedniej grubości, rozwinął ją i przeciągnął od kołka strojeniowego do zaczepu i z powrotem. Trzecią strunę przymocował do odrębnego kołka i przeciągnął obok

dwóch poprzednich.

Kiedy je ucinał, pozostawił długość równą szerokości swej dłoni, co było miarą trzech zwojów na kołku zaczepu. W porównaniu z matowym połyskiem najbliższych strun, nowe były jasne i srebrzyste; naciągnął je mocno, gdyż miały osiąść.

Po uporaniu się ze strunami i kolkami, podszedł ponownie do klawiatury. Aby podnieść wysokość stroju całego instrumentu, zaczął od środka, uderzając w klawisze i naciągając struny. Teraz pracował szybko, ale zajęło mu to niemal godzinę.

Gdy zabrał się do regulacji, było wczesne popołudnie. Mechanizm fortepianu to skomplikowane urządzenie, wyjaśniłby klientom, połączenie klawisza z młotkiem, a tym samym pianisty z dźwiękiem. By dostać się do mechanizmu, usunął pokrywę klawiatury. Wyrównał wysokość położenia młotków, poluzował odporne gniazda popychaczy i poprawił ustawienie zapadek w miejscach, w których pręty wyskakiwały spod młotków. Między regulacjami robił sobie przerwy, wówczas wymieniał filc, luzował klawisze, ustalił wznios pedału una corda. Kiedy w końcu wstał, zakurzony i zmęczony, fortepian nadawał się do gry. Edgar miał szczęście, że nie zachodziła potrzeba dokonania poważniejszej naprawy, że, na przykład, nie pękła strojnica.

Wiedział, że nie przywiózł odpowiednich narzędzi, by wykonać taki remont.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, dopiero po wyjściu na zewnątrz zdał sobie sprawę, że słońce zachodzi szybko za lasem.

Było ciemno, gdy Edgar spotkał się z doktorem w jego gabinecie. Na biurku stał talerz ze zjedzoną do połowy porcją ryżu i warzyw. Carroll siedział przed stertą papierów i czytał.

- Dobry wieczór - powiedział stroiciel.

Doktor podniósł wzrok.

- Wreszcie pan skończył, panie Drake. Kucharz uważał, że powinienem posłać po pana, ale wytłumaczyłem mu, że nie chciałby pan być niepokojony. Skarżył

się, kiedy poleciłem, żeby zaczekał, aż upora się pan z pracą, ale na szczęście on także jest miłośnikiem muzyki i udało mi się go przekonać, że im wcześniej pan skończy, tym prędzej on będzie mógł posłuchać gry na fortepianie. - Carroll uśmiechnął się.

- Niech pan siada.

- Proszę mi wybaczyć, że się nie umyłem, ale umieram z głodu - powiedział Edgar i usiadł przy małym stole z tekowego drewna.

- Pomyślałem, że wykąpię się zaraz po kolacji, a potem pójdę do łóżka. Jutro chcę wstać jak najwcześniej. Ale muszę pana o coś zapytać. - Edgar przesunął się na krześle do przodu, jakby pragnął odbyć poufną rozmowę. - Wspominałem wcześniej, że nie wiem, czy płyta rezonansowa przetrwa kolejną porę deszczową. Nie każdy zgodziłby się z tym, sądzę jednak, że powinniśmy spróbować uodpornić ją na działanie wilgoci. W Rangunie i Mandalaju widziałem rozmaite instrumenty drewniane, których muszą dotyczyć te same problemy. Czy zna pan kogoś, kto mógłby coś o tym wiedzieć?

- Oczywiście. Jest tutaj birmański lutnista, który ma za żonę Szankę z Mae Lwin. Grywał dla króla Thibawa. Po upadku dworu wrócił na wieś. Gra czasami, kiedy mam gości. Odszukam go jutro.

- Dziękuję. Spód płyty rezonansowej da się łatwo pomalować; z wierzchem jest trudniej, gdyż trzeba się dostać pod struny. Jednak z boku jest dosyć miejsca, żeby dało się przeciągnąć sukno nasączone preparatem i w ten sposób pomalować płytę.

Mam nadzieję, że w jakimś stopniu ochroni ją to przed wilgocią, chociaż będzie dalekie od doskonałości... Och, i jeszcze jedno, na jutro potrzebuję czegoś, w czym mógłbym rozgrzać packę do utwardzania młotków, piecyk lub coś podobnego. To także może pan załatwić?

- Z pewnością, to nawet łatwiejsze. Powiem Nok Lekowi, żeby przyniósł do pomieszczenia szański koksownik. Daje wystarczająco dużo ciepła. Ale jest mały. Jak duże jest to narzędzie?

- Także małe. Nie mogłem przywieźć tutaj nic dużego.

- Zatem doskonale - powiedział doktor. - Jak dotąd, jestem bardzo zadowolony, panie Drake. Proszę mi powiedzieć, kiedy pan się spodziewa skończyć?

- Och, na fortepianie będzie można zagrać jutro wieczorem. Ale prawdopodobnie powinienem pozostać dłużej. Następną wizytę u klienta odbywam zwykle w dwa tygodnie po pierwszym strojeniu.

- Niech pan zostanie tak długo, jak pan chce. Nie spieszno panu z powrotem do Mandalaju?

- Nie, nie ma pośpiechu - Edgar zawahał się. - Chce pan powiedzieć, że muszę wrócić do Mandalaju, kiedy fortepian będzie nastrojony?

Carroll uśmiechnął się.

- Podjęliśmy dosyć poważne ryzyko, pozwalając przybyć tutaj cywilowi, panie Drake. - Doktor zauważył, że stroiciel spuścił wzrok na swoje dłonie. - Sądzę, że zaczyna pan dostrzegać część powodów, dla których przebywam tutaj tak długo.

Edgar przerwał rozmówcy:

- Och, chyba nie nadaję się do tutejszego życia! Chodzi tylko o to, iż obawiam się, że z nadejściem pory deszczowej dojdzie do podwyższenia tonacji fortepianu i powstaną wszelkie możliwe problemy ze strojeniem lub może nawet poważne uszkodzenia, ja zaś otrzymam przed upływem dwóch tygodni kolejny list z prośbą, żebym wrócił do Mae Lwin i ponownie doprowadził instrument do porządku.

- Oczywiście, to pan decyduje. - Doktor uprzejmie skinął głową i wrócił do swoich papierów.

*

Tej nocy Edgar nie mógł spać. Leżał pod moskitierą i dotykał nowego zgrubienia na wewnętrznej stronie palca wskazującego; odcisk stroiciela, Katherine, to wynik ciągłego powolnego szarpania strun.

Myślał o éradzie. Na pewno stroił wspanialsze fortepiany, nigdy jednak nie

widział czegoś takiego, jak obraz Saluin, ujętej w ramę okna i odbitej w podniesionym wieku instrumentu. Był ciekaw, czy Carroll zaaranżował to, czy może nawet zaprojektował w ten sposób pokój muzyczny. Nagle przypomniał sobie zapieczętowaną kopertę, o której doktor wspomniał tego popołudnia. Wyślizgnął się spod moskitiery i przeszukiwał bagaże, dopóki nie znalazł listu. Następnie zapalił świecę i wrócił pod moskitierę.

Do Stroiciela Fortepianów, otworzyć dopiero po przybyciu do Mae Lwin, A. C. Zaczął czytać.

23 marca 1886 roku

RAPORT NA TEMAT PRZEWOZU FORTEPIANU ÉRARDA Z MANDALAJU DO MAE LWIN, STANY SZAN

Szanowni Panowie, niniejszym zdaję sprawozdanie z uwieczzonego powodzeniem przewozu i dostarczenia fortepianu Erarda z 1840 roku, instrumentu wysłanego z Waszego

Ministerstwa 21 stycznia 1886 roku do Mandalaju, a następnie dostarczonego do mojej placówki. Oto szczegółowy opis przewozu. Proszę wybaczyć nieoficjalny charakter części mojego listu, ale uważam za niezbędne oddać dramaturgię, związaną z tym nadzwyczajnym przedsięwzięciem.

Ekspedycja fortepianu statkiem z Londynu do Mandalaju została uprzednio zrelacjonowana przez pułkownika Fitzgeralda. Krótko mówiąc, instrument przetransportowano należącym do P&O Line parowcem pocztowym, płynącym do

Madrasu i dalej do Rangun. Rejs był stosunkowo spokojny: chodzą słuchy, że fortepian został wypakowany ze skrzyni, a pewien sierżant z orkiestry pułkowej grał na nim ku uciesze załogi i pasażerów. W Rangunie fortepian przeniesiono na kolejny parowiec, po czym powieziono na północ rzeką Irawadi. To powszechnie obierana trasa, i ponownie żegluga minęła bez jakiegokolwiek zajścia. W ten sposób instrument dotarł rankiem 22 lutego do Mandalaju, gdzie mogłem go osobiście odebrać. Jestem świadom, że w związku z tym, iż

opuściłem swój posterunek i udałem się do Mandalaju po fortepian, podniosły się pewne głosy protestu, a także, mógłbym dodać, głosy kwestionujące wysiłek, koszty i celowość ekspedycji tak niezwykle ładunku.

Co do pierwszego zastrzeżenia, to Urząd Zarządcy Politycznego poświadczy, iż zostałem wezwany do Mandalaju na spotkanie w sprawie ostatnich powstań w stanie

Czin pod wodzą mnicha U Ottamy, byłem już zatem na miejscu i mogłem odebrać fortepian. Przeciw drugiemu pomówieniu, mogę jedynie zaprotestować, że takie ataki są w istocie napaściami ad hominem i doprawdy podejrzewam, że szkodzącymi mi powoduje pewna zazdrość; nadal dowodzę jedyną wysuniętą placówką w stanach

Szan, która nie została zaatakowana przez siły rebeliantów, a także dokonałem większych, niż inni dowódcy posterunków, postępów w realizacji naszego podstawowego zadania, jakim jest pacyfikacja i podpisanie traktatu.

Ale, Szanowni Panowie, zapuściłem się w dygresje, za które gorąco przepraszam. Do rzeczy: odebraliśmy fortepian na nabrzeżu i przewieźliśmy konnym wozem do centrum miasta, gdzie natychmiast zaczęliśmy organizować dalszy transport. Prowadząca do naszego fortu trasa przebiega przez dwojakiego rodzaju teren. Pierwszy odcinek, z Mandalaju do stóp Wzgórz Szan, to płaska i sucha równina.

W celu pokonania tego fragmentu drogi wynająłem poganiacza z birmańskim słoniem, wykorzystywanym do transportu drewna, mimo że miałem opory, by tak delikatny instrument powierzać zwierzęciu, którego życie upływa na miotaniu kłód.

Sugerowano użycie bramińskich krów, ale w pewnych miejscach szlak staje się zbyt wąski dla pary zwierząt, więc zdecydowano, że słoń będzie lepszy. Drugi odcinek stawiał bardziej zniechęcające wyzwania, jako że szlaki w tamtym terenie są zbyt strome i wąskie dla tak wielkiego zwierzęcia. Postanowiono

zatem, że będziemy nieśli instrument. Na szczęście fortepian okazał się lżejszy, niż się spodziewałem, i mogło go dźwigać sześciu mężczyzn. Chociaż rozważałem wyprawę z większą grupą, być może z eskortą wojskową, to jednak nie chciałem, żeby tubylcy łączyli fortepian z jakimkolwiek celem militarnym. Moi ludzie byliby przeciwni, ja zaś znałem dobrze trasę, a doniesienia o napadach dakoitów były nieliczne. Natychmiast zakrzątnęliśmy się wokół budowy tragów do niesienia fortepianu.

Naszą wędrówkę podjęliśmy rano 24 lutego, po tym, gdy uporałem się z urzędowymi sprawami w dowództwie wojskowym. Instrument został załadowany na wielki wóz służący do przewozu amunicji. Do wozu została zaprzężona olbrzymia słonica o smutnych oczach, która nie wydawała się zaniepokojona niezwykłym ładunkiem. Ruszyła żwawo; szczęśliwie przesyłkę odebraliśmy w porze suchej i przez cały czas podróży sprzyjała nam doskonała pogoda. Gdyby padało, sądzę, iż podróż stałaby się niemożliwa, zarówno z powodu trudnych do oszacowania uszkodzeń fortepianu, jak i ogromnego wysiłku fizycznego naszych ludzi. I tak będzie to wystarczająco trudna wędrówka.

Opuściliśmy Mandalaj, odprowadzani przez ciekawskie dzieci. Jechałem konno. Koleiny na drodze sprawiały, że młotki uderzały o struny instrumentu, co przydawało uroczego akompaniamentu naszej mozolnej odysei. Pierwszy obóz rozbiliśmy o zmierzchu. Chociaż słonica szła wytrwale, zrozumiałem, że pieszo będziemy posuwać się dużo wolniej. To mnie niepokoiło: w Mandalaju spędziłem już tydzień. Rozważałem możliwość wcześniejszego powrotu do Mae Lwin i pozostawienia fortepianu pod opieką towarzyszących mi ludzi, ale mieli oni skłonność do nieostrożnego obchodzenia się z instrumentem, i pomimo że wielokrotnie wyjaśniałem, jak delikatne są jego wewnętrzne mechanizmy, ciągle musiałem ich napominać, by bardziej uważali na fortepian. Ponieważ rozumiałem wielki wysiłek, jaki włożyło wojsko w dostarczenie érarada, a także pojmowałem ważność celu, jakiemu miał służyć, głupie wydawało mi się

porzucenie instrumentu z powodu niecierpliwości tak blisko naszego ostatecznego celu.

Gdziekolwiek się zatrzymywaliśmy, ściągały ku nam grupy tubylców, którzy tłoczyli się wokół fortepianu i zastanawiali nad jego przeznaczeniem. Na początku naszej wędrówki albo ja, albo któryś z mężczyzn wyjaśniał im, do czego służy instrument, a potem tubylcy dopraszali się o to, by mogli usłyszeć jego brzmienie. W ten sposób podczas pierwszych trzech dni podróży zostałem nakłoniony do gry co najmniej czternaście razy. Miejscowi byli zachwyceni muzyką, jednak ciągle granie wyczerpywało mnie, gdyż wieśniacy rozchodzili się dopiero wtedy, kiedy mówiłem im, iż instrumentowi „brak tchu”, chociaż - oczywiście - naprawdę miałem na myśli pianistę. Trzeciego dnia poleciłem moim ludziom, by nie mówili nikomu o prawdziwym przeznaczeniu fortepianu. Każdemu dociekliwemu wieśniakowi przekazywali więc, że to straszliwa broń, i dzięki temu zyskaliśmy spokój w czasie przejazdu.

Najszybszym sposobem dostania się do Mae Lwin jest wędrówka na północny wschód, do Saluin, którą można potem popłynąć w dół do obozu. Jednakże w porze suchej poziom wody obniża się, więc z obawy o fortepian wybrałem trasę wychodzącą na brzeg na wprost fortu; tam chciałem przeprowadzić się przez rzekę. Po trzech dniach droga stała się bardziej stroma, wspinając się z poziomu dorzecza Irawadi na płaskowyż Szan. Niechętnie wyładowaliśmy fortepian z ciągniętego przez słonia wozu i przenieśliśmy na tragi, zbudowane na kształt używanych podczas szańskich świąt palankinów - dwie równoległe belki, połączone poprzeczkami, na których wspierał się fortepian. Instrument został załadowany tak, by klawiatura była zwrócona w kierunku marszu, ponieważ wydawało się, że to najlepszy sposób utrzymania równowagi.

Poganiacz słonia zawrócił ze swoim zwierzęciem do Mandalaju.

W miarę jak szlak się wznosił, stwierdziłem, że decyzja niesienia fortepianu wynikała ze znajomości terenu - był on zbyt trudny, żeby instrument przewozić, jak to robiliśmy na nizinach. Jednak satysfakcję ze słuszności postanowienia

tonował widok moich ludzi, którzy wyteźzali siły pod ciężarem, ślizgali się i potykali, by uchronić instrument przed runięciem na ziemię. Szczerze ich żałowałem i robiłem, co mogłem, by podnieść w nich ducha, obiecałem, że po dotarciu fortepianu do Mae Lwin wyprawię z tej okazji uroczystość.

Dni mijały, a codzienny tok zajęć był taki sam. Wstawaliśmy ze wschodem słońca, jedliśmy szybko śniadanie, a potem dźwigaliśmy ponownie tragi i kontynuowaliśmy wędrówkę. Było nadzwyczaj gorąco, a słońce paliło niemiłosiernie.

Muszę przyznać, że pomimo przykrości, jaką odczuwałem z powodu zmuszania moich ludzi do dźwigania takiego ciężaru, wszystko to stanowiło oszałamiający widok - sześciu ociekających potem mężczyzn i lśniący fortepian, coś jak te nowe trójbarwne fotografie, które są tak modne w Anglii i od czasu do czasu docierają na tutejsze targowiska - białe turbany i spodnie, ciemnobrązowe ciała, czarny fortepian.

A potem, kiedy od obozu dzieliły nas jeszcze cztery dni wędrówki najbardziej stromą drogą, spadło na nas nieszczęście.

Na szczególnie nierównym szlaku w dżungli, gdy jechałem przodem i rąbałem szablą zarośla, usłyszałem krzyk i trzask, któremu towarzyszyło brzęczenie.

Zawróciłem w stronę fortepianu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był instrument, i po tym, gdy usłyszałem łoskot i uznałem, że érard został zniszczony, poczułem chwilową ulgę. Ale później mój wzrok powędrował na lewo od fortepianu, tam gdzie pięć wytatuowanych ciał kłębiło się wokół szóstego. Wyczuwając moją obecność, jeden z mężczyzn krzyknął: Ngu!, czyli „wąż”, i wskazał na swego leżącego towarzysza.

Zrozumiałem natychmiast. Posuwając się z wysiłkiem naprzód, młody człowiek nie zauważył węża, który rozdrażniony odgłosem kroków ukąsił go w nogę.

Chłopak puścił fortepian i upadł. Reszta tragarzy dała z siebie wszystko, by utrzymać érarda w stanie równowagi i uchronić przed runięciem na ziemię.

Gdy dotarłem do młodego mężczyzny, powieki zaczęły mu już opadać,

postępował paraliż ciała. Jakimś cudem on lub któryś z jego towarzyszy zdołał schwytać węża i zabić go; kiedy przybyłem na miejsce zdarzenia, gad leżał martwy i pokawałkowany obok ścieżki. Tragarze określali go szańskim słowem, którego nie znałem, ale po birmańsku zwali go mahauk, znany nam jako naja lub azjatycka kobra. Jednak w tamtej chwili nie miałem głowy do naukowych dociekań. Krew sączyła się nadal z dwóch równoległych głębokich skaleczeń. Mężczyźni patrzyli na mnie z nadzieją, że jako lekarz będę mógł mu pomóc, ale niewiele mogłem uczynić.

Kucnąłem przy chłopcu i ująłem go za rękę. Jedyne słowo, jakie byłem w stanie wypowiedzieć, brzmiało: „Przepraszam”, jako że padł w mojej służbie. Śmierć na skutek ukąszenia kobry jest okropna: jad paraliżuje przeponę i ofiara się dusi. Chłopak umarł po półgodzinie. W Birmie niewiele jest węży, które zabijają tak szybko jak azjatycka kobra. Szański sposób na ich ukąszenia polega na założeniu opaski uciskowej powyżej rany, co zrobiliśmy (choć wszyscy wiedzieliśmy, że niewiele to pomoże), na wysaniu rany (co uczyniłem) i na przyłożeniu papki ze zmiażdżonych pajaków (której nie mieliśmy, a prawdę mówiąc, zawsze wątpiłem w skuteczność tego leku). Zamiast tego jeden z Szanów odmówił modlitwę. Wokół leżącego obok ścieżki węża zaczęły zbierać się muchy. Kilka przysiadło na zwłokach chłopca i jeden z nas odganiał je. Znany mi zwyczaj Szanów nie pozwalał pozostawić ciała w lesie, taki czyn musiałby także stanowić zniewagę w stosunku do padłego w boju towarzysza, a uważam, że przeciwne postępowanie to jeden ze szlachetniejszych przejawów zachowań w naszych siłach zbrojnych. Koń opierał się, kiedy podprowadziliśmy go do ciała. Jednak prosty rachunek wskazywał trudności związane z wyniesieniem zmarłego z dżungli. Skoro sześciu ludzi ledwo dawało sobie radę z fortepianem, to jak pięciu poniesie instrument i ciało kolegi? Zrozumiałem więc, że ja także muszę dźwigać tragi. Na początku mężczyźni zaprotestowali i zaproponowali, że jeden z nich wróci do pobliskiej wioski i wynajmie jeszcze dwóch tragarzy, ale sprzeciwiłem się temu, gdyż mieliśmy już kilka dni

spóźnienia w stosunku do mojego spodziewanego powrotu do Mae Lwin. Podnieśliśmy ciało chłopca i umieściliśmy je na fortepianie. Znalazłem linę, ale była zbyt krótka, by można nią było przywiązać zwłoki do instrumentu. Widząc to, jeden z mężczyzn zdjął zmarłemu turban i rozwinął go, po czym zawiązał wokół nadgarstka chłopca, przeciągnął pod fortepianem i przywiązał do drugiego nadgarstka. Potem na skos przeciągnął pas materiału pod instrumentem i przywiązał nogę zmarłego. Do unieruchomienia drugiej nogi użyliśmy krótkiej liny. Głowa opadła na pokrywę klawiatury, a długie włosy były nadal zebrane w mały węzeł. Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy sposób na umocowanie ciała; wszyscy z niechęcią myśleli o tym, że zwłoki będą się zsuwać z fortepianu podczas wędrówki. Gdyby jeden z Szanów nie zaproponował użycia turbanu ofiary, to nie mam pojęcia, jak byśmy postąpili.

Trzeba przyznać, że ten pomysł mnie także przyszedł do głowy, ale zdjęcie Szanowi turbanu za życia stanowi straszną zniewagę. A nie wiedziałem, jak to się ma do obyczajów pośmiertnych.

W końcu ruszyliśmy. Zająłem miejsce chłopca po lewej stronie fortepianu, co moi przyjaciele, czułem, przyjęli z pewną ulgą, gdyż podejrzewałem, że przesądnie uważali to za przeklętą pozycję. Z moich obliczeń wynikało, że gdybyśmy posuwali się w dotychczasowym tempie, to dotarcie do Mae Lwin zajęłoby nam cztery dni, a w tym czasie zwłoki zaczęłyby straszliwie cuchnąć. W duchu podjąłem decyzję, że będziemy szli nocą, ale nie powiedziałem tego moim towarzyszom, gdyż czułem, że z powodu tej śmierci duch w nich już upadł. I tak dołączyłem do trójbarwnej fotografii; maszerowaliśmy dalej, ciało zmarłego, z rozłożonymi ramionami, spoczywało na fortepianie, a uwiązany teraz z tyłu koń szedł wolno i skubał liście drzew.

Co mogę powiedzieć o następnych godzinach, poza tym, że należały do najstraszszych w moim życiu? Potykaliśmy się i wytężaliśmy siły pod ciężarem fortepianu. Tragi wbijały się nam w ramiona. Próbowałem ochronić się, zdejmując koszulę i zwijając ją, żeby położyć na ramieniu, ale to niewiele

łagodziło otarcia i niebawem na skórze miałem skaleczenia, z których sączyła się krew. Współczułem moim przyjaciółom, jako że ani razu nie poprosili o cokolwiek, co mogłoby im ulżyć, chociaż ich ramiona również były poranione. Szlak stał się trudniejszy. Jeden z tragarzy na przodzie starał się - za pomocą szabli w wolnej ręce - oczyszczać ścieżkę przed nami. Fortepian zaczął o pnać gałęzie. Kilka razy nieomal upadliśmy. Na skutek rigor mortis ciało chłopca leżące na instrumencie zaczęło sztywnieć i przesuwało się, naciągając pęta, powstawało przelotne wrażenie, póki ktoś nie spojrzał ponownie w otwarte, puste oczy, że ofiara próbuje uciec.

Późnym wieczorem powiedziałem moim ludziom, że będziemy szli w nocy. To była trudna decyzja, gdyż czułem, że ledwo powłóczę nogami. Ale mężczyźni nie protestowali; prawdopodobnie stan zwłok niepokoił ich w równym stopniu, co mnie. I tak, po krótkiej przerwie na kolację, ponownie dźwignęliśmy fortepian na barki.

Mieliśmy szczęście, że panowała pora sucha, niebo było czyste, a księżyc w kwadrze częściowo oświetlał szlak. Jednak w głębszych partiach dżungli było ciemno, więc potykaliśmy się. Miałem małą latarnię; zapaliłem ją i zawiesiłem na taśmie, którą była przywiązana jedna z nóg zmarłego; lampa oświetlała spód instrumentu, co musiało sprawiać wrażenie, jakby fortepian płynął w powietrzu. Wędrowaliśmy pełne dwie doby. W końcu, wieczorem, jeden z idących na przodzie zawołał zmęczonym głosem, w którym pobrzmiwała radość, że za drzewami widzi brzeg Saluin. Wiadomość spowodowała, że ładunek wydał nam się lżejszy i zaczęliśmy iść szybciej. Na skraju wody krzyknęliśmy do strażnika po drugiej stronie; był on tak zaskoczony, że na nasz widok ile sił w nogach rzucił się ścieżką w stronę obozu. Postawiliśmy fortepian na błotnistym brzegu, a sami padliśmy obok.

Nie minęło wiele czasu, a po drugiej stronie rzeki zebrało się kilku mężczyzn, którzy wtoczyli się do dłubanki i powiosłowali w naszym kierunku. Wstrząs, jakiego doznali na widok martwego ciała, złagodziła jedynie ulga, że reszta z

nas nie podzieliła jego losu. Już od dawna obawiano się, że wszyscy zginęliśmy. Po długiej dyskusji dwaj mężczyźni popłynęli z powrotem na przeciwległy brzeg i wrócili z kolejną dłubanką.

Związaliśmy razem łódki i umieściliśmy na nich fortepian z ciałem chłopca. W ten sposób instrument pokonał Saluin. Na tratwie było miejsce tylko dla dwóch mężczyzn, więc przeprawę obserwowałem z brzegu. To był rzeczywiście dziwny widok

- środkiem rzeki płynął fortepian, pod nim przykucnęli dwaj mężczyźni, a nad nimi rozciągały się zwłoki trzeciego. Kiedy instrument opuszczono na plażę, zarys ciała przypominał mi Zdjęcie z krzyża van der Weydena, obraz, który na stałe zapadł w moją pamięć.

I tak skończyła się nasza wędrówka. Chłopcu wyprawiono pogrzeb, a dwa dni później odbyła się uroczystość związana ze sprowadzeniem fortepianu. Wtedy miałem pierwszą sposobność, żeby zagrać na nim dla całej wioski, ale grałem krótko, bo, niestety, instrument jest już zupełnie rozstrojony, to problem, który spróbuję rozwiązać samodzielnie. Fortepian stoi na razie w spichlerzu, ale podjęliśmy pospiesznie przygotowania, żeby zacząć budowę oddzielnego pokoju muzycznego. Ale to historia na kolejny list. major lekarz Anthony J. Carroll

Mae Lwin, stany Szan

Edgar zdmuchnął świecę i położył się. W pokoju było chłodno. Na zewnątrz gałęzie drapały o strzechę z liści palmowych. Starał się usnąć, ale przyłapał się na tym, że myśli o sprawozdaniu, o własnej podróży do obozu, o wypalonych polach, o rosnącej na stromych zboczach dżungli, o ataku dakoitów i o tym, ile czasu minęło od jego wyjazdu z Anglii. W końcu otworzył oczy i usiadł. W pomieszczeniu było ciemno, a moskitiera rozmazywała kontury pokoju.

Zapalił świecę i ponownie spojrzał na list. Światło płomienia rzucało cienie na moskitierę, a on zaczął ponownie czytać relację. Być może wyślę ją Katherine ze swoim następnym listem, pomyślał. Obiecał sobie, że będzie to niebawem.

Był przy opisie transportowania érarda na płaskowyż, gdy świeca zamigotała i zgasła.

Kiedy obudził się, list nadal spoczywał na jego piersi.

Nie zawracał sobie głowy goleniem ani myciem, ale ubrał się szybko i poszedł prosto do pomieszczenia z fortepianem. Przy drzwiach uznał, że właściwie będzie przywitać się z doktorem, więc zbiegł po schodach ku rzece. W połowie drogi spotkał

Nok Leka.

- Czy doktor je śniadanie na brzegu? - spytał.

- Nie, sir, tego ranka nie. Doktor wyjechał.

- Wyjechał? A dokąd?

- Nie wiem.

Edgar podrapał się po głowie.

- To dziwne. Nie powiedział ci?

- Nie, panie Drake.

- Często tak wyjeżdża?

- Owszem. Bardzo często. Jest kimś ważnym. Jak ksiązę.

- Ksiązę... - Edgar zawahał się. - A kiedy spodziewasz się jego powrotu?

- Nie wiem. Nie mówi mi.

- No cóż... zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

- Nie, sir.

- Dziwne... Pomyślałbym...

- Powiedział, że cały dzień będzie pan stroił fortepian, panie Drake.

- Oczywiście - Edgar przerwał na chwilę. - W takim razie zabieram się do pracy.

- Mam przynieść śniadanie do pańskiego pomieszczenia, panie Drake?

- Dziękuję, byłoby bardzo miło.

Pracę zaczął od intonacji, zregenerował uszkodzony filc, aby uderzenia młotków wywoływały właściwy, czysty ton. W Anglii często wstrzymywał się z tym aż do ukończenia dokładnego strojenia, ale niepokoiło go brzmienie instrumentu,

które było albo zbyt ostre i blaszane, albo zbyt głuche i ciche. Twardszy filc rozpulchnił intonierką, a bardziej miękki utwardził packą, na nowo kształtując główki, aby gładką powierzchnią celowały w struny. Sprawdził intonację w ten sposób, że wydobył ze wszystkich oktaw wzburzone arpeggia, a potem uderzał w pojedyncze klawisze, żeby poczuć twardość filcu.

W końcu był gotów do dokładnego strojenia fortepianu. Zaczął o oktawę powyżej struny, którą rozerwała kula. Aby wyciszyć boczne struny, wsunął między nie kliny, dzięki czemu - po uderzeniu klawisza - wibrowała tylko środkowa. Uderzył w klawisz, sięgnął do wnętrza skrzyni fortepianu i obrócił kołek strojeniowy. Gdy środkowa struna została nastrojona, zajął się bocznymi, a po osiągnięciu właściwego tonu wziął się za niższą oktawę - postępując jak budowniczy, który najpierw kładzie fundamenty domu, mówił zawsze swoim terminatorom. Wpadł w znajomy rytm; obracał kołki strojeniowe, sprawdzał dźwięk, klawisz - kołek - klawisz, wzór zakłócany tylko przez sporadyczne klepnięcia, którymi opędzał się od komarów.

Najważniejszym krokiem w strojeniu każdej oktawy było doprowadzenie jej do równomiernie temperowanego stroju, aby dźwięki rozkładały się w niej jednakowo.

To był koncept, który wielu terminatorów uznawało za trudny do pojęcia. Każda struna wibruje z określoną częstotliwością, wyjaśniłby Edgar, struny dostrojone do siebie mogą harmonizować, podczas gdy niedostrojone drgają z częstotliwościami, które zachodząc na siebie, powodują rytmiczne pulsowanie, zwane dudnieniem, synchronizm lekko niezgodnych dźwięków. Im więcej dudnienia, tym bardziej niestrojne struny. Gdy w doskonale nastrojonym w konkretnej tonacji fortepianie uderzane są dwa klawisze, dudnienie nie powinno się pojawiać. Jednak wtedy okazałaby się niemożliwa gra na tym instrumencie w innej tonacji. Równomiernie temperowany strój był innowacją, która pozwalała na grę w więcej niż tylko jednej tonacji, przy czym poświęcenie polegało na tym, że żadna oktawa nie była idealnie strojna.

Stosowanie równomiernie temperowanego stroju oznaczało rozmyślnie stworzenie dudnienia; polegało na delikatnym wyregulowaniu strun w taki sposób, żeby tylko ktoś o dobrze wyszkolonym słuchu mógł poznać, że były nieco - choć z konieczności - niestrojne.

Przy pracy Edgar cicho nucił. Miał taki nawyk, często ku zmartwieniu Katherine, że strojenie pochłaniało go całkowicie. Czy widzisz cokolwiek, gdy pracujesz?, zapytała niedługo po ślubie, pochylając się nad skrzynią fortepianu. Co widzisz?, odpowiedział pytaniem. Wiesz, cokolwiek, fortepian, struny, mnie. Oczywiście, że cię widzę, odparł, ujął jej dłoń i pocałował. Edgarze, proszę! Proszę, pytam, jak pracujesz, zupełnie poważnie; Czy widzisz cokolwiek podczas pracy? Jakże mógłbym nie widzieć? Dlaczego pytasz? Po prostu wydaje mi się, że znikasz, odchodzisz w inne miejsce, może w świat dźwięków. Edgar roześmiał się: Cóż to byłby za dziwny świat, kochanie. Pochylił się i pocałował żonę. Ale prawdę mówiąc, rzeczywiście rozumiał, o co go pyta. Pracował z otwartymi oczami, ale kiedy kończył, kiedy wspominał miniony dzień, to nie potrafił sobie nigdy przypomnieć jakiegoś konkretnego obrazu, a jedynie to, co słyszał, krajobraz znaczonej przez ton i tembr, interwały, wibrację. To są moje barwy.

Także i teraz podczas pracy nie myślał wiele o domu, o Katherine, o nieobecności doktora czy o Khin Myo. Nie zauważył też, że ma obserwatorów, trzech małych chłopców, którzy przyglądali mu się przez szczeliny w bambusowych ścianach.

Szeptali i chichotali, i gdyby Edgar nie zagubił się w pitagorejskim labiryncie mechaniki i dźwięku, i gdyby znał szańki, to usłyszałyby, że rozmawiają o tym, jak wielkim muzykiem musi być ten człowiek, który naprawi ich śpiewającego słonia.

Jacy osobliwi są ci Brytyjczycy, powiedzą swoim przyjaciołom. Ich muzycy grają sami, i nie da się tańczyć czy śpiewać przy ich dziwnych, wolnych melodiach. Ale po godzinie nawet nowość, jaką było szpiegowanie, straciła na

atrakcyjności i malcy z posępnymi minami poszli popływać w rzece.

Dzień mijał. Tuż po południu Nok Lek przyniósł Edgarowi lunch, wielką miskę ryżowych klusek polanych gęstym sosem, który, jak powiedział, przyrządzono z fasoli, a całość przybrano siekanym mięsem i papryką. Nok Lek przyniósł także słoik klajstru z przypalanych łusek ryżowych, którym stroiciel, przed przerwą na posiłek, pomalował spód płyty rezonansowej. Po kilku kęsach wrócił do pracy.

Wczesnym popołudniem napłynęły chmury, ale nie padało. W pomieszczeniu zrobiło się wilgotno. Edgar zawsze pracował wolno, ale teraz zdumiała go własna niespieszność. Wróciła myśl, która trapiła go od chwili, gdy zaczął zajmować się fortepianem. W ciągu kilku godzin upora się ze strojeniem i dłużej nie będzie potrzebny w Mae Lwin. Będzie musiał wrócić do Mandalaju, a potem do Anglii. Ale chcę tego, powiedział sobie, bo to oznacza, że znowu będę w domu. Jednak każda nastrojona otartymi palcami struna sprawiała, że groźba wyjazdu stawała się bardziej realna. Monotonia zajęcia hipnotyzowała Edgara: korbka, klawisz, słuchanie, korbka, klawisz, słuchanie, a fala strojenia rozprzestrzeniała się po instrumencie, jak atrament rozlany na papierze.

Edgarowi pozostały jeszcze do nastrojenia trzy klawisze, kiedy chmury rozdarły się i przez okno zaświeciło słońce, zalewając pomieszczenie blaskiem.

Poprzedniego wieczoru Edgar zamontował z powrotem na fortepianie wieko i podniósł je na czas strojenia, teraz więc w wypolerowanym mahoniu znowu widział odbicie widoku zza okna. Stał i patrzył na Saluin, która płynęła przez kwadrat światła na powierzchni płyty instrumentu. Wreszcie podszedł do okna i spojrzał na rzekę.

Dwa tygodnie, po czym fortepian będzie wymagał ponownego strojenia, powiedział doktorowi. Nie wyjaśnił mu natomiast, że nastroił, wyregulował i przeprowadził intonowanie instrumentu, i że utrzymanie dokładnego stroju będzie stosunkowo łatwe, że mógłby tego nauczyć doktora, a być może nawet jednego z jego szkańskich pomocników. Mógł mu to powiedzieć i mógł mu zostawić klucz do strojenia; To jedyna słuszna droga, pomyślał; Bardzo długo

jestem poza domem; Być może zbyt długo.

Mógł to powiedzieć doktorowi, i powie mu w końcu, ale przypomniał sobie, że nie ma żadnej potrzeby przyspieszania biegu wypadków.

Poza tym dopiero co tu przybyłem, pomyślał.

15

Doktor Carroll nie wrócił następnego dnia, jak planował, ani w dniu kolejnym. Obóz wydawał się opustoszały, Edgar nie widział ani Nok Leka, ani Khin Myo. Zaskoczyło go, że dopiero teraz o niej pomyślał, że tak zaabsorbowała go sprawa fortepianu. W ciągu kilku dni po przyjeździe widział ją tylko raz. Potem minęła go, gdy rozmawiał z lekarzem; Khin Myo skinęła Edgarowi uprzejmie głową i zatrzymała się, żeby szeptem powiedzieć coś po birmańsku do Carrolla. Stała wówczas blisko doktora i patrzyła za jego plecami na stroiciela, lecz on szybko przeniósł wzrok na rzekę. Starał się dostrzec, czy coś ich łączy - dotyk lub wspólny uśmiech. Ale Khin Myo skłoniła się jedynie lekko i pełnym gracji krokiem odeszła ścieżką.

Poranek upłynął mu na wykonywaniu drobniejszych regulacji przy éardzie, na dokładnym strojeniu niektórych strun i na ponownym malowaniu na płycie rezonansowej miejsc niepokrytych odpowiednią ilością żywicy. Wkrótce jednak praca zmęczyła go. Fortepian był dobrze nastrojony; być może to jego nie najlepsza robota, przyznawał Drake w duchu, gdyż nie miał wszystkich niezbędnych narzędzi, ale za to wprowadził kilka ulepszeń, które - biorąc pod uwagę okoliczności - mogły na dłuższą metę okazać się korzystne dla instrumentu.

Było południe, kiedy zostawił éarda i zszedł nad Saluin. Kilku mężczyzn stało na wystających z wody poszarpanych skałach, rybacy zarzucali sieci, po czym kucali w oczekiwaniu. Edgar rozłożył pled, usiadł w cieniu wierzby i obserwował dwie kobiety uderzające o skałę częściami odzienia; praczki były nagie, jeśli pominąć hta main, które podciągnęły i skromnie zawiązały wokół piersi. Edgar zastanowił się, czy był to szański zwyczaj, czy też został

przeniesiony z Anglii.

Jego myśl błądziła bez celu, od rzeki, ponad górami do Mandalaju i dalej. Był ciekaw, co wojskowi sądzą o jego nieobecności. Być może nawet nie została zauważona, pomyślał Drake, gdyż Khin Myo także zniknęła, a kapitan NashBurnham był w

Rangunie; chciał wiedzieć: Od ilu dni tu jestem? Miał nadzieję, że wojskowi nie skontaktowali się z Katherine, gdyż żona z pewnością martwiłaby się, i mógł jedynie pocieszać się, że ona jest daleko, a wieści wędrują wolno. Starał się obliczyć, jak długo nie było go w kraju, ale czuł się zaskoczony, że nawet nie potrafi określić, odkąd przebywa w Mae Lwin. Wędrówka przez płaskowyż Szan wydawała się pozbawiona czasu, była chwilą, kalejdoskopem obrazów srebrnych świątyń i głębokiej dżungli, błotnistych rzek i rącho biegnących pony. Pozbawiona czasu, zadumał się Edgar i pomyślał o świecie zewnętrznym pozostającym w zawieszeniu. Jest tak, jakbym opuścił Londyn zaledwie dziś rano.

Spodobał mu się ten pomysł; Być może tak to jest; Mój zegarek zatrzymał się w Rangunie, w Anglii Katherine wraca dopiero z portu do domu; Nasze łóżko wciąż utrzymuje ciepło obu naszych ciał; Być może, gdy wrócę, nadal będzie ciepłe. I jego myśli powędrowały dalej; Pewnego dnia opuszczę dolinę Saluin i przez wzgórza pojedę z powrotem do Mandalaju, i zatrzymam się na jeszcze jedną noc, i będę oglądał yôkfhe pwè, i tym razem opowieść będzie inna, opowieść o powrocie, i potem wsiądę na parowiec płynący w dół rzeki, i spotkam na nim żołnierzy, i przy ginie dołączę swoje opowieści do ich; Naprzód; Żegluga będzie teraz szybsza, gdyż popłyniemy z prądem, i w Rangunie pójdę do Shwedagon, i zobaczę, jak urosło dziecko kobiety pomalowanej kurkumą, i wsiądę na kolejny parowiec, i moje bagaże będą cięższe, gdyż wiozę prezenty w postaci srebrnych naszyjników, haftowanych strojów i instrumentów muzycznych do nowej kolekcji; Dni na statku będę spędzał, patrząc na te same góry, które ujrzałem, płynąc w tę stronę, tylko tym

razem będę stał na sterburcie; Pociąg, jak przedtem, pomknie przez Indie, i jak modlitwa będzie wspinał się znad Gangesu, słońce wzejdzie za nami, a zajdzie przed nami, i my będziemy je ścigać; Być może gdzieś, na jakiejś samotnej stacji, usłyszę dokończenie opowieści poety wallaha. Na Morzu Czerwonym spotkam mężczyznę i powiem mu, że słyszałem pieśni, ale nie tę jego.

Powietrze nad Morzem Czerwonym będzie suche i wilgoć z mojego zegarka ulotni się w postaci niewidocznych oparów, a on znowu zacznie tykać; Pokaże czas nie późniejszy od dnia, w którym wyjechałem.

W sen na jawie wdarł się odgłos kroków i Edgar odwrócił się. W cieniu wierzby stała Khin Myo.

- Mogę się przysiąść? - zapytała.

- Ma Khin Myo. Cóż za miła niespodzianka - powiedział, wytrącony z zadumy.

- Proszę, siadaj.

Zrobił jej miejsce na kocu. Kiedy usiadła i wygładziła na nogach hta main, odezwał się ponownie.

- Dzisiaj, jakiś czas temu myślałem o tobie. Przepadłaś. Od naszego przyjazdu prawie cię nie widuję.

- Zostawiłam pana i doktora samym sobie. Wiem, że pan pracuje.

- Owszem, byłem zajęty. Niemniej jednak żałowałem, że cię nie spotykam - słowa zabrzmiały nienaturalnie, więc Edgar dodał: - Cieszyły mnie nasze rozmowy w

Mandalaju i w drodze tutaj.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale poczuł się zakłopotany z powodu jej obecności. Prawie zapomniał, że jest taka atrakcyjna. Włosy miała zaczesane do tyłu i spięte szpilą z kości słoniowej. Bluzka szeleściła lekko w powiewie, który prześlizgiwał się przez gałęzie wierzb. Ramiona poniżej adamaszkowego oblamowania rękawów miała nagie, a dłonie trzymała złożone na hta main.

- Nok Lek zapewnił mnie, że pan skończył - powiedziała Khin Myo.

- Na dziś, chociaż, jak myślę, nadal jest jeszcze dużo do zrobienia. Fortepian był

poważnie uszkodzony.

- Tak mi powiedział doktor Carroll. Myślę, że obwinia się za to.

Edgar zauważył, że gdy żartowała, delikatnie przechylała głowę z boku na bok; był to nawyk wielu Hindusów. Widział już wcześniej, że Khin Myo też tak robi, ale teraz uderzyło go to w szczególny sposób. Dawało się to ledwo zauważyć, jakby w duchu śmiała się z dowcipu, który był dużo zabawniejszy i głębszy, niż to sugerowały jej słowa.

- Wiem. Chociaż nie powinien się obwiniać. Jestem całkiem zadowolony.

Fortepian będzie pięknie brzmiał.

- Istotnie, doktor Carroll mówił, że wygląda pan na szczęśliwego.

- Khin Myo uśmiechnęła się i odwróciła do niego. - Wie pan, co pan teraz będzie robił?

- Teraz?

- Teraz, gdy pan skończył. Wróci pan do Mandalaju? - zapytała.

Roześmiał się.

- Czy wrócę? Oczywiście, w końcu muszę. Może nie tak zaraz. Chcę poczekać i przekonać się, że fortepian nie stwarza innych problemów. W końcu to jak najbardziej w porządku, iż po tak długiej podróży usłyszę, jak się na nim gra. Ale potem, nie wiem.

Oboje umilkli i odwrócili się, by spojrzeć na rzekę. Kątem oka Edgar dostrzegł, że Khin Myo spuściła nagle wzrok, jakby zażenowana jakąś myślą, po czym przesunęła palec po opalizującym jedwabiu spódnicy. Odwrócił się do niej i zapytał:

- Wszystko w porządku?

Oblała się rumieńcem.

- Oczywiście, po prostu myślałam o czymś innym. - Znowu zapadło milczenie, a potem dodała nagle: - Jest pan inny.

Edgar przełknął ślinę, czuł się zaskoczony. Khin Myo powiedziała to tak cicho, że musiał zapytać sam siebie, czy był to jej głos, czy tylko szelest gałęzi.

- Słucham?

- Spędziłam z panem wiele godzin, w Mandalaju i w trakcie podróży. - odparła Khin Myo. - Większość przyjezdnych opowiedziałyby mi o sobie w ciągu kilku minut.

A ja do tej pory wiem o panu tylko tyle, że pochodzi pan z Anglii i że przybył pan nastroić fortepian. - Bawiła się rąbkiem hta main. Edgar zaś zastanawiał się, czy była to oznaka zdenerwowania, coś takiego, jak obracanie kapelusza w dłoniach przez

Anglika. - Przepraszam, jeśli jestem zbyt bezpośrednia, panie Drake - dodała, gdy on nadal milczał. - Proszę się nie gniewać.

- Nie, nie mam zamiaru - odparł, ale nie wiedział, jak zareagować. Poczł się zaskoczony pytaniem, ale jeszcze bardziej tym, że Khin Myo, która wcześniej zachowywała się z taką rezerwą, zadała je. - Nie przywykłem do zainteresowania moją osobą. A już szczególnie ze strony... - urwał.

- Kobiety?

Edgar nic nie odpowiedział.

- To pięknie, jeśli pan tak pomyślał, nie mogę pana winić. Wiem, co się pisze o kobietach Wschodu. Niech pan pamięta, że rozumiem wasze rozmowy i czytam wasze periodyki. Wiem, co w nich jest, widziałam, w jaki sposób przedstawiają nas wasi rysownicy.

Edgar poczuł, że sam się czerwieni.

- Te rysunki są okropne.

- Nie wszystkie. Wiele z nich odpowiada prawdzie. Poza tym lepiej być narysowaną jako piękna tańcząca młoda dziewczyna niż jako dzikus, bo tak wasze gazety przedstawiają naszych mężczyzn.

- To bzdury - upierał się Edgar. - Nie zwracałbym na to większej uwagi...

- Nie, nie przeszkadza mi to. Myślę tylko, lub martwię się, o tych, którzy przyjeżdżają tutaj, spodziewając się ujrzeć własne wyobrażenia.

Edgar poruszył się niespokojnie.

- Jestem pewien, że po dotarciu na miejsce przybysze przekonują się, że jest inaczej, niż myśleli - powiedział.

- Lub po prostu zmieniają nas, żebyśmy pasowali do ich wyobrażeń.

- Ja... - Edgar urwał, uderzony treścią słów Khin Myo, i utkwiał w niej wzrok.

- Przepraszam. Nie chciałam powiedzieć tego tak dosadnie, panie Drake.

- Nie, nie... nic się nie stało - stroiciel skinął głową, odpowiadając własnym myślom. - Nie, naprawdę chcę z tobą rozmawiać, ale jestem nieśmiały. Taki mam charakter. Także w domu, w Londynie.

- Nie przeszkadza mi to. Nie mam nic przeciwko rozmowom. Czasami czuję się tutaj samotna. Mówię trochę po szańsku, a wielu wieśniaków posługuje się jako tako birmańskim, ale bardzo się różnimy; większość miejscowych nie opuściła nigdy swojej wioski.

- Masz doktora... - powiedział i natychmiast pożałował tych słów.

- To jest coś, co chciałam panu powiedzieć w Mandalaju. Choćby tylko po to, żeby nie musiał pan pytać.

Edgar doznał nagle wielkiej i rzadko odczuwanej ulgi, jakiej się doświadcza, gdy podejrzenie potwierdza się.

- Często wyjeżdża - powiedział.

Khin Myo spojrzała na stroiciela, jakby zaskoczona jego słowami.

- Jest kimś ważnym - odparła.

- Wiesz, dokąd jeździ?

- Dokąd? Nie. - Pokręciła głową. - Wyjeżdża. To nie moja sprawa.

- Mógłbym pomyśleć, że twoja. Mówiłaś, że czujesz się samotna. Tym razem Khin Myo popatrzyła na Edgara nieco dłużej.

- To coś innego - stwierdziła po prostu.

W jej głosie brzmiał smutek i Edgar czekał, żeby odezwała się znowu. Milczała.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem być nieuprzejmy.

- Nie jest pan - Khin Myo spuściła wzrok. - Zadaje mi pan wiele pytań. To także coś odmiennego. - Wiatr poruszył gałęziami drzew. - Ma pan kogoś, panie

Drake.

- Tak - rzekł Edgar wolno, czując ulgę, że rozmowa zesłała z osoby doktora. - Na imię ma Katherine.

- Ładnie - stwierdziła Khin Myo.

- Tak... tak, sędzę. Jestem do niego tak przyzwyczajony, że prawie nie uważam go już za imię. Jeśli ludzie znają się tak dobrze, to jakby stracili imiona.

Khin Myo uśmiechnęła się do niego.

- Czy mogę zapytać, jak długo jesteście małżeństwem?

- Osiemnaście lat. Poznaliśmy się, kiedy byłem terminatorem u stroiciela.

Stroiłem fortepian jej rodziny.

- Pańska żona musi być piękna - stwierdziła Khin Myo.

- Piękna... - Edgara zdumiał niewinny ton, jakim to powiedziała.

- Zapewne... chociaż nie jesteśmy już młodzi. - Skrępowany, mówił dalej tylko po to, by wypełnić ciszę. - Była bardzo piękna, przynajmniej w moich oczach... rozmowa o niej sprawia, że strasznie za nią tęsknię.

- Przykro mi...

- Nie, nic się nie stało. To cudowne na swój sposób. Wielu mężczyzn w osiemnaście lat po ślubie nie kocha już swoich żon...

- Edgar urwał i spojrzał na rzekę. - Chyba masz rację, ja też sędzę, że jestem inny, chociaż nie wiem, czy oboje mamy to samo na myśli: kocham muzykę, fortepiany i mechanikę dźwięku, być może to jest inne. I jestem milczący. Zbyt często śnię na jawie... Ale nie powinienem zawracać ci tym głowy.

- Nie musi pan o tym mówić. Możemy rozmawiać o czymś innym.

- W istocie nie mam nic przeciwko temu. Jestem tylko zaskoczony, że zapytałaś, że zauważyłaś coś we mnie. Wielu kobietom nie podoba się to, co ci przed chwilą powiedziałem; Angielki lubią mężczyzn, którzy wstępują do wojska albo piszą wiersze. Którzy zostają lekarzami. Takich, którzy umieją strzelać. - Edgar uśmiechnął się. - Nie wiem, czy to ma sens. Nigdy nie zajmowałem się czymś takim. W Anglii żyjemy w wieku wielkich osiągnięć, kultury, w wieku

podbojów, a ja stroję fortepiany, żeby inni mogli na nich grać. Uważam, że wiele kobiet mogłoby uznać, iż jestem nudny. Ale Katherine jest inna. Kiedyś zapytałem ją, dlaczego mnie wybrała, skoro jestem taki spokojny, a ona powiedziała, że gdy słucha muzyki, to słyszy w niej moją pracę... Być może to głupie i romantyczne, ale byliśmy tacy młodzi...

- Nie, to nie jest głupie.

Zapadła cisza.

- To dziwne - odezwał się Edgar - dopiero co cię poznałem, a już opowiadam ci rzeczy, o jakich nie rozmawiałem nigdy z przyjaciółmi.

- Być może dlatego mi pan to mówi, że dopiero co mnie pan poznał.

- Możliwe.

Milczeli.

- Niewiele o tobie wiem - powiedział Edgar.

Gałęzie wierzby zaszeleściły.

- Moja opowieść jest krótka - zaczęła Khin Myo.

Miała trzydzieści jeden lat, urodziła się w 1855 roku jako kuzynka króla Mindona. Usłyszawszy to, Edgar spojrział ze zdziwieniem na rozmówczynię, a ona dodała szybko:

- To nieistotne; rodzina królewska jest tak liczna, że jeśli odrobina krwi królewskiej w moich żyłach miała jakieś znaczenie, to jedynie jako zagrożenie, kiedy

Thibaw wstąpił na tron.

- Nie chcesz powiedzieć, że z zadowoleniem powitałaś brytyjskie panowanie?

- Jestem bardzo szczęśliwa - odparła Khin Myo.

- Jednak wielu Anglików żywi głębokie przekonanie - upierał się Edgar - że kolonie powinny mieć własne rządy. Do pewnego stopnia jestem gotów zgodzić się z tym. Robimy straszne rzeczy.

- I trochę dobrych.

- Nie spodziewałem się, że powie to Birmanka - rzekł Edgar.

- Sądzę, że być może błędem rządzących jest to, iż uważają, że mogą zmienić rządzonych.

Khin Myo wypowiedziała te słowa powoli: myśl - jak woda - sączyła się i rozlewała wokół nich. Edgar oczekiwał, że kobieta doda coś jeszcze na ten temat, ale kiedy odezwała się ponownie, powiedziała mu, że ojciec posłał ją w Mandalaju do małej prywatnej szkoły dla birmańskiej elity, gdzie była jedną z dwóch dziewcząt w klasie. Celowała w matematyce i w angielskim, a po jej ukończeniu została zaangażowana jako nauczycielka angielskiego; jej podopieczni byli tylko o trzy lata od niej młodszy. Uwielbiała swoją pracę i zaprzyjaźniła się z innymi nauczycielami, w tym z kilkoma Brytyjkami. Ówczesny dyrektor szkoły, sierżant, który stracił nogę w bitwie, zauważył zdolności Khin Myo i postanowił udzielać jej prywatnych lekcji po godzinach zajęć. Mówiła o nim w taki sposób, w jaki opowiada się historię z ukrytym zakończeniem, ale Edgar nie dociekał reszty. Sierżanta powaliła nagła choroba, gdy po amputacji wywiązała się gangrena. Khin Myo odeszła ze szkoły, żeby się nim opiekować. Sierżant zmarł po kilku tygodniach mającej w gorączce. Ona zaś czuła się wewnętrznie wypalona, ale wróciła do szkoły. Nowy dyrektor także zaprosił ją po godzinach do swojego gabinetu, powiedziała, spuszczać wzrok, ale kierował się innymi intencjami.

Dwa tygodnie później została zwolniona. Odtrącony zwierzchnik oskarżył ją o kradzież książek i sprzedanie ich na targu. Niewiele mogła powiedzieć na swoją obronę i, prawdę mówiąc, nie chciała. Dwie spośród jej przyjaciółek pojechały z mężami do Anglii, a Khin Myo wzdrygała się na myśl o obłapiających ją rękach dyrektora. Dwa dni po zwolnieniu pojawił się w jej domu kapitan NashBurnham, bliski przyjaciel jej ojca. Nie wspominał o dyrektorze, wiedziała, że nie potrafił.

Zaoferował jej posadę administratorki w pokojach gościnnych. Kwatery, powiedział jej tamtego ciepłego poranka, są zwykle puste, mogłabyś przyjmować przyjaciółki, a nawet dawać lekcje. W tym samym tygodniu

wprowadziła się, a w następnym zaczęła uczyć angielskiego przy stoliku pod drzewami papai. Trwa to już cztery lata.

- A jak poznałaś doktora Carrolla? - zapytał Edgar.

- Podobnie jak pan, gościł kiedyś w Mandalaju.

Resztę popołudnia spędzili na brzegu rzeki, rozmawiając w cieniu wierzb, a Khin Myo mówiła głównie o Birmie, o uroczystościach, o opowieściach, które poznawała, dorastając. Edgar zadawał kolejne pytania. Nie mówili ani o Katherine, ani o doktorze.

Kiedy tak siedzieli razem, mijały ich szańskie rodziny, zmierzając nad rzekę łowić ryby, prac lub bawić się na płycznach, a jeśli ktoś z miejscowych zauważył siedzącą parę, nic nie mówił; To zupełnie naturalne, że przybysz traktowany jest gościnnie; spokojny mężczyzna, który przyjechał naprawić śpiewającego słonia, jest nieśmiały i chodzi jak człowiek niepewny świata; my także dotrzymalibyśmy mu towarzystwa, aby poczuł się mile widziany, ale nie mówimy po angielsku. On nie mówi po szańsku, ale stara się, mówi som taetae kha, gdy mija nas na ścieżce, i kin waan, gdy smakuje mu to, co przygotował kucharz. Som taetae kha znaczy „dziękuję”. Ktoś powinien mu to powiedzieć; wszyscy wiemy, że on uważa, iż to znaczy „witaj”. Bawi się z dziećmi, co różni go od wszystkich innych przybywających tu białych mężczyzn; być może nie ma własnych. Jest małomówny, a astrologzy powiadają, że czegoś szuka; dowiedzieli się tego z położenia gwiazd w dniu jego przybycia oraz z faktu, że w jego łóżku były trzy jaszczurki taukte, wszystkie zwrócone głowami na wschód; jaszczurki zasyczały dwukrotnie, co zapamiętała sprzątająca jego pokój kobieta, która poszła zapytać astrologów, co to oznacza. Mówią, że jest jednym z ludzi, którzy mają marzenia, ale nikomu ich nie zdradzają.

Nadszedł zmierzch i w końcu Khin Myo powiedziała: Muszę iść, ale nie wyjaśniła, dlaczego. A Edgar podziękował jej za dotrzymanie mu towarzystwa;

Popołudnie było cudowne, mam nadzieję, że wkrótce znowu cię zobaczę.

Ja także mam taką nadzieję, odparła, a on pomyślał: Nie ma w tym nic złego.

Pozostał nad rzeką, dopóki nie ulotnił się zapach cynamonu i kokosu.

Edgar obudził się w środku nocy, szcękając zębami. Jest zimno; To musi być zima, pomyślał, i naciągnął na siebie jeszcze jeden koc. Spał i miał dreszcze.

Obudził się ponownie, spocony. Głowę miał rozpaloną. Obrócił się i usiadł.

Przeciągnął dłonią po twarzy, była mokra od potu. Brakowało mu tchu. Łaknął powietrza, zerwał więc koc i odsunął na bok moskitierę. Zsunął się z pośłania, w głowie mu wirowało. Na balkonie oddychał głęboko. Poczul falę mdłości i zwymiotował. W końcu zachorowałem, pomyślał, po czym zwinął się w kłębek i przyciągnął uda do klatki piersiowej, czuł, że pot na nim wysycha, marzył w wiejącym od rzeki wietrze, zasnął ponownie.

Obudziło go dotknięcie dłoni na barku. Nad nim pochylał się doktor ze stetoskopem na szyi.

- Dobrze się pan czuje, panie Drake? Co pan tutaj robi?

Mrok rzednął, świtało. Edgar jęcząc, przewrócił się na plecy.

- Moja głowa... - stęknął.

- Co się stało?

- Nie wiem, noc była okropna, było zimno i złapały mnie dreszcze, wziąłem koc, bardzo się pocilem.

Doktor położył dłoń na jego czole.

- Co mi jest? - spytał Edgar.

- Malaria. Nie mam pewności, ale wyraźnie na to wygląda. Będę musiał przyjrzeć się pańskiej krwi. - Odwrócił się i powiedział coś po szańsku do stojącego za nim chłopca. - Dam panu chininę, poczuje się pan lepiej. - Carroll wyglądał na zaniepokojonego. - Niech pan wstanie. - Pomógł Edgarowi podnieść się i zaprowadził go do łóżka. - Proszę spojrzeć, koce są nadal mokre. To paskudny przypadek. Proszę się położyć.

Doktor wyszedł. Edgar zasnął. Chłopiec obudził go, przyniósł wodę i kilka

małych pigulek, które Drake połknął. Znowu zasnął. Obudził się po południu. Carroll siedział przy jego łóżku.

- Jak pan się czuje?

- Lepiej, jak mi się zdaje, tylko bardzo chce mi się pić.

Doktor skinął głową i dał mu trochę wody.

- To normalne. Najpierw dreszcze, a potem gorączka. Później zaczyna pan się pocić. A często, jak teraz, nagle czuje się pan lepiej.

- To wróci?

- Zależy. Czasami objawy występują co dwa dni, innymi razy co trzy. W niektórych wypadkach częściej lub mniej regularnie. Gorączka jest straszna. Wiem, jak to jest, sam miałem malarię niezliczoną ilość razy. Wpadałem w delirium.

Edgar próbował usiąść. Czuł się słabo.

- Niech pan śpi - powiedział lekarz.

Edgar zasnął.

Obudził się i znowu było ciemno. Panna Ma, pielęgniarka, spała na łóżku przy drzwiach. Znowu miał wrażenie, że tężeje mu klatka piersiowa. Panował upał, powietrze było nieruchome i duszne. Nagle poczuł, że musi wyjść z pokoju.

Podniósł moskitierę i wyslizgnął się spod niej. Stał niepewnie. Był słaby, ale mógł iść. Na palcach podszedł do drzwi. Noc była ciemna, księżyc skrył się za chmurami.

Odetchnął zachłannie kilka razy, podniósł ramiona i przeciągnął się. Muszę się przejść, pomyślał, po czym cicho zszedł po schodach. Obóz wydawał się opustoszały.

Edgar był boso i schodząc ścieżką nad rzekę, czuł na podszwach stóp miły chłód ziemi.

Na brzegu było zimno, Edgar usiadł i oddychał głęboko. Obok cicho płynęła Saluin. Skądś dobiegł szelest i cichy krzyk. Edgar wstał i niespokojnie ruszył plażą w stronę wąskiej ścieżki, która biegła nad rzeką przez zarośla.

Gdy przedzierał się przez gęstwiny, dźwięk stawał się głośniejszy. Przy końcu dróżki zauważył, że na brzegu coś się porusza. Zrobił jeszcze dwa kroki i wtedy ich zobaczył; przez chwilę wstrząśnięty stał nieruchomo. Młoda szańka para leżała w płytkiej rzeki. Włosy mężczyzny były upięte z tyłu głowy, włosy kobiety rozpuszczone i rozsypane na piasku. Mokra, podciągnięta w górę tkanina okrywała jej piersi, odsłaniając gładkie biodro, obsypane piaskiem i mokre od rzecznej wody. Ramionami obejmowała plecy chłopaka, paznokcie zagłębiały się w jego tatuaże, poruszali się cicho, towarzyszył im jedynie szum przesuwającego się piasku i rzeki, która z chlupotem obmywała dwie pary stóp. Kobieta jęknęła ponownie, teraz głośniej, i zaczęła wyginać plecy w łuk, tkanina spłynęła w dół na jej ramiona, ciało skręciło się, a mokry piasek osypał się z jej bioder. Edgar potknął się i cofnął w zarośla.

Ataki gorączki wróciły, teraz jeszcze silniejsze. Ciałem stroiciela wstrząsały drgawki, szczęki miał mocno zaciśnięte, stulił ramiona, próbował objąć się za barki, ale ręce mu się trzęsły, wprawiał w drżenie łóżko i moskitierę. Na stole brzęczała miednica. Panna Ma obudziła się, podeszła i okryła go, ale nadal było mu zimno.

Próbował podziękować, ale nie mógł mówić. Miednica przesunęła się z brzękiem na krawędź blatu.

Jak podczas zeszłej nocy jego ciało ponownie płonęło. Odrzucił koce. Nie drżał już. Pot kroplił mu się na czole i zalewał oczy. Zerwał z siebie koszulę, była przemoczona, do nóg przykleiły mu się cienkie, bawełniane spodnie, walczył z pokusą zdjęcia także ich; Muszę zachować przyzwoitość, pomyślał. Ból przenikał całe ciało.

Przeciągnął dłońmi po twarzy, by wytrzeć pot, po klatce piersiowej, po ramionach.

Odwrócił się, pościel była wilgotna i ciepła; usiłował oddychać, szarpnął za moskitierę. Usłyszał kroki i ujrzał, że panna Ma idzie ku miednicy, by zmoczyć szmatkę. Podniosła moskitierę i położyła mu na głowie mokry kompres, był

zimny, przeciągała nim po całym jego ciele, a żar cofał się na krótko i wracał zaraz po tym, gdy tkanina przesunęła się dalej. W ten sposób panna Ma ściagała gorączkę, ale ta trawiła go coraz głębiej. Stracił przytomność.

I teraz unosi się nad łóżkiem, widzi samego siebie. Wilgoć spływa mu po skórze, ucieka, błyszczy, zaczyna się ruszać, to nie jest już pot, ale mrówki, które wypełzają z porów jego ciała i roją się. Jest czarny od mrówek. Zapada się w siebie i krzyczy, strząsa owady; spadają na pościel i zamieniają się w płomyki, a gdy oczyszcza się z nich, zastępują je kolejne, wyłaniając się z porów jego skóry jak z mrowiska, nie za szybko, nie za wolno, ale nieprzerwanie, pokrywają go. Krzyczy i słyszy szelest obok łóżka, teraz jest tam wiele kształtów, wydaje mu się, że je zna, doktor i panna Ma, a teraz kolejna postać, stojąca za tamtymi dwoma. Pokój jest ciemny i czerwony jak ogień. Widzi ich twarze, ale oblicza rozmazują się i roztapiają, usta stają się psimi mordami, śmiejące się usta, i tamci wyciągają po niego łapy, a każde dotknięcie jest jak lód, Krzyczy i stara się odtrącić ich ramiona. Jeden pies pochyla się nad nim i przyciska swoją mordę do jego policzka, oddech zwierzęcia cuchnie żarem i myszami, oczy mu płoną przejrzysto jak szkło, a stroiciel widzi w nich kobietę, która siedzi na brzegu rzeki, obserwując dwa ciała, i on także je widzi, brązowe ramiona obejmują szerokie plecy białe, blade i zapiaszczone, twarze blisko siebie, dyszące. Na piasku leży łódź, kobieta wsiada do niej i zaczyna wiosłować, odpływa, a on próbuje wstać, ale teraz leży w uścisku brązowych ramion i czuje śliskość, żar, i czuje, że morda rozwiera swe wargi, szorstki język wślizguje się do jego ust. Chce wstać, ale inni otaczają go, próbuje walczyć, ale pada na plecy wyczerpany. Śpi.

Budzi się wiele godzin później i czuje na głowie zimny, wilgotny ręcznik. Przy jego łóżku siedzi Khin Myo. Jedną ręką przytrzymuje kompres na jego czole.

On ujmuje drugą w swoją dłoń. Kobieta nie cofa jej.

- Khin Myo... - mówi.

- Cicho, panie Drake, niech pan śpi.

Gorączka minęła o świcie. Był poranek trzeciego dnia choroby Edgara. Obudził się i był sam. Pusta miednica stała na podłodze obok łóżka, z boku wisiały dwa ręczniki. Bolała go głowa. Miniona noc była gorączkowym majakiem. Teraz leżał na wznak i próbował sobie przypomnieć, co zaszło. Pojawiły się obrazy dziwne i niepokojące. Przewrócił się na bok. Pościel była wilgotna i chłodna. Zasnął.

Edgar obudził się na dźwięk swojego imienia, wypowiedzianego męskim głosem. Odwrócił się. Na brzegu jego łóżka siedział doktor Carroll.

- Lepiej pan dzisiaj wygląda, panie Drake.

- Tak, myślę, że tak. Czuję się znacznie lepiej.

- Cieszę się. Zeszła noc okazała się okropna. Nawet ja byłem zaniepokojony... a widziałem tyle przypadków.

- Nie pamiętam. Przypominam sobie jedynie, że widziałem pana, Khin Myo i pannę Ma.

- Khin Myo tutaj nie było. To musiał być majak.

Leżąc na łóżku, Edgar spojrzał w górę. Doktor przyglądał mu się z twarzą surową i pozbawioną wyrazu.

- Tak, prawdopodobnie to był tylko majak - powiedział Edgar, odwrócił się i znowu usnął.

W ciągu następnych kilku dni gorączka pojawiała się sporadycznie, ale nie była już tak wysoka, a straszliwe sny nie wróciły. Panna Ma opuściła swój posterunek przy łóżku Edgara i zajęła się pacjentami w szpitalu, ale odwiedzała go w ciągu dnia.

Przynosiła owoce, ryż i zupę, która smakowała imbirem i sprawiała, że Edgar pocił się i dostawał dreszczy, a ona go wachlowała. Któregoś dnia panna Ma przyniosła nożyczki, by obciąć mu włosy. Doktor wyjaśnił, że według wierzeń Szanów pomaga to zwalczyć chorobę.

Stroiciel zaczął wstawać. Stracił na wadze i ubranie wisiało na jego szczupłym

ciele jeszcze luźniej niż dotąd. Większość czasu spędzał na balkonie, siedząc i patrząc na rzekę. Doktor zaprosił raz jakiegoś człowieka, by zagrał dla stroiciela na szańskim flecie, więc Edgar usiadł na łóżku pod moskitierą i słuchał muzyki. Pewnej nocy, gdy był sam, usłyszał, że ktoś gra na fortepianie. Dźwięki płynęły w powietrzu nad obozem. Z początku Edgar myślał, że to kompozycja Chopina, ale melodia się zmieniła, stała się nieuchwytna i elegijna, jakiej nigdy dotąd nie słyszał.

Stopniowo na twarz wróciły mu rumieńce i zaczął znowu dotrzymywać doktorowi towarzystwa podczas posiłków. Carroll zapytał go o Katherine, a on opowiedział mu, jak się poznali. Głównie jednak słuchał. Opowieści o wojnie, o szańskich obyczajach, o mężczyznach, którzy wiosłowali na swych łodziach za pomocą nóg, o mnichach obdarzonych mistycznymi mocami. Carroll powiedział mu, że wysłał do Towarzystwa Linneusza opis nowego kwiatu i że zaczął tłumaczyć na szański

Odyseję Homera.

- Moja ulubiona opowieść, panie Drake, jedyna, w której znajduję najbardziej osobiste odniesienia. - Tłumaczył ją, jak powiedział, dla szańskiego gawędziarza, który poprosił o legendę, „jaką można opowiadać w nocy przy ognisku”. - Przekładam teraz pieśń Demodokosa. Nie wiem, czy ją pan pamięta. Demodokos śpiewa o splądrowaniu Troi, a Odyseusz, wielki wojownik, woła, że to brzmi jak „kobiece szlochy”.

W nocy poszli posłuchać gry muzykantów - dźwięki bębnów, czyneli, harf i fletów mieszały się z odgłosami dżungli. Zostali do późna, a kiedy wrócili do swoich pokoi, Edgar wyszedł na balkon i słuchał nadal.

Po kilku dniach doktor spytał:

- Jak pan się czuje?

- Dobrze. Dlaczego pan teraz o to pyta?

- Muszę znowu wyjechać. Moja nieobecność powinna potrwać tylko parę dni.

Khin Myo zostanie. Nie będzie pan skazany na samotność.

Doktor nie powiedział stroicielowi, dokąd się wybiera, a on nie widział jego odjazdu.

Następnego ranka wstał i poszedł nad rzekę, by przyglądać się rybakom. Stał w zaroślach obsypanych kwiatami i obserwował pszczoły latające między łąkami barw.

Zagrał z dziećmi w piłkę, ale szybko się zmęczył i wrócił do swojego pokoju.

Usiadł na balkonie, spoglądał na rzekę i obserwował ruch słońca. Kucharz przyniósł mu lunch, bulion ze słodkimi kluskami i smażonymi, chrupiącymi kawałkami czosnku. Kin

Waan, powiedział Edgar po spróbowaniu dania, a kucharz uśmiechnął się.

Nadeszła noc i stroiciel zasnął zdrowym snem, w którym śnił, że tańczy podczas święta. Wieśniacy grali na dziwnych instrumentach, a on poruszał się jakby w takt walca, ale tańczył sam.

Następnego dnia Edgar postanowił napisać w końcu do Katherine. Zaczęła niepokoić go nowa myśl, że przedstawiciele armii poinformowali jego żonę, iż opuścił

Mandalaj. Musiał więc przekonać samego siebie, że wyraźnie okazywany przez wojskowych brak zainteresowania Katherine przed jego wyjazdem - co wtedy tak go złościło - oznaczał, iż jest jeszcze mniej prawdopodobne, by kontaktowali się z nią teraz.

Wyjął papier, pióro i napisał jej imię. Zaczął opisywać Mae Lwin, ale przerwał po kilku liniach. Chciał opowiedzieć żonie o znajdującej się na wzniesieniu wiosce, ale zrozumiał, że widział ją tylko z daleka. Na zewnątrz było nadal rześko. Dobra pora na przechadzkę, uznał, ruch dobrze mi robi. Włożył kapelusz i - pomimo gorąca - kamizelkę, którą w Angin nosił zazwyczaj podczas letnich spacerów. Zszedł na polanę leżącą w środku obozu.

Od strony rzeki szły w górę dwie kobiety, niosąc kosze ubrań; jedna oparła kosz na biodrze, a druga balansowała ciężarem umieszczonym na zawiniętej w turban głowie. Edgar poszedł za nimi wąską dróżką, która zagłębiała się w las i

wspinała na szczyt góry. W ciszy lasu kobiety usłyszały za sobą jego kroki, odwróciły się i zachichotały, szepecząc coś do siebie po szańsku. Edgar uchylił kapelusza. Drzewa rosły tu rzadziej, kobiety wspinały się po stromym wzniesieniu, idąc w kierunku wsi, która rozciągała się na zboczu. Edgar podążał za nimi, a kiedy weszli do wioski, kobiety odwróciły się ponownie i zachichotały, a on ponownie uchylił kapelusza.

Minął grupę domów wzniesionych na palach. W drzwiach jednej z chałup przycupnęła starsza kobieta; wzorzysta tkanina sukni opinała się na jej kolanach. W cieniu spały dwie chude świnię; zwierzęta chrapały, a ich ogony się trzęsły. Kobieta paliła cygaro grubości swego nadgarstka. - Dzień dobry - powiedział Edgar, przechodząc obok. Wolno wyjęła z ust cygaro, ściskając je między palcami, pełnymi narośli i obciążonymi pierścieniami. W zasadzie Edgar spodziewał się, że stara mruknie coś jak goblin, ale jej wargi rozchyliły się w szerokim, bezzębny uśmiechu, odsłaniając poplamione betelem i tytoniem dziąsła. Twarz kobiety gęsto pokrywały tatuaże, ale nie były to ciągłe linie, jak u mężczyzn, lecz setki małych kropek, układających się we wzór, który przypominał Edgarowi planszę do gry w cribbage. Później dowie się, że stara nie była Szanką, ale pochodziła z zachodu, z plemienia Czin, co szczegółowo opisywały upiększające ją rysunki.

- Do widzenia pani - powiedział stroiciel, a kobieta z powrotem włożyła cygaro do ust i zaciągnęła się tak głęboko, że jej pomarszczone policzki się zapadły. Edgar przypominał sobie wszechobecne w Londynie tablice reklamowe: Cygara De Joy, jedno cygaro przynosi natychmiastową ulgę w najgorszym ataku astmy, kaszlu, bronchitu i zadyszki.

Szedł dalej. Minął małe, wyschnięte pola, które wznosiły się tarasowato. Z powodu suszy pora sadzenia miała się dopiero rozpocząć i na zaoranych gruntach sterczały twarde suche bryły. Chaty, które widział, zbudowano na palach różnej wysokości, ściany chat podobnie jak w obozie, wykonano z tworzących geometryczne wzory przeplecionych pasów bambusa. Pomijając

rozbiegające się grupki brudnych dzieci, droga była pusta, lecz widział, że wielu ludzi schroniło się w domach. Było gorąco, tak gorąco, że nawet najlepsi wróżbiarze nie przewidzieli, że to będzie dzień, kiedy na płaskowyż Szan wróca deszcze. Kobiety i mężczyźni siedzieli w cieniu i rozmawiali, nie mogąc zrozumieć Anglika, który wybrał się na spacer w taki upał.

W jednej z chałup Edgar usłyszał dzwonięcie i przystanął, by zajrzeć do środka. Dwaj mężczyźni bez koszul, lecz w niebieskich, luźnych, szańskich spodniach, kucali na podłodze i walili młotkami w metal. Stroiciel słyszał, że Szanowie cieszą się opinią zręcznych kowali; na targu w Mandalaju kapitan NashBurnham pokazał mu noże wykute przez Szanów. Ciekawe, skąd biorą surowiec, pomyślał Edgar i przyjrzał się dokładniej. Jeden z mężczyzn trzymał między palcami stóp hak szynowy, który opierał na kowadle i walił w niego młotkiem. Nie buduj kolei w kraju głodnych kowali, pomyślał Drake, i zabrzmiało to tajemniczo jak aforyzm.

Na drodze minęli go dwaj mężczyźni. Każdy miał na głowie olbrzymi kapelusz z szerokim rondem, podobny do tych, które na powszechnie znanych pocztówkach noszą pracujący na polach ryżowych; w tym jednak wypadku boczne krawędzie nakrycia głowy opadały Szanom na uszy, w związku z czym przód kapelusza obejmował twarz niczym olbrzymi kaczki dziób. To prawda, są jak szkoccy górale, pomyślał stroiciel, który wyczytał gdzieś to porównanie, ale nigdy go nie rozumiał, póki nie ujrzał obszernego kapelusza i szerokich, przypominających kilt spodni.

Poprzedzające Edgara kobiety wstąpiły do jednej z chałup, przed którą stała dziewczyna, trzymająca dziecko. Stroiciel przystanął, by popatrzeć na lot ptaka myna, i spostrzegł, że obserwują go uważnie zza drzwi.

Wkrótce spotkał grupę starszych chłopców, grających w chinlon. To była ta sama gra, w którą bawiły się dzieci na obozowej polanie; zawsze przekształcała się w futbol, gdy tylko Edgar próbował się do niej przyłączyć. Stał i przyglądał się. Jeden z chłopców wyciągnął w jego stronę piłkę, jakby

zapraszając do zabawy, ale stroiciel potrząsnął głową i skinieniem pokazał im, by grali dalej. Przejęci obecnością widza, chłopcy ochoczo wrócili do gry, starając się za pomocą stóp jak najdłużej utrzymać w powietrzu plecioną rattanową kulę. Podbijali ją, nurkowali pod nią, kopali ją i wykonywali wysoko w powietrzu młynki, by posłać ją w górę. Edgar stał i obserwował przez chwilę grę, aż zabłąkana piłka poleciała w jego stronę, a wtedy wystawił nogę, żeby ją zatrzymać, i plecionka spadła z powrotem na środek kręgu, gdzie jeden z chłopców podjął grę. Inni zareagowali okrzykami radości, a Edgar, oddychając z trudem i podniecony wysiłkiem, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, kiedy pochylił się, by otrzepać buty z kurzu. Obejrzał jeszcze kilka akcji, a potem ruszył w dalszą drogę, gdyż obawiał się, że następnym razem, kiedy piłka poleci w jego kierunku, nie powiedzie mu się tak dobrze.

Niebawem minął kilka kolejnych domów; w cieniu jednego z nich grupa kobiet siedziała przy warsztacie tkackim. Mały nagi chłopiec, który na drodze gonił kurczaki, przystanął na widok przechodzącego Edgara; to nowe zwierzę najwyraźniej było dużo bardziej interesujące od skrzekliwego ptactwa. Stroiciel zatrzymał się przy chłopcu.

Buzia dziecka była całkowicie pokryta thanaka i blada jak twarzyczka leśnego elfa.

- Jak się masz, mały przyjacielu? - spytał Edgar, przykucnął i wyciągnął dłoń. Chłopiec stał i patrzył beznamiętnie; brzusek miał spuchnięty i brudny. Zaczął sikać.

- Aaaaj!

Ze schodów domu zbiegła młoda dziewczyna, podniosła dziecko i starając się powstrzymać chichot, odwróciła je w inną stronę. Kiedy malec przestał sikać, umieściła go na swoim szczupłym biodrze, naśladując zachowanie starszych kobiet.

Pogroziła chłopczykowi palcem. Edgar odwrócił się, chcąc odejść, i ujrzał, że na drodze za nim zebrała się grupka dzieci.

Drogą, pod górę, jakaś kobieta prowadziła domowego bawołu, i dzieciarnia rozstąpiła się, by przepuścić uwalane błotem zwierzę. Edgar patrzył na gruby, krzaczasty ogon, którym bawół leniwie opędzał się od much siadających mu na grzbiecie.

Stroiciel szedł dalej, a dzieci podążały za nim w pewnej odległości. Niebawem szlak wzniosł się lekko i Edgar rozejrzał się po małej dolinie pokrytej leżącymi odłogiem tarasowatymi polami ryżowymi. Na poboczu drogi siedziało dwóch mężczyzn, którzy uśmiechali się szeroko, po szkańsku, do czego stroiciel zaczynał się przyzwyczajać. Jeden z mężczyzn wskazał grupkę dzieci i coś powiedział, a Edgar odparł: Tak, spora gromadka, i obaj roześmiali się, chociaż żaden z nich nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział drugi.

Było niemal południe i Edgar zauważył, że poci się obficie. Przystanął na chwilę w cieniu małego magazynu z ziarnem i obserwował jaszczurkę, która na przemian podnosiła się i opadała na nagim kamieniu. Wyjął chusteczkę i otarł czoło. Tyle czasu spędził na strojeniu fortepianu lub siedząc na balkonie, że nie doświadczył ani działania słońca, ani suszy. A teraz martwe pola drżały w upale. Edgar poczekał chwilę, mając nadzieję, że przestanie być atrakcją dla dzieci i że odejdą, ale ich tłum jedynie zgęstniał.

Szedł drogą, która zdawała się prowadzić z powrotem do obozu. Niebawem minął kapliczkę, gdzie ktoś złożył rozmaite ofiary - kwiaty, kamyki, amulety, małe pojemniczki, których zawartość wyparowała dawno temu, suchy lepiący się ryż i małe gliniane figurki. Samą kapliczkę zbudowano na kształt małej świątyni. Była podobna do tych, które Edgar widział na nizinach; wzniesiono je, jak wyjaśnił doktor, ku czci ducha zwanego przez Szanów „Panem Miejsca”.

Edgar, który nie uważał się nigdy za człowieka przesądnego, przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu czegoś, co mógłby zostawić, ale znalazł jedynie pocisk. Nerwowo rozejrzał się wokół siebie. Nie było nikogo prócz dzieci. Zawrócił.

Szedł dalej. Daleko przed sobą ujrzał na drodze kobietę idącą pod parasolką.

To był obraz, który wielokrotnie widywał na nizinach, ale nie na płaskowyżu: słońce w górze, samotna kobieta ocieniona parasolką, suknia błyszcząca na tle mirażu drogi.

Powietrze było nieruchome; Edgar stanął i patrzył na cienką kreskę kurzu, wznoszącego się spod stóp idącej. A potem nagle dotarł do niego bezsens tej sceny; szańskie kobiety używające kapeluszy z szerokimi rondami lub turbanów rzadko kiedy nosiły parasolki.

Po przejściu stu kroków rozpoznał Khin Myo.

Zbliżyła się bez słowa. Miała na sobie piękną, jedwabną, czerwoną hta main i wyprasowaną bawełnianą białą bluzkę, która zwisała luźno i powiewała na wietrze.

Twarz kobiety pokrywały grube, równe linie thanaka, a włosy miała zaczesane do tyłu i spięte szpilką z wypolerowanego drewna tekowego, ozdobionego delikatnym rytym.

Kilka kosmyków uwolniło się i opadło jej na twarz. Kobieta odsunęła je i powiedziała:

- Szukam pana. Kucharz mówił, że widział pana idącego do wioski. Chciałam się przyłączyć. Jedna z szańskich dziewcząt powiedziała mi, że zaczął kwitnąć nwè ni, chyba nazywacie to powojem, i pomyślałam sobie, że moglibyśmy pójść tam razem.

Czuje się pan na siłach?

- Tak. Sądzę, że mam się lepiej.

- Cieszę się, bardzo się martwiłam - odpowiedziała.

- Tak jak ja... Miałem mnóstwo... dziwnych, strasznych snów. Zdawało mi się, że cię widzę.

Milczała przez chwilę.

- Nie chciałam, żeby był pan sam, to wszystko. - Dotknęła jego ramienia. -

Chodźmy.

Kiedy szli wolno drogą, dzieciarnia wlokła się za nimi. Khin Myo zatrzymała

się i obejrzała.

- Zamierza pan prowadzić swój... jak to powiedzieć?

- Entourage?

- To francuskie słowo, prawda?

- Tak sędzę. Nie wiedziałem, że mówisz po francusku.

- Nie mówię. Znam tylko kilka słów. Doktor Carroll lubi uczyć mnie ich znaczenia.

- No cóż, chciałbym się nauczyć, jak powiedzieć swemu entourage „Do domu!”. Są cudowne, ale nie przywykłem do takiego zainteresowania.

Khin Myo odwróciła się i powiedziała coś do dzieci. Pisnęły i odbiegły na kilka kroków, po czym zatrzymały się i nadal patrzyły. Khin Myo i Edgar Drake ruszyli przed siebie. Dzieci nie podążyły za nimi.

- Co im powiedziałaś? - spytał stroiciel.

- Że Anglicy zjadają szańskie dzieci - odparła.

Edgar uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że nie jest to propaganda, o jaką nam chodzi - stwierdził.

- Och, wręcz przeciwnie. Wiele najbardziej znanych szańskich duchów zjada dzieci. I czczono je na długo przed waszym przybyciem.

Szli ścieżką prowadzącą na małe wzgórze. Minęli dom, który według Khin Myo należał do starej kobiety o złym oku; Birmanka ostrzegła Edgara, by był ostrożny.

Nawet to powiedziała wesoło i lekko, lecz ze śladem smutku w głosie, co stroiciel zapamiętał z ich, jak mu się wydawało, bardzo odległej rozmowy nad rzeką. Weszli do małego zagajnika i zaczęli wspinać się na wzniesienie. Drzewa przerzedziły się, a ziemię pokryły kwiaty.

- Czy to są te, których szukasz? - spytał Edgar.

- Nie, chodzi o łąkę z drugiej strony szczytu. Chodźmy.

Dotarli na szczyt wzgórza i spojrzeli na drugą stronę, na pole krzewów obsypanych pomarańczoworóżowymi i ciemnoczerwonymi kwiatami.

- Och, jakie piękne! - wykrzyknęła Khin Myo i jak dziecko pobiegła w dół. Edgar uśmiechnął się i podążył za nią; najpierw szedł, ale potem, wbrew sobie, także zaczął biec. Niezbyt szybko. Khin Myo przystanęła i coś powiedziała, więc on także usiłował się zatrzymać, ale z impetem podskoczył raz i drugi, zanim w końcu znieruchomiał obok swojej towarzyszki. Brakowało mu tchu, a twarz miał czerwoną i błyszczącą.

Khin Myo spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Podskakiwał pan? - spytała.

- Podskakiwałem?

- Wydaje mi się, że dopiero co widziałam, jak pan podskakuje.

- Nie, nigdy w życiu, po prostu biegłem zbyt szybko i nie mogłem się zatrzymać.

Kobieta roześmiała się.

- Chyba widziałam, jak pan skacze! Panie Drake... A teraz, proszę, rumieni się pan.

- Nie rumienię się!

- Właśnie, że tak. Właśnie teraz czerwieni się pan!

- To oparzenie słoneczne; to coś, co przydarza się Anglikom, kiedy wychodzą na słońce.

- Nie uwierzę, panie Drake, żeby nawet najdelikatniejsza angielska osłonięta kapeluszem skóra doznała tak szybko oparzenia.

- Zatem to wysiłek. Nie jestem młody.

- Zatem to wysiłek, panie Drake - mówiąc to, Khin Myo dotknęła ponownie jego ramienia. - Chodźmy przyjrzeć się kwiatom.

To nie była łąka, do jakiej widoku Edgar był przyzwyczajony, ani też spokojne, pokryte rosą pole, które znał z angielskiej wsi. Tu było sucho, a łądygi i zarośla wystrzelały z twardej gleby pokryte setkami kwiatów w odcieniach, jakich sobie nawet nie wyobrażał, gdyż człowiek wyszkolony w rozpoznawaniu różnic między dźwiękami może się nie poznać na subtelnościach obrazu.

- Gdyby tylko spadł deszcz - powiedziała Khin Myo - byłoby jeszcze więcej kwiatów.

- Wiesz, jak się nazywają? - zapytał.

- Tylko niektóre. Więcej wiem na temat kwiatów nizin, ale doktor Carroll nauczył mnie kilku nazw. To jest kapryfolium. Ten tutaj to odmiana pierwiosnka, występująca także w Chinach. A tutaj rośnie ziele świętego Jana, tam zaś dzikie róże. - Idąc, zrywała kwiaty.

Spoza grzbietu wzgórza usłyszeli śpiew, a po chwili wyłoniła się stamtąd młoda szańska dziewczyna; najpierw ukazała się jej głowa, jakby pozbawiona ciała, potem tors, a później nogi i stopy, którymi tupiała na ścieżce. Szła szybko, pochylając z szacunkiem głowę. Dziesięć kroków dalej odwróciła się, by spojrzeć na nich ponownie, a potem przyspieszyła kroku i zniknęła za wzniesieniem.

Ani Edgar, ani Khin Myo nic nie mówili, dlatego był ciekaw, czy jego towarzyszka zauważyła, co kryło się w spojrzeniu dziewczyny; co to znaczyło, że są tutaj razem, sami na łące pełnej kwiatów. W końcu Edgar odchrząknął.

- Być może powezmą błędne przypuszczenie, skoro jesteśmy tutaj sami - powiedział stroiciel i natychmiast pożałował swoich słów.

- Co pan ma na myśli?

- Przepraszam, mniejsza o to.

Spojrzał na Khin Myo. Stała bardzo blisko i czuł, że wiejący wiatr miesza zapach kwiatów z wonią jej perfum.

Być może kobieta wyczuła jego zakłopotanie, gdyż nie zapytała ponownie, tylko ukryła nos za kwiatami i powiedziała: - Proszę powąchać, nic nie może się równać z tym aromatem. - Edgar pochylił wolno swoją głowę ku jej, pomiędzy ich ustami unosił się jedynie zapach kwiatów. Nigdy jeszcze nie widział Khin Myo z tak bliska, szczegółów tęczy, szczeliny między wargami ani delikatnego pudru thanaka na policzkach. W końcu kobieta podniosła wzrok i powiedziała: - Robi się późno, panie

Drake. Niedawno był pan chory. Powinniśmy wracać. Być może doktor Carroll jest już w obozie.

Nie czekała na jego odpowiedź, ale wyjęła powój ze swojego bukietu, sięgnęła ręką za głowę i wpięła kwiat we włosy. Ruszyła z powrotem w stronę fortu.

Edgar Drake patrzył przez chwilę, jak Khin Myo oddała się, a potem poszedł jej śladem.

Doktor Carroll nie wrócił tego popołudnia, ale za to po sześciu miesiącach suszy na płaskowyż Szan powrócił deszcz. Ulewa złapała Edgara i Khin Myo, kiedy schodzili do obozu, więc zaczęli biec, śmiejąc się, a wielkie ciepłe krople wirowały w powietrzu i spadały z siłą gradu. W ciągu kilku minut byli przemoczeni do suchej nitki, Khin Myo, z parasolką u boku, biegła przed Edgarem; ciężkie krople rozwichrzyły jej włosy. Powój utrzymał się krótko, przylepiony przez napięcie powierzchniowe kropli deszczu, a potem, niesiony przez nie, spłynął na ziemię. Nie przerywając szaleńczego biegu po błocie, Edgar ze zwinnością, która go zdumiała, wyciągnął rękę i podniósł kwiat. Na skraju wsi przebiegli przez tłum pędzących w górę znad rzeki i starających się uciec przed nagłą ulewą, wszyscy śmiali się, osłaniali głowy i krzyczeli. A na każdą kobietę, która szukała schronienia w obawie o dokładnie zawiązany turban, przypadała dwójka dzieci, które wybiegały na deszcz, by tańczyć w powiększającej się na polanie kałuży. W końcu Edgar i Khin Myo skryli się pod okapem przed jej pokojem.

Woda lała się z dachu i spadała jak kurtyna, oddzielając ich od rozbrzmiewających w obozie krzyków.

- Jest pan przemoczony - zaśmiała się Khin Myo. - Niech pan spojrzy.

- Ty także - powiedział Edgar.

Przyglądał się kobiecie, jej przylepionym do karku długim czarnym włosom i cienkiej bluzce, która przylgnęła do ciała. Przez półprzezroczystą tkaninę widać było skórę, a w bawelnie odciskał się zarys piersi. Khin Myo spojrzała na niego i odsunęła z twarzy wilgotne włosy.

Stał i patrzył na nią, a ona przez chwilę wytrzymała jego wzrok. Czuł, że coś się w nim poruszyło, pragnienie, żeby kobieta zaprosiła go do swojego pokoju, oczywiście tylko po to, żeby się wytarł, nigdy nie poprosiłby o nic więcej. Tylko żeby się osuszył, a potem, w mroku pokoju pachnącego kokosem i cynamonem życzenie, żeby ich dłonie otarły się, najpierw przypadkowo, potem znowu, być może śmielej, rozmyślnie, żeby ich palce spotkały się i splotły i żeby oboje stali tak przez chwilę, aż ona spojrzałaby w górę, a on spojrzałby w dół. I gdy stali na zewnątrz, i czuli na skórze chłód deszczu, Edgar zastanawiał się, czy Khin Myo myśli o tym samym.

I być może mogłoby tak być, gdyby Edgar postępował ze spontanicznością deszczu i ruszył ku kobiecie z tą samą śmiałością, z jaką spadała woda. Ale nie teraz.

To zbyt duże wymaganie w stosunku do mężczyzny, którego życie określało tworzenie porządku, by dzięki niemu inni mogli tworzyć piękno. To zbyt wiele, by oczekiwać od kogoś, kto tworzy zasady, żeby je złamał. Tak więc po długim milczeniu, gdy oboje stoją i słuchają deszczu, rozlega się jego głos i Edgar mówi:

- Lepiej przebierzmy się. Muszę znaleźć suche ubranie.

Ulotne słowa, które znaczą i mało, i dużo.

Padało przez całe popołudnie i całą noc, a rano, kiedy niebo przejaśniło się, doktor Anthony Carroll, po całonocnej podróży w deszczu, ścigając się z burzą, wrócił do Mae Lwin w towarzystwie emisariusza szańskiego księcia Mongnai.

17

Edgar siedział na balkonie i patrzył na spienione wody Saluin, gdy usłyszał stukanie końskich kopyt. Jeźdźcy wjechali na teren obozu: najpierw doktor Carroll, a za nim Nok Lek i nieznany stroicielowi mężczyzna.

Na polanę natychmiast wybiegła grupa chłopców, żeby pomóc jeźdźcom zsiąść z wierzchowców. Nawet z tej odległości Edgar widział, że podróżni są przemoknięci.

Doktor zdjął korkowy hełm i wsadził go sobie pod pachę, po czym podniósł wzrok i ujrzał siedzącego stroiciela.

- Dzień dobry, panie Drake! - zawołał. - Proszę zejść na dół. Chcę pana komuś przedstawić.

Edgar podniósł się z krzesła i zszedł na polanę. Gdy dotarł do grupy ludzi, chłopcy odprowadzili już pony, a Carroll wycierał rękawice. Miał na sobie jeździecką kurtkę i schlapane błotem sztylpy. W ustach trzymał wilgotne, tłące się cygaro. Na zarumienionej twarzy widać było zmęczenie.

- Ufam, że przeżył pan jakoś moją nieobecność?

- Tak, doktorze, dziękuję. Nadeszła pora deszczowa. Popracowałem jeszcze trochę przy fortepianie i myślę, że jest już nastrojony.

- Doskonale, doskonale, panie Drake. To jest właśnie to, co chciałem usłyszeć, i za chwilę wyjaśnię, dlaczego. Ale najpierw proszę pozwolić, że przedstawię pana przybyłemu ze mną Yawng Shwe. - Odwrócił się do swojego towarzysza, który skłonił się lekko, po czym wyciągnął dłoń. Edgar uściśnął ją.

- Jak pan widzi, jest obeznany z naszymi zwyczajami - powiedział Carroll o gościu.

- Miło mi pana poznać, sir - rzeki Edgar.

- Nie mówi po angielsku - wyjaśnił Carroll, krzywiąc się. - Yawng Shwe przybył tutaj jako emisariusz sawbwy Mongnai. Musiał pan słyszeć o tym księstwie. Leży na północy. Szańki księżę, sawbwa stanu Mongnai, jest tradycyjnie jednym z najpotężniejszych po tej stronie Saluin. Gnaliśmy całą noc, gdyż jutro sawbwa odwiedzi Mae Lwin, a ja rozszerzyłem zaproszenie, nalegając, by zatrzymał się w obozie. To jego pierwsza wizyta tutaj. - Doktor zamilkł na chwilę. - Chodźmy - powiedział, odgarniając z twarzy mokre włosy.

- Napijmy się czegoś przed dalszą rozmową. Pomimo deszczu jesteśmy bardzo spragnieni po całonocnej jeździe.

Czterej mężczyźni zwrócili się w stronę zbocza góry i ruszyli w kierunku kwatery głównej. Idąc u boku Edgara, Carroll odezwał się ponownie:

- Jestem bardzo zadowolony, że przygotował pan fortepian. Zdaje się, że będzie potrzebny wcześniej, niż się tego spodziewaliśmy.

- Słucham?

- Chciałbym, żeby zagrał pan dla sawbwy, panie Drake. - Doktor zauważył, że Edgar chce coś powiedzieć, ale nie dopuścił go do głosu. - Resztę wyjaśnię później.

Sawbwa sam jest znakomitym muzykiem, a ja dużo opowiadałem mu o fortepianie.

Edgar przystanął.

- Ależ doktorze - zaprotestował - nie jestem pianistą. Mówiłem to panu wiele razy.

- Nonsens, panie Drake. Słyszałem, jak pan grał podczas strojenia. Być może nie jest pan gotów do występu w londyńskiej sali koncertowej, ale z powodzeniem może pan grać w dżunglach Birmy. A poza tym, nie mamy innego wyboru.

Powiedziałem sawbwie, że przybył pan tu specjalnie dla niego; ja muszę pozostać przy boku księcia, by mu objaśniać muzykę. - Carroll utkwiał wzrok w twarzy stroiciela i położył dłoń na jego ramieniu. - Stawka jest wysoka, panie Drake.

Edgar potrząsnął ponownie głową, ale doktor nie dał mu kolejnej okazji do odezwania się.

- Niech mi pan pozwoli wygodnie umieścić naszego gościa, a potem przyjdę do pańskiego pokoju.

Następnie zawołał coś po szańsku do chłopca, który stał w drzwiach budynku dowództwa. Emisariusz sawbwy roześmiał się i mężczyźni zniknęli w środku.

Edgar wrócił do swojego pokoju. Czekając na doktora, przemierzał niespokojnie pomieszczenie; To śmieszne, nie muszę uczestniczyć w jego gierkach; Nie po to tutaj przyjechałem; Mówiłem mu wiele razy, że nie jestem pianistą; Zachowuje się jak

Katherine, oboje tego nie rozumieją.

Czekał. Minęła godzina, potem chyba dwie, chociaż Edgar me był tego pewien; nie mógł nawet dla przyjemności spoglądać co jakiś czas na zepsuty zegarek, gdyż niedawno wsadził go gdzieś do bagaży.

Kolejna godzina. Niepokój odczuwany przez Edgara powoli zaczął narastać.

Być może doktor zmienił zdanie, zastanawiał się. Przemyślał to sobie starannie i doszedł do wniosku, że to zły pomysł; Nie jestem gotów do takich popisów.

Czekał, coraz bardziej przekonany, że ma rację. Wyszedł na balkon, ale widział tylko kobiety nad rzeką.

W końcu usłyszał kroki na schodach. Pojawił się jeden z usługujących chłopców.

- Doktor Carroll dawać to panu - powiedział, wręczył kartkę i uklonił się.

Edgar otworzył list napisany - jak wszystkie inne, które tu widział - na szafkowym papierze, ale tym razem charakter pisma był niedbały i zdradzał pośpiech.

Panie Drake, przepraszam, że mimo obietnic nie spotkałem się z Panem. Muszę poświęcić wysłannikowi sawbwy więcej uwagi, niż się spodziewałem, i niestety nie będę mógł z

Panem porozmawiać o Pańskim występie. Moja jedyna prośba brzmi następująco:

Jak Pan wie, sawbwa Mongnai jest jednym z przywódców konfederacji Limbina, z którą siły brytyjskie pod dowództwem pułkownika Stedmana od dwóch miesięcy są w stanie wojny. Mam nadzieję, że podczas pobytu swabwy w Mae Lwin przedstawię wstępny projekt traktatu pokojowego i, co ważniejsze, poproszę księcia, by umożliwił mi spotkanie z przedstawicielami konfederacji.

Proszę Pana tylko o to, żeby wybrał

Pan i zagrał utwór, który napełni duszę sawbwy uczuciem przyjaźni, a także przekona go, że nasze propozycje wypływają z dobrych intencji. Świącie wierzę i ufam, że wybierze Pan i wykona utwór odpowiedni na taką okazję.

A. C.

Edgar podniósł wzrok w poszukiwaniu kogoś, wobec kogo mógłby

zaprotestować, ale chłopca już nie było. Kiedy wyjrzał na zewnątrz, obóz świecił pustkami. Zaklął.

Noc spędził w pomieszczeniu, w którym stał fortepian; siedząc na ławce przed instrumentem, zastanawiał się, zaczynał grać jakieś utwory i przerywał je. Nie, ten się nie nadaje, nie mogę go zagrać, decydował, po czym zaczynał inny.

Myśli o tym, co powinien wykonać, pojawiały się na przemian z pytaniami o to, co oznacza ta wizyta, kim jest sawbwa i co doktor zamierzał osiągnąć za sprawą muzyki i spotkania. O świcie oparł ręce i głowę na klawiaturze i usnął.

Było popołudnie, kiedy Edgar obudził się, mając wrażenie, że zasnął w swoim warsztacie w Anglii. W drodze do zajmowanego przez siebie pokoju zauważył ze zdumieniem, jak bardzo obóz zmienił się przez noc. Ze ścieżki zmieciono zanieczyszczenia pozostałe po deszczu i położono na niej świeże kawałki drewna. Na domach, w świetle zmierzchu, trzepotały chorągwie. Jedynym znakiem brytyjskiej obecności była flaga wisząca przed kwaterą główną, która pełniła teraz rolę sali jadalnej. Flaga wydawała się być dziwnie nie na miejscu, nigdy wcześniej nie widział jej w obozie; ale teraz uznał, że to nie jest aż tak niezwykle - w końcu był to brytyjski fort.

Wrócił do pokoju, umył się i ubrał. Wczesnym wieczorem do drzwi zapukał służący i poprowadził go schodami pod górę do głównego budynku placówki, gdzie strażnik pouczył go, by zdjął buty przed wejściem. Znajdujące się wcześniej we wnętrzu stoły i krzesła zastąpiono niskimi wiklinowymi stolikami, przed którymi położono poduszki. W sali panowała cisza; sawbwa i jego orszak mieli dopiero przybyć. Edgara poprowadzono przez pokój do miejsca, gdzie siedział Carroll z Khin

Myo. Doktor miał na sobie szański strój, elegancko skrojoną, białą, bawełnianą kurtkę opadającą ku pasowi w kolorze opalizującej purpury. Wyglądał w tym ubraniu po królewsku, a Edgar przypomniał sobie dzień przybycia, gdy Carroll stał nad rzeką odziany jak jego ludzie. Od tamtej pory widywał go wyłącznie w europejskim stroju lub w wojskowym mundurze.

Między Khin Myo a Carrolllem leżała poduszka. Doktor pogrążony był w rozmowie ze starszym Szanem, który siedział nieco dalej, wskazał więc gestem, by

Edgar zajął wolne miejsce. Khin Myo mówiła coś do kucającego u jej boku chłopca, a stroiciel obserwował ją w trakcie tej rozmowy. Khin Myo miała na sobie jedwabną bluzkę, a włosy - spięte tą samą szpilką z tekowego drewna, co podczas ich wspólnej przechadzki - wyglądały na ciemniejsze niż zwykle, jakby dopiero co wyszła z kąpeli.

W końcu kiedy chłopiec odszedł, kobieta pochyliła się ku stroicielowi i szepnęła:

- Przygotował pan się do tego, co pan zagra?

Drake uśmiechnął się słabo.

- Zobaczymy.

Rozejrzał się po sali. Ledwo mógł w niej rozpoznać bezbarwną przychodnię czy biuro, do których widoku przywykł. W każdym rogu płonęły pochodnie, wypełniając pomieszczenie światłem i aromatem kadzidła. Na ścianach wisiały kilimy i skóry, a pod ścianami stali służący; wielu z nich Edgar znał. Wszyscy byli ubrani w cienkie, fałdziste spodnie i niebieskie koszule, a na głowach mieli czyste i niezwykle starannie zawiązane turbany.

Przy drzwiach rozległ się jakiś hałas i przez salę przebiegł szmer. Wszedł wielki mężczyzna w połyskującym uroczystym stroju.

- To on? - spytał Edgar.

- Nie, proszę zaczekać. On jest niższy.

A gdy Khin Myo to powiedziała, do pomieszczenia wkroczył mały pulchny człowiek w zbytkownej szacie wyszywanej cekinami. Szańscy służący przy drzwiach padli przed nim na podłogę. Skłonili się nawet Carroll i Khin Myo, a także Edgar, który zerknąwszy w bok, poszedł za przykładem doktora. Sawbwa i jego orszak przeszli przez salę, aż kacyk dotarł do wolnej poduszki obok Carrolla. Wszyscy usiedli.

Członkowie świty księcia byli podobnie ubrani: mieli plisowane koszule przepasane szarfami, a ich głowy spowijały czyste białe turbany. Wyjątek stanowił jeden mężczyzna, mnich, który usiadł z dala od stołu, co Edgar zrozumiał jako odmowę uczestniczenia w posiłku, gdyż mnisi nie jedzą po południu. Człowiek ten wyglądał inaczej niż pozostali, i Edgar przyglądając się mu, zrozumiał, że to, co z początku brał za nadzwyczaj ciemną karnację tamtego, było niebieskim tatuażem, pokrywającym jego twarz i dłonie. Kiedy podszedł służący i zapalił pochodnię na środku pomieszczenia, kontrast pomiędzy niebieską skórą mnicha a jego pomarańczową szatą stał się jeszcze wyraźniejszy.

Carroll rozmawiał z sawbwą po szańsku, i chociaż Edgar nie rozumiał słów, to słyszał pomruki aprobaty wydawane przez zgromadzonych w sali. Zdumiewał go porządek, w jakim posadzono gości, to, że on sam znalazł się tak blisko sawbwy, bliżej niż przedstawiciele wioski, i bliżej Carrolla niż Khin Myo. Służący wnieśli sfermentowane ryżowe wino w rzeźbionych metalowych kubkach, a gdy obecnych obsłużono, doktor wzniosł swoje naczynie i ponownie przemówił po szańsku.

Pomieszczenie wypełniły okrzyki, a sawbwa wyglądał na szczególnie zadowolonego.

- Pańskie zdrowie - szepnął Carroll.

- Kim jest ten mnich?

- Szanowie nazywają go Błękitnym Mniczem; myślę, że widzi pan dlaczego.

Jest osobistym doradcą sawbwy, który nigdzie nie rusza się bez niego. Gdy będzie pan grał dziś w nocy, niech pan gra tak, by podbić również serce mnicha. Podano posiłek; była to uczta, jakiej Edgar nie widział jeszcze w stanach Szan - półmisek po półmisku serwowano sosy i curry, kluski z gęstym bulionem, wodne ślimaki gotowane z młodymi pędami bambusa, smażoną dynię z cebulą i chili, suszoną wieprzowinę i mango, tataro z mięsa bawołu indyjskiego ze słodką, zieloną oberżyną, sałatki z siekanych kurczaków i mięty. Dużo jedli i

niewiele mówili. Od czasu do czasu doktor odwracał się, by powiedzieć coś do sawbwy, ale głównie milczeli, ksiązę zaś chrząkaniem wyrażał swoje uznanie dla potraw. W końcu, po niezliczonych daniach, z których każde mogło stanowić ukoronowanie uczy, przed obecnymi ustawiono talerz z betelem, który Szanowie zaczęli energicznie żuć i spluwać do przyniesionych ze sobą misek. Wreszcie sawbwa opadł do tyłu i trzymając jedną rękę na brzuchu, powiedział coś do doktora. Carroll zaś zwrócił się do stroiciela fortepianów:

- Nasz ksiązę gotów jest posłuchać muzyki. Może pan wyjść wcześniej niż my, żeby się przygotować. Proszę skłonić się sawbwie, kiedy pan wstanie, a opuszczając pomieszczenie, proszę trzymać głowę nisko pochyloną.

Niebo przejaśniało; ścieżkę oświetlał księżyc i rzędy płonących pochodni. Edgar szedł pod górę, czując, jak trema odbiera mu oddech. Przed pokojem muzycznym stał strażnik, szański chłopiec, którego pamiętał z poranków spędzonych nad Saluin. Edgar skinął mu głową, a młody wartownik skłonił się głęboko; wydawało się to zbędną uprzejmością, jeśli zważyć, że stroiciel przyszedł sam.

W migotliwym świetle pochodni pomieszczenie wydawało się większe, niż je zapamiętał. Fortepian stał z boku, a na podłodze ułożono poduszki. Pokój wyglądał jak prawdziwy salon, pomyślał. Okna od strony rzeki były szeroko otwarte, co dawało wrażenie, że wijąca się Saluin zalewa wnętrze. Edgar podszedł do fortepianu. Koc zdjęto ze skrzyni instrumentu, więc od razu usiadł na ławce. Wiedział, że nie powinien dotykać klawiszy - nie chciał ujawnić, jaką melodię będzie grał, ani sprawić, by inni uznali, że zaczął bez nich. Siedział więc z zamkniętymi oczami i myślał o tym, jak będą się poruszały jego palce i jak będzie brzmiała muzyka.

Niebawem ze ścieżki poniżej dobiegł go dźwięk rozmów, a potem odgłos kroków. Do pomieszczenia weszli Carroll, ksiązę i Niebieski Mnich, a potem Khin

Myo i reszta. Edgar wstał i ukłonił się nisko jak pianista koncertowy i jak

Birmańczyk, gdyż, pomyślał, ten gest szacunku ma więcej wspólnego z kulturami Wschodu niż

Zachodu, których przedstawiciele wolą witać gościa uściskiem dłoni. Stał, dopóki wszyscy nie zajęli miejsc na poduszkach, a potem zasiadł do fortepianu. Zaczął bez wprowadzenia, bez słów, gdyż nazwisko kompozytora nic by nie powiedziało księciu

Mongnai. A Carroll z pewnością znał utwór, mógł więc wyjaśnić, co znaczył lub co chciał, żeby znaczył.

Na początku zabrzmiało Preludium i fuga cis - moll Bacha, czwarty utwór ze zbioru Das wohltemperierle Klavier. To była kompozycja dla stroiciela, badanie brzmienia; ciąg, który Edgar znał dzięki sprawdzaniu poprawności strojenia fortepianów koncertowych. Zwykł ją nazywać testamentem sztuki strojenia. Przed wynalezieniem temperowanego stroju, zrównania wysokości dźwięków enharmonicznych, nie dało się grać we wszystkich tonacjach na tym samym instrumencie, ale przy równomiernie rozłożonych dźwiękach możliwości były nieskończone.

Grał preludium, melodia wznosiła się i opadała, a Edgar czuł, że kołysze się w jej takt. Wiele mogę powiedzieć doktorowi na temat tego, dlaczego wybrałem ten utwór, pomyślał. Bo, jak wszystkie fugi, wiążą go ściśle zasady kontrapunktu, jest niczym więcej, jak przetworzeniem jednej prostej melodii, a kompozycja pozostałej części opiera się na regułach ustalonych w pierwszych kilku liniijkach zapisu nutowego. Dla mnie oznacza to, że piękno tkwi w porządku, w zasadach - Carroll może z tym zrobić, co chce, podczas swoich wykładów o prawie i podpisywania traktatów. Mógłbym mu powiedzieć, że to utwór pozbawiony dominującego motywu, że w Anglii wielu ludzi uważa kompozycję za zbyt matematyczną i pozbawioną melodii, którą dałoby się zapamiętać i podśpiewywać pod nosem. Być może on to już wie. Ale jeśli szkański książę nie zna europejskich utworów, to nasza muzyka może wprowadzić go w zakłopotanie, tak jak ja byłem skonfundowany, słysząc tutejsze pieśni.

Wybrałem zatem kompozycję rządzącą się porządkiem matematycznym, gdyż to coś uniwersalnego - każdy potrafi dostrzec jej złożoność i trans ukryty w splocie dźwięków.

Edgar mógł powiedzieć jeszcze wiele innych rzeczy, wyjaśnić, dlaczego zaczął od czwartego preludium, a nie od pierwszego, pierwsze to melodia o spełnieniu, czwarte zaś jest pieśnią dwuznaczności, a zaloty najlepiej zacząć skromnie. Lub że wybrał to preludium po prostu dlatego, iż kiedy je słyszał, często czuł się bardzo poruszony. W tych dźwiękach brzmi uczucie. Jeśli to preludium jest mniej przystępne niż inne utwory, być może właśnie to tłumaczy, dlaczego robi większe wrażenie.

Kompozycja zaczęła się w niskiej tonacji, na basowych strunach, a wraz z tym, jak stawała się coraz bardziej złożona, pojawiły się dźwięki sopranowe, i Edgar poczuł, że jego ciało przesuwa się ku prawej stronie fortepianu i trwa tam; odbywa podróż przez klawiaturę; Jestem jak kukielki, które przemierzały scenę w Mandalaju. Grał, czując się teraz pewniej; tempo utworu zmalało, a kiedy skończył, niemal zapomniał o słuchaczach. Podniósł głowę i spojrzał na sawbwę, który powiedział coś do Błękitnego

Mnicha, a następnie ruchem ręki dał znać, by Edgar grał dalej. Stroicielowi wydawało się, że siedzący obok księcia doktor uśmiecha się. Zaczął więc grać; to w Ddur, to w dmoll, w górę wszystkich skal, każda melodia była wariacją na temat jej początku, strukturą dającą wzlot ku możliwościom. Grał w dalekich rejestrach, jak je nazywał jego stary mistrz, a on uznał, że to określenie znakomicie pasuje do utworu wykonywanego nocą w dżungli. Nie uwierzę, że Bach nigdy nie opuścił Niemiec.

Koncertował blisko dwie godziny, do momentu, w którym w połowie kompozycji jest przerwa, pojawia się ona w linii melodycznej Preludium i fugi b - moll jak zajazd przy odludnej drodze. Przy ostatnim dźwięku palce Edgara zamarły i spoczęły na klawiaturze, a on sam odwrócił głowę i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Droga Katherine, jest marzec, chociaż nie wiem, jaki dzień. Piszę do Ciebie z fortu w pobliżu wioski Mae Lwin, znad brzegu Saluin w południowych stanach Szan w Birmie.

Przybyłem tutaj dawno temu, a jednak to jest pierwszy list z tego miejsca, więc przepraszam Cię, że nie pisałem wcześniej. W istocie obawiam się, że takie milczenie musi Cię bardzo martwić, gdyż do tej pory przywykłaś do moich listów, które - przed wyruszeniem w stronę Wzgórz Szan - wysyłałem często. Sądzę niestety, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim przeczytasz ten list, gdyż nie ma jak posłać poczty do

Mandalaju. Być może to z tego powodu wstrzymywałem się z korespondencją, ale uważam, że są również inne przyczyny, z których pewne rozumiem, a innych nie.

Kiedy pisałem do Ciebie wcześniej, to zawsze o jakiejś idei, wydarzeniu lub myśli, co każe mi się zastanawiać nad przyczynami mojego obecnego milczenia, skoro tyle się dzieje. Wiele tygodni temu napisałem Ci, że najbardziej zasmuca mnie fakt, iż mogę wyjechać stąd niespełniony. Dziwne; od momentu opuszczenia Mandalaju widziałem więcej, niż potrafiłem sobie wcześniej wyobrazić - i rozumiałem większość z tego, co widziałem - a jednak wrażenie owej niekompletności staje się coraz dokuczliwsze.

Każdego dnia oczekuję tutaj odpowiedzi, jak balsamu lub jak wody, która zaspokaja pragnienie. Myślę, że to dlatego zwlekałem z pisaniem, ale znalazłem niewiele wyjaśnień. Robię to więc teraz, gdyż minęło bardzo dużo czasu od chwili, gdy wysłałem ostatni list. Wiem, że kiedy Cię zobaczę, wydarzenia przedstawione w tym liście będą nieaktualne, a wrażenia dawno minione. Więc, być może, piszę po prostu dlatego, że czuję głęboką potrzebę przelania słów na papier, przy czym jestem doskonale świadom, że mogę być jedynym, który je przeczyta.

Siedzę pod wierzbą na piaszczystym brzegu Saluin. To jedno z moich

ulubionych miejsc. Spokojne i osłonięte, a jednak widzę rzekę i słyszę wokół siebie głosy ludzi. Jest wczesny wieczór. Słońce zaczęło opadać powoli, a niebo jest purpurowe, ze zwałami chmur; być może nadejdą kolejne burze. Pierwsze deszcze zaczęły się cztery dni temu. Będę to pamiętał lepiej niż dzień, w którym opuściłem

Mandalaj, gdyż opady spowodowały na płaskowyżu wielką zmianę. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego jak tutejsza ulewa. Mżawki, które w Angin nazywamy deszczami, to nic w porównaniu z uderzeniem monsunu. Niebo otwiera się momentalnie i ulewa zatapia wszystko; ludzie szukają schronienia, ścieżki zamieniają się w błocko, w rzeki, drzewa się trzęsą, a woda leje się z liści jak z dzbana - wszystko jest mokre. Och, Katherine, to takie dziwne: mógłbym całymi stronicami pisać tylko o deszczu - o tym jak pada, o różnych wielkościach kropli i jak się je czuje na twarzy, o ich smaku, zapachu i wywoływanych przez nie dźwiękach. Istotnie mógłbym napisać całe strony tylko o odgłosach, jakie wydaje deszcz, padając na strzechy, liście, blachę i wierzby.

Moja droga, tutaj jest tak pięknie. W tym roku pora deszczowa przyszła wcześniej i wygląd lasu nieprawdopodobnie się zmienił. W ciągu zaledwie kilku dni suche zarośla eksplodowały barwami. Na parowcu płynącym z Rangun do Mandalaju spotkałem młodych żołnierzy, którzy opowiadali mi o Mae Lwin, i nie wierzyłem wówczas, że mówią prawdę, ale teraz wiem, że nie kłamali.

Słońce jest jaskrawe i mocne. Od rzeki płyną chłodne powiewy wiatru.

Powietrze wypełnia woń nektaru i zapach przypraw, a wokół słychać różne dźwięki; cóż to za nieprawdopodobne dźwięki! Siedzę teraz pod wierzbą, której gałęzie zwisają nisko, więc widzę tylko niewielki fragment rzeki. Ale słyszę śmiech. Och, gdybym tylko potrafił zakłąć śmiech dzieci w vibracje strun albo przelać je na papier. Lecz tutaj słowa zawodzą nas. Myślę o języku, którego używamy do opisu muzyki, i o tym, jak bardzo nieodpowiednio jesteśmy wyekwipowani wobec nieskończoności brzmień. A jednak mamy sposoby na

opisanie tego, w muzyce nasze braki ograniczają się tylko do słów, gdyż zawsze możemy odwołać się do oznaczenia tonacji i skal. Mimo to nadal nie znaleźliśmy określeń dla wszelkich innych odgłosów ani nie umiemy zapisać ich w tonacji i na pięciolinii. Jak mam oddać to, o co mi chodzi? Na lewo ode mnie trzech chłopcy bawią się na płyciźnie piłką, która ciągle odpływa na głębszą wodę, a piorąca obok nich młoda Szanka - być może ich matka lub siostra - łąje malców, gdy ci wypływają, żeby odzyskać piłkę. A jednak ciągle ją gubią, po czym płyną po nią, a między utratą piłki a jej odzyskaniem rozbrzmiewa szczególny śmiech, niepodobny do żadnego innego, jaki kiedykolwiek słyszałem. To są dźwięki niedostępne dla fortepianu, dla przedziałek taktowych i notacji.

Katherine, chciałbym, żebyś Ty także to słyszała, nie, chciałbym zabrać to do domu, zapamiętać wszystko. Pisząc, czuję jednocześnie straszliwy smutek i olbrzymią radość, zadowolenie, wrażenie przeżywania czegoś płynącego z mojego wnętrza, czegoś ekstatycznego. Starannie dobieram słowa; to właśnie czuję, gdyż doznanie wznosi się w mojej piersi jak woda w studni, przelykam, a w oczach mam łzy, jakbym miał się tą wodą przepelnić cały. Nie wiem, co to jest, skąd się wzięło ani kiedy się zaczęło. Nie przypuszczałem nigdy, że mógłbym tyle odkryć w dźwięku spadającej wody lub w głosach bawiących się dzieci.

Rozumiem, jaki to musi być dla Ciebie dziwny list, gdyż napisałem tak dużo, a jednak opowiedziałem tak niewiele o tym, co zrobiłem lub widziałem. Zamiast tego paplę jak dziecko. Coś się zmieniło - musiałaś to już poznać z charakteru tego listu.

Ostatniego wieczoru grałem publicznie na fortepianie, i to dla bardzo znamienitych słuchaczy, i część mnie chce w tym widzieć moment zmiany, chociaż wiem, że tak nie jest - zmiana jest czymś, co zachodzi dużo wolniej, a być może zaczęła się nawet jeszcze w domu. Nie mam pojęcia, co ona oznacza, tak jak nie wiem, czy jestem szczęśliwszy, czy smutniejszy niż przedtem.

Czasami zastanawiam się, czy powodem, dla którego straciłem poczucie czasu, nie jest to, że termin powrotu poznam nie po dacie, ale po tym, że zostanie wypełniona pustka. Przyjadę do domu, oczywiście, gdyż

Ty pozostajesz moją największą miłością. Ale dopiero teraz rozumiem, dlaczego chciałaś, żebym wyjechał - co mi zresztą powiedziałaś, zanim opuściłem Anglię. Miałaś rację, istnieje cel tego wszystkiego, chociaż nie wiem jeszcze, co nim jest, ani tym bardziej czy kiedykolwiek go osiągnę. Ale teraz muszę czekać, muszę zostać.

Oczywiście wrócę niebawem, być może jutro. Piszę, gdyż czuję, że powinnaś wiedzieć, dlaczego jeszcze tu jestem. Mam nadzieję, kochanie, że to zrozumiesz.

Katherine, robi się ciemno, a także chłodno, gdyż mamy tutaj zimę, tak dziwną, jak to brzmi. Zastanawiam się, co inni pomyślą, jeśli przeczytają ten list, gdyż, pomimo wszelkich pozorów, wyglądam nadal tak samo i nie wiem, czy ktokolwiek zauważył we mnie jakąś zmianę. Być może dlatego tak bardzo tęsknię za Tobą; zawsze mówiłaś, że słyszysz mnie nawet wtedy, gdy milczę. Napiszę więcej, ponieważ zostały inne niewypowiedziane kwestie - nawet jeśli tylko z powodu braku papieru, atramentu i światła słonecznego.

Pozostaję z szacunkiem, Twój kochający mąż

Edgar

Nadal jest jasno. Pozostały inne niewypowiedziane kwestie - on o tym wie, ale pióro drży, gdy zbliża je do kartki. Obok wierzby stała Khin Myo. Miała ściągniętą twarz.

- Panie Drake - powiedziała.

Podniósł wzrok.

- Doktor Carroll przysłał mnie po pana. Proszę się pospieszyć. Mówi, że to ważne.

19

Edgar złożył list i ruszył znad rzeki za Khin Myo. Kobieta mu nie mówiła, ale

zostawiła go przed drzwiami kwatery głównej i z powrotem zeszła szybko ścieżką w dół.

W środku zastał Carrolla, który spoglądał przez okno na obóz. Doktor odwrócił się.

- Proszę, niech pan siada, panie Drake. - Carroll wskazał krzesło, a sam usiadł po drugiej stronie szerokiego biurka, przy którym wcześniej dokonał amputacji.

- Przykro mi, że przeszkadzam panu z samego rana, nad rzeką sprawiał pan wrażenie bardzo spokojnego. Nikt bardziej od pana nie zasługuje na chwilę odpoczynku.

Pięknie pan grał.

- To był utwór techniczny.

- To było dużo więcej niż utwór techniczny.

- A co z sawbwą? - spytał Edgar. - Można mieć jedynie nadzieję, że uważa tak samo.

Księżę opuścił obóz rano, na tronie ustawionym na grzbiecie słonia; błyski cekinów na jego stroju zasłoniła zieleń dżungli. Po obu bokach osłaniali go jeźdźcy na pony, których ogony były ufarbowane na czerwono.

- Oczarowany. Chciał, żeby pan znowu zagrał, ale przekonałem go, że będzie ku temu lepsza okazja.

- Zawarł pan traktat, o który panu chodziło?

- Nie wiem. Jeszcze go o to nie poprosiłem. Rzadko się zdarza, by bezpośrednio można coś było wskórać u księcia. Opowiedziałem mu tylko o naszym położeniu i o nic nie prosiłem, zjedliśmy wspólnie posiłek, a pan zagrał.

Ze

„skonsumowaniem” zalotów będziemy musieli poczekać na aprobatę pozostałych książąt, ale dzięki poparciu sawbwy nasze szanse wzrosły - mówiąc to, pochylił się. - Wezwałem pana do swojego biura, gdyż chciałem prosić o dalszą pomoc.

- Och, doktorze, me mogę znowu grać.

- Nie, panie Drake, tym razem to nie ma nic wspólnego z fortepianem, a wszystko z wojną, jeśli pominąć moją poetykę dotyczącą relacji między nimi. Jutro w nocy w Mongpu, na pomoc stąd, odbędzie się spotkanie książąt Szanu. Chcę, żeby pan tam ze mną pojechał.

- W jakim charakterze?

- Wyłącznie dla towarzystwa. To tylko pół dnia jazdy, a samo spotkanie potrwa dzień lub noc, zależnie od tego, kiedy zaczną. Pojedziemy konno. Powinien pan się przyłączyć choćby ze względu na walory podróży - to jedna z najbardziej malowniczych dróg w stanach Szan.

Edgar chciał coś powiedzieć, ale Carroll nie dał mu czasu na odmowę.

- Wyjedziemy dziś po południu.

Dopiero gdy znalazł się na zewnątrz, Edgar przypomniał sobie, że od czasu wycieczki do śpiewającego jaru doktor nie zaprosił go na żaden wypad z obozu. Resztę poranka stroiciel spędził nad rzeką na rozmyślaniu, zaniepokojony raptownością, z jaką zaproponowano mu udział w wyprawie, oraz naleganiem, które wyczuł w głosie doktora. Pomyślał o Khin Myo i ich spacerze w deszczu. Być może

Carroll nie chce, żebyśmy pozostali razem. Ale odrzucił tę myśl. Chodzi o coś innego.

Nie zrobiłem nic złego, nic niewłaściwego.

Nadpłynęły chmury. Na brzegu Saluin kobiety prały ubrania, uderzając nimi o kamienie.

Wyjechali wcześniej po południu. Po raz pierwszy od przyjazdu Edgara doktor miał na sobie mundur oficerski: szkarłatną kurtkę z czarnymi galonami i złotą odznaką swej szarży, co sprawiało, że prezentował się dostojnie i imponująco. Ciemne włosy majora były uczesane i pokryte pomadą. Khin Myo wyszła, żeby się pożegnać, i

Edgar obserwował ją, gdy mówiła coś do Carrolla, posługując się mieszaniną birmańskiego i angielskiego. Doktor słuchał; z kieszeni na piersi wyjął puszkę

po sardyńkach, a z niej cygaro. Kiedy Khin Myo odwróciła się w końcu do Edgara, nie uśmiechnęła się, ale patrzyła tak, jakby go nie widziała. Pony były umyte i oporządzone, a z ich grzyw znikły kwiaty.

Opuścili obóz w towarzystwie Nok Leka i czterech szańskich jeźdźców; wszyscy mieli karabiny. Ruszyli głównym szlakiem prowadzącym na szczyt wzniesienia, a potem skręcili na północ. Dzień był piękny, chłodny dzięki niedawnym deszczom.

Carroll palił w zamyśleniu podczas jazdy, przy siodle miał przytroczony hełm. Edgar nie odzywał się, myślał o napisanym do Katherine liście, złożonym i zamkniętym w kufierku.

- Jest pan dzisiaj niezwykle milczący, panie Drake - odezwał się doktor.
- Śnię na jawie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Mae Lwin napisałem do żony. O moim występie, o fortepianie...

Jechali.

- To dziwne - powiedział w końcu Carroll.

- Co takiego?

- Pańska miłość do fortepianu. Jest pan pierwszym Anglikiem, który nie zapytał, po co mi énard w Mae Lwin.

Edgar odwrócił się.

- Po co? Och, to nigdy nie było dla mnie tajemnicą. Nigdy nie widziałem bardziej godnego miejsca. Nie. - Umilkł na chwilę. - Zastanawiam się raczej, dlaczego ja tutaj jestem.

Doktor spojrzał na niego z ukosa.

- A ja myślałem, że pan i ten fortepian jesteście nierozłączni.

Carroll roześmiał się, a Edgar mu zawtórował.

- Nie, nie... Czasami tak to może wyglądać. Ale teraz mówię poważnie. Musiały minąć już całe tygodnie od chwili, gdy wykonałem swoje zadanie. Czy nie powinienem był wyjechać dawno temu?

- Sądzę, że to jest pytanie, na które sam pan musi sobie odpowiedzieć - mówiąc

to, doktor strącił ciemny popiół z koniuszka cygara. - Nie trzymam pana tutaj.

- Nie. Ale także nie zachęca mnie pan do wyjazdu - upierał się przy swoim stroiciel. - Spodziewałem się, że zostanę poproszony o opuszczenie tego miejsca, gdy tylko nastroję fortepian. Niech pan pamięta, że moja obecność tutaj to „poważne ryzyko”, to są pańskie słowa, jak mi się zdaje.

- Lubię pana towarzystwo, nasze rozmowy. To warte ryzyka.

- Rozmowy o muzyce? Schlebia mi pan, ale naprawdę musi być coś więcej. A poza tym są inni, którzy znacznie lepiej ode mnie znają się na muzyce - w Indiach, w

Kalkucie na przykład, nawet w Birmie. Lub, jeśli pragnie pan po prostu rozmowy, przyrodnicy lub antropolodzy. Po co miałby pan sobie zadawać tyle trudu, żeby mnie tutaj zatrzymać? Mógłby to być ktoś inny. Mogliby to być inni ludzie.

- Byli inni.

Edgar odwrócił twarz ku doktorowi.

- Ma pan na myśli gości?

- Jestem tutaj od dwunastu lat. Przyjeżdżali inni, jak pan powiedział, przyrodnicy i antropolodzy. Przybywali i zostawali, ale nigdy na dłużej, spędzali tylko tyle czasu, by zebrać próbki lub wykonać szkice, i rozprawiali o takiej czy innej teorii, o tym, jak biologia, kultura i historia stanów Szan pasuje do ich poglądów, a potem wracali do domu.

- Trudno mi w to uwierzyć. Tutaj jest tak uroczo...

- Myślę, że odpowiada pan na własne pytanie, panie Drake.

Zatrzymali się na szczycie wzniesienia, by popatrzeć na zrywające się do lotu stado ptaków.

- Jest w Rangunie stroiciel - odezwał się Carroll, kiedy ruszyli. - Wiedziałem o tym dużo wcześniej, zanim jeszcze poprosiłem, żeby pana tutaj przysłano.

Poznałem go dawno temu. Jest misjonarzem, wojsko nie wie, że stroi fortepiany. Przyjechałby, gdybym go o to poprosił.

- Wyobrażam sobie, że zaoszczędziłoby to wszystkim sporo wysiłku.

- Owszem. A on przyjechałby i został krótko. Po czym by wyjechał. Pragnąłem mieć tu kogoś, dla kogo to otoczenie byłoby czymś nowym. Nie chcę, oczywiście, wprowadzać pana w błąd, to nie był główny powód, dla którego pana tutaj sprowadziłem - mówiąc to, pomachał cygarem. - Nie, chciałem, żeby mój fortepian nastroił najlepszy londyński specjalista od énardów, i wiedziałem, że za sprawą tej prośby wojsko będzie zmuszone docenić to, jak wiele ode mnie zależy, że dowiedzą się, iż moje metody działania sprawdzają się, że muzyką, jak siłą, można zaprowadzić pokój. Ale wiedziałem też, że jeśli ktoś w odpowiedzi na moją prośbę przebędzie całą tę drogę, to okaże się człowiekiem, który wierzy w muzykę tak samo mocno jak ja.

- A gdybym nie przyjechał? - zapytał Edgar. - Nie znał mnie pan, nie mógł pan mieć pewności.

- Byłby ktoś inny, kolejni goście, może misjonarz z Rangun. Ale oni wróciliby po kilku dniach do domu.

Edgar zauważył, że doktor utkwiał wzrok w oddali, i zapytał:

- Myślał pan kiedyś o powrocie?

- Oczywiście. Wspominam Anglię z wielką czułością.

- Doprawdy?

- To moja ojczyzna.

- Jednak nadal jest pan tutaj?

- Zbyt wiele mnie tu trzyma; różne przedsięwzięcia, doświadczenia, mam bardzo dużo planów. Nie zamierzałem tutaj zostać. Najpierw przyjechałem do pracy.

Pojawiały się tylko przebłyski myśli, że może chodzić o coś innego. A możliwe, że to coś prostszego, być może nie wyjadę, ponieważ boję się przekazać dowództwo komuś innemu. Nie sprawowałby obowiązków... pokojowo. -

Doktor urwał na chwilę, wyjął z ust cygaro i patrzył na unoszący się z niego dym. - Są takie chwile, kiedy mam wątpliwości.

- W związku z wojną?

- Nie, być może źle się wyrażam. Nie wątpię w to, co tutaj robię. Wiem, że to słuszne. Mam jedynie wątpliwości związane z tym, co przez to straciłem. -

Przetoczył cygaro między palcami. - Słucham pana, tego, w jaki sposób mówi pan o żonie. Byłem kiedyś żonaty. I miałem córkę, malutkie dziecko, które było moje przez jeden dzień.

Jest takie szańskie powiedzenie, które mówi, że ludzie umierają wtedy, gdy dokonają tego, do czego byli potrzebni, bo są zbyt dobrzy dla tego świata. Myślę o niej, kiedy to słyszę.

- Przykro mi - powiedział stroiciel. - Pułkownik mówił mi o tym. Ale uważałem, że nie mam prawa pytać.

- To bardzo ładnie z pana strony... Ale to ja powinienem przeprosić, panie Drake. To są smutne myśli z odległej przeszłości - mówiąc to, wyprostował się w siodle. - Poza tym zapytał mnie pan, dlaczego zostałem. Bardzo trudno na to odpowiedzieć. Być może to, co panu przed chwilą powiedziałem, że nie chcę oddawać obozu, jest nieprawdą. Możliwe, że będę trwał tutaj, bo po prostu nie potrafię wyjechać. - Włożył z powrotem cygaro do ust. - Raz próbowałem wyjechać. Niedługo po tym, gdy zacząłem pracować w szpitalu w Rangunie, do miasta, wraz ze swoim batalionem, przybył inny lekarz, który miał tam pozostać przez rok przed wyruszeniem w głąb kraju. Od lat nie byłem w Anglii i dano mi możliwość wyjazdu na kilka miesięcy do domu. Zarezerwowałem koję na parowcu i wypłynąłem z Rangunu, gdzie stacjonowałem w tamtym czasie, do Kalkuty, a tam wsiadłem do pociągu jadącego do Bombaju.

- To jest ta sama trasa, którą i ja jechałem.

- Zatem wie pan, że jest oszałamiająca. No cóż, tamta podróż była jeszcze bardziej fantastyczna. Nie ujechaliśmy nawet trzydziestu kilometrów od Delhi, gdy pociąg zatrzymał się przy małym składzie zaopatrzeniowym, a ja ujrzałem obłok pyłu unoszący się nad pustynią. Była to karawana; gdy jeźdźcy się zbliżyli, rozpoznałem w nich pasterzy z Radzastanu. Twarze kobiet skrywały

wspaniałe kolorowe zasłony, które pomimo pokrywającego je kurzu płonęły nadal głęboką czerwienią. Sądzę, że nomadzi ujrzeni z daleka pociąg i powodowani ciekawością przyjechali, by go obejrzyć.

Jeździli obok nas tam i z powrotem, pokazując sobie koła, lokomotywę, pasażerów, i cały czas rozmawiali w języku, którego nie rozumiałem.

Obserwowałem ich, te przepływające barwy, i cały czas się zastanawiałem nad swoją decyzją, jednak wsiadłem na parowiec do Anglii. Ale kiedy statek dotarł do Adenu, zszedłem z pokładu i zaokrętowałem się na parowcu zmierzającym z powrotem do Bombaju, a potem wsiadłem do pociągu jadącego z powrotem do Kalkuty. Tydzień później powróciłem na swoje stanowisko w Pegu. Nadal nie bardzo wiem, dlaczego widok pasterzy skłonił mnie do powrotu, ale gdy te obrazy nadal tańczyły mi w głowie, nie do zniesienia wydawała się myśl, że mam się znaleźć na ciemnych londyńskich ulicach. Nie widziałem się w roli jednego z tych smutnych weteranów, którzy zanudzają każdego, kto chce ich słuchać, chaotycznymi opowieściami o nieznanym miejscach. - Mówiąc to, zaciągnął się głęboko cygarem. - Wie pan, powiedziałem panu, że tłumaczę Odyseję. Zawsze odczytywałem ją jako tragiczną opowieść o wysiłkach, które podejmował Odyseusz, żeby wrócić do domu. Teraz coraz lepiej rozumiem to, co napisali Dante i Tennyson, że Odyseusz nie zgubił się, ale po cudach, jakie ujrzał, nie mógł, a może nie chciał, wrócić.

Zapadła cisza.

- To mi przypomina historię, którą kiedyś słyszałem - powiedział Edgar.

- Tak?

- To było nie tak dawno temu, może przed trzema miesiącami, kiedy wyjechałem z Anglii. Na statku na Morzu Czerwonym spotkałem pewnego człowieka.

Starego Araba.

- Człowieka z Jedną Opowieścią.

- Zna go pan?

- Oczywiście. Spotkałem go dawno temu, gdy byłem w Adenie. Wielu mówiło mi o tej historii. Opowieść o wojnie nie umknie nigdy uwadze żołnierza.

- Opowieść o wojnie?

- Słyszałem żołnierzy, którzy od lat opowiadają mi tę samą historię. Teraz mogę niemal wyrecytować ją z pamięci; obrazy Grecji są bardzo żywe. Okazuje się, że opowieść jest prawdziwa: gdy Turcy zabili ich bliskich, obaj, on i jego brat, byli zaledwie chłopcami i podczas wojny o niepodległość działali jako szpiedzy.

Spotkałem kiedyś starego weterana tej wojny, a on mi powiedział, że słyszał o braciach, o ich męstwie. Każdy chce usłyszeć tę historię. Uważa się, że dobrze wróży, że ci, którzy ją poznają, stają śmiało w bitwie.

Edgar patrzył ze zdumieniem na doktora.

- Grecja...?

- Coś nie tak? - spytał Carroll.

- Jest pan pewien, że opowieść dotyczyła greckiej wojny o niepodległość?

- Opowieść? Oczywiście. Dlaczego pan pyta? Jest pan zaskoczony, że po tylu latach nadal ją pamiętam?

- Nie... W ogóle nie jestem zdziwiony. Ja także pamiętam tę historię tak dobrze, jakbym usłyszał ją zaledwie wczoraj. I również niemal potrafię przytoczyć ją z pamięci.

- Więc o co chodzi?

- O nic takiego, jak sądzę - odparł Edgar wolno. - Po prostu myślę o niej.

Myślał: Czy była inna tylko dla mnie; Nie mogłem sobie tego wszystkiego wyobrazić.

Przejechali przez zagajnik, z drzew zwisały długie skręcone strąki, które wydawały grzechot, kiedy je potrącali.

- Chciał pan coś powiedzieć - odezwał się doktor. - Że Człowiek z Jedną Opowieścią przypomniał panu coś, o czym mówiłem.

- Och... - Edgar wyciągnął rękę i zerwał strąk. Gdy go rozgniół, na dłoń wysypały się suche nasiona. - To bez znaczenia. Tylko opowieść, jak sądzę.

- Tak, panie Drake - Carroll obrzucił stroiciela fortepianów żartobliwym spojrzeniem. - To wszystko tylko opowieści.

Kiedy pokonali małe wzniesienie i spojrzeli w dół na widoczną w oddali grupę chat, słońce wisiało już nisko na niebie.

- Mongpu - powiedział doktor.

Zatrzymali się przy zakurzonej kapliczce. Edgar patrzył na Carrolla, który zsiadł z konia i położył monetę u podnóża małej budowli z podobizną ducha w środku. Zaczęli zjeżdżać; kopyta pony rozpryskiwały błoto. Ściemniło się. Pojawiły się wielkie roje komarów, które rozdzielały się i zlewały jak tańczące fragmenty cienia.

- Wstrętne stworzenia - powiedział doktor, opędzając się od nich. Jego cygaro zmalowało do krótkiego niedopałka, więc ponownie wyjął z kieszeni puszkę po sardynkach. - Proponuję, żeby pan jednak zapalił, panie Drake. To sprawi, że owady będą się trzymać z daleka.

Edgar przypomniał sobie atak malarii i przystał na propozycję. Doktor zapalił cygaro i podał mu. Miało upajający, niemal płynny smak.

- Nadszedł czas, by powiedzieć co nieco o spotkaniu - rzekł Carroll, kiedy ruszyli w dalszą drogę. - Jak pan czytał, od zajęcia Mandalaju napotyamy czynny opór ze strony związku zbrojnego zwanego konfederacją Limbina.

- Mówiliśmy o tym, kiedy przybył sawbwa Mongnai.

- Istotnie - potwierdził doktor. - Wówczas jednak nie powiedziałem panu, że przez minione dwa lata prowadziłem w tajemnicy negocjacje z sawbwami należącymi do konfederacji Limbina.

Edgar wyjął niezdarnie cygaro z ust.

- Napisał pan, że nikt nie spotyka się z przedstawicielami konfederacji...

- Wiem, co napisałem i co powiedziałem panu. Ale miałem po temu powody. Jak pan zapewne wie, w czasie, kiedy pański statek znajdował się gdzieś na Oceanie

Indyjskim, w Hlaingdet, pod dowództwem pułkownika Stedmana, zgromadzono

nasze siły: kompanie z pułku Hampshire, kompanię Gurkhów i saperów z Bombaju, jako oficer polityczny wojsku towarzyszył George Scott, co dawało mi nadzieję, że konflikt nie przekształci się w otwartą wojnę. Scott jest moim bliskim przyjacielem i nie znam nikogo bardziej od niego wyczulonego na miejscowe sprawy. Ale od stycznia nasze wojsko zaangażowane jest w walkę w pobliżu Yawnghwe. Teraz komisarz uważa, że jedynym sposobem na uzyskanie kontroli nad stanami Szan jest siła. Sądzę jednak, że wstępne rokowania prowadzone przez sawbwę Mongnai stwarzają szansę na wynegocjowanie pokoju.

- Czy armia wie o tym spotkaniu?

- Nie, panie Drake, i chcę, aby to właśnie pan zrozumiał. Wojskowi sprzeciwiliby się temu. Nie ufają książętom. Wyłożę to bez ogródek: ja, a teraz i pan działamy wyraźnie wbrew rozkazom. - Doktor pozwolił, by słowa zapadły stroicielowi głęboko w duszę. - Ale jest jeszcze coś. Rozmawialiśmy także zdawkowo o Twet Nga Lu, szańskim księciu dakoitów, znanym jako Herszt Bandytów, który zajął niegdyś stan Mongnai, ale potem wycofał się, by terroryzować wsie pozostające we władaniu sawbwy. Powiadają, że mało kto widział watażkę. Nie powiedzieli panu tego, czego nie wiedzą. Spotykałem się z Hersztem Bandytów wiele razy.

Doktor odegnał machnięciem ręki rój komarów.

- Kilka lat temu, jeszcze przed powstaniem, Twet Nga Lu został ukąszony przez węża w pobliżu Saluin. Watażka ma braci; jeden z nich, który handluje czasami w Mae

Lwin, wiedział, że nasz obóz leży tylko o kilka godzin drogi w dół rzeki.

Przywiózł do mnie chorego, a ja zastosowałem okłady z miejscowych ziół, czego nauczył mnie szaman z naszej wioski. Kiedy Twet Nga Lu znalazł się wforcie, był niemal nieprzytomny, więc po przebudzeniu się i ujrzeniu mnie uznał, że został schwytany.

Tak się wściekł, że jego brat musiał go powstrzymać i tłumaczyć, że

uratowałem mu życie. W końcu się uspokoił, w pewnej chwili jego wzrok spoczął na mikroskopie i zapytał, co to jest. Nie chciał wierzyć, gdy usiłowałem mu to wyjaśnić, więc wziąłem próbkę wody ze stawu, umieściłem na szkiełku i powiedziałem, by spojrzeć. Z początku nie szło mu to, otwierał niewłaściwe oko, i tak dalej, sprawiał przy tym wrażenie gotowego cisnąć mikroskopem o ziemię. Nagle światło słońca odbite przez pochylone lustro wpadło dakoicie do oka, przynosząc ze sobą obraz małych żyjątek znanych każdemu brytyjskiemu uczniowi. Skutek nie mógłby być bardziej piorunujący. Twet Nga Lu zatoczył się z powrotem na łóżko, mrużąc, iż istotnie muszę posiadać magiczne moce, skoro potrafię zawezwać potwory z wody w stawie. Co by się stało, wykrzyknął, gdybym zdecydował się wypuścić je z tego urządzenia! Teraz zdaje się wierzyć, że dysponuję pewną formą magicznego widzenia, które, jak uważają Szanowie, można zyskać tylko dzięki amuletom. Oczywiście nie wyprowadziłem go z błędu i od tamtej pory wracał do mnie kilka razy, prosząc o pokazanie mikroskopu.

Jest bardzo bystry i szybko uczy się angielskiego, jakby wiedział, kim jest jego nowy wróg. Chociaż nadal nie mogę mu ufać, zdaje się teraz przyznawać, że osobiście nie knuję nic przeciwko Kengtawngowi. W sierpniu zeszłego roku był coraz bardziej niespokojny i zapytał mnie, czy jest coś, co mógłbym uczynić, by zablokować podpisanie traktatu z konfederacją Limbina. Potem zniknął na trzy miesiące.

Następny raz usłyszałem jego imię w Mandalaju podczas odprawy wywiadu wojskowego, dotyczącej napaści na fort w pobliżu jeziora Inle.

- A potem zaatakował Mae Lwin - odezwał się Edgar. - Tak mi powiedziano w Mandalaju.

Zapadło długie milczenie.

- Nie, to nie on napadł na Mae Lwin - rzekł Carroll wolno. - Gdy zaatakowano fort, byłem z Twet Nga Lu. W Mandalaju tego nie wiedzą. Wieśniacy mówią, że za napaść odpowiedzialni są Karenni, inny szczep. Nie doniosłem o tym, gdyż

dowództwo z pewnością wysłałoby oddziały, a to ostatnia rzecz, jakiej tutaj potrzebujemy. Ale to nie był Twet Nga Lu - Carroll mówił teraz szybciej. - Mówię to panu w zaufaniu, a teraz muszę pana prosić o pomoc. Niebawem będziemy w

Mongpu. To od dawna pierwszy wypadek, gdy Twet Nga Lu spotyka się z sawbwą z

Mongnai. Jeśli nie wyjaśnią dzielących ich nieporozumień, będą walczyć, póki jeden z nich nie zginie, a wtedy zostaniemy zmuszeni do wkroczenia z naszymi wojskami.

Oczywiście w Ministerstwie jest wielu takich, którzy znudzeni pokojem trwającym od czasu aneksji rwą się do wojny. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa na pokój, to ją zniszczą. Póki traktat nie zostanie podpisany, nikt nie ma prawa wiedzieć, że jestem tutaj.

- Nie słyszałem dotąd, żeby tak otwarcie mówił pan o wojnie.

- Wiem. Ale mam po temu powody. Członkowie konfederacji Limbina uważają, że działam z upoważnienia brytyjskiego dowództwa. Gdyby wiedzieli, że nikt za mną nie stoi, nie baliby się mnie. Więc dzisiaj, jeśli ktokolwiek zapyta, jest pan podpułkownikiem Daly z Kolumny Północnoszańskiej stacjonującej w Myamyo, i przedstawicielem pana Hildebranda, zarządcy stanów Szan.

- Ale sawbwa Mongnai widział mnie, jak grałem.

- On już wie i zgodził się utrzymać to w tajemnicy. To innych muszę przekonać.

- Nie powiedział mi pan tego, kiedy wyjeżdżaliśmy - rzekł Edgar, czując narastający gniew.

- Nie pojechałby pan.

- Przykro mi, doktorze, ale nie mogę tego zrobić.

- Panie Drake.

- Doktorze, nie mogę tego zrobić. Pan Hildebrand jest...

- Pan Hildebrand nigdy się o tym nie dowie. Niczego nie będzie pan musiał robić, niczego mówić.

- Ale ja nie mogę. To jest działanie wywrotowe. To jest...
 - Panie Drake, miałem nadzieję, że po spędzeniu w Mae Lwin niemal trzech miesięcy zrozumie pan, iż mógłby mi pan pomóc. Że nie jest pan taki jak inni.
 - Istnieje różnica, doktorze, między wiarą w to, że fortepian może pomóc w doprowadzeniu do pokoju, a podpisywaniem traktatów bez rozkazów, podszywaniem się pod innych i przeciwstawianiem się królowej. Są zasady, prawa...
 - Panie Drake, pańskie nieposłuszeństwo zaczęło się w chwili, w której wbrew poleceniom przybył pan do Mae Lwin. Jest pan uważany za zaginionego, być może już za podejrzanego.
 - Podejrzanego! O co...
 - Jak pan sądzi, skoro przepadł pan na tak długo?
 - Nie chcę uczestniczyć w żadnych awanturach. Mam obowiązek wrócić natychmiast do Mandalaju.
 - Stąd, panie Drake? Nie może pan teraz zawrócić. I wiem równie dobrze jak pan, że pan tego nie chce.
- Stroiciel potrząsnął ze złością głową.
- To dlatego wezwał mnie pan do Mae Lwin?
- Było już ciemno i Edgar patrzył doktorowi w twarz, którą oświetlał tylko nikły żar cygara. Nagle jego koniec rozblił jasno.
- Nie, panie Drake, sprowadziłem pana w celu nastrojenia fortepianu. Ale sytuacja zmienia się. Jakkolwiek by było, mamy wojnę.
 - A ja idę na bitwę nieuzbrojony.
 - Nieuzbrojony? Raczej nie, panie Drake. Jest pan ze mną. Proszę nie lekceważyć mojego znaczenia.
- Pony Edgara strzygł uszami, gdyż wokół jego łba wirował rój komarów, to brzęczenie było jedynym słyszalnym dźwiękiem. Pony wstrząsnął grzywą. Na drodze przed nimi rozległo się wołanie. Podjechał do nich konny.
- Bo Naw, mój przyjacielu! - wykrzyknął Carroll.

Mężczyzna skłonił się lekko z siodła.

- Doktorze Carroll, są tutaj wszyscy książęta ze swymi oddziałami. Czekamy tylko na pana.

Doktor popatrzył na stroiciela, który odwzajemnił spojrzenie. Przez twarz Carrolla przebiegł lekki uśmiech. Edgar jeszcze raz owinął wodze wokół palców.

Twarz miał nieruchomą.

Carroll włożył hełm na głowę i jak żołnierz zaciągnął pasek pod brodą. Wyjął cygaro z ust i pstryknięciem posłał je w powietrze, w którym zakreśliło złotą trajektorię. W końcu gwizdnął na konia.

Przez chwilę Edgar był sam. Potem, westchnąwszy ciężko, wyjął cygaro z ust i rzucił na ziemię.

Było niemal ciemno, gdy galopowali szlakiem, który przebiegał między wystającymi z ziemi głazami. W oddali Edgar widział łunę pochodni. Minęli prymitywną barykadę i przejechali obok niewyraźnych sylwetek wartowników. Niebawem droga poprowadziła pod górę i zbliżyli się do ukrytego w ciemnym zagajniku fortu.

Budowla była długa, niska i otoczona ze wszystkich stron palisadą z zaostzonych bambusów, do których przywiązano kilka słoń. Ubrojeni strażnicy salutowali przybyłym. Jeźdźcy zatrzymali się w bramie ostrokołu, gdzie w świetle pochodni pojawił się wartownik. Zerknął podejrzliwie na przybyłych. Edgar spojrzał w głąb fortu. Po obu stronach ścieżki, która prowadziła do budynku, stali w rzędach mężczyźni. W migotliwym świetle łuczyw widział błyski włóczni, kordów i karabinów.

- Kto to? - szepnął.

- Żołnierze. Każdy sawbwa przyprowadził własne oddziały - odparł Carroll.

Bo Naw powiedział coś po szańsku. Wartownik podszedł i ujął wodze wierzchowców. Anglicy zsiadli z koni i weszli w obręb palisady.

Kiedy znaleźli się wewnątrz umocnień, Edgar poczuł wokół siebie ruch i przez

głowę przebiegła mu myśl, że wpadli w zasadzkę. Ale mężczyźni nie postąpili bliżej.

Kłaniali się w pas, pochylając się przed Carrollem jak fala. Ich plecy błyszczały od potu. Broń szczekała.

Doktor szedł szybko, Edgar dogonił go przy drzwiach budynku. Kiedy wspięli się po stopniach, stroiciel obejrzał się za siebie; ujrzał plecy żołnierzy, groźnie wyglądające obwarowania fortu i las za nimi. Grały świerszcze, a w głowie Edgara rozbrzmiewało echem jedno słowo. Stojący w wejściu wartownik zwracając się do

Carrolla, nie użył słowa „doktor” czy „major”, ale tytułował go po szkańsku Bo, co było określeniem - jak wiedział Edgar - zarezerwowanym dla dowódców wojowników.

Carroll zdjął hełm i wsadził go sobie pod ramię. Weszli do środka.

Przez kilka długich oddechów stali i wpatrywali się w głęboką ciemność, aż z mroku powoli wynurzyły się kształty. Książęta siedzieli w półkolu, każdy ubrany w najwspanialsze szaty, jakie Edgar widział w Birmie, ozdobione klejnotami kostiumy podobne do tych, w których tańczyły kukielki podczas yôkthe pwè, pokryte cekinami kurtki, przystrojone na wysokości barków ozdobionymi brokatem skrzydłami, na głowach korony w kształcie pagód.

Obecni rozmawiali, ale kiedy goście weszli, w pomieszczeniu zapadła cisza.

Idąc wokół półkola utworzonego przez siedzących, Carroll poprowadził Edgara ku dwóm wolnym poduszkom. W mroku, za każdym z książąt, stali mężczyźni, których postaci ledwo liżał blask tańczących płomieni małych ognisk.

Przybyli usiedli w ciszy. Wtedy jeden z sawbwów, starszy mężczyzna o pięknie utrefionych wąsach, wygłosił długą przemowę. Gdy skończył, odpowiedział mu Carroll. W pewnym momencie ruchem ręki wskazał na Edgara, który usłyszał „Daly, podpułkownik, Hildebrand”, ale pozostałych słów nie rozumiał.

Kiedy Carroll skończył prezentację, zaczął mówić kolejny książę. Wtedy doktor zwrócił się do Edgara:

- Wszystko w porządku, pułkowniku. Jest pan tutaj mile widziany. Zaczęło się spotkanie i wkrótce noc rozmyła się, stała się plamą ozdobionych klejnotami szat widocznych w świetle świec, rozpuściła się w śpiewie obcych języków.

Niebawem

Edgar poczuł, że zasypia, że wszystko przyjmuje postać snu. Snu we śnie, powiedział sobie, kiedy wolno opadały mu powieki, gdyż, być może, snię od opuszczenia Adenu.

Wydawało mu się, że książki unoszą się nad podłogą, bo odwrócone świeczniki sprawiały, że nie docierał do niej migotliwy blask płomieni. Carroll odzywał się do niego tylko podczas sporadycznych przerw w dyskusji:

- Ten człowiek, który mówi, to Chao Weng, sawbwa Lawksawk, obok niego Chao Khun Kyi, sawbwa Mongnai, jego na pewno pan poznaje. Potem jest Chao Kwang Tai z Kengtungu, który przebył szmat drogi, żeby się tutaj znaleźć. U jego boku siedzi Chao Khun Ti z Mongpaw. A obok niego Twet Nga Lu.

Wtedy Edgar zapytał:

- Twet Nga Lu?

Ale Carroll wrócił do rozmowy, pozostawiając stroicielowi obserwację mężczyzny, znanego mu ze słyszenia od czasu żeglugi parowcem, człowieka, zdaniem wielu, nieistniejącego, który uszedł przed setkami brytyjskich wypadów i był prawdopodobnie jedną z ostatnich osób, które stały na drodze Brytanii do konsolidacji Imperium. Edgar przyglądał się szańskiemu Hersztowi Bandytów. Było w nim coś znajomego, czego nie potrafił uchwycić. Twet Nga Lu był niskim mężczyzną o twarzy wyglądającej łagodnie nawet w ukośnie padającym blasku świec. Stroiciel nie widział żadnego z tatuaży czy amuletów dakoity, zauważył natomiast, że watażka mówił z dziką pewnością siebie, a widoczny w wypełnionym dymem powietrzu półuśmiech był jak groźba. I chociaż rzadko miał coś do powiedzenia, kiedy się odzywał, w sali natychmiast zapadała cisza. Edgar zrozumiał wtedy, skąd zna tego człowieka, a jeśli nie jego, to gdzie widział tę pewność siebie, tę nieuchwytność. To samo dostrzegł u

Anthony'ego Carrola. Do snu stroiciela o szańskich księżętach weszła nowa postać, człowiek, o którym Edgar myślał, że go zna, a który wydawał się teraz równie tajemniczy jak sawbwowie siedzący przed nim, mówiący dziwnym językiem i wzbudzający szacunek i strach obcych plemion. Edgar odwrócił się, żeby spojrzeć na doktora; szukał w nim człowieka grającego na fortepianie, zbierającego kwiaty i czytającego Homera, ale słyszał tylko mowę złożoną z dziwnych dźwięków, słowa niezrozumiałe nawet dla kogoś panującego nad zawilnością brzmień. I na jedną krótką przerażającą chwilę, gdy płomienie świec strzeliły w górę, a ich blask zamigotał na jego twarzy, Edgarowi wydało się, że rozpoznaje wystające kości policzkowe, wysokie czoło oraz intensywność spojrzenia i mowy, cechy, które zdaniem innych plemion, czynią Szanem. Ale trwało to bardzo krótko, i tak prędko jak się pojawiło, tak szybko uleciało.

A

Anthony Carroll był znowu Anthonym Carrollem, który odwrócił się, z błyszczącymi oczami, i rzekł:

- Trzymasz się, stary przyjacielu? Wszystko w porządku?

Było późno, a do końca spotkania daleko.

- Tak - odparł Edgar. - Wszystko w porządku.

*

Spotkanie trwało do świtu, kiedy światło słońca zaczęło się wreszcie przesączać między krokwiemi. Gdy Edgar usłyszał wokół siebie szuranie, nie wiedział, czy wcześniej spał. Dwaj szańscy księżęta wstali i wyszli jeden po drugim, kłaniając się

Anglikom. Później podnieśli się pozostali i nastąpiły kolejne zgodne z etykietą pożegnania. Wtedy Edgar zauważył, jak jaskrawe i karykaturalne wydawały się stroje sawbwów w świetle dnia, ekstrawaganckie w stopniu przerastającym powagę i postury tych, którzy je nosili. Niebawem on i Carroll wstali i podążyli za księżętami.

W drzwiach Edgar usłyszał za plecami czyjś głos, odwrócił się i stanął twarzą w

twarz z Twet Nga Lu.

- Wiem, kim pan jest, panie Drake - powiedział Herszt Bandytów, uważnie dobierając angielskie słowa i uśmiechając się lisio.

Powiedział coś po szańsku i podniósł ręce. Edgar cofnął się, nagle przerażony, a Twet Nga Lu roześmiał się, opuścił dłonie i zaczął poruszać palcami, naśladując ruchy pianisty.

Edgar obejrzał się, chcąc sprawdzić, czy Carroll to widział, ale doktor zajęty był rozmową z jednym z książąt. Gdy Twet Nga Lu przechodził obok majora, ten odwrócił się i mężczyźni popatrzyli na siebie. Była to krótka wymiana spojrzeń, a potem Twet

Nga Lu opuścił salę. Na zewnątrz grupa szańskich wojowników uformowała za nim szyk.

W drodze powrotnej do Mae Lwin mówili niewiele. Doktor wpatrywał się w mgielkę, która spowijała ścieżkę, a Edgar czuł zmęczenie i miał zamęt w głowie. Chciał zapytać o wynik spotkania, ale Carroll wydawał się zatopiony w myślach. W pewnej chwili doktor zatrzymał się, by wskazać kępę czerwonych kwiatów, rosnących obok dróżki, ale wkrótce zapadł w milczenie. Niebo było zachmurzone, zerwał się wiatr, który smagał samotne turnie i wiał wzdłuż szlaku. Dopiero gdy wspinali się na wznoszące się nad Mae Lwin wzgórze, Carroll odwrócił się do stroiciela fortepianów:

- Nie zapytał pan, co zaszło podczas spotkania.

- Przepraszam - powiedział ostrożnie Edgar. - Jestem trochę zmęczony, to wszystko.

Anthony Carroll przeniósł wzrok na ścieżkę.

- Zeszłej nocy uzyskałem zarówno od Twet Nga Lu, jak i członków konfederacji Limbina warunkowe przyrzeczenie, że w zamian za gwarantowaną przez Jej Wysokość ograniczoną autonomię zaniechają, przed upływem miesiąca, oporu wobec władzy brytyjskiej. Rewolta skończona.

Do obozu przybyli tuż po południu. Na polanie przywitało ich kilku chłopców, którzy odprowadzili pony. Fort wydawał się dziwnie cichy. Edgar spodziewał się oświadczenia, poruszenia, jakiegoś uznania dla osiągnięcia. Doznawał niepokojącego wrażenia, że dopiero co był świadkiem tworzenia historii, a tu nic, tylko zwyczajne powitania. Doktor zniknął, a Edgar poszedł do swojego pokoju, gdzie usnął, nie zdejmując stroju jeździeckiego.

Obudził się o północy, spocony i zdezorientowany, gdyż śniło mu się, że nadal siedzi na końskim grzbiecie podczas długiej jazdy z Mongpu. Dopiero gdy rozpoznał zarysy pokoju, moskitierę, swój kufer, sterty papierów i narzędzia do strojenia, jego serce zwolniło rytm.

Chciał ponownie usnąć, ale nie mógł. Być może z powodu myśli o doktorze lub snu o podróży bez końca, albo tylko dlatego, że spał od wczesnego popołudnia. Było mu gorąco, czuł się brudny, spieczony słońcem i nagle stwierdził, że ma przyspieszony oddech. Chyba znowu jestem chory, pomyślał. Odsunął moskitierę i podszedł szybko do drzwi. Powietrze na zewnątrz było rześkie i chłodne, oddychał głęboko i próbował się uspokoić.

Między niezdecydowanymi deszczowymi chmurami mignął sierp księżyca. Poniżej płynęła ciemna Saluin. Stroiciel zbiegł po stopniach i przemknął przez polanę.

W obozie panowała cisza. Nawet strażnik z odchyłoną do tyłu głową, opartą o ścianę, spał na posterunku przed chatą.

Gdy Edgar szedł, miękka od deszczu ziemia przeciskała się między palcami jego stóp. Minął ukwiecone zarośla i wyszedł na brzeg. Teraz poruszał się szybciej; ściągnął koszulę i rzucił ją na piach. Zdjął także bryczesy. Dotknął stopami wody, a następnie zanurkował.

Nurt był chłodny i spokojny, ale mulisty. Edgar wypłynął na powierzchnię, położył się na wodzie i unosił się na niej. W górze rzeki wcinające się w jej koryto skały rozbijały prąd na przybrzeżne wiry. Edgar czuł, że płynie wolno w kierunku przeciwnym do głównego nurtu.

W końcu wyszedł z wody i stanął na brzegu. Naciągnąwszy ubranie na mokre ciało, ruszył bosy na skraj plaży, przeszedł po skałach i dotarł do wielkiego głazu, na którym stawali rybacy, gdy rzucali sieci. Położył się na plecach. Kamień wciąż był ciepły od słońca.

Edgar musiał zasnąć, gdyż nie słyszał, by ktokolwiek schodził na plażę, a dotarł do niego dopiero odgłos rozchlapywanej wody. Powoli otworzył oczy zaintrygowany tym, że jeszcze ktoś odbył nocną pielgrzymkę nad rzekę. Być może wróciła młoda para. Wolno i ostrożnie, żeby nie zdradzić swojej obecności, obrócił się na bok i spojrzał na brzeg.

To była kobieta. Klęczała daleko od niego, długie włosy miała upięte na głowie. Myła sobie ramiona, nabierając wody w stulone dłonie i pozwalając, by spływała jej po skórze. Miała na sobie hta main i nawet będąc sama, zachowywała się skromnie w kąpielu, jakby dobrze wiedziała o lubieżnych oczach sów. Hta main nasiąkała wodą z rzeki i przywarła do jej tułowia, kończąc się tuż poniżej wypukłości bioder.

Prawdopodobnie wiedział, kim jest kąpiąca się, zanim jeszcze kobieta odwróciła się w jego stronę i ujrzała go; oboje znieruchomieli, każde świadome naruszenia prywatności drugiego, dzielenia ze sobą zmysłowości rzeki, sierpu księżyca.

Potem kobieta zakrzętnęła się pospiesznie, zebrała pozostałe części garderoby i mydło. Nie oglądając się za siebie, pobiegła ścieżką pod górę.

Chmury przepłynęły. Zaświecił księżyc. Edgar zszedł na plażę. Na piasku leżał jaśniejący grzebień z kości słoniowej.

Carroll wyjechał w kolejnej „misji dyplomatycznej”, a Edgar wrócił do zajęć przy fortepianie. Wraz z nadejściem pory deszczowej płyta rezonansowa spęczniała; była to prawie niedostrzegalna zmiana, zauważalna być może jedynie przez tych, którzy potrafią stroić.

Grzebień zatrzymał na dwa dni.

W chwilach prywatności będzie go wyjmował i oglądał dokładnie, przesuwając palce po osieroconych pasmach czarnych włosów, owiniętych wokół zębów z

kości słoniowej. Wiedział, że powinien go jej oddać, ale wstrzymywał się z tym z powodu niezdecydowania lub nadziei oraz przez wzgląd na wrażenie intymności, które narastało wraz z oczekiwaniem i ciszą i stawało się coraz wyraźniejsze z każdą z wielu krótkich, niezręcznych rozmów, jakie odbywali podczas niemożliwych do uniknięcia spotkań na ścieżce.

No więc zatrzymał ten grzebień. Przekonując się, że musi pracować, Edgar zwlekał z oddaniem go w dzień, podczas gdy w nocy mówił sobie, że musi poczekać z tym do rana; Nie mogę iść do niej, gdy jest ciemno. Pierwszej nocy zabawił długo przy fortepianie, strojąc go i przestrajając. Drugiej nocy, gdy grał w samotności, usłyszał pukanie do drzwi.

Wiedział, kto to, zanim jeszcze drzwi otworzyły się, a ona - ociągając się - weszła do środka. Być może poznał ją za sprawą delikatnego, cierpliwego stukania, tak odmiennego od nacechowanego pewnością siebie łomotania doktora, lub po wahaniu charakterystycznym dla służącej. Być może zmienił się wiatr, który przyniósł z gór woń mokrej ziemi, a przy okazji zapach perfum Khin Myo. A może to, że postępowali według znanych od wieków wzorców, na których powtarzanie byli skazani, wyznaczało właściwy kierunek.

- Dobry wieczór - od drzwi dobiegł głos z płynnym akcentem.

- Ma Khin Myo - powiedział.

- Mogę wejść?

- O... oczywiście.

Delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

- Nie przeszkadzam?

- Nie, ani trochę... Dlaczego tak myślisz?

Pochyliła lekko głowę.

- Sprawia pan wrażenie zatroskanego. Coś się dzieje?

- Nie, nie - Edgarowi drżał głos, ale zmusił się do uśmiechu.

- Zabijam tylko czas.

Stała przy drzwiach ze złożonymi rękami. Miała na sobie tę samą cienką bluzkę,

którą nosiła tego dnia, kiedy spotkali się nad rzeką. Strojiciel widział, że pomalowała niedawno twarz i pomyślał o nielogiczności tego posunięcia; Teraz nie świeci słońce, więc nie ma innego powodu, by nakładać thanaka, jak tylko ten, że to jest piękne.

- Wie pan, że w czasie kiedy przyjaźniłam się z Angielkami, często słyszałam grę na fortepianie - powiedziała. - Uwielbiam jego dźwięk. Pomyślałam... Pomyślałam sobie, że pokaże mi pan, jak pan pracuje.

- Oczywiście. Ale czy nie jest późno? Nie powinnaś być z... - zawahał się.

- Z doktorem Carrollem? Nie ma go w Mae Lwin - ciągle stała. Jej cień migotał na ścianie, załamując się na pasach bambusa.

- Oczywiście, oczywiście. Wiedziałem, czyż nie? - strojiciel zdjął okulary i wytarł je o koszulę, wziął głęboki wdech. - Spędziłem tutaj cały dzień. Tyle czasu przy fortepianie może sprawić, że człowiek staje się nieco... szalony. Przepraszam, powinienem był poszukać twojego towarzystwa.

- Nadal nie zaproponował mi pan, żebym usiadła.

Bezpośredniość Khin Myo spowodowała, że Edgar drgnął. Przesunął się, robiąc jej miejsce na ławce.

- Proszę.

Wolnym krokiem ruszyła przez pokój w stronę fortepianu, jej cień na ścianie wydłużył się. Zebrała hta main i usiadła obok strojiciela. Przez chwilę po prostu patrzył na nią, podczas gdy ona spoglądała w dół, na klawisze. Kwiat, który wpięła we włosy, był świeży i pachnący; zauważył drobniutkie ziarenka pyłku, osypujące się na jej fryzurę. Odwróciła się do niego.

- Przepraszam, jeśli sprawiam wrażenie roztargnionego - odezwał się. - Zawsze nieco wolno wychodzę z transu, w który wpadam, kiedy stroję. To inny świat. Zawsze przeżywam lekki wstrząs, gdy przerywają mi... goście... To trudno wytłumaczyć.

- Przypuszczalnie to tak, jak zostać obudzonym ze snu.

- Być może, być może... Ale ja obudziłem się w świecie dźwięków. Teraz mam

wrażenie, że ponownie zacząłem śnić.

Kiedy Khin Myo nic nie powiedziała, stroiciel dodał:

- To musi wydawać się dziwne.

- Nie - potrząsnęła głową. - Czasami mieszamy rzeczywistość ze snem.

Zapadło milczenie. Khin Myo podniosła dłonie i oparła je na klawiaturze.

- Grałaś kiedyś? - spytał Edgar.

- Nie, ale zawsze chciałam, jeszcze jako mała dziewczynka.

- Spróbuj teraz, to dużo bardziej interesujące od obserwowania mnie podczas strojenia.

- Och, naprawdę nie powinnam. Nie umiem.

- Nic nie szkodzi. Tylko spróbuj. Naciśnij klawisz.

- Jakikolwiek klawisz?

- Zaczynj tam, gdzie teraz opierasz palec. To pierwszy dźwięk Preludium f - moll z Das wohltemperierte Klavier, które grałem dla sawbwy.

Khin Myo nacisnęła klawisz. Dźwięk zabrzmiał w pomieszczeniu i wrócił do nich echem.

- Widzisz - powiedział Edgar. - Grasz teraz Bacha.

Khin Myo nie odwróciła się od fortepianu, on zaś dostrzegł, że skóra w kącie jej oczu zmarszczyła się delikatnie; cień uśmiechu.

- Brzmi to zupełnie inaczej, kiedy się tutaj siedzi.

- Istotnie. Nie ma nic, co by było temu podobne. Chyba mógłbym cię nauczyć większego fragmentu tego utworu.

- Och, nie powinnam panu przeszkadzać. Właściwie ma pan rację; chyba jest późno. Nie chcę przeszkadzać panu w pracy.

- Nonsens. Jesteś tutaj.

- Ale nie umiem grać.

- Nalegam. To krótki motyw, ale o wielkim znaczeniu. Proszę, teraz, kiedy zaczęliśmy, nie mógłbym pozwolić ci odejść. Następny dźwięk kryje się pod tamtym klawiszem, uderz go palcem wskazującym.

Khin Myo odwróciła się do stroiciela.

- No dalej, graj - polecił i wskazał klawisz.

Nacisnęła go. W głębi fortepianu młotek skoczył w kierunku struny.

- Teraz następny klawisz po lewej stronie, a potem powyżej niego. Z powrotem do pierwszego. Tak, ten pierwszy klawisz, jaki nacisnęłaś. Teraz znowu drugi. I wyżej.

Właśnie, to jest to. Teraz zagraj jeszcze raz, szybciej.

Khin Myo zmagala się z zadaniem.

- Nie brzmi najlepiej - stwierdziła.

- Brzmi wspaniale. Spróbuj ponownie.

- Nie wiem... Może pan powinien.

- Nie, grasz cudownie. Będzie ci dużo łatwiej, jeśli przy niższych dźwiękach posłużysz się lewą ręką.

- Nie sądzę, żebym potrafiła. Może mi pan pokaże?

Odwróciła się, jej twarz zbliżyła się do jego twarzy.

Serce Edgara zabiło gwałtownie i przez chwilę obawiał się, że kobieta to usłyszy. Ale dźwięk muzyki ośmielił go. Wstał, obszedł siedzisko i stanął za Birmanką, po czym opuścił ręce wzdłuż jej ramion.

- Połóż dłonie na moich - polecił.

Uniosła je powoli. Na chwilę zamaryły, zawieszony, a potem opuściła je łagodnie. Trwali nieruchomo, czując wyłącznie ciepło swych rąk, jakby reszta ich ciał była tylko bladym zarysem. Widział odbicie ich obojga w lakierowanym mahoniu płyty czołowej instrumentu. Palce Khin Myo sięgały do połowy jego palców.

Utwór zaczął się wolno, jakby z ociąganiem. Fuga f - moll z drugiego tomu Das wohltemperierte Klavier przypominała zawsze Edgarowi o kwitnieniu kwiatów, o spotkaniu kochanków; pieśń początku. Nie grał jej w noc wizyty sawbwy, gdyż jest to trzydziesta ósma kompozycja, a on skończył na dwudziestej czwartej. Na początku więc jego dłonie poruszały się wolno, niepewnie, ale

dzięki miękkiemu ciężarowi rąk

Khin Myo pokonywał pewnie każdy takt, a w głębi fortepianu przesuwały się posłuszne ruchowi klawiszy części mechanizmu: rzędy malutkich, skomplikowanych kawałków metalu i drewna podnosiły się i opadały, pozostawiając za sobą wibrujące, dźwięczące struny. Na skrzyni instrumentu drżały płomienie świec.

Kiedy grali, spod wpiętego we włosy Khin Myo kwiatu wysmyknęło się pojedyncze pasmo i laskotało Edgara w wargę. Stroiciel nie odsunął go, ale zamknął oczy i zbliżył twarz, dzięki czemu kosmyk przesunął się po jego policzku, znowu po wardze, potem po rzęsach.

Tempo muzyki wzrosło, po czym opadło łagodnie i cicho, a później utwór skończył się.

Ich dłonie spoczywały razem na fortepianie. Khin Myo odwróciła lekko głowę, oczy miała zamknięte. Wypowiedziała jego imię głosem utkanym z samego oddechu.

- Czy po to przyszedłeś tutaj dziś w nocy? - zapytał Edgar.

Chwilę trwało milczenie, a potem kobieta odpowiedziała:

- Nie, panie Drake. - I dodała szeptem: - Ja jestem tutaj od zawsze.

Edgar zbliżył wargi do jej skóry, chłodnej i wilgotnej od potu. Pozwolił sobie na to, by oddychać zapachem włosów, poczuł słodki na jej szyi smak soli. Khin Myo przesunęła wolno dłonie i splotła palce z jego palcami.

I w tym momencie wszystko się zatrzymało. Ciepło jej rąk, gładkość jej skóry na zgrubieniach jego dłoni. Światło świecy tańczyło na delikatnym policzku, na który padał jedynie cień kwiatu. Trwali tak przez kilka sekund, a może dłużej, ale tylko świerszcze trzymały rytm.

To ona pierwsza wyswobodziła się z jego objęć i łagodnie uwolniła dłonie z jego rąk nadal spoczywających na klawiaturze. Przesunęła palce po jego ramionach. Muszę iść, zdawała się mówić. A on ponownie zamknął oczy, ostatni raz wciągnął zapach

Khin Myo i pozwolił jej odejść.

21

Edgar spędził noc przy fortepianie, dryfując między jawą a snem. Nadal było ciemno, gdy obudziło go skrzypienie otwierających się drzwi i odgłos kroków. Podniósł powieki, spodziewając się widoku dzieci, ale stwierdził, że patrzy w oczy starej kobiety.

- Doktor potrzebować cię. Szybko - powiedziała, a jej oddech cuchnął starą rybą.

- Słucham? - Stroiciel usiadł, nadal na wpół śpiąc.

- Doktor Carroll potrzebować cię. Szybko.

Wstał i obciągnął na sobie koszulę. Dopiero wtedy połączył wezwanie doktora z ostatnią nocą, z Khin Myo.

Wyszedł za starą z pokoju. Był jeszcze wczesny świt i panował chłód; słońce miało do przebycia długą drogę, zanim wychynie ponad górę. W drzwiach budynku dowódcy starucha uśmiechnęła się szeroko, wyszczerzając poplamione betelem zęby, po czym pokuśtykała ścieżką w dół. Edgar zastał doktora pochylonego nad rozłożonymi na biurku mapami.

- Posyłał pan po mnie - powiedział nerwowo.

Doktor spoglądał jeszcze chwilę na mapy, a potem podniósł wzrok.

- Tak, witam, panie Drake, proszę usiąść. - Wskazał krzesło.

Edgar usiadł i przyglądał się doktorowi, który jedną ręką przerzucał z przejściem mapy i kreślił na papierze lime, a drugą masował sobie kark. Nagle podniósł wzrok i zdjął z nosa pincenez.

- Przepraszam, że obudziłem pana tak wcześnie, panie Drake.

- Nic nie szkodzi, ja...

- To raczej pilna sprawa - przerwał mu Carroll. - Zaledwie kilka godzin temu wróciłem z Mongpan. Musieliśmy gnać tutaj na wyścigi.

Jego głos brzmiał inaczej, oschlej, doktor mówił z roztargnieniem, które zastąpiło dawny, nacechowany pewnością siebie ton. Dopiero wtedy Edgar

zauważył, że doktor nadal ma na sobie ubłocony jeździecki strój, a za pasem pistolet. Stroiciel poczuł się nagle winny; To nie chodzi o Khin Myo.

- Panie Drake, najlepiej będzie, jeśli wyłożę kawę na ławę.

- Oczywiście, ale...

- Obawiam się, że Mae Lwin zostanie zaatakowane.

Edgar pochylił się, jakby chciał go lepiej słyszeć.

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Zaatakowane?

- Być może nawet dzisiejszej nocy.

Zapadło milczenie. Przez chwilę stroiciel myślał, że to żart lub jeden z planów Carrolla, że kryje się za tym coś więcej, co tamten za chwilę mu wyjaśni.

Spojrzał ponownie na pistolet, na ubłoconą koszulę i w zmęczone, otoczone zmarszczkami oczy doktora.

- Mówi pan poważnie - rzekł Edgar jakby sam do siebie. - A ja sądziłem, że podpisaliśmy traktat. Powiedział mi pan...

- Traktat nadal obowiązuje. To nie chodzi o konfederację Limbina.

- O kogo zatem?

- O innych. Mam wrogów. Być może doraźni sojusznicy, których uważałem za przyjaciół, ale w których lojalność teraz wątpię. - Carroll spojrzał ponownie na mapy.

- Chciałbym panu powiedzieć więcej, ale musimy się przygotować... - Milczał chwilę, po czym ponownie podniósł wzrok. - Mogę panu powiedzieć tylko tyle: na miesiąc przed pańskim przybyciem napadnięto nas, wie pan o tym, bo został pan zatrzymany w Mandalaju. Schwytano potem kilku napastników, ale ci nawet na srogich torturach nie wyjawili, kto ich wynajął. Niektórzy uważają, że to byli drobni złodzieje, ale nie widziałem dotąd tak dobrze uzbrojonych pospolitych złodziejasków. Co więcej, część ich karabinów była brytyjskiej produkcji, a to oznacza, że zostały skradzione. Albo że ci ludzie byli wcześniej sojusznikami, którzy zdradzili.

- A teraz?

- Dwa dni temu pojechałem do Mongpan, by omówić budowę drogi do Mae Lwin. Zaledwie w kilka godzin po moim przybyciu do komnat księcia przybiegł szański chłopiec. Łowił ryby na jednym z małych dopływów Saluin, gdy ujrzał grupę mężczyzn obozujących w lesie. Podkraść się do nich i podsłuchał ich rozmowy. Nie zrozumiał wszystkiego, ale słyszał, że mężczyźni omawiali plan ataku na Mongpan, a potem na Mae Lwin. I ci również mieli brytyjskie karabiny, lecz grupa była dużo liczniejsza. Jeżeli chłopiec ma rację, to trudno mi wyobrazić sobie powód, dla którego jacyś dakoici odważyliby się zapuścić tak daleko na płaskowyż i nas zaatakować.

Istnieje wiele możliwości, ale nie mam czasu, by o wszystkich teraz panu opowiadać.

Jeśli napastnicy są już w Mongpan, to tutaj mogą znaleźć się dziś w nocy.

Edgar czekał, że doktor powie coś więcej, ale on milczał.

- I co pan teraz zrobi? - zaryzykował pytanie stroiciel.

- Z relacji wynika, że napastników jest zbyt wielu, żeby udało nam się obronić placówkę. Wezwałem posiłki. Rozesłałem konnych. Lojalne wobec mnie plemiona przyślą swoich ludzi, jeśli tylko ci będą mogli dotrzeć tutaj na czas. Z Mongpan, z

Monghang, z... - wymieniając wioski, Carroll pochylił się do mapy, ale Edgar już go nie słuchał.

Przed oczami miał obraz konnych zjeżdżających ze wzgórz w stronę Mae Lwin. Widział wojowników jadących szybko przez wąwozy w wapiennych skałach i przemierzających otwarty płaskowyż, widział powiewające flagi, ufarbowane na czerwono ogony koni, zbierające się w obozie oddziały, szukające schronienia kobiety, widział Khin Myo. Myślał o spotkaniu członków konfederacji Limbma. Doktor miał na sobie ten sam mundur, patrzył tym samym niewidzącym spojrzeniem.

- A ja...

- Potrzebna mi pańska pomoc, panie Drake.

- Jaka? Zrobię wszystko. Nie jestem dobrym strzelcem, ale...

- Nie, coś ważniejszego. Nawet jeśli otrzymamy wsparcie, Mae Lwin i tak może paść. A gdyby udało nam się odeprzeć atak, to tylko kosztem wielkich zniszczeń. To jest mała wioska.

- Ale mając więcej ludzi...

- Możliwe, możliwe też, że tamci spalą obóz. Muszę to brać pod uwagę. Nie mogę ryzykować utraty wszystkiego, nad czym pracowałem przez dwanaście lat.

Armia odbuduje Mae Lwin, ale nie można spodziewać się niczego więcej.

Zarządziłem już, że mój sprzęt medyczny, mikroskopy i zbiory roślin zostaną zabrane stąd i ukryte.

Ale jest jeszcze...

- Énard.

- Nie mogę zaufać swoim ludziom, że sami go stąd wywiozą. Nie mają pojęcia, jaki jest delikatny.

- Ale dokąd?

- W dół rzeki. Wypłynie pan dziś rano. Od brytyjskich fortów w kraju Karenów dzieli nas tylko kilka dni żeglugi. Tam trafi pan na oddziały, które odprowadzą pana do Rangun.

- Do Rangun?

- Póki się nie dowiemy, co się dzieje. Ale Mae Lwin nie jest już bezpiecznym miejscem dla cywila. Ten czas minął.

Edgar pokręcił głową.

- To wszystko dzieje się zbyt szybko, doktorze. Być może mógłbym zostać... lub zabrać fortepian w góry. Nie zniosę tego... - głos mu się załamał. - A co z Khin Myo? - zapytał nagle. Mogę o to teraz zapytać, ona stanowi integralną część tego wszystkiego;

Nie jest już tylko w moich myślach.

Carroll podniósł wzrok, a jego głos zabrzmiał nagle surowiej:

- Zostanie ze mną.
- Zapytałem tylko dlatego...
- Jest tutaj bezpieczniejsza, panie Drake.
- Ale doktorze...
- Przykro mi, panie Drake, lecz nie mogę dłużej z panem rozmawiać. Trzeba poczynić przygotowania do wyjazdu.
- Musi być jakiś sposób, dzięki któremu mógłbym zostać - Edgar starał się zapanować nad brzmącą w jego głosie paniką.
- Panie Drake - odezwał się Carroll wolno. - Nie mam na to czasu. Nie daję panu żadnego wyboru.

Stroiciel patrzył na doktora.

- Nie jestem pańskim żołnierzem.

Zapadło długie milczenie. Carroll znów masował sobie kark i patrzył na mapy.

Kiedy podniósł ponownie wzrok, wyraz twarzy miał łagodniejszy.

- Panie Drake - powiedział - przykro mi, że to musiało się zdarzyć. Wiem, co to dla pana znaczy, wiem więcej, niż się panu zdaje, że wiem. Ale nie mam teraz wyboru.

Myślę, że pewnego dnia pan to zrozumie.

Potykaç się, Edgar wyszedł z budynku dowództwa w zalaną słońcem przestrzeń.

Przystanął i próbował się uspokoić. W obozie panował ożywiony ruch.

Mężczyźni przygotowywali worki z piaskiem lub biegli w stronę rzeki z karabinami i amunicją. Inni ścinali i wiązali bambusy, budując ostrokoły.

Kobiety i dzieci stały w szeregu i pracowały jak brygada strażaków, napełniając wodą kubły, gliniane naczynia i garnki do gotowania.

- Panie Drake. - Te słowa dobiegły zza jego pleców. Mały chłopiec trzymał jego torbę. - Niosę to do rzeki, sir.

Stroiciel skinął tylko głową.

Śledząc przygotowania, powiódł wzrokiem w górę. Przednią ścianę pokoju

muzycznego całkowicie zdemontowano. Wewnątrz pomieszczenia widział nagich do pasa mężczyzn, którzy mozolili się przy urządzeniu zbudowanym z bambusa, lin i krążka. Poniżej zebrał się tłum gapiów, nadal trzymających w rękach kubły z wodą bądź karabiny. Skądś z góry dobiegło wołanie. Na ścieżce stało kilku ludzi i napinało linę. Edgar ujrzał, że fortepian uniósł się nagle w powietrze, i zakołysał niepewnie, ale mężczyźni w pomieszczeniu zapanowali nad instrumentem i popchnęli go w stronę pochylni wykonanej ze związanych razem długich tyczek bambusowych. Ci przy linie stęknęli, fortepian zahuścił się na krążku, po czym spłynął wolno w dół, a Edgar usłyszał dzwonienie, gdy tamci zaczęli opuszczać instrument: lina paliła ich w dłonie.

Przez długi czas énard trwał w zawieszeniu, ześlizgując się powoli, centymetr po centymetrze, po bambusowej pochylni, aż w końcu dotknął ziemi, a wtedy inni ludzie podbiegli i pochwycili go, Edgar zaś wziął pierwszy oddech od chwili, gdy wcześniej spojrzał w górę.

Instrument stał na suchym skrawku gruntu. W świetle dnia i na tle obozu wydawał się bardzo mały.

Ludzie krzyczeli i biegali; ich sylwetki tworzyły rozmazaną plamę. Edgar przypomniał sobie tamto popołudnie, gdy na parowcu opuszczał Londyn, jak kłębiła się mgła, jak wszystko ucichło, a on został sam. Obok poczuł czyjaś obecność.

- Wyjeżdża pan - powiedziała Khin Myo.

- Tak. - Spojrzał na nią. - Wiesz już?

- Powiedział mi.

- Chcę zostać, ale...

- Powinien pan wyjechać. Tu jest niebezpiecznie.

Wbiła wzrok w ziemię. Stała tak blisko, że widział czubek jej głowy i łodygę purpurowego kwiatu wplecionego w ciemne włosy.

- Jedź ze mną - powiedział nagle.

- Wie pan, że nie mogę.

- Wieczorem będę o wiele kilometrów stąd w dół rzeki, do rana ty i doktor Carroll możecie już nie żyć, a ja nigdy się nie dowiem...

- Proszę nie mówić takich rzeczy.

- Nie... planowałem tego. Zostało tyle spraw, których... Być może już nigdy cię nie zobaczę, nie chcę tego powiedzieć, ale...

- Panie Drake... - zaczęła Khin Myo, ale urwała, oczy miała wilgotne. -
Przepraszam.

- Proszę, jedź ze mną.

- Muszę zostać z Anthonyem - odparła.

Anthony, pomyślał, nigdy nie słyszałem jego imienia.

- Przyjechałem tutaj ze względu na ciebie - rzekł Edgar, ale słowa zabrzmiały pusto.

- Przybył pan tutaj po coś innego - powiedziała Khin Myo, a znad rzeki dobiegło wołanie.

22

Fortepian przeniesiono przez obsypane kwiatami zarośla na skraju obozu, a potem w dół, nad rzekę. Na wodzie unosiła się tratwa, prymitywna konstrukcja z drewnianych bali trzykrotnie dłuższych od instrumentu. Mężczyźni przebrnęli płyciznę i postawili fortepian na tratwie. Przywiązali jego nogi, przeciągając liny między kłodami. Pracowali szybko, jakby robili to już wcześniej. Gdy instrument przymocowano, na drugim końcu tratwy umieszczono skrzynię i przytroczono ją w podobny sposób.

- W środku są pańskie rzeczy - powiedział Carroll.

Nie było jasne, kto spośród wielu mężczyzn brodzących po wodzie, zwijających linę, wiążących i poprawiających ją, będzie towarzyszył stroicielowi, póki instrument nie został w końcu przywiązany, a obciążenie tratwy zrównoważone. Wtedy dwaj chłopcy wyszli na brzeg, wzięli po dwa karabiny i wrócili z nimi na tratwę.

- To Seing To i Tint Naing, bardzo zręczni wioślarze - przedstawił ich doktor. -

Są braćmi i mówią po birmańsku. Będą panu towarzyszyć podczas żeglugi w dół rzeki.

Popłynie z wami także Nok Lek, ale dłubanką, żeby rozpoznawać bystrza przed tratwą. Popłyniecie do kraju Karenów lub być może aż do Mulmejn, co potrwa pięć, sześć dni. Wtedy znajdziecie się w głębi brytyjskiego terytorium i będziecie bezpieczni.

- A co powinienem potem zrobić? Kiedy mam wrócić?

- Wrócić? Nie wiem, panie Drake... - doktor umilkł, a później wyciągnął w stronę Edgara kawałek złożonego i zapieczętowanego woskiem papieru. - Chcę, żeby pan to wziął.

- Co to takiego? - spytał stroiciel zaskoczony propozycją.

Carroll zastanawiał się przez chwilę.

- Coś, co ma panu pomóc w podjęciu decyzji. Musi pan poczekać, zanim pan to przeczyta.

Z tyłu odezwał się jeden z chłopców:

- Jesteśmy gotowi, panie Drake. Musimy ruszać.

Edgar wyciągnął rękę, wziął papier, złożył go jeszcze raz i wsunął do kieszonki koszuli.

- Dziękuję - powiedział cicho i wszedł na tratwę.

Odbili od brzegu. Dopiero spojrzawszy za siebie na brzeg, Edgar zauważył, że Khin Myo stoi wśród kwiatów, na wpół ukryta w zaroślach. Za nią widać było wznoszące się na zboczu góry bambusowe domy Mae Lwin - jeden był bez ściany, otwarty i nagi, zwrócony ku rzece.

Porwał ich nurt i tratwa popłynęła w dół Saluin.

Od czasu, gdy przed miesiącami Edgar płynął pierwszy raz w dół rzeki, jej poziom podniósł się znacznie na skutek opadów pory deszczowej. Myślał o nocy, kiedy płynąc cicho w ciemności, przybyli na miejsce. Tak różny wydawał się tamten świat od tego, który teraz przemierzali, od zadrzewionych brzegów zalanych jasnym blaskiem słońca i od jaskrawo skrzących się liści. Czując

bliskość ludzi, z brzegu poderwała się para ptaków; trzepotały skrzydłami pod naporem światła, aż wreszcie złapały prąd powietrza i odleciały w dół rzeki.

Dudek, Upupa epops. Być może to te same, które widziałem w dniu przybycia, pomyślał Edgar; był zdumiony, że pamięta ich nazwę. Tratwa podążała śladem ptaków, skrzynia fortepianu błyszczała w słońcu.

Nikt nic nie mówił. Nok Lek płynął przed nimi, śpiewając cicho jakąś piosenkę. Jeden z braci siedział z wiosłem w dłoni na skrzyni z tyłu tratwy i napinał drobne mięśnie, zmagając się z prądem rzeki. Drugi stał na dziobie i obserwował nurt wody.

Ze środka tratwy Edgar przyglądał się umykającemu brzegowi. To było niewypowiedziane uczucie, spokojne opadanie i wznoszenie się obok mijanych wzgórz i strumieni wpływających do Salum. Tratwa zanurzała się głęboko i czasami woda przelewała się nad kłodami i obmywała stroicielowi stopy. Słońce skrzyło się na falach, ukrywając tratwę pod cienką warstwą migoczącego światła. Edgarowi wydawało się wówczas, że on, fortepian i chłopcy stoją na rzece.

Płynęli, a stroiciel obserwował ptaki, które nurkowały, wznosiły się w powietrznych prądach i podążały z nurtem rzeki. Chciałby tu być z doktorem i powiedzieć mu, że je widział, i żeby doktor mógł uzupełnić swój dziennik obserwacji.

Edgar zastanawiał się, co Carroll teraz robi, jak obrońcy się przygotowują i czy doktor stanie także do walki z napastnikami. Wyobrażał sobie, że Carroll odwraca się i widzi stojącą wśród kwiatów Khin Myo. Zastanawiał się, co tamten wiedział i co ona mu powie. A nie minęło jeszcze dwanaście godzin od chwili, gdy czuł na wargach promieniujące ciepło szyi kobiety.

Od Khin Myo myśli Edgara popłynęły ku staremu stroicielowi, u którego niegdyś terminował, a który popołudniami, po skończonej pracy miał zwyczaj wyjmować z kredensu butelkę wina. Cóż za odległe wspomnienie, zadumał się i zastanowił, skąd się wzięło i co to znaczyło, że teraz przyszła na nie pora.

Przypomniaws sobie pokój, w którym uczył się stroić fortepiany, i zimne popołudnia, kiedy stary człowiek rozwodził się malowniczo o roli stroiciela, a Edgar słuchał z rozbawieniem.

Młodemu terminatorowi słowa mistrza wydawały się ckliwe. Dlaczego ty chcesz stroić fortepiany?, spytał mistrz. Gdyż mam zręczne ręce i lubię muzykę, odpowiedział chłopiec, a jego nauczyciel się roześmiał. To wszystko? A co jeszcze?, odpowiedział pytaniem uczeń. Jeszcze? Mężczyzna podniósł kieliszek i uśmiechnął się. Nie wiesz, spytał, że w każdym fortepianie jest ukryta melodia? Chłopiec pokręcił głową.

Prawdopodobnie to tylko paplanina starego człowieka; Ale widzisz, ruchy palców pianisty są czysto mechaniczne; to straszliwie prozaiczny zbiór mięśni i ścięgien, które znają tylko kilka prostych zasad tempa i rytmu. My musimy stroić fortepiany, powiedział, aby coś tak banalnego jak mięśnie, ścięgna, klawisze, druty i drewno mogło stać się pieśnią. A jaki jest tytuł melodii, która tkwi w tym starym instrumencie?, zapytał chłopiec i wskazał zakurzone pianino. Pieśń, odparł mężczyzna. Nie ma tytułu. Tylko pieśń. I chłopiec roześmiał się, gdyż nie słyszał o melodii bez tytułu, a stary człowiek roześmiał się, bo był pijany i szczęśliwy.

Od kołysania się tratwy drżały klawisze i młotki, a w unoszącym się cichym dzwonieniu Edgar znowu słyszał pieśń bez tytułu, pieśń złożoną jedynie z dźwięków, lecz pozbawioną melodii, pieśń powtarzającą się, każda powtórka jak szemrzące echo pierwowzoru, pieśń, która pochodziła z samego fortepianu, gdyż nie było innego pianisty prócz rzeki. Wrócił myślą do tamtej nocy w Mae Lwin, do Das wohltemperierte Klavier, To utwór ujęty w ścisłe zasady kontrapunktu, tak jak wszystkie fugi, kompozycja nie jest niczym innym, jak przetworzeniem jednej prostej melodii, jesteśmy zmuszeni kierować się regułami ustalonymi w pierwszych kilku liniijkach zapisu nutowego.

Nie wolno ci zapominać, powiedział stary mężczyzna, wznosząc kieliszek z winem, że człowiek, który komponował kościelne pieśni uwielbienia i wiary,

tytuł swojej najwspanialszej fugi wziął od czynności strojenia fortepianu.

*

Płynęli z prądem. Po południu ich żegluga została spowolniona przez strome spadki na bystrzach, które musieli omijać, przeciągając tratwę łodem.

Potem rzeka zrobiła się szersza i Nok Lek przywiązał swoją dłubankę do tratwy.

Wczesnym wieczorem zatrzymali się w małej opuszczonej wiosce na brzegu rzeki. Nok Lek powiosłował w dłubance do brzegu, a dwaj chłopcy wskoczyli do wody i rozpryskując ją, pociągnęli tratwę. Z początku stawiała opór, jak krnąbrne zwierzę, ale powoli bracia wyrwali ją z głównego nurtu na płyciznę, a następnie przywiązali do leżącej na plaży kłody. Edgar pomógł im odwiązać fortepian i przenieść na brzeg, gdzie postawili instrument na piasku. Niebo było zachmurzone, więc zbudowali nad fortepianem szałas z plecionych mat.

W pobliżu zabudowań chłopcy znaleźli porzuconą piłkę chinlon i zaczęli kopać ją na płytkiej wodzie. Niefrasobliwość braci wydała się Edgarowi niestosowna, każda jego myśl wyprzedzała bowiem poprzednią: Gdzie są teraz doktor i Khin Myo; Czy zaczęła się walka; Być może jest już po bitwie. Opuścił Mae Lwin zaledwie kilka godzin temu, a teraz ani nie widział dymu, ani nie słyszał wystrzałów i krzyków. Rzeka była spokojna, a niebo czyste, jeśli pominąć gromadzącą się mgielkę.

Stroiciel pozostawił chłopców i wspiął się na brzeg. Zaczęło lekko mżyć i jego stopy zostawiały na wilgotnym piasku suche ślady. Ciekawy, dlaczego wioska została opuszczona, ruszył szlakiem, który wznosił się od brzegu w stronę zabudowań.

Wspinaczka była krótka; podobnie jak Mae Lwin wieś zbudowano blisko rzeki.

Na szczycie ścieżki zatrzymał się.

To była kiedyś typowa szańska wioska, zbiorowisko bezładnie stojących chat, stłoczonych na brzegu jak stado ptaków. Za nią rosła dżungla, wdzierająca się między domy płataniną lian i pnączy. Edgar poczuł swąd spalenizny, zanim zobaczył zniszczenia i mgłę gęstsza od deszczu, znad zwęglonego bambusa i

blota unosił się odór kopci. Stroiciel zastanowił się natychmiast, jak dawno temu wioska została opuszczona i czy smród zgliszczy był świeży, czy też ożywił go deszcz; Wilgoć tłumi dźwięki, pomyślał, ale wzmacnia zapachy. Szedł wolno. Z plam kopci i popiołu wyłaniały się szczegóły.

Większość chat była doszczętnie spalona, z wielu zabudowań pozostały nagie pozbawione dachów szkielety. W innych ściany zapadły się, a strzechy splecione z liści pofalowały się i pochyliły, zawieszane w pół drogi ku ziemi. Wokoło leżały porozrzucane osmalone fragmenty bambusa. Po nich u podnóża najniższych stojących domów przebiegł szczur, jego dreptanie pogwałciło ciszę. Nie było innych oznak życia.

Jak Mae Lwin, pomyślał stroiciel, ale brakowało wszechobecnych kurczaków, które by wydziobywały ze ścieżki nasiona. Nie było dzieci.

Edgar szedł wolno przez wioskę, mijając spalone, opuszczone, splądrowane pomieszczenia. Pnącza zaczęły się już wciskać w szczeliny ścian i podłóg stojących na skraju dżungli chat. Przypuszczalnie wieś została opuszczona dawno temu, uznał, ale roślinność odzyskiwała teren równie szybko, jak postępował rozkład.

Było już prawie ciemno; między spalonymi domostwami snuła się mgielka, która nadpłynęła z nad Saluin. Nagle Edgar poczuł strach. Było bardzo cicho. Nie zaszedł daleko, ale teraz nie potrafił wskazać drogi powrotnej nad rzekę. Szedł szybko przez skupisko groźnie wyglądających szkieletów chat - drzwi jak spalone usta łpiącego kościotrupa. Na szczytach dachów gromadziła się mgła, tworząc krople, które łączyły się w spływające ze strzech strumyczki. Domy płaczą, pomyślał Edgar, i przez szczeliny między listwami ściany ujrzał płomienie, których blask podświetlał mgłę i rzucał na zbocze wzgórza puchnące tańczące cienie. Podszedł do siedzących przy ognisku chłopców.

- Myśleliśmy, że pan zabłądził, panie Drake - powiedział Nok Lek.

- Tak, w pewnym sensie zgubiłem się - odparł Edgar i odsunął spadające na oczy włosy. - Jak dawno temu została opuszczona ta wioska?

- Wioska? - powtórzył Nok Lek i odwrócił się do swoich towarzyszy, którzy kucali przy otwartym koszyku i ugniatali w palcach małe grudki jedzenia.

Zapytał ich, a oni odpowiedzieli, mówiąc jeden przez drugiego.

- Nie wiem. Oni także nie wiedzą. Możliwe, że przed miesiącami. Niech pan tylko spojrzy, dżungla już wraca.

- Wiesz, kto tutaj mieszkał?

- To są szkańskie domy.

- Wiesz dokąd odeszli mieszkańcy?

Nok Lek pokręcił głową i odwrócił się, żeby zapytać braci. Ci także potrząsnęli kolejno głowami, a jeden z nich coś powiedział.

- Nie wiemy - przekazał Nok Lek.

- A co on mówił? - spytał Edgar, wskazując chłopca.

- Chciał wiedzieć, dlaczego interesuje się pan tą wsią - odparł Nok Lek.

Edgar usiadł na piasku obok młodzieńców.

- Bez powodu. Tylko z ciekawości. Tu jest bardzo pusto.

- Porzucono wiele wsi. Może spowodowali to dakoici, a może brytyjscy żołnierze. To bez znaczenia, ludzie przenoszą się gdzieś indziej i budują od nowa. Tak jest od bardzo dawna. - Nok Lek podał stroicielowi koszyk z ryżem i rybą z curry. - Mam nadzieję, że może pan zjeść palcami.

Siedzieli i jedli w milczeniu. Po chwili jeden z braci odezwał się ponownie. Nok Lek zwrócił się do Edgara.

- Seing To poprosił mnie, żebym pana zapytał, dokąd pan się uda, kiedy dotrzemy do brytyjskich terytoriów.

- Dokąd? - powtórzył Edgar zaskoczony pytaniem. - Nie wiem, doprawdy.

Nok Lek przekazał odpowiedź chłopcu, a ten zaczął się śmiać.

- Mówi, że to bardzo dziwne. Mówi, że oczywiście jedzie pan do domu, to jest to, co powinien pan odpowiedzieć, jeżeli nie zapomniał pan drogi. Uważa, że to bardzo śmieszne.

Zasłaniając usta, chłopcy walczyli z napadami śmiechu. Jeden z nich wyciągnął

rękę, chwycił drugiego za ramię i coś szepnął. Drugi skinął głową i włożył do ust kolejną bryłkę ryżu.

- Być może zapomniałem drogi - powiedział Edgar, teraz on też się śmiał. - A dokąd uda się pan Seing To?

- Z powrotem do Mae Lwin, oczywiście. Wszyscy wrócimy do Mae Lwin.

- I założę się, że wy nie zabłądzicie.

- Zabłądzić? Jasne, że nie - Nok Lek powiedział coś po szańsku i trzech chłopcy zachichotali. - Seing To mówi, że trafi do domu, kierując się zapachem włosów swojej ukochanej. Mówi, że czuje go nawet teraz. Zapytał, czy pan również ma ukochaną. A

Tint Naing powiedział, że tak, że nią jest Khin Myo, więc pan także wróci do Mae

Lwin.

- Nie, nie... - zaprotestował Edgar i pomyślał: W naigrawaniu się dzieci kryją się straszliwe prawdy. - To znaczy tak, mam ukochaną, mam żonę, w Londynie, w Anglii. Khin Myo nie jest moją ukochaną, powinienesz powiedzieć Tint Naingowi, żeby natychmiast porzucił tę niedorzeczną myśl.

Bracia chichotali. Jeden objął ramieniem drugiego i coś mu szeptał.

- Przestańcie - powiedział Edgar słabym głosem, ale poczuł, że także zaczyna się śmiać.

- Seing To mówi, że również chce mieć angielską żonę. Jeśli popłynie z panem do Anglii, czy znajdzie mu pan żonę?

- Jestem pewny, że jest tam wiele miłych dziewcząt, którym by się spodobał - odparł Edgar, przyłączając się do żartów.

- Chce wiedzieć, czy trzeba być człowiekiem fortepianu, żeby mieć w Anglii piękną żonę.

- Zapytał o to? Czy trzeba być człowiekiem fortepianu?

Nok Lek skinął głową.

- Może pan zignorować jego pytanie. Jest młody, wie pan.

- Nie, w porządku. Nawet mi się to podoba. Nok Lek, powiedz mu, że nie, nie trzeba naprawiać fortepianów, żeby mieć piękną żonę. Chociaż to nie przeszkadza, jak sędzę - uśmiechnął się, rozbawiony. - Także inni mężczyźni, nawet żołnierze, znajdują sobie piękne żony.

Nok Lek przetłumaczył.

- Mówi, że to bardzo źle, iż musi wrócić do swojej ukochanej w Mae Lwin.

- Rzeczywiście szkoda. Moja żona ma wiele przyjaciółek.

- Powiedział, że ponieważ nie może jej poznać, to chce, żeby pan ją opisał. Chce wiedzieć, czy ma żółte włosy i czy jej przyjaciółki mają żółte włosy.

Ta rozmowa zaczyna się robić niemądra, uznał stroiciel, ale wrócił myślami do żony i przekonał się, że odpowiada z ożywieniem.

- Tak, ona... Katherine, tak ma na imię, ma żółte włosy, teraz przetykane pasmami brązu, ale nadal jest bardzo ładna. Ma niebieskie oczy i nie nosi okularów, jak ja, więc można się przekonać, jakie są cudowne. Gra również na fortepianie, znacznie lepiej ode mnie, sędzę, że bardzo by wam się to podobało. Żadna z jej przyjaciółek nie jest równie piękna jak ona, ale i tak bylibyście zadowoleni.

Nok Lek przetłumaczył to chłopcom, którzy przestali się śmiać i patrzyli, oczarowani opisem. Seing To skinął roztropnie głową i powiedział coś, tym razem rzeczowym tonem.

- Co mówi? - chciał wiedzieć Edgar. - Ma kolejne pytania na temat mojej żony, jak mi się zdaje.

- Nie. Zapytał, czy chce pan usłyszeć opowieść, ale powiedziałem, żeby się panu nie naprzykrzał.

Edgar był zdziwiony.

- Nie, bardzo mnie to interesuje. Co to za historia?

- Nic szczególnego, nie wiem, dlaczego tak się upiera, żeby ją panu opowiedzieć.

- Niech mówi. Bardzo mnie zaciekał.

- Może już pan ją słyszał. Jest dosyć znana i dotyczy leipbya, to birmańskie słowo. To także birmańska opowieść, więc nie znam jej tak dobrze jak Seing To. Jego matka jest Birmanką. Leipbya to duch o skrzydłach jak motyl, ale lata w nocy.

- Może éma - było w tych słowach coś, co zaniepokoiło Edgara, jakby słyszał je wcześniej. - Nie znam tej historii - powiedział.

- W istocie to może nie jest opowieść. Raczej wierzenie. Niektórzy Birmańczycy uważają, że życie człowieka zależy od ducha, który jest jak... éma. Duch przebywa w jego ciele i człowiek nie może bez niego żyć. Birmańczycy mówią także, że leipbya sprowadza sny. Kiedy człowiek śpi, leipbya wylatuje mu z ust, lata tu i tam i widzi podczas tej wędrówki różne rzeczy, i to są właśnie sny. Rano leipbya musi zawsze wrócić do człowieka. To dlatego Birmańczycy nie chcą budzić śpiących, gdyż leipbya może być bardzo daleko i mógłby nie zdążyć przybyć na czas.

- A wtedy?

- Jeśli leipbya zgubi się lub jeśli podczas lotu zostanie złapany i zjedzony przez bilu, jak to powiedzieć, przez złego ducha, to wtedy jest to ostatni sen tego człowieka.

Chłopiec wyciągnął rękę i pogrzebał w ognisku; w górę strzeliły iskry.

- I to jest ta opowieść?

- Mówiłem panu, tylko wierzenie, ale chciałem, żeby panu przetłumaczyłem. Nie wiem, dlaczego. Czasami dziwnie się zachowuje.

Przy ogniu było ciepło, ale ciało Edgara przeniknęło chłód. W pamięci ujrzał obrazy z Indii: jazda pociągiem, odpadający od wagonu chłopiec, mignięcie pałki policjanta.

- Poeta wallah - rzekł cicho stroiciel fortepianu.

- Słucham, panie Drake?

- Och... nic, nic. Powiedz mu, że ta opowieść dała mi wiele do myślenia. Być może powinien przekazywać swoje historie innym.

Gdy Nok Lek tłumaczył, Edgar patrzył poprzez płomienie na małego chłopca, który siedział w objęciach brata. Uśmiechał się, a jego sylwetkę przesłaniał dym z ogniska.

Ogień przygasał i Nok Lek zniknął w ciemności, po czym wrócił z naręczem drewna. Bracia usnęli po drugiej stronie ogniska, obejmując jeden drugiego. Zaczęło mżyć, Nok Lek i Edgar wstali, zgasili ogień i obudzili chłopców, którzy mamrocząc coś, poszli za nimi do szałasów. W nocy padało kilkakrotnie i Edgar słyszał bębnienie kropli deszczu o matę, okrywającą skrzynię fortepianu.

Rano, pod zachmurzonym niebem zwinęli obóz. Żeglując dalej, zostawili matę na fortepianie. Niebo przejaśniło się późnym przedpołudniem. Wezbrana od deszczu rzeka płynęła szybciej. Wczesnym popołudniem Nok Lek powiedział Edgarowi, że wpłynęli na teren księstwa Mawkmai i że przed upływem dwóch dni znajdą się w kraju Karenów, gdzie Brytyjczycy mają na rzece posterunki graniczne z północnym

Syjamem. Tam mogliby się zatrzymać i nie musieliby pokonywać całej trasy do Mulmejn.

Niebawem wszystko się skończy, pomyślał Edgar, i stanie się wyłącznie wspomnieniem. Nieproszony przez chłopców, zdjął z fortepianu matę i stanął przy instrumencie, zastanawiając się, co zagrać. Finał, gdyż jeśli jutro pożegnamy się z rzeką, to będzie koniec snu i pianista stanie się ponownie stroicielem. Tratwa płynęła spokojnie z nurtem rzeki, uderzane przez młotki struny fortepianu podzwaniały cicho.

Stojący na dziobie jeden z braci odwrócił się i obserwował Edgara.

Stroiciel nie wiedział, co zagrać, ale wiedział, że musi zacząć i że melodia popłynie. Pomyślał, iż być może powinien zagrać znowu Bacha, ale utwór nie wydawał się teraz odpowiedni. Zamknął więc oczy i nasłuchiwał. I w wibracji strun usłyszał melodię, która tygodnie temu, na Irawadi, wzniosła się pod nocne niebo, a potem ponownie, w księżycowy wieczór w Mandalaju, gdy oglądał yôkthe pwè. Ngo - gyin, pieśń o utracie. Być może pasuje do tej chwili,

pomyślał. Opuścił palce na klawiaturę i zaczął grać, a pieśń spłynęła stamtąd, dokąd nigdy się wzniosła; dźwięki, których nie mógł stworzyć żaden stroiciel, obce, nowe, ani z bemolem, ani z krzyżykiem, gdyż érardy nie są skonstruowane ani do tego, by grać na nich na rzece, ani by grać na nich ngo - gwin.

Edgar Drake grał, nagle huknęły karabinowe strzały, potem rozległ się plusk, i kolejny, i jeszcze jeden. I dopiero wtedy otworzył oczy, i ujrzał, że ciała dwóch jego towarzyszy unoszą się na wodzie, a trzecie, na wznak, leży cicho na pokładzie tratwy.

Stał przy fortepianie, a tratwa kręciła się leniwie z powodu upadku ciał jego towarzyszy. Nad rzeką panowała cisza; stroiciel nie wiedział, skąd padły strzały. Drzewa na brzegach cicho szumiały na wietrze. Deszczowe chmury dryfowały wolno po niebie. Na przeciwległym brzegu krzyknęła papuga i zerwała się do lotu. Palce

Edgara trwały nieruchomo, zawieszony nad klawiaturą.

I wtedy z prawego brzegu doszedł szelest i dwie dłubanki, zepchnięte z plaży, ruszyły zdecydowanie z biegiem rzeki ku tratwie. Stroiciel, który nie miał pojęcia, jak nią sterować, nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko czekać, oszołomiony, jakby on także został postrzelony.

Nurt był wolny i dłubanki doganiały tratwę. W każdej było dwóch ludzi. Gdy łódzie znalazły się w odległości około stu metrów, Edgar dostrzegł, że wioślarzami byli

Birmańczycy w mundurach armii indyjskiej.

Dłubanki podpłynęły do tratwy, lecz żołnierze nie odezwali się. Jeden mężczyzna z każdej łódki wspiął się na pokład. Aresztowanie przebiegło szybko, Edgar nie protestował, tylko opuścił pokrywę klawiatury. Tratwę przywiązano liną do dłubanek i żołnierze powiosłowali w kierunku brzegu.

Tam czekał na nich Birmańczyk i dwaj Hindusi. Długą ścieżką poprowadzili Edgara na polankę do wartowni, nad którą powiewała flaga brytyjska. Podeszli do małej bambusowej chaty i Hindusi otworzyli drzwi. Na środku

pomieszczenia stało krzesło.

- Siadać - powiedział jeden z konwojentów.

Edgar usiadł. Mężczyźni wyszli, zamknęli za sobą drzwi. Przez szczeliny między pasami bambusa przenikało światło. Na zewnątrz dwaj żołnierze stanęli na warcie.

Stroiciel usłyszał kroki, drzwi się otworzyły i do środka wszedł brytyjski porucznik.

Edgar wstał.

- Co się dzieje, panie poruczniku?

- Niech pan siada, panie Drake - powiedział surowym głosem mężczyzna w świeżo wyprasowanym mundurze, o kantach ostrych i nakrochmalonych.

- Poruczniku, ci chłopcy zostali zastrzeleni. Co...

- Niech pan siada, panie Drake.

- Nie rozumie pan, doszło do jakiejś straszliwej pomyłki.

- Proszę pana ostatni raz.

- Ja...

- Panie Drake - porucznik zrobił krok do przodu. Edgar spojrzał oficerowi w oczy.

- Domagam się, żeby mi wyjaśniono, co się dzieje - z każdym słowem czuł narastający gniew, który zastępował przeżyty szok.

- Proszę pana, żeby pan usiadł.

- A ja nie usiądę, dopóki mi pan nie powie, dlaczego tutaj jestem. Nie ma pan prawa rozkazywać mi.

- Panie Drake.

Cios był szybki, Edgar usłyszał trzask, z jakim ręka mężczyzny uderzyła go w twarz. Opadł na krzesło i podniósł dłonie do pulsującej skroni, lepkiej od krwi.

Porucznik nic nie mówił, tylko z uwagą przyglądał się Edgarowi. Stroiciel trzymał się za policzek i patrzył na porucznika. Oficer przysunął sobie stojące w mroku krzesło. Usiadł twarzą do Edgara i czekał.

W końcu odezwał się:

- Edgarze Drake, został pan aresztowany na rozkaz dowództwa wojskowego w Mandalaju. W tych dokumentach zapisany jest charakter pańskiej zbrodni. - Podniósł z kolan plik teczek. - Będzie pan tutaj przetrzymywany, póki z Yawnghwe nie przybędzie po pana eskorta. Stamtąd zostanie pan przewieziony do Mandalaju, a potem do Rangun na proces.

Edgar potrząsnął gniewnie głową.

- To jakaś pomyłka.

- Panie Drake, nie pozwoliłem panu mówić.

- Nie potrzebuję żadnego pozwolenia - Edgar wstał ponownie z krzesła, co uczynił też oficer. Patrzyli sobie w oczy.

- Ja... - stroicielowi przerwał kolejny cios, spadły mu okulary, zatoczył się do tyłu i niemal przewrócił krzesło. W ostatniej chwili wsparł się na nim.

- Panie Drake, będzie dużo łatwiej, jeżeli zacznie pan współpracować.

Drżąc, Edgar schylił się, podniósł okulary i włożył je na nos. Z niedowierzaniem patrzył przez szkła.

- Dopiero co zamordował pan moich przyjaciół. Uderzył mnie pan, a teraz zaprasza do współpracy? Jestem w służbie Jej Królewskiej Mości.

- Już nie, panie Drake. Zdrajcy nie przysługuje taki zaszczyt.

- Zdrajcy!?! - Edgar poczuł, że kręci mu się w głowie. Usiadł, oszołomiony. - To szaleństwo.

- Panie Drake. Ta farsa prowadzi donikąd.

- Nic nie wiem. Zdrajca! Na podstawie jakich zarzutów?

- Zarzuty? Pomoc i współdziałanie z majorem lekarzem Anthonym Carrollem, szpiegiem i zdrajcą Korony.

- Anthony Carroll?

Porucznik nie odpowiedział.

Edgarowi wydało się, że na twarzy oficera dostrzegł cień szyderstwa.

- Doktor Anthony Carroll? Anthony Carroll jest najlepszym brytyjskim

żołnierzem w Birmie. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedział porucznik.

Drzwi otworzyły się i wszedł kapitan Thomas NashBurnham. Z początku Edgar ledwo poznał tęgiego, jowialnego mężczyznę, z którym pewnej nocy oglądał w

Mandalaju pwè. NashBurnham był nieogolony, pod oczami miał wielkie worki, a mundur brudny i wymięty.

- Kapitanie! - powiedział stroiciel, zrywając się ponownie na równe nogi. - Co się dzieje?

Kapitan spojrzał na Edgara, a potem przeniósł wzrok na porucznika.

- Poinformował pan pana Drakea o ciężących na nim oskarżeniach, poruczniku?

- Tylko pobieżnie, sir.

- Kapitanie, proszę mi powiedzieć, co się dzieje?

Nash Burnham odwrócił się do stroiciela.

- Niech pan siada, panie Drake.

- Kapitanie, domagam się wyjaśnienia, co się dzieje!

- Do cholery, panie Drake! Niech pan siada!

Szorstkie słowa NashBurnhama zapiekły bardziej niż cios porucznika. Edgar opadł na krzesło.

Porucznik wstał, odstąpił swoje miejsce kapitanowi i stanął za jego plecami.

- Panie Drake - zaczął wolno kapitan - przeciwko panu i majorowi Carrollowi wniesiono bardzo poważne oskarżenia. Radzę panu, by w swoim najlepiej pojętym interesie zaczął pan z nami współpracować. To jest tak samo trudne dla mnie, jak i dla pana.

Stroiciel milczał.

- Proszę, poruczniku - kapitan zwrócił się do stojącego za nim oficera, który zaczął mówić:

- Powiem krótko, panie Drake. Trzy miesiące temu podczas rutynowego

przeglądu akt w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Londynie znaleziono napisaną po rosyjsku krótką notatkę, która była dołączona do tajnego dokumentu. Ślad ten doprowadził do pułkownika Fitzgeralda, oficera, który w Anglii odpowiadał za korespondencję z Carrollem i który, jako pierwszy przedstawiciel Ministerstwa

Wojny, skontaktował się z panem. Przeszukano jego biurko i znaleziono kolejne listy.

Fitzgerald został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa.

- Rosyjski? Nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

- Panie Drake - odezwał się NashBurnham. - Nie musimy panu tego mówić.

Jeśli nie chce pan pomóc, możemy odesłać pana prosto do Rangun.

Edgar zamknął oczy i zacisnął szczęki. Wyprostował się na krześle, w głowie mu dudniło.

Porucznik podjął przerwany wątek:

- Aresztowanie pułkownika sprawiło, że wdrożyliśmy śledztwo przeciwko innym ludziom związanym z jego wydziałem. Dochodzenie dało niewiele poza tym, że znaleźliśmy datowany na tysiąc osiemset siedemdziesiąty dziewięć rok list od majora lekarza Anthony'ego Carrolla do Dymitra Mendelejewa, a zatytułowany: „O ściągających właściwościach wyciągu z Dendrobium z Górnej Birmy”. Choć w treści pisma nie ma nic, co by bezpośrednio wskazywało na jego szpiegowski charakter, to jednak wywołało ono pewne podejrzenia, a liczne chemiczne formuły nasuwały myśl, że jest to szyfr, podobnie, oczywiście, jak nieufność budziły zapisy nutowe wysyłane z naszego ministerstwa do majora Carrolla w Mae Lwin. Takie same arkusze, jakie pan, panie Drake, tam zawiózł. Kiedy przebadaliśmy ponownie zapisy muzyczne przysłane przez majora Carrolla, to przekonaliśmy się, że większość z nich jest niezrozumiała, co sugeruje, że nie opisują melodii, ale zawierają zakodowane informacje.

- To śmieszne - zaprotestował Edgar. - To szańska muzyka, słyszałem ją. Gama jest zupełnie inna. Naturalnie, że na europejskich instrumentach brzmi

odmiennie, ale to nie jest żaden szyfr...

- Oczywiście z niechęcią myśleliśmy o podniesieniu zarzutów przeciwko jednemu z naszych najpopularniejszych dowódców w Birmie. Potrzebowaliśmy dalszych dowodów. Później, na początku tego miesiąca, nasz wywiad dostarczył raport, w którym stwierdzono, że Carroll i pan odbyliście w Mongpu spotkanie z przedstawicielami konfederacji Limbina i z Księciem Bandytów, Twet Nga Lu.

- To jest bliższe prawdy. Byłem tam, ale...

- Tam, panie Drake, Carroll zawiązał z konfederacją Limbina sojusz, mający na celu wyparcie sił brytyjskich z Yawnghwe i ponowne ustanowienie szańskiej autonomii.

- Bzdura! - Edgar pochylił się na krześle. - Byłem tam. Carroll działał bez rozkazów, ale musiał tak postąpić. Przekonał konfederację do podpisania traktatu pokojowego.

- Czy tak panu powiedział? - NashBurnham spojrzał na porucznika.

- Tak, ale byłem tam. Widziałem to.

- Proszę mi powiedzieć, w jakim stopniu opanował pan szański, panie Drake? Stroiciel milczał chwilę. Potem pokręcił głową.

- To śmieszne. Spędziłem w Mae Lwin niemal trzy miesiące, ale nie zauważyłem, by Carroll choć raz dopuścił się jakiegokolwiek niesubordynacji wobec

Korony. Jest prawdziwym uczonym, człowiekiem zasad, miłośnikiem kultury i sztuki...

- Porozmawiajmy zatem o kulturze i sztuce - powiedział szyderczym tonem porucznik.

- O co panu chodzi?

- Po co pan pojechał do Mae Lwin, panie Drake?

- Doskonale pan wie, dlaczego pojechałem do Mae Lwin. Zostałem wynajęty przez wojsko do nastrojenia fortepianu Erarda.

- Tego samego instrumentu, który pływa teraz przy brzegu naszego obozu?

- Zgadza się.

- A jak pan się dostał do Mae Lwin, panie Drake? Z wojskową eskortą, jak to jest przedstawione w pańskim zleceniu?

Edgar milczał.

- Panie Drake, zapytam jeszcze raz. Jak pan się dostał do Mae Lwin?

- Doktor Carroll posłał po mnie.

- Więc pojechał pan wbrew rozkazom?

- Przyjechałem do Birmy nastroić fortepian. To były moje rozkazy. Nie mogłem wrócić do Rangun. Gdy otrzymałem list Carrolla, pojechałem. Jestem cywilem. To nie była niesubordynacja.

- Udał się pan zatem do Mae Lwin.

- Tak.

- Jakiego typu fortepian przybył pan nastroić, panie Drake?

- Érarda. Wie pan o tym. Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tą sprawą.

- Érard... dziwne nazwisko. Jakie?

- Francuskie. Sébastien Érard był w istocie Niemcem, ale przeniósł się do Francji. Ja...

- Francuskie? Ma pan na myśli tych samych Francuzów, którzy budują forty w Indochinach?

- To śmieszne... nie sugeruje pan chyba, że...?

- To wyłącznie zbieg okoliczności czy może kwestia gustu? Jest wiele dobrych brytyjskich fortepianów.

Edgar spojrzał na NashBurnhama.

- Kapitanie, nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Fortepiany nie wchodzi w sojusze...

- Niech pan odpowiada na pytania - powiedział kategorycznie NashBurnham bezbarwnym tonem.

- Ile trwa strojenie fortepianu, panie Drake? - zapytał porucznik.

- To zależy.

- W porządku, proszę mi zatem podać przybliżony czas. W Anglii, ile - najdłużej - trwało strojenie fortepianu?

- Tylko strojenie?

- Tylko strojenie.

- Dwa dni, ale...

- Dwa dni. Doprawdy? Jednak nasze raporty wskazują, że był pan w Mae Lwin niemal trzy miesiące. Jeśli fortepian można nastroić w dwa dni, to dlaczego nie wrócił pan do domu?

Edgar milczał. Miał wrażenie, że wiruje, rozpada się. Mijały minuty, a on nic nie mówił. W końcu kapitan NashBurnham odchrząknął i zapytał:

- Czy będzie pan w stanie odeprzeć te oskarżenia i zeznawać przeciwko majorowi lekarzowi Carrollowi?

- To, co pan mówi, kapitanie, może być prawdą - odparł wolno stroiciel. -

Byłem w Mongpu, widziałem ich spotkanie. Rozmawiałem z Twet Nga Lu.

Doktor

Carroll negocjował pokój. Przekona się pan. Wierzę mu. Jest ekscentrykiem, ale i geniuszem, człowiekiem, który potrafi podbijać serca muzyką i nauką.

Zaczekajmy tylko, a kiedy konfederacja Limbina przedłoży swoją propozycję Koronie, uwierzycie mi.

- Panie Drake - powiedział porucznik. - Dwa dni po spotkaniu w Mongpu siły Limbina pod dowództwem sawbwy z Lawksawk i przy wsparciu oddziałów przysłanych, jak sądzimy, przez Carrolla, zaatakowały nasze pozycje. Była to jedna z najsilniejszych ofensyw tej kampanii. Tylko dzięki bożej opatrności udało nam się odrzucić napastników do Lawksawk i spalić miasto.

Edgar był oszołomiony.

- Zniszczyliście Lawksawk?

- Zniszczyliśmy Mae Lwin, panie Drake.

23

Było ciemno. Po słowach kapitana Edgar nie odezwał się. Siedział na krześle na

środku pomieszczenia. Porucznik i kapitan NashBurnham wyszli, zamykając za sobą ze stukotem bambusowe drzwi. Stroiciel usłyszał głuchy odgłos przeciąganego przez bambusową futrynę łańcucha, a potem także zgrzyt klucza. Słyszał, że mężczyźni odchodzą w milczeniu, widział, jak ubywa słonecznego światła i słuchał odgłosów życia obozu, nad którymi brało górę coraz głośniejsze granie owadów. Dotknął wnętrza dłoni i przeciągnął palcami po zgrubieniach. Te są od klucza strojeniowego, Katherine; dochodzi do tego, gdy człowiek ściska coś zbyt mocno.

Było ciemno i hałas czyniony przez owady nasilił się, a przez szczeliny między listwami ścian napływało ciężkie powietrze, niosące mgłę i szept deszczu. Błądził myślami. Dumał o nurcie Saluin, o ocienionych brzegach, którymi podążał z powrotem, w górę rzeki. Myśli nie stosują się do praw hydrauliki. Stał na obrzeżach

Mae Lwin przed palącymi się bambusowymi chatami, nad którymi tańczyły płomienie, pożerały je, przeskakiwały na gałęzie ociekających ogniem drzew. Usłyszał krzyki, spojrzał w górę i pomyślał: To tylko odgłosy dżungli, brzęczenie chrząszczy.

Łańcuch przesunął się z chrobotem po bambusie.

Drzwi otworzyły się i ktoś wszedł, unosząc się; cień mroczny jak bezgwiezdna noc; Witaj, Edgarze.

Stroiciel nie odpowiedział. Mogę wejść, zapytał cień. Drzwi kołysały się wolno.

Nie powinienem tu być, powiedział, a stroiciel odparł: Ani ja, kapitanie.

Przez długą chwilę panowało milczenie, a potem z ciemności ponownie popłynął głos: Muszę z tobą porozmawiać.

Myślę, że już dosyć rozmawialiśmy.

Proszę, mnie też już podejrzewają: Gdyby wiedzieli, że tu jestem, to aresztowaliby mnie, Edgarze, byłem przesłuchiwany. To ma mnie pocieszyć?

To nie jest łatwe, Edgarze; Nic z tego nie jest łatwe; Chcę tylko porozmawiać.

Więc niech pan mówi. Edgarze, chcę mówić tak, jak rozmawialiśmy przed

dzisiejszym dniem. Tak jak rozmawialiśmy, zanim zabił pan chłopców. Nikogo nie zabiłem, Edgarze. Czyżby, trzej moi towarzysze nie żyją. Nikogo nie zastrzeliłem, Prosiłem ich, by nikogo me zabijali, ale zostałem zawieszony w obowiązkach dowódcy. Nok Lek miał piętnaście lat, powiedział Edgar, pozostali byli jeszcze dziećmi.

Zapadła cisza, w którą wdarł się ponownie chór owadów. Edgar słuchał ich brzęczenia i myślał: Dźwięk jest tak donośny, a jednak ma swoje źródło w ocieraniu się skrzydełek.

Edgarze, ryzykuję wszystko, przychodząc tutaj i rozmawiając z tobą.

Stroiciel usłyszał w pieśni owadów skryty głębiej werbel i pomyślał: To są takty, dźwięk zbudowany z interakcji nierównych tonów, zrodzony z dysonansu; Jestem zdumiony, że nie zauważyłem tego wcześniej.

Musisz ze mną porozmawiać; Pomyśl o swojej żonie.

Brzmienie dysonansu, pomyślał i powiedział: Nie zadał mi pan żadnego pytania.

Musisz nam pomóc go znaleźć, rzekł cień.

Brzęczenie owadów zdawało się zanikać; stroiciel fortepianów podniósł głowę.

Powiedział pan chyba, że zajęliście Mae Lwin. Istotnie, ale nie schwytaliśmy Carrola.

A Khin Myo? Oboje uciekli, nie wiemy, gdzie są.

Milczenie.

Edgarze, chcemy jedynie znać prawdę.

Zdaje się jej brakować.

W takim razie może mi powiesz i wszystko się skończy bez dalszego rozlewu krwi, a ty wrócisz do domu. Powiedziałem wam to, co wiem: Doktor Carroll to wielki człowiek.

W takiej chwili jak ta - to puste słowa. Może dla pana, kapitanie, być może na tym polega różnica. Chcę jedynie poznać fakty; Potem zdecydujemy, kim był.

Ma pan na myśli to, że pan zdecyduje; Powinno być jasne, że ja już

zdecydowałem. Nie sądzę, że to prawda; Istnieje wiele powodów, żeby zniknąć w

górach, żeby sprowadzać do dżungli fortepiany, żeby negocjować traktaty; Jest mnóstwo możliwości.

Kochał muzykę.

To jedna ewentualność; Są inne; Czy tak trudno to przyznać? Przyznać, być może, ale nie wątpić, Nie wątpiłem w niego. To nieprawda, Mamy twoje listy; Nie powinieneś kłamać, To nikomu me pomoże.

Moje listy?

Wszystko, co napisałeś po opuszczeniu Mandalaju.

Były do mojej żony, To są moje myśli, ja nie...

Nie sądziłeś, że zainteresujemy się człowiekiem, który zniknął?

Nigdy ich nie przeczytała.

Opowiedz mi o Carrollu, Edgarze.

Milczenie.

Edgarze.

Kapitanie, kwestionuję jedynie intencje; Nie wątpię w jego lojalność.

Przyznajesz. Owszem, ale zamiary i lojalność to nie to samo; Nie ma nic złego w stawianiu pytań; Ale nie wolno nam niszczyć tego, czego nie rozumiemy.

Więc powiedz mi, jakie masz pytania. Moje pytania. Twoje pytania, Edgarze.

Zastanawiam się, na przykład, dlaczego poprosił o fortepian.

Zastanawiasz się. Oczywiście; Stawiałem sobie to pytanie każdego dnia od wyjazdu z Brytanii. I już sobie odpowiedziałeś? Nie; A muszę?; Jakie to ma znaczenie, dlaczego poprosił o instrument, dlaczego poprosił o mnie; Być może była to główna myśl jego strategii; Być może tęsknił jedynie za muzyką i czuł się samotny.

A w co ty wierzysz?

Nie sądzę, żeby to miało znaczenie; Mam własne zdanie.

Tak jak i ja.

Niech mi pan powie, jakie, kapitanie.

Cień poruszył się: Anthony Carroll jest agentem pracującym na rzecz Rosji.

Jest szańskim nacionalistą; Jest francuskim szpiegiem; Anthony Carroll chce zbudować w dżunglach Birmy własne królestwo; To możliwości, Edgarze, tylko przyznaj, że są takie możliwości.

Podpisaliśmy traktat.

Nie mówisz po szańsku.

Widziałem to, widziałem dziesiątki, nie, setki szańskich wojowników, którzy mu się kłaniali. I nie zdziwiło cię to? Nie. Nie sądzę, żeby to była prawda.

Zastanawiałem się, być może.

A teraz?

Dał mi słowo.

A potem konfederacja Limbina zaatakowała nasze oddziały.

Być może zdradzili go.

Dwaj mężczyźni zamilkli, a pustkę po ich słowach wypełniły ponownie odgłosy lasu.

Ja także kiedyś w niego wierzyłem, Edgarze; Być może bardziej niż ty.

Uważałem, że w tej krwawej wojnie ciemnych intencji był zwolennikiem najlepszego dla

Anglii rozwiązania; Pozostawał powodem, który mnie tu zatrzymał.

Nie wiem, czy wierzyć panu teraz, kapitanie.

Nie proszę cię o to, proszę tylko, byś rozdzielił to, kim był, od tego, kim chcieliśmy go widzieć, to, kim ona była, od tego, kim chciałeś ją widzieć.

Nic pan o niej nie wie.

Ani ty, Edgarze; Czy ten uśmiech to tylko oznaka gościnności należna przybyszowi?

Nie wierzę w to.

Czy zatem wierzysz, że okazywała uczucia na jego prośbę, uwodziła cię jedynie po to, żeby skłonić do pozostania; Wierzysz w to, że nie wiedział?

Nie miał o czym wiedzieć, nie doszło do niczego zdrożnego.

Albo wierzył jej. Wierzył w co? Jedynie możliwości; Pomyśl, Edgarze, zerkając

przelotnie, nawet nie wiedziałaś, kim była dla niego.

Nic pan o tym nie wie.

Ostrzegałem cię kiedyś, Nie zakochuj się.

Nie zakochałem się.

Nie; Być może nie; Jednak ona jest we wszystko uwikłana.

Nie rozumiem?

Przychodzimy i odchodzimy, armie, fortepiany i Wielkie Zamierzenia, a ona pozostaje, ty zaś myślisz, że jeśli ją zrozumiesz, to reszta przyjdzie sama; Pomyśl; Czy ona także była twoją kreacją; Czy powodem, dla którego nie mogłeś jej zrozumieć, było to, że nie mogłeś pojąć własnych wyobrażeń, tego, kim chcesz być; To me jest zbyt wiele, by uznać, że umykają nam nawet nasze własne marzenia?

Ponowne milczenie.

Nawet nie wiesz, co to oznaczało dla niej, jak to jest być wytworem czyjejś wyobraźni. Dlaczego pan mi to mówi? Gdyż jesteś teraz inny niż wówczas, kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Jakie to ma znaczenie, to nie chodzi o mnie, kapitanie.

Kiedy widziałem cię ostatnio, powiedziałaś, że nie umiesz grać na fortepianie.

Nadal nie umiem. Jednak grałeś dla szańskiego sawbwy.

Nic pan o tym nie wie.

Grałeś dla szańskiego sawbwy z Mongnai i grałeś Das wohltemperierte Klavier, ale tylko do dwudziestej czwartej fugi.

Mówiłem panu, nie może pan tego wiedzieć, nie powiedziałem panu tego.

Zacząłeś od preludium i fugi numer cztery, szkoda, utwór numer dwa jest także piękny; Uważasz, że twoja muzyka musiała doprowadzić do pokoju; Nie możesz przyznać, że Anthony Carroll jest zdrajcą, gdyż to zaprzecza wszystkiemu temu, czego tutaj dokonałeś.

Nic pan nie wie o tej kompozycji.

Wiem dużo więcej, niż ci się wydaje.

Pana tutaj nie ma.

Edgarze; Nie niszczy tego, czego nie potrafisz zrozumieć; To są twoje słowa.

Pana tutaj nie ma; Nic nie słyszę, jest pan tylko piskiem świerszczy, jest pan tworem mojej wyobraźni.

Być może, a być może jestem tylko snem. Być może jestem tylko nocą, która robi sztuczki. Być może sam otworzyłeś zamek u drzwi. Możliwości, prawda?

Być może z brzegu padły cztery strzały, a nie trzy. Być może przyszedłem tutaj, by zadawać pytania nie komu innemu, jak tylko sobie.

A teraz.

Drzwi są otwarte; Idź; Nie zatrzymam cię; Uciekasz sam.

Czy dlatego pan tu przyszedł?

Aż do tej chwili nie wiedziałem tego.

Chciałbym pana wziąć w objęcia, ale to udzieli odpowiedzi, której nie chcę jeszcze znać.

Chciałbyś zapytać, czy istnieję naprawdę, czy też jestem duchem.

A pan chciałby odpowiedzieć.

Byliśmy już duchami, gdy to wszystko się zaczęło, rzekł cień.

Żegnam, powiedział Edgar Drake, wyszedł przez otwarte drzwi i wkroczył w noc.

W obozie było pusto, wartownicy spali. Edgar poruszał się cicho, nawet nie zamknął za sobą drzwi. Skierował się na północ, myśląc wyłącznie o tym, by jak najbardziej oddalić się od obozu. Ciężkie burzowe chmury zasłoniły księżyc; niebo było czarne. Szedł.

Biegł.

24

Deszcz zaczął padać zaledwie kilka minut po tym, gdy Edgar znalazł się na wolności. Biegł, już zdyszany, kiedy spadły na niego pierwsze krople; jedna, dwie, trzy krople wilgoci na ciepłej skórze. A potem, nagle, rozwarły się niebiosa. Niczym pękająca tama, chmury rozdzieliły się jakby rozcięte. Deszcz

płynął strugami z nieba.

Gnając przed siebie, Edgar starał się odtworzyć w głowie widziany na mapie obraz terenu, przez który przepływała rzeka, ale wspomnienie było niewyraźne.

Chociaż płynęli prawie dwa dni, to fortepian spowalniał ich żeglugę i nie pokonali więcej jak czterdzieści kilometrów, a ze względu na szerokie zakola Saluin lądem do

Mae Lwin mogło być nawet bliżej. Być może. Edgar próbował przypomnieć sobie wygląd terenu, ale wydało mu się nagle, że odległość ma mniejsze znaczenie niż kierunek. Biegł szybciej w strumieniach wody, spod stóp wylatywały w powietrze miękkie grudy błota.

I wtedy zatrzymał się nagle.

Fortepian. Edgar stał na małej polance. Smagał go coraz silniejszy deszcz, który ściekał mu po włosach i strumyczkami spływał po policzkach. Zamknął oczy.

Widział jak énard, którego targa prąd rzeki, unosi się przy brzegu, tam gdzie zostawili go żołnierze. Widział, że schodzą, żeby zabrać instrument, ciągną go, chwytają, dotykają łapskami brudnymi od smaru do konserwacji karabinów.

Widział fortepian stojący w eleganckim salonie, ponownie polakierowany i nastrojony, bambusową wstawkę we wnętrzu usunięto i zastąpiono świerkowym drewnem. Edgar stał nieruchomo. Z każdym oddechem wciągał ciepły pył wody. Otworzył oczy i odwrócił się. Z powrotem ku rzece.

Brzeg był porośnięty gęstym lasem, co sprawiało, że wędrówka tamtędy była prawie niemożliwa. Znalazłszy się nad rzeką, Edgar wślizgnął się do wody, której powierzchnią wstrząsały uderzenia kropel deszczu. Poddał się nurtowi.

Nie płynął długo; chwyciwszy się wierzbowych gałęzi, przyciągnął się do brzegu. Deszcz smagał go po twarzy, z mozołem starał się wydostać na ląd.

Ulewa spadała na las w postaci potężnych zasłon wody, niesionych przez porywy wiatru, który chłostał wierzby. Rzeka miotła wściekle przywiązaną do drzewa tratwę, pieniać się wokół; w każdej chwili mogła ją porwać z prądem.

Fortepian był nadal przywiązany do pokładu. Żołnierze zapomnieli przykryć

instrument i deszcz bębnił o mahoń.

Edgar przystanął na chwilę, i poczuł na nogach napór wody, a na plecach piekące smagnięcia ulewy. Obserwował fortepian. Nie było księżycy, poruszające się zasłony deszczu sprawiały, że érard to pojawiał się, to znikał za nimi. Jego kształt obrysowywały niesione wiatrem krople, które rozbijały się na ciemnym drewnie, nogi skrzypiały w rytm przechyłów tratwy.

Niebawem spostrzegą moją ucieczkę, pomyślał w przyptywie paniki, być może już o tym wiedzą i jedynie deszcz im nie pozwala mnie znaleźć. Brnąc przez wodę, dotarł do drzewa, do którego była przywiązana tratwa, i upadł na kolana. Lina zaczęła już zdzierać korę z pnia, a tam, gdzie ją zerwała, ukazała się miazga. Edgar gmerał przy węźle, ale napór wody na tratwę zacisnął go tak mocno, że stroiciel nie był w stanie poluzować supła zdrętwiałymi palcami. Woda z bulgotem przelewała się przez kłody szarpiącej się na linach tratwy, w każdej chwili grożąc jej przewróceniem. Zawodzenie érarda zdawało się to potwierdzać, przechyły tratwy rzucały młotki na struny, rykowi rzeki odpowiadało crescendo dźwięków. Wtedy Edgar przypomniał sobie o torbie z narzędziami.

Trzymając się liny, ruszył do tratwy i dotarł do wielkiej skrzyni. Otworzył ją z wysiłkiem i sięgnął do wnętrza. Natrafił palcami na suchą skórę. Wyjął torbę. Pogmerał przy jej zapięciach, otworzył ją i jak oszalały przegrzebywał jej zawartość, aż znalazł scyzoryk. Śpiew fortepianu stawał się głośniejszy, wszystkie struny wibrowały jednocześnie. Edgar rzucił torbę do wody, gdzie pływała chwilę w wirze utworzonym przy tratwie przez nurt rzeki, odwrócił się i ruszył w stronę brzegu.

Napór wody zbił go z nóg; opadł na kolana i chwycił się liny. Spadły mu okulary, ale złapał je w wodzie i z powrotem umieścił na nosie. Sięgnął ku linie, otworzył scyzoryk i zaczął piłować; napięte sploty sznura złuszczały się jeden po drugim, aż Edgar dotarł do ostatniego włókna i lina pękła. Tratwa zadrżała, a fortepian zadźwięczał, gdy klawisze wystrzeliły do przodu na skutek impetu

towarzyszącego zerwaniu się z uwięzi. Tratwa zatrzymała się na chwilę, obróciła i zaplątała w gałęzie wierzb, których liście pogłaskały wieko instrumentu. A potem spadła kurtyna deszczu i fortepian zniknął.

Stroiciel z trudem wciągnął się na brzeg. Wcisnął scyzoryk do kieszeni i znowu zaczął biec. Przedzierał się przez zarośla, odtrącał z twarzy gałęzie i gnał przez polanki, na które spadały ściany deszczu. Oczami duszy widział płynący fortepian, o który uderzały fale ulewy, wiatr szarpnięciem otworzył pokrywę klawiatury, i ten duet grał na klawiszach instrumentu. Spieniony nurt niósł fortepian w dół rzeki, obok tubylczych wiosek. Drake widział dzieci, które pokazywały sobie instrument, widział wiosłujących rybaków i ich sieci.

Ponownie uderzył piorun i oświetlił mężczyznę w okularach, w podartym ubraniu, z przyklejonymi do czoła włosami, biegnącego na północ przez las; czarny, mahoniowy fortepian podskakiwał w nurcie rzeki, niesiony na południe, intarsja z macicy perłowej odbijała światło. Rozbiegli się, jakby uwolnieni z miejsca, w którym pies wartownika wyrywa się na smyczy, a grupa żołnierzy zwiadu w szaleńczym pośpiechu zabiera latarnie.

Edgara ochlapywało błoto wyrzucane w powietrze uderzeniami stóp o ścieżkę. Szlak przeciął gęsty lasek, a on biegł dalej, przedzierając się w ciemności przez gałęzie.

Potknął się, upadł, koziółkując w błocie. Podniósł się i ruszył naprzód. Dyszał. Po godzinie skręcił ku rzece. Chciał przepłynąć ją później, gdy znajdzie się bliżej Mae Lwin, ale obawiał się, że psy podejmą trop.

Wezbrana od deszczu rzeka płynęła bystro. Z powodu ciemności i ulewy stroiciel nie widział drugiego brzegu. Starając się go dostrzec, zatrzymał się na skraju wody. Zaparowane okulary jeszcze bardziej rozmazywały obraz. Zdjął je i wcisnął do kieszeni. Stał chwilę, nasłuchując odgłosów rzeki, nie widział nic prócz czerni. A potem usłyszał w oddali szczekanie psa. Zamknął oczy i skoczył do wody.

Pod powierzchnią panowały spokój i cisza, płynął w ciemności, prąd był silny,

ale równomierny. Przez krótką chwilę stroiciel czuł się bezpieczny, zimna woda omywała mu ciało, ubranie opierało się przy każdym ruchu rąk i nóg. A potem zaczęły go palić płuca. Płynął naprzód, walcząc z potrzebą wynurzenia się, aż w końcu nie mógł już dłużej wytrzymać pieczenia i wystrzelił na powierzchnię, wyskoczył na deszcz i wiatr. Przez chwilę odpoczywał; łapiąc oddech, poczuł, że znosi go nurt i na krótko przyszła myśl, jak spokojnie byłoby gdyby tak poddał się i pozwolił zabrać rzece.

Ponownie zajaśniała błyskawica i zdawało się, że cała rzeka płonie; stroiciel znowu płynął, wykonując szybkie i gwałtowne ruchy, a kiedy poczuł, że nie może unieść ramienia, przeschorował kolanem po kamieniach, otworzył oczy i zobaczył brzeg oraz piaszczystą plażę. Szarpnął się do przodu, aż znalazł się na łądzie, gdzie runął na piasek.

Smagał go deszcz, on zaś dyszał gwałtownie, kaszlał i wypluwał rzeczną wodę. Ponownie zajaśniała błyskawica. Pojął, że mogą go zobaczyć. Podniósł się z trudem i zaczął biec.

Przez las, potykając się o powalone kłody, uderzając ramionami na oślepi, przez liany parł naprzód w coraz większej panice, gdyż miał nadzieję, że trafi na szlak, który lewym brzegiem prowadził na południe, z Mae Lwin, na trasę, której nigdy nie przebył, ale słyszał o niej od doktora. Jednak nie było nic, tylko las.

Omijając drzewa, zbiegł po zboczu ku małej rzece, dopływowi Saluin. Potknął się i zjechał w dół po błocie, spadał zamiast biec, aż zbocze stało się płaskie, a on z powrotem zerwał się na równe nogi i przebiegł nad strumieniem po zwalonym pniu drzewa, a na przeciwległym brzegu pędził pod górę, wspinał się mimo usuwających się grud błota, na szczycie potknął się, upadł, podniósł się i podjął bieg, a potem jego stopy zaplątały się nagle w gąszczu jeżyn, więc ponownie przewrócił się, padając z trzaskiem w zarośla. Deszcz lał nieustannie. Gdy usiłował wstać, usłyszał warczenie.

Odwrócił się wolno, spodziewając się ujrzeć spodnie żołnierzy brytyjskich, ale zamiast nich miał tuż przed swoją twarzą psa, parszywe, zmoknięte zwierzę o

paszczy pełnej połamanych zębów. Edgar usiłował się cofnąć, ale noga uwięzła mu w krzakach. Zwierzę warknęło ponownie, pochyliło się i kłapnęło zębami. A z ciemności wystrzeliła ręka, chwyciła je za skórę na karku i odciągnęła szczekającego i złego.

Podniósł wzrok.

Nad nim stał półnagi mężczyzna w szańskich podwiniętych spodniach, które odsłaniały żylaste, muskularne, ociekające wodą łydki. Nie odzywał się, a Edgar sięgnął wolno w dół, wyplątał stopę z zarośli i podniósł się. Przez krótką chwilę obywaj mężczyźni stali i mierzyli się wzrokiem. Jesteśmy dla siebie zjawami, pomyślał, a wtedy w świetle błyskawicy mężczyzna zmaterializował się, wychynąwszy z ciemności; miał błyszczące czoło, a na jego torsie wiły się tatuaże, fantastyczne kształty zwierząt dżungli, żywych i poruszających się w deszczu. A potem ponownie zapadła ciemność i Edgar znowu biegł przez zarośla - las gęstniał i gęstniał - aż nagle wypadł na otwartą przestrzeń, na drogę. Otarł twarz z błota i skierował się na północ, biegł, zwalniał zmęczony, znowu biegł. Deszcz obmywał go strumieniami.

*

Na wschodzie zaczęło się przejaśniać. Wstawał świt. Ulewa osłabła i wkrótce przestało padać. Edgar zwolnił, wyczerpany, i szedł. Dawniej tym szlakiem jeździły wozy ciągnięte przez woły, obecnie porastały go chwasty. Dwie wąskie, wycięte przez zniszczone koła pojazdów koleiny biegły równolegle po wybojach. Stroiciel rozglądał się w poszukiwaniu ludzi, ale wokoło panowała cisza. Drzewa rosły coraz dalej od drogi, ustępując miejsca zaroślom, a następnie kępom traw. Robiło się cieplej.

Idąc, Edgar nie myślał wiele, tylko rozglądał się w poszukiwaniu znaków, które mogłyby doprowadzić go do Mae Lwin. Zrobiło się gorąco i poczuł, że krople potu mieszają się w jego włosach z kroplami deszczu. Zaczęło mu się kręcić w głowie.

Podwinął rękawy i rozpiął koszulę, a wtedy wyczuł, że ma coś w kieszeni. Był

to złożony kawałek papieru, i przez chwilę stroiciel usiłował sobie przypomnieć, co to może być, dopóki nie przywołał w pamięci ostatnich chwil na brzegu rzeki, kiedy doktor dał mu kartkę. Nie zatrzymując się, rozłożył mokry papier. Wyciągnął go przed siebie i przystanął.

Była to strona wyrwana z należącego do Antony'ego Carrolla egzemplarza Odysei; drukowany tekst opatrzone zawijasami szańskiego pisma, naniesionego czarnym tuszem. Część wersów podkreślono:

... razem trzech wysłańców

Poszło i wnet spotkało gromadę mieszkańców.

One zaś Lotofagi jakby z przyjaciółmi

Obeszli się z naszymi - częstują ich ziółmi

Lotosu, tak iż który skosztował tej strawy,

Wracać nie chciał, o celu zapomniał wyprawy,

Tylko by w Lotofagów rad zostać ziemnicy,

Jeść lotos i rodzinnej wyzbyć się tęsknicy.

Wilgotny papier przeświecał i stroiciel zauważył, że coś jest napisane po drugiej stronie. Odwrócił kartkę. „Dla Edgara Drake'a, który skosztował”, nabazgrał doktor ciemnym atramentem. Edgar przeczytał to ponownie i opuścił wolno rękę, a kartka zatrzepotała przy jego boku na wietrze. Stroiciel ruszył, teraz już mniej spieszenie, powoli, być może tylko dlatego, że był zmęczony. W oddali teren wznosił się i łączył z niebem, rozmazując się w postaci akwarelowych plam odległych deszczowych chmur.

Edgar podniósł wzrok, ujrzał obłoki i wydało mu się, że płoną - bawełniane poduszki zamieniające się w popiół. Czuł, że woda z jego ubrania paruje i ulatnia się, opuszczając go, tak jak dusza opuszcza ciało.

Minął szczyt wzniesienia, za którym spodziewał się ujrzeć rzekę, lub może Mae Lwin, ale zobaczył tylko ciągnącą się po horyzont długą drogę, więc ruszył nią.

W oddali, na otwartym rozległym terenie dostrzegł pojedynczą plamę, a gdy podszedł bliżej, przekonał się, że była to mała kapliczka. Zatrzymał się przed

nią. Dziwne miejsce na składanie ofiar, pomyślał; Nie ma tutaj gór ani domów; Nikt tu nie mieszka; ale stał i patrzył na miski ryżu, zwiędnięte kwiaty, kadzidlane pałeczki i gnijące owoce. Wewnątrz stał posązek, wyblakły drewniany karzeł o smutnym uśmiechu i z ułamaną ręką. Edgar stanął na drodze, wyjął z kieszeni kartkę i przeczytał ją ponownie, a następnie złożył i wetknął w szczelinę obok figurki;

Zostawiam ci opowieść, powiedział.

Szedł, i choć niebo było jasne, to nie widział słońca.

Po południu w oddali ujrzał kobietę. Niosła parasolkę.

Szła wolno drogą i nie potrafił powiedzieć, czy zbliżała się do niego, czy oddalała. Wszystko było nieruchome, i wtedy z głębi pamięci wypłynęło wspomnienie pewnego letniego dnia w Angin, kiedy pierwszy raz ujął dłoń Katherine i poszli przez

Regent's Park. Oboje niewiele mówili, ale obserwowali tłumy, powozy i młode pary.

Gdy odchodziła, powiedziała szeptem: Czekają na mnie rodzice; Niebawem spotkam się z tobą, i zniknęła wśród zieleni, idąc pod białą parasolką, która błyszczała w słońcu i kołysała się lekko na wietrze.

Wspominał teraz ten moment i dźwięk jej głosu, który stawał się coraz wyraźniejszy; przekonał się, że idzie szybko, prawie biegnie, dopóki nie wydało mu się, że słyszy za sobą tętent kopyt, a potem głos wzywający do zatrzymania się, ale nie odwrócił się.

Ponowne wołanie; Stój, a następnie mechaniczne dźwięki, szczęknięcie metalu, ale z oddali. Znowu wołanie, a później strzał i Edgar upadł.

Leżał na ziemi, czując pod sobą rozlewające się ciepło i wpatrywał się w słońce, które znowu zobaczył; bo jak wieść niesie w 1887 roku, na płaskowyżu Szan panowała straszliwa susza. A jeśli w tej opowieści nie ma nic o deszczach, o Mae Lwin ani o stroicielu fortepianów, to z tego samego powodu, że to wszystko było i przeminęło, a ziemia znowu wyschła.

Kobieta staje się częścią mirażu, widmowego odbicia światła i wody, które Birmańczycy zwą than hlat. Wokół niej drży powietrze, rozszczepiając i obracając jej postać. I wtedy kobieta też znika. Pozostaje tylko słońce i parasolka.

Od autora

Stary szański mnich siedział pogrążony w dyspacie z hinduskim ascetą. Mnich wyjaśniał, że wszyscy Szanowie wierzą, iż kiedy człowiek umiera, jego dusza udaje się do Rzeki Śmierci, gdzie czeka na nią łódź, by przewieźć ją na drugą stronę, i dlatego kiedy Szan umiera, jego przyjaciele wkładają mu do ust monetę, gdyż stanowi ona zapłatę dla przewoźnika, który zabiera zmarłego na drugi brzeg.

Jest inna rzeka, powiedział Hindus, którą trzeba przekroczyć, zanim osiągnie się najwyższe niebo. Każdy wcześniej czy później dociera do jej brzegu i musi poszukać własnego sposobu przepłynięcia się na drugą stronę. Dla jednych jest to łatwe i szybkie, dla innych powolne i bolesne zmaganie, zanim osiągną drugi brzeg, ale w końcu każdy przybywa do domu. adaptacja fragmentu książki Leslie Milne Shans at Home, 1910.

Edgar Drake, Anthony Carroll, Khin Myo, wioska Mae Lwin oraz dostarczenie fortepianu Erarda nad rzekę Saluin to fikcja.

Niemniej jednak usiłowałem osadzić moją opowieść w historycznych ramach, zadanie ułatwiał fakt, że wydarzenia i postaci szańskie rewolty są barwniejsze od kreacji najbujniejszej wyobraźni. Wszystkie relacje w tej opowieści, od historii Birmy po historię fortepianu Erarda, zawierają prawdziwe informacje.

Pacyfikacja stanów

Szan była krytycznym okresem ekspansji Imperium Brytyjskiego. Konfederacja Limbina istniała i rzeczywiście stawiała zaciekły opór. Moja opowieść kończy się mniej więcej w kwietniu 1887 roku, gdy siły brytyjskie zajęły księstwo Lawksawk. W ślad za zwycięstwem wojskowym Anglicy rychło opanowali południowe stany Szan.

Książę Limbin poddał się 13 maja; najpóźniej 22 czerwca pan A.H. Hildebrand, zarządca stanów Szan, raportował, że „teraz całe południowe stany Szan uznały swoją zależność”.

Jedną z postaci historycznych, które pojawiają się w tej powieści, jest oficer polityczny w stanach Szan, sir James George Scott, który jako dyrektor St. John's

School w Rangunie sprowadził do Birmy futbol, a mnie zapoznał z Birma dzięki The

Burman, napisanemu z sympatią dziełu naukowemu. Ta pierwsza przeczytana przeze mnie praca akademicka o tym kraju dostarczyła mi inspiracji dla znacznej części kulturowego tła mojej opowieści. Jego książki, począwszy od zawierających drobiazgowo opisy *yôkthe ptcè* The Burman, poprzez będący encyklopedycznym kompendium miejscowych opowieści *The Gazetteer of Upper Burma and the Shan*

States, a na zbiorze listów Scott of the Shan States skończywszy, stanowiły nieocenione źródło informacji, a ich lektura dostarczyła mi nieopisanej przyjemności.

Dymitr Mendelejew, ojciec okresowego układu pierwiastków, rzeczywiście spotkał się z birmańskim konsulem w Paryżu. Temat ich rozmowy pozostaje nieznany.

Maung Tha Zan był gwiazdą birmańskiego pioè. Chociaż nie dorównywał Maung Tha Byaw.

Belaidour, którą Berberowie nazywają *adil - ououchchn*, znana jest zachodniej nauce jako *Atropa belaidour* i stosowana głównie na pobudzenie pracy serca.

Swoją nazwę gatunkową zawdzięcza temu, że jej jagody rozszerzają i ściemniają oczy kobiet.

Podejrzenia Anthony'ego Carrola co do sposobu szerzenia się malarii były słuszne. To, że komary roznoszą tę chorobę, zostanie udowodnione dziesięć lat później przez innego Anglika, doktora Ronalda Rossa, także pracującego w

służbie medycznej w Indiach, ale w innym szpitalu, w mieście Secunderabad. Stosowanie przez Carrola „rośliny, która pochodzi z Chin”, także okazało się prorocze. Qinghaosu używa się teraz do wytwarzania artemisininu, skutecznego leku przeciw malarii, który „odkryto ponownie” w 1971 roku.

Wszyscy sawbrowie istnieli naprawdę i nadal są uważani za bohaterów w stanach Szan. Spotkanie w Mongpu jest wymyślone.

Co do Twet Nga Lu, to Książę Bandytów został w końcu schwytany przez siły brytyjskie, a opis jego śmierci, zawarty przez sir Charlesa Crosthwaite'a w *The Pacification of Burma*, wart jest przytoczenia w całości:

Poinstruowano zatem pana Hildebranda, by odesłał Twet Nga Lu do Mongnai, zęby osądził go sawbrowa. Podczas drogi bandyta usiłował zbiec i został zastrzelony przez eskortującego go strażnika Beluchiego. Mężczyźni wrócili do fortu Stedmana i złożyli raport na temat zajścia, mówiąc, że pochowali zabitego na miejscu zdarzenia...

Wszystkie wątpliwości co do tej kwestii zostały rozwiane później. Miejscem śmierci watażki były zalesione wzgórza, które graniczą z Mongpawm.

Następnego dnia po zastrzeleniu dakoity oddział Szanów z Mongpawm przeprowadził ekshumację czy raczej podniósł ciało z płytkiego grobu i otrzepał je z ziemi. Głowę odcięto, ogolono i wysłano do Mongnai, gdzie podczas nieobecności zastępcy zarządcy fortu Stedmana wystawiono ją na północnej, południowej, wschodniej i zachodniej bramie. Z tułowia i kończyn usunięto rozmaite talizmany. Takie maskotki, które zwykle umieszcza się pod skórą, to małe monety lub kawałki metalu. Te, jako że pochodziły z ciała tak znanego przywódcy, byłyby dwa razy cenniejsze i bez wątpienia zostałyby ochoczo wykupione. Ciało potem wygotowano, uzyskując wywar znany Szanom jako mahe si, który jest niezawodnym magicznym środkiem na wszelkiego rodzaju rany. Tak cenne «lekarstwo» nie pozostawało długo w rękach biedaków i niebawem trafiło do pewnej książęcej apteczki... Taki był koniec Twet Nga Lu.

Z pewnością, o ile dotyczy to ciała, ostateczny.

Lub, jak to napisała o Księciu Bandytów lady Scott, która wydała *Scott of the Shan Hills*: „To był hurtowy koniec niezwykłego człowieka”.

Szczegóły dotyczące szkańskich mitów i kultury, miejscowej medycyny i historii naturalnej zebrałem w Birmie i Tajlandii oraz zaczerpnąłem z tekstów dotyczących opisywanego okresu. Chociaż uważam, że większość literatury, z jaką się spotkałem, jest dobrze udokumentowana i napisana ze szlachetnych pobudek, to obawiam się, iż wiele źródeł zawiera uprzedzenia lub po prostu błędne interpretacje charakterystyczne dla wiktoriańskiej Anglii. Jednakże dla potrzeb tej powieści to, co na przełomie wieków było uważane za fakt, jest ważniejsze dla mnie od tego, co jest faktem teraz.

Przepraszam zatem za wszelkie niezgodności dotyczące faktów, są one wynikiem tej decyzji, a przykład tego można spotkać w cytowanym powyżej fragmencie: związek znanego Kaczinom mahaw tsi (wedle wielkiego kolekcjonera roślin Franka KingdonWarda wytwarzano z gatunku *Euonymus*), którego używał doktor Carroll, z etymologicznie podobnym *mahe si Crosthwhite*'a stanowi nadal dla mnie zagadkę, a jednak wyraźnie zaciekawia. Wśród książek, których przeczytanie uznałem za niezbędne, poza dziełami Scotta, Kingdon - Warda i *Crosthwhite*'a, znalazły się: *Burma Struggle Against British*

Imperialism, 7885- /895 Ni Ni Myinta, przedstawiająca szkańską rewoltę z birmańskiego punktu widzenia, *Shans at Home* pani Leslie Milne, cudowna etnografia *Szanów* wydana w 1910 roku, oraz *The Illusion of Life: Burmese Marionettes* Ma Thanegi, ze względu na szczegółowe opisy *yôkthe pwè*. Praca *The*

Making of Modern Burma Thant Myint - U jest godna uwagi ze względu na zawarte w mej omówienie wojen angielsko - birmańskich, to ponowna, odświeżająca analiza wielu opinii podtrzymywanych długi czas przez historyków, jak również głoszonych przez postaci mojej książki. W końcu wiele

zawdzięczam pracy Piano Tuning and

Alliei Arts Williama Braida White'a, dzięki której mogłem obdarzyć Edgara Drake'a jego umiejętnościami technicznymi.

I jeszcze jedna uwaga końcowa. Po roku badań nad malarią, które prowadziłem wzdłuż południowej granicy tajlandzkobirmańskiej, pojechałem na północ do miasteczka Mae Sam Leap, gdzie wezbrane wody Saluin rysują granice daleko w dół biegu rzeki od wymyślonego Mae Lwin. Tam na długorufowej łodzi handlowej płynąłem między porośniętymi lasem, milczącymi brzegami, do których przybijaliśmy, zatrzymując się w ukrytych w dżungli wioskach Karenów. Owego gorącego popołudnia powietrze stało nieruchomo, a wokół panowała cisza, ale z gęstych zarośli w błotnistej stancy handlowej na brzegu małej rzeki dobiegał dziwny dźwięk. Zanim silnik zaskoczył i odpłynęliśmy od brzegu, dotarło do mnie, że to dźwięk fortepianu.

Być może było to tylko trzeszczące nagranie odtwarzane na jednym z tych starych, zakurzonych gramofonów, jakie nadal można znaleźć na bardziej odległych targowiskach. Być może. Ale instrument był, przykro to mówić, straszliwie rozstrojony.